Opowieść o nadziei i odwadze,
których nic nie jest w stanie zdusić.
Entertainment Weekly

DZIEWCZYNA O MOCNYM GŁOSIE

ABI DARÉ

ABI DARÉ

DZIEWCZYNA O MOCNYM GŁOSIE

przełożył
Grzegorz Komerski

MUZA
Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Tytuł oryginału: ***The Girl with the Louding Voice***
Redakcja: *Dorota Kielczyk*
Redaktor prowadzący: *Aleksandra Janecka*
Redakcja techniczna: *Sylwia Rogowska-Kusz*
Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*
Korekta: *Irma Iwaszko, Kamil Kowalski*

Projekt okładki © Christopher Lin i Jason Booher
Ilustracja na okładce © Vikki Chu

© 2020 by Abi Daré
All rights reserved
© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2024
© for the Polish translation by Grzegorz Komerski

ISBN 978-83-287-3211-7

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
Wydanie I
Warszawa 2024

Mojej matce, profesor Teju Somorin – nie tylko dlatego, że jesteś mądra, piękna i że jako pierwsza kobieta w Nigerii zdobyłaś w 2015 roku tytuł profesora prawa podatkowego, lecz także dlatego, że to ty pokazałaś mi, jak ważna jest edukacja, i tak wiele poświęciłaś, żebym mogła się kształcić.

SPIS TREŚCI

PROLOG
ROZDZIAŁ 1
ROZDZIAŁ 2
ROZDZIAŁ 3
ROZDZIAŁ 4
ROZDZIAŁ 5
ROZDZIAŁ 6
ROZDZIAŁ 7
ROZDZIAŁ 8
ROZDZIAŁ 9
ROZDZIAŁ 10
ROZDZIAŁ 11
ROZDZIAŁ 12
ROZDZIAŁ 13
ROZDZIAŁ 14
ROZDZIAŁ 15
ROZDZIAŁ 16
ROZDZIAŁ 17
ROZDZIAŁ 18
ROZDZIAŁ 19
ROZDZIAŁ 20
ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22
ROZDZIAŁ 23
ROZDZIAŁ 24
ROZDZIAŁ 25
ROZDZIAŁ 26
ROZDZIAŁ 27
ROZDZIAŁ 28
ROZDZIAŁ 29
ROZDZIAŁ 30
ROZDZIAŁ 31
ROZDZIAŁ 32
ROZDZIAŁ 33
ROZDZIAŁ 34
ROZDZIAŁ 35
ROZDZIAŁ 36
ROZDZIAŁ 37
ROZDZIAŁ 38
ROZDZIAŁ 39
ROZDZIAŁ 40
ROZDZIAŁ 41
ROZDZIAŁ 42
ROZDZIAŁ 43
ROZDZIAŁ 44
ROZDZIAŁ 45
ROZDZIAŁ 46

ROZDZIAŁ 47
ROZDZIAŁ 48
ROZDZIAŁ 49
ROZDZIAŁ 50
ROZDZIAŁ 51
ROZDZIAŁ 52
ROZDZIAŁ 53
ROZDZIAŁ 54
ROZDZIAŁ 55
ROZDZIAŁ 56
PODZIĘKOWANIA

PROLOG

Nigeria jest jednym z krajów Afryki Zachodniej. Z ludnością liczącą bez mała 180 milionów zajmuje siódme miejsce na świecie wśród państw o największej liczbie obywateli. Oznacza to, że aż jeden na siedmiu mieszkańców Afryki jest Nigeryjczykiem. Nigeria jest również najzamożniejsza spośród krajów tego kontynentu, jej produkt krajowy brutto wynosi 568,5 miliarda dolarów. W skali globalnej to szósty co do wielkości eksporter ropy naftowej. Niestety, ponad 100 milionów Nigeryjczyków żyje w ubóstwie, utrzymując się za mniej niż dolara dziennie.

Nigeryjska księga faktów. Przeszłość i teraźniejszość,
wyd. 5, 2014

ROZDZIAŁ 1

Rano papa woła mnie do salonu.

Siedzi na kanapie bez poduch i patrzy. On ma taką jedną minę. Jakoby chciał mnie wybatożyć za nic; jakobym miała gówno w policzkach, że jak coś powiem, to mu wszystko zaśmierdnie.

– Sah? – Klękam i biorę ręce za plecy. – Wołałeś?

– Chodź tu blisko – nakazuje.

Już wiem, że chce powiedzieć coś złego. Widzę to głęboko w jego oczach – taki matowy brąz kamienia, co za długo leżał w gorącym słońcu. To te same oczy jak trzy lata temu, kiedy mówił, że muszę skończyć swoje edukacje. Tamtego roku byłam najbardziej starsza w klasie i wszystkie dziecki nazywały mnie Ciocia. Powiem prawdę: dzień, kiedy skończyłam szkołę, i jeszcze ten, kiedy mama już nie żyła, o, to były najgorsze dni w całym moim życiu.

Kiedy papa prosi, cobym podeszła, nie odpowiadam. Nasz salon jest mały jak samochód Mazda. Co mam zrobić? Uklęknąć mu w ustach? Klęczę więc w miejscu i czekam, aż powie, co chce. Papa wydaje jakiś gardłowy odgłos i opiera się plecami na twardej desce kanapy. Poduszki zmarniały, bo Kayus, nasz ostatni, najbardziej młodszy, za dużo na nie sikał. Ten chłopak od małego sika jak diabeł. I w końcu siki popsuły poduchy, więc mama kazała, niech Kayus sam sobie je weźmie na posłanie.

Mamy w salonie tiwi. Nie działa. Pierworodny, nasz pierwszy, znalazł go na wysypisku dwa lata temu, kiedy pracował we wsi obok przy wywożeniu śmieci. Tiwi trzymamy na pokaz, w kącie przy drzwiach. Stoi tam jak jakiś ładny książę; a na nim jest nawet wazonik z kwiatami. Jakoby taka korona na głowie ważnego księcia. Kiedy przychodzą goście, papa robi, że niby ten telewizor działa, i mówi: „Adunni, chodź, włącz wieczorne wiadomości. Pan Bada chętnie sobie popatrzy". A ja odpowiadam: „Papa, ale pilot zginął". Wtedy on kiwa głową na „nie" i mówi panu Badzie: „Ech, te dziecki. Do niczego one, zawsze gubią pilota. Chodźmy przed dom, posiedzimy, popijemy i zapomnimy o smutkach naszej Nigerii".

Pan Bada musi być wielkim głupcem, że nie widzi, że to kłamstwo.

Mamy też stojący wiatrak. Stracił kiedyś dwie łopatki i dmucha tak, że w salonie zawsze za gorąco. Papa lubi wieczorem siadać przed wiatrakiem. Krzyżuje nogi w kostkach i popija z butelki, którą wziął sobie na żonę w dniu, kiedy mama już nie żyła.

– Adunni, twoja mama nie żyje – rzuca po chwili papa.

Czuć od niego tym piciem. Jego skóra i pot śmierdzą, nawet jak nie pije.

– Tak, papo. Wiem – odpowiadam.

Po co gada rzeczy, które już wiem? Po co mówi coś, co wyrwało mi dziurę w sercu i wlało tam ciężki ból, który dźwigam wszędzie, gdzie pójdę? Myśli, że zapomniałam, jak mama przez trzy miesiące kasłała mi na ręce krwią? Taką

czerwoną i gęstą od śliny? Zawsze jak w noc zamykam oczy, widzę tą krew. A czasem nawet czuję w niej sól.

– Wiem, papo – powtarzam. – Znowu stało się coś złego?

– Kazali nam stąd iść – wzdycha.

– Że niby dokąd? – Bywa, że oblatuje mnie o niego strach. Odkąd mama już nie żyje, papa mówi rzeczy, co nie mają sensu, albo gada sam do siebie i płacze, jak myśli, że nikt nie słucha. – Przynieść ci wody do mycia? – pytam. – Mam też poranne jedzenie, świeży chleb i słodzone orzeszki.

– Za czynsz liczą tu trzydzieści tysięcy naira – słyszę. – Jeśli nie zapłacimy, musimy znaleźć inny dom.

Trzydzieści tysięcy naira to mnóstwo pieniądzów. Wiem, że papa tyle nie znajdzie, nawet jeśli poszuka w całej Nigerii, bo tylko za moją szkołę było siedem tysięcy, a on tyle nie miał. To mama płaciła za szkołę, za czynsz i za jedzenie, i za wszystko. Ale przedtem, bo potem już nie żyła.

– Skąd weźmiemy takie pieniądze? – pytam.

– Morufu. Znasz go? Był tu wczoraj u mnie.

– Morufu od taksi?

Morufu to taksówkarz z naszej wioski. Jest stary i ma twarz jak cap. Poza dwiema żonami Morufu ma cztery dziecki, takie co nie chodzą do szkoły. Biegają w brudnych gaciach nad strumieniem, łowią na sznurek kartony po cukrze, grają w *suwe* i klaszczą tak, że z rąk prawie złazi im skóra. Dlaczego Morufu odwiedził nasz dom? Czego tu szukał?

– Tak. – Uśmiech papy jest napięty. – Dobry człowiek ten nasz Morufu. Zaskoczył mnie wczoraj, powiedział, że zapłaci nasz czynsz. Całe trzydzieści tysięcy.

– To dobrze? – pytam, bo to dziwne. Bo wiem, że żaden człowiek nie płaci czynszu za innego, jak nie chce czegoś w zamian. Dlaczego Morufu chce wydawać na nas pieniądze? Co chce? A może jest nam winien za coś? Patrzę na papę, a moje oczy wypełnia nadzieja, że to nie to, co myślę. – Papo?

– Tak. – Czeka, przełyka ślinę i ściera pot z głowy. – Czynsz ma być częścią *owo-ori*.

– *Owo-ori*? Zapłaty za żonę?

Pęka mi serce. Mam tylko czternaście lat wieku i nie będę szła za głupiego starucha. Chcę wrócić do szkoły i uczyć się na nauczycielkę, a potem być dorosłą kobietą i mieć pieniądze, coby jeździć samochodem i mieszkać w ładnym domu, gdzie będzie kanapa z poduszkami. Chcę pomagać papie i dwu braciom. Nie chcę nigdy wychodzić za żadnych mężczyzn, chłopaków ani nikogo. Pytam więc znowu. Mówię bardzo wolno, coby papa usłyszał wyraźnie wszystkie słowa i nie pomylił się w odpowiedzi.

– Papo, to *owo-ori* jest za mnie czy za inną?

Kiwa głową, powoli, powoli. Nie zwraca uwagi na łzy, co stają mi w oczach. Nie widzi moich szeroko otwartych ust.

– To zapłata za ciebie, Adunni. W przyszłym tygodniu wydam cię za Morufu.

ROZDZIAŁ 2

Słońce zeszło już z nieba i ukryło się głęboko w szczelinie nocy. Unoszę się na swojej rafiowej macie, spycham z siebie kulasy Kayusa i siadam; opieram się plecami o ścianę.

Od rana tłuką mi się w głowie pytania, co nie mają odpowiedzi. Grzechoczą jak twarde kamienie. Jak to jest być żoną mężczyzny z dwoma żonami i czterema dzieckami? Dlaczego Morufu chce jeszcze inną żonę poza tamtymi? A papa? Dlaczego chce mnie sprzedać takiemu staruchowi i nie myśli, co ja czuję? Dlaczego nie trzyma się obietnicy, co ją dał mamie, zanim już nie żyła?

Od tylu pytań boli mnie pierś, tak aż ją sobie masuję. Wstaję na nogi, wzdycham i podchodzę do okna. Na niebie wisi czerwony księżyc. Wisi bardzo nisko, jakoby Bóg wrzucił do naszej wsi swoje złe oko.

W powietrzu fruwają świetliki. Ich ciała błyskają w nocy światełkami wielu kolorów: zielone, niebieskie i żółte. Wszystkie tańczą i mrugają w ciemności. Dawno temu mama opowiedziała mi, że świetliki zawsze przynoszą dobre wiadomości. „Świetliki to oczy aniołów", mówiła. „Widzisz tamtego, Adunni? Tamtego, co siedzi na liściu drzewa? On przyniósł wiadomość, że będziemy mieli pieniądze". Nie wiem, co ten świetlik chciał mamie powiedzieć, ale wiem, że pieniądzów nie przyniósł.

Kiedy mama już nie żyła, zgasło we mnie światło. Siedziałam w tej ciemności wiele miesięcy, aż jednego dnia

Kayus znalazł mnie w pokoju, gdzie płakałam ze smutku. Z wielkimi, pełnymi strachu oczami zaczął błagać, żebym przestała, bo od mojego płakania boli go serce.

Tamtego dnia zamknęłam smutek w sercu. Chciałam być silna i dbać o Kayusa i papę. Ale czasami, jak dziś, smutek wyłazi na zewnątrz i pokazuje mi język.

Są chwile, że kiedy zamykam oczy, widzę mamę, która staje się kwiatem: żółto-czerwono-purpurową różą o lśniących listkach. A kiedy pociągnę nosem tak mocno, mocno, czuję też jej zapach. Słodki zapach różanego krzewu, mięty i kokosowego mydła, którym myła włosy nad wodospadem Agan.

Mama miała długie włosy. Splatała je w grube warkocze i zawijała sobie wokół głowy; wyglądała, jakoby miała na tej głowie dwie lub trzy opony. Czasami pozwalała włosom spaść na plecy, a wtedy czesałam ją drewnianą szczotką. A potem zabierała mi tę szczotkę, kazała siadać na ławce przy studni i układała mi włosy z takim mnóstwem oleju kokosowego, że gdy chodziłam po wiosce, to pachniałam jak smażone jedzenie.

Mama nie była stara. Zanim już nie żyła, miała tylko czterdzieści coś lat wieku. Codziennie boli mnie dusza za jej cichym śmiechem, za jej głosem, za miękkimi ramionami, za oczami, które mówiły dużo, dużo więcej niż usta.

Nie chorowała za długo, dzięki Bogu. Tylko sześć i pół miesiąca. Kasłała i kasłała, aż w końcu kaszel zjadł całe ciało, a jej ręce zrobiły się cienkie jak klamka od drzwi salonu.

Przed tą diabelską chorobą mama zawsze była bardzo zajęta. Cały czas robiła to albo tamto dla kogoś z Ikati. Rano

smażyła sto kokosowych puff-puffów, co je sprzedawała na targu. Czasami wyjmowała z gorącego oleju połowę, same najlepsze, złotobrązowe puff-puffy, i kazała mi je nieść do wsi Agan, do domu, gdzie mieszkała stara Iya.

Nie wiem za dobrze, jak mama Iyę poznała. Nie wiem też, jak się tamta nazywa naprawdę, bo „iya" w mowie joruba znaczy po prostu „stara kobieta". Ale mama ciągle posyłała mnie z jedzeniem do niej i innych chorych staruszek z wiosek wokół Ikati. Nosiłam im gorącą amalę, zupę z okry z rakami lub fasolą albo smażone plantany *dodo*, miękkie i tłuste.

Raz, kiedy mama chorowała za bardzo, żeby daleko chodzić, znów poszłam z puff-puffami do Iyi. A kiedy wieczorem wróciłam do domu i zapytałam, dlaczego posyła jedzenie innym, kiedy czuje się tak chora, że nie może chodzić, odpowiedziała: „Adunni, musisz robić tak, aby innym było dobrze, nawet jak tobie samej jest źle, nawet kiedy cały świat jest chory".

To mama mi pokazała, jak modlić się do Boga, jak splatać włosy, jak prać ubrania bez mydła. To ona nauczyła mnie zmieniać bieliznę, kiedy po raz pierwszy odwiedził mnie miesięczny gość.

A teraz ściska mnie w gardle, bo słyszę w głowie jej głos, słaby i cichy, którym błagała papę, by nie oddawał mnie w małżeństwo żadnemu mężczyźnie, jeśli ona umrze z tej choroby. Słyszę też głos papy – drżał ze strachu, lecz walczył o siłę. „Przestań gadać bzdury o umieraniu", odpowiedział. „Nikt tu nie umrze. Adunni za nikogo nie pójdzie, słyszysz? Pójdzie do szkoły, zrobi tak, jak chcesz. Przyrzekam ci! Tylko wydobrzej. I to raz-dwa!"

Ale mama nie wydobrzała. Nie żyła już dwa dni po tej rozmowie, a ja teraz wychodzę za Morufu, bo papie trzeba pieniądzów na jedzenie, czynsz i głupoty.

Gdy to wszystko wspominam, czuję na języku słone łzy, a kiedy wracam na matę i zamykam oczy, widzę mamę jako kwiat róży. Ale dziś nie ma już żółtych, czerwonych i purpurowych kolorów. Nie ma lśniącej zieleni. Dzisiaj kwiat jest brązowy jak mokry liść – zdeptały go brudne stopy mężczyzny, co zapomniał o przyrzeczeniu wobec martwej żony.

ROZDZIAŁ 3

Przez to wspominanie i cały ten smutek nie spałam nawet chwili.

Nie wstaję jak zwykle o pierwszym pianiu koguta. Nie zamiatam, nie piorę, nie ucieram fasoli na poranne jedzenie dla papy. Leżę na macie z zamkniętymi oczami i słucham różnych odgłosów. Słyszę dalekie wołanie koguta, głębokie i żałosne; kosy, co siedzą na drzewie mango, śpiewają jak każde rano swoje wesołe piosenki. Słyszę też, jak gdzieś naprawdę daleko ktoś, może rolnik, bije toporem w tyłek drzewa, ciach, ciach, ciach. Słyszę miotły, co u kogoś w domu szurają o podłogę. Gdzie indziej mama woła dziecki, żeby wstały i się umyły, tylko coby nie brały wody z żelaznego wiadra, a z glinianego garnka.

Te same dźwięki jak zawsze, lecz dziś każdy jest ciosem w serce, każdy okrutnie przypomina, że mój ślub już blisko coraz bardziej.

Siadam. Kayus śpi jeszcze na swojej macie. Oczy ma zamknięte, ale widzę u niego rozterkę, czy się obudzić. W czasie snu powieki ciągle mu drgają w tej walce ze sobą, od dnia kiedy pogrzebaliśmy mamę. Rzuca głową na lewo i prawo. Podchodzę blisko, kładę mu dłoń na czole i śpiewam do ucha cichą piosenkę. Po chwili się uspokaja.

Kayus ma tylko jedenaście lat wieku. Często zachowuje się źle, ale mam dla niego wielkie serce. To do mnie przychodzi, kiedy inni chłopcy wyśmiewają go na wioskowym placu

i przezywają pogromcą kotów. To dlatego, że jako dziecko bez przerwy chorował, więc papa zabrał go do kogoś, kto zrobił mu brzytwą na twarzy trzy znaki, coby odpędzić złego ducha choroby. Teraz Kayus wygląda, jakoby wdał się w bójkę z wielkim kotem, a ten podrapał mu policzki.

To ja uczyłam Kayusa wszystkiego, co usłyszałam w szkole. Plusów, minusów, całej nauki, a przede wszystkim angielskiego, bo tata nie ma pieniądzów na szkołę nawet dla niego. To ja mówię Kayusowi, że czeka go jasna przyszłość, że wystarczy, że się trochę przyłoży i pouczy.

Kto o niego zadba, kiedy pójdę za Morufu? Pierworodny?

Wzdycham i patrzę na bardziej starszego brata. Pierworodny śpi na łóżku ze złą miną. Naprawdę na imię mu Alao, ale nikt go tak nie woła. Urodził się pierwszy z nas wszystkich, więc papa mówi, że to z szacunku może spać na jedynym łóżku w pokoju, co mieszkamy w nim we troje. Nie przeszkadza mi to. Łóżko ma cienki piankowy materac pełen dziur; pluskwy zrobiły sobie w nim kuchnię i toaletę. Materac cuchnie czasami jak pacha murarza, co jak podnosi rękę na powitanie, to smród może zabić na śmierć.

Jak niby Pierworodny zajmie się Kayusem? Nie umie gotować ani sprzątać. W ogóle nie umie pracować, zna tylko tę swoją mechanikę. Nie lubi się śmiać, nigdy nie jest wesoły. Ma dziewiętnaście i pół lat wieku i wygląda całkiem jak bokser. Ręce i nogi ma jak grube gałęzie. Czasami całą noc pracuje w Kassim Motors, a kiedy wreszcie wraca, rzuca się tylko na łóżko i śpi. Teraz też chrapie, jego oddechy dmuchają mi w twarz gorącym wiatrem.

Przez chwilę patrzę na Pierworodnego. Widzę, jak pierś mu się unosi i opada do rytmu, co nie zna piosenki, po czym odwracam się do Kayusa i klepię go lekko po ramieniu.

– Obudź się.

Otwiera najpierw jedno oko, potem drugie. Kiedy wstaje, zawsze tak robi. Podnosi jedną powiekę, a drugą po sekundzie, jakoby się bał, że jeśli podniesie dwie naraz, coś mu się stanie.

– Adunni. Dobrze spałaś?

– Dobrze – kłamię. – A ty?

– Niedobrze. – Siada obok na macie. – Pierworodny mówi, że za tydzień idziesz za Morufu. Żartował ze mnie?

– Nie, to nie żart. – Biorę go za rękę, małą i zimną. – Za tydzień.

Kiwa głową, wsysa dolną wargę i przygryza. Nie mówi już ani słowa. Gryzie tą wargę i mocno ściska moją dłoń.

– Ale po małżeństwie będziesz tu wracać? – pyta. – Żeby mnie uczyć? I robić mi ryż w oleju kokosowym?

– Ryż się łatwo robi. – Wzruszam ramionami. – Najpierw płuczesz cały trzy razy w wodzie i zostawiasz w misce, coby nasiąkł. Potem bierzesz papryczki… – Nie mogę mówić, bo łzy wypełniają mi usta, uciszają słowa, każą płakać. – Nie chcę iść za Morufu – dodaję. – Proszę, wybłagaj papę za mnie.

– Nie płacz – mówi brat. – Jak będziesz płakać, to i ja będę.

Oboje trzymamy się mocno za ręce i szlochamy po cichu.

– Ucieknij, Adunni. – Ociera łzy. Oczy ma wielkie i pełne strachliwej nadziei. – Uciekaj i schowaj się przed nimi.

– Nie. – Kiwam głową na „nie”. – A jak złapie mnie naczelnik wioski? Zapomniałeś o Asabi?

Asabi to taka jedna dziewczyna z Ikati. Nie chciała iść za starca, bo miała prawdziwą miłość. Tafa pracował w warsztacie Kassim Motors, tam gdzie Pierworodny. W dzień po ślubie Asabi uciekła z Tafą, ale nie za daleko. Złapali ich tuż przed granicą; Asabi srogo stłukli. A Tafa? Powiesili biednego chłopca na placu jak kurczaka; ciało rzucili na pożarcie lasowi. Naczelnik wioski powiedział, że Tafa ukradł żonę innemu mężczyźnie. Że musiał umrzeć, bo w Ikati każdy złodziej musi cierpieć i umrzeć. I powiedział, że muszą zamknąć Asabi w pokoju na sto trzy dni, dopóki nie nauczy się, że ma siedzieć w domu męża i nie uciekać.

Ale Asabi niczego się nie nauczyła. Po stu trzech dniach zamknięcia powiedziała, że nie wyjdzie już nigdy. Siedzi w pokoju do dziś, patrzy w ściany, rwie sobie włosy z głowy i zjada je wszystkie, wyrywa sobie rzęsy i chowa je w staniku, rozmawia sama ze sobą i z duchem Tafy.

– Może będziesz móc mnie odwiedzać w domu Morufu i tam będziemy się bawić? – mówię. – Możemy się też zobaczyć nad strumieniem, a nawet na targu, wszędzie.

– Myślisz? A co, jak Morufu nie pozwoli mi się z tobą bawić?

Zanim mogę coś wymyślić, Pierworodny obraca się z boku na bok we śnie. Rozwala szeroko nogi i głośno wypuszcza z pośladków śmierdzące powietrze. Cuchnie jak zdechły szczur.

– Może ślub z Morufu jest lepszy niż siedzenie w domu z Pierworodnym i jego smrodami. – Kayus ze śmiechem

zasłania nos ręką.

Ściskam mocno jego dłoń i zmuszam usta do uśmiechu.

Czekam, aż Kayus znowu uśnie, potem wychodzę.

Papę widzę przed domem. Siedzi przy studni na kuchennej ławce. Dzień robi się jasny, powoli budzi się słońce; jest jak wisząca na niebie połowa pomarańczowego koła, co wygląda zza burej szmaty. Papa nie ma koszuli, tylko spodnie. Butów też nie ma. Żuje jakiś krótki patyk. Trzyma w ręku czarne radio, w drugim ma kamień i wali w to radio, coby się obudziło. Budzi je tak co rano, jeszcze od wtedy, zanim urodził się Kayus. Klękam na piasku, biorę ręce do tyłu i czekam.

Papa tłucze kamieniem w radio trzy razy, ko, ko, ko, i wreszcie słychać pierwsze trzaski. Mija chwila, potem mężczyzna w radiu mówi:

„Dzieeeeń dobry! Tu OGFM osiemdziesiąt dziewięć i dziewięć. Wiadomości dla wszystkich gości!”

Papa wypluwa patyk na piasek. Patrzy tak, jakoby chciał zdzielić mnie w głowę za to tylko, że przyszłam.

– Adunni, chcę posłuchać wiadomości o szóstej. Czego znowu?

– Dzień dobry, papo – odzywam się do niego. – Wyszła nam fasola. Mogę pożyczyć od mamy Enitan? Pójdę i przyniosę.

Mam fasolę. Puchnie w kuchni w puszce z wodą, ale potrzebuję z kimś pomówić o tym całym ślubie. Enitan i ja jesteśmy najbardziej lepszymi przyjaciółkami, odkąd nauczyłyśmy się czytać A, B, C i liczyć 1, 2, 3. Jej mama

prowadzi małe gospodarstwo i już wiele razy chętnie dawała nam fasolę, korzeń *yam* i nasiona *egusi*. Zawsze mówi, że zapłacimy, kiedy będziemy mieć pieniądze.

Papa mnie zaskakuje, bo śmieje się i mówi:

– Czekaj.

Stawia radio na ławce, bardzo lekko, ale ono trzask, trzask i nagle umiera na śmierć. Oddaje ducha. Nie ma już głosu z OGFM 89,9. Nie słychać rozgłośni całego kraju. Papa patrzy chwilę na czarne pudełko, potem syczy i mocno strąca je na ziemię. Radio się tłucze, rozwala.

– Papo! – wołam i łapię się za głowę. – Dlaczego popsułeś radio? Dlaczego? – Tiwi nie działało od początku, a teraz z radia została kupa połamanego plastiku i drutów. Sterczą do góry: żółte, brązowe i czerwone.

Papa syczy znów. Podnosi lewy pośladek, wciska rękę do tylnej kieszeni spodni. Wyciąga dwa banknoty po pięćdziesiąt naira. Podaje mi. Robię wielkie oczy i patrzę na te pieniądze, brudne, miękkie, i śmierdzą tytoniem… wypalonymi sigami. Skąd je wziął? Od Morufu? Ze ściśniętym sercem wsuwam je za szlafrok.

Nie mówię: „Dziękuję, *sah*”.

– Adunni, posłuchaj mnie dobrze. Musisz tym zapłacić za fasolę. A potem powiesz mamie Enitan tak: „Po ślubie ja i tata – klepie się w pierś tak mocno, jakoby chciał się zabić – zapłacimy za wszystko, co nam dałaś. Zapłacimy za wszystko. Zapłacimy choćby i tysiąc naira. Co do ostatniego”. To właśnie jej powiesz, słyszysz?

– Tak, *sah*.

Patrzy i patrzy na rozwalone radio i wykrzywia usta w sztywnym uśmiechu.

– A potem kupię nowe radio. Dobre. Może nawet nowe tiwi. Kanapę z poduchami. I nową.... Adunni? – Skupia na mnie oczy, twarde i mocne. – Co się tak gapisz? Idź już! Prędko!

Odchodzę bez słowa.

Ścieżka do domu Enitan to cienki pas zimnego, mokrego piasku za rzeką. Z lewej i prawej strony obrastana jest wysokimi krzewami, są wysokie jak ja. Powietrze zawsze tu zimne, nawet kiedy słońce jasno świeci na niebie. Po drodze cicho sobie śpiewam i trzymam głowę nisko, bo kawałek za krzakami śmieją się dziecki, co mieszkają we wiosce. Myją się i chlapią w rzece. Nie chcę, żeby mnie kto zawołał. Nie chcę, żeby pytali o durne plany tego głupiego ślubu, więc przebieram nogami szybko, a u końca ścieżki skręcam w prawo, gdzie ziemia znowu sucha, i widzę gospodarstwo Enitan.

Dom Enitan nie jest jak nasz. Jej mama dobrze sobie radzi. W zeszłym roku zaczęły pokrywać czerwone gliniane ściany cementem i wszystko naprawiać. Teraz mają już kanapę z poduszkami, łóżko z dobrym materacem i stojący wiatrak, taki co nie chrobocze głośno przy każdym obrocie. Ich tiwi też działa jak trzeba. Czasami nawet łapie zagraniczne filmy.

Przyjaciółkę widzę za domem. Mocno szarpie i wyciąga wiadro ze studni. Czekam, aż je odstawi, wtedy ją wołam.

– Ach! Patrzcie, kto do mnie przychodzi z samego rana! – Enitan podnosi rękę na powitanie. – Adunni, nowa żona!

Kiedy się przede mną kłania, klepię ją w sam środek głowy.

– Przestań! Nie jestem żoną. Jeszcze nie.

– Ale niedługo będziesz. – Ociera czoło kawałkiem chusty. – O, widzę, że jesteś jakaś niezadowolona, Adunni. Ty chyba lubisz się martwić. Czym się tak martwisz dziś rano?

– Gdzie twoja mama? – pytam.

Jeśli w domu, nie będę mogła porozmawiać z Enitan o ślubie, bo jej mama jest najbardziej gorsza i nie rozumie, dlaczego nie chcę ślubu ze starcem. Kiedy ostatnim razem usłyszała, jak opowiadam przyjaciółce o swoim strachu, pociągnęła mnie za uszy i kazała zjeść te słowa z powrotem, i dziękować Bogu, że mogę pójść za mężczyznę, który o mnie zadba.

– W polu – odpowiada Enitan. – Ach, chyba wiem, co cię smuci. Chodź za mną. Mam trochę fasoli w...

– Nie przychodzę po jedzenie.

– To skąd ta zmartwiona mina?

– Myślę, coby... – pochylam głowę – ...błagać papę, coby nie kazał mi iść za Morufu – mówię tak cicho, że prawie sama się nie słyszę. – Możesz pójść ze mną i prosić? Może jeśli ty przyjdziesz, jeszcze się namyśli?

– Mam błagać twojego papę? – dopytuje ostro, zdziwiona i chyba trochę zła. – Bo co? Bo twoje życie zmieni się na lepsze?

Grzebię stopami w piachu, twardy kamień kłuje mnie w palec. Dlaczego nikt nie rozumie, dlaczego nie chcę ślubu? Kiedy chodziłam jeszcze do szkoły i byłam najbardziej starsza w klasie, Jimoh, taki głupi chłopak, ciągle mnie wyśmiewał. Jednego dnia, kiedy usiadłam w ławce, powiedział:

– Ciotuniu Adunni, dlaczego jesteś jeszcze w podstawówce, kiedy wszyscy tacy jak ty są już dalej?

Wiem, Jimoh chciał, żebym płakała, żeby zrobiło mi się źle, bo nie mogłam zacząć edukacji z innymi dzieckami. Ale spojrzałam temu diabłu głęboko w oczy, a on spojrzał na mnie. Patrzyłam na jego trójkątną głowę, a on patrzył na mnie. Wtedy pokazałam mu język, wyciągnęłam palcami uszy i powiedziałam:

– A ty dlaczego nie jesteś w sklepie z rowerami, kiedy masz głowę jak siodełko?!

Cała klasa zaczęła chichotać, wszyscy trzęśli się ze śmiechu, a ja poczułam się bardzo mądra, aż Nauczycielka trzy razy walnęła linijką o stół i krzyknęła: „Cisza!".

W szkole zawsze miałam odpowiedź, kiedy inni mnie wyśmiewali. Zawsze o siebie walczyłam i trzymałam głowę wysoko, bo wiedziałam, że chodzę tam, żeby się uczyć. Uczenie się nie ma wieku. Każdy może się uczyć, więc się uczyłam i zbierałam za swoją pracę dobre oceny. A jak zaczęłam się robić bardziej dobra z plus, minus i z angielskiego, papa powiedział, że muszę przestać, bo nie ma dla mnie pieniądzów na szkołę. Od tamtej pory próbuję nie zapomnieć swojej edukacji. Czasami w dni targowe uczę nawet chłopców i dziewczynki z wioski. Tłumaczę im A, B, C i 1, 2, 3. Nie dostaję za to dużo pieniądzów, ale bywa, że mamy tych dziecków dadzą mi dwadzieścia naira albo worek kukurydzy, miskę ryżu lub puszkę sardynków.

Biorę, co dają, bo lubię uczyć te dziecki. Lubię, bo ich oczy zawsze się świecą i te dziecki mają takie mądre głosy, kiedy pytam: „Co się zaczyna na J?", a one odpowiadają: „Na J

zaczyna się jabłko". Choć żadne z nich nie widziało jabłka na oko. No, chyba że w tiwi.

– A kto będzie uczył małe dziecki w dzień targowy?

– Dziecki mają mamy i papów. – Enitan krzyżuje ręce na piersi i przewraca oczami. – Ty urodzisz sobie swoje i będziesz mogła je uczyć!

Gryzę wargę, coby zatrzymać łzy w oczach. Ślub to w naszej wiosce dobra rzecz. Dużo dziewczyn chce męża i być czyjąś żoną, obojętnie czyją. Ale nie ja, nie Adunni. Odkąd papa powiedział o tym ślubie, łamię sobie głowę; myślę, że może jest coś lepszego niż być żoną starego mężczyzny. Tylko że moja głowa nie działa, nie robi pomysłów. Myślałam nawet, żeby uciec gdzieś daleko, ale gdzie pójdę, coby mnie papa nie znalazł? Jak mogę zostawić braci i wioskę? A teraz nawet przyjaciółka nie rozumie, co czuję.

Podnoszę głowę, patrzę jej w oczy. Enitan chce wziąć ślub, jak już miała trzynaście lat, ale nikt z jej papą o tym nie mówił. Chyba dlatego, że po wypadku jej górna warga jest wykrzywiona do góry i w lewo. Enitan nie zależy na szkole i uczeniu się z książek. Jest szczęśliwa, kiedy zaplata włosy, a teraz myśli, coby zacząć biznes makijażowy i tak zaczekać, aż znajdzie ją mąż.

– Naprawdę nie możesz przyjść i błagać mojego papy? – pytam.

– O co tu błagać? – syczy głośno i kręci głową. – Adunni, wiesz, jakie to dobre dla twojej rodziny. Pomyśl, jak cierpicie, od kiedy twoja mama... – Wzdycha. – Wiem, że nie tego chcesz. Wiem, że lubisz szkołę, ale pomyśl dobrze, Adunni. Pomyśl, jak dobrze będzie twojej rodzinie. Wiesz, że nawet jak

poproszę twojego papę, on mi nie odpowie. Przysięgam, jak znajdę sobie takiego męża jak Morufu, będę taka szczęśliwa! – Zasłania usta ręką i śmieje się wstydliwie. – O, tak zatańczę na swoim ślubie. – Unosi brzeg chusty do kolan i zaczyna przebierać stopami, stawia jedną przed drugą, potem w lewo, w prawo, w prawo i lewo, do rytmu piosenki, takiej co słyszy tylko ona. – Ładnie?

Myślę o tym, że papa rozwalił dziś rano radio; o tym, że planuje za pieniądze Morufu kupić sobie nowe rzeczy.

– Ładnie? – pyta znowu Enitan.

– Tańczysz jak jakaś kulawa na dwie nogi – odpowiadam ze śmiechem, który wydaje się za ciężki, za duży dla moich ust.

Przyjaciółka wypuszcza chustę, przykłada palec do brody i patrzy w niebo.

– Co mogę powiedzieć, żeby zrobić szczęśliwą tą swoją Adunni, no co? Co mogę... Ach! Wiem, co cię ucieszy! – Łapie mnie za rękę i ciągnie przed dom. – Chodź, zobaczysz makijaże na twój ślub. Wiesz, że mam teraz zielone kredki do oczu? A potem możemy iść nad rzekę i...

– Nie dzisiaj – odpowiadam. Zabieram swoją rękę i odwracam się, coby schować łzy. – Mam za dużo do zrobienia. Tyle tych... przygotowań do ślubu.

– Rozumiem. Może przyjdę do ciebie po południu i wypróbujemy makijaże?

Kręcę głową, odchodzę.

– Czekaj, Adunni! – woła za mną Enitan. – Jakie szminki przynieść? Czerwone jak dla nowej żony czy różowe jak dla

pan...

– Czarną weź – mówię sama do siebie, kiedy skręcam za róg. – Czarną jak żałoba!

ROZDZIAŁ 4

Dwa lata zanim mama już nie żyła, przed nasz dom zajechał samochód i zatrzymał się pod drzewem mango.

Siedziałam tam właśnie i prałam koszulkę papy. Kiedy samochód się zatrzymał, przestałam prać, strzepnęłam mydliny z rąk i patrzyłam. Wóz bogatego człowieka, czarny, błyszczący, z wielkimi oponami i światłami jak oczy śpiącej ryby. Otworzyły się drzwi i wyszedł z nich mężczyzna pachnący klimatyzacją, sigami i perfumami. Był strasznie wysoki, skórę miał barwy prażonych orzeszków, a jego ładna, długa twarz skojarzyła mi się z przystojnym koniem. Miał na sobie drogie zielone spodnie, a na wąskiej głowie nosił zieloną czapkę.

– Dzień dobry, szukam Idowu. – Mówił szybko, szybko i takim miłym głosem. – Jest tu może?

Idowu to imię mojej matki. Nigdy nie odwiedzali ją goście, tylko pięć kobiet z Kościelnej Wspólnoty Modlitewnej Żon, które przychodziły w każdą trzecią niedzielę miesiąca.

– Dzień dobry, *sah* – powiedziałam, osłaniając oczy przed wczesnym słońcem. – A ty kto jesteś?

– Zastałem Idowu? – zapytał raz jeszcze. – Nazywam się Ade.

– Musiała wyjść. Chcesz usiąść, zaczekać?

– Przykro mi, nie mogę. Do Ikati przyjechałem tylko na grób babki. Babka... hmm, zmarła, kiedy byłem za granicą.

Pomyślałem, że w drodze na lotnisko zajrzę do twojej matki i ją pozdrowię. Wylatuję dziś wieczorem.

– Wylatujesz? Że samolotem? Do Zagranicy? – Dużo słyszałam o tej Zagranicy, o Amryce i Londynie. Oglądałam ją nawet w tiwi, kobiety i mężczyźni z żółtą skórą, nosami jak ołówki i włosami jak sznurki. Na własne oczy jeszcze nikogo stamtąd nie widziałam. Czasami też słyszę ich w radiu, mówią po angielsku szybko, szybko, jakoby to była specjalna moc do mieszania wszystkim w głowach.

Patrzyłam na tego wysokiego, ładnego mężczyznę, na jego skórę barwy prażonych orzeszków, na krótkie czarne włosy, miękkie jak gąbka. Nie przypominał ludzi z Zagranicy, w tiwi wyglądali inaczej.

– Skąd jesteś? – spytałam.

– Z Anglii. – Uśmiechnął się, pokazał białe zęby, co stały równym szeregiem. – Z Londynu.

– A to dlaczego nie jesteś żółty jak oni? – zapytałam.

Twarz mu stężała, zaraz potem się zaśmiał.

– Na pewno jesteś córką Idowu – powiedział. – Jak ci na imię?

– Adunni mi na imię, *sah*.

– Jesteś równie ładna, jak ona w twoim wieku.

– Dziękuję, *sah*. Mama poszła dziś daleko. Iya, jej przyjaciółka, taka stara, mieszka aż w sąsiedniej wiosce. Do jutra mama pewnie będzie. Mogę wziąć wiadomość.

– O, wielka szkoda, że Idowu nie ma. Przekażesz, że szukał jej Ade? I powiedz, że wcale o niej nie zapomniałem.

Potem wszedł do samochodu i pojechał. Myślałam długo, długo – co to za mężczyzna? Skąd zna mamę? Kiedy wróciła i usłyszała, że szukał jej pan Ade z Zagranicy Londynu, wpadła w szok.

– Pan Ade? – zapytała jak głucha. – Pan Ade?

I rozpłakała się, cicho, bo nie chciała, coby usłyszał ją papa. Przez trzy kolejne tygodnie pytałam, dlaczego wpadła w szok i płakała. Opowiedziała, że pan Ade pochodzi z bogatej rodziny. Że wiele lat temu mieszkał w Lagos, ale na jedne wakacje przyjechał do Ikati, do swojej babki. Jednego dnia mama sprzedawała puff-puffy i pan Ade trochę od niej kupił. A potem się zakochał. Wpadli po uszy w wielką miłość. Powiedziała, że to był jej pierwszy przyjaciel mężczyzna, jedyny co go kochała. Mieli brać ślub. Ale mama nie chodziła do szkoły, więc rodzina pana Ade powiedziała, że żadnego ślubu nie będzie. Kiedy pan Ade powiedział, że jeśli się z mamą nie ożeni, to się zabije, krewni zamknęli go w samolocie i posłali do Zagranicy. A mama płakała i płakała, no to jej rodzice zmusili ją, coby poszła za papę, mężczyznę, co go nigdy nie kochała. A papa teraz chce mi zrobić to samo.

Tamtego dnia usłyszałam od mamy:

– Adunni, nie wzięłam za mąż ukochanego, bo nie poszłam do szkoły. Chciałam odejść z tej wioski, mieć mnóstwo pieniądzów, czytać dużo książek, tylko że to wszystko niemożliwe. Adunni. – Ścisnęła mi rękę. – Bóg wie, że wyślę cię do szkoły, choćbym miała wylać z siebie ostatnie poty. Bo chcę, żebyś nie straciła szansę na życie. Chcę, żebyś mówiła dobrym angielskim, bo w Nigerii wszyscy rozumieją angielski i jak dobrze mówisz, to lepiej ci się uda znaleźć dobrą pracę. – Pokasłała trochę, poprawiła się na macie i mówiła dalej: –

W tej wiosce, jeśli pójdziesz do szkoły, nikt cię nie zmusi do ślubu z żadnym mężczyzną. Ale jak nie będziesz w szkole, to kiedy będziesz mieć piętnaście lat, dadzą cię za byle kogo. Uczenie się to twój głos, dziecko. Będzie za ciebie mówić, nawet jeśli sama nie otworzysz ust. Będzie mówić do dnia, w którym Bóg wezwie cię do siebie.

Tamtego dnia powiedziałam sobie, że nawet jeśli nie dostanę w życiu nic innego, pójdę do szkoły. Skończę podstawówkę, szkołę średnią, będę się uczyć na uniwersytecie i zostanę nauczycielką. Bo nie chcę, żeby mój głos był byle jaki...

Chcę, żeby mój głos był mocny.

– Papo?

Siedzi na kanapie z oczami w tiwi, gapi się na jego szarą, szklaną twarz, jakoby chciał go zaczarować, żeby obejrzeć wiadomości o wyborach.

– Papo? – Staję przed nim. Jest noc i w salonie świeci tylko stojąca na podłodze biała świeczka. Roztapia się, spływa i robi bałagan przy nodze kanapy. – To ja, Adunni – mówię.

– Nie jestem ślepy – odpowiada w mowie joruba. – Jak masz gotowe jedzenie, nałóż na talerz i przynieś.

– Chcę z tobą porozmawiać, *sah*. – Opadam na kolana i łapię go za nogi. Trudno uwierzyć, jakie są cienkie. Cienieją coraz bardziej i bardziej od dnia, kiedy mama już nie żyła. Jakobym ściskała same nogawki. – Proszę, papo.

Papa jest twardym mężczyzną. Zawsze ma srogą minę i kłóci się z całym domem i wszystkimi. Po to chciałam, coby Enitan przyszła błagać ze mną. Kiedy papa jest w domu, każdy

musi być jak trup. Nie mówić. Się nie śmiać. Nie ruszać. Nawet jak mama żyła, papa zawsze na nią krzyczał. Dawno temu też ją zbił. Tylko jeden raz. Walnął ją w policzek i potem spuchła. Powiedział, że to dlatego, że coś odpowiedziała, kiedy na nią krzyczał. Kobieta nie powinna mówić, kiedy słucha mężczyzny. Potem już nie bił, ale nie byli razem zbyt szczęśliwi.

– Co? – Patrzy na mnie z góry, czoło świeci mu od potu.

– Nie chcę iść za Morufu – mówię. – Kto się tobą zajmie? Kayus i Pierworodny to chłopcy. Nie umieją gotować. Nie umieją prać i zamiatać w obejściu.

– Jutro Morufu przyprowadzi mi cztery kozły. – Papa unosi cztery chude palce, zaczyna mówić po angielsku. – Jednego, dwa, trzy, cztery. – Ślina wylatuje mu z ust i spada mi na wargę. – Przyprowadzi też kurczaki, mięsne, bardzo drogie. I ryż. Aż dwie worki. I pieniądze. O tym ci jeszcze nie mówiłem. Pięć tysięcy naira, Adunni. Pięć tysięcy. Mam pod dachem dorodną córkę. Młoda nie powinnaś siedzieć w domu. Powinnaś już urodzić najmarniej jedno lub dwa dziecki.

– Ale jak pójdę za Morufu, wyrzucisz moją przyszłość do śmieci. Mam dobrą głowę, papo, dobry mózg. Wiesz o tym. Nauczyciele wiedzą. Jak znajdę najpierw sposób, żeby pójść do szkoły, będę ci pomagać, kiedy potem znajdę dobrą pracę. Nie przeszkadza mi, że znów będę najbardziej starsza w klasie. Wiem, że mogę szybko się nauczyć. Szybko skończę całe edukacje, zostanę nauczycielką i będę co miesiąc zbierać pieniądze. Zbuduję ci dom i kupię piękny samochód, czarnego benza.

– Nie ma pieniądzów na jedzenie. – Papa pociąga nosem i ociera go ręką. – A o trzydziestu tysiącach na czynsz szkoda gadać. Co ci da, że zostaniesz nauczycielką? Nic. Tylko uparta się zrobisz. I wyszczekana jeszcze bardziej, jakobyś już nie była. Chcesz być jak Tola?

Tola jest córką pana Bady. Ma dwadzieścia pięć lat i wygląda jak długowłosa agama. Pan Bada posłał ją do szkoły w mieście Idanre, a teraz ona pracuje tam w banku. Ma pieniądze i samochód, tyle że męża nie znalazła. Mówią, że szuka wszędzie, ale nikt nie chce brać z nią ślubu, może właśnie dlatego, że wygląda jak jaszczurka z długimi włosami i ma pieniądze jak mężczyzna.

– Ona ma dużo pieniądzów – mówię. – I dba o pana Badę.

– Tak bez męża? – Papa kiwa głową na „nie” i dwa razy klepie się po ręku. – Boże uchowaj. Synowie o mnie zadbają. Pierworodny uczy się na mechanika w Kassim Motors. Niedługo Kayus też tam pójdzie. A co zrobię z tobą? Nic. Czternaście lat, prawie piętnaście. To bardzo dobry wiek na ślub. – Znowu pociąga nosem, drapie się po szyi. – Morufu powiedział wczoraj, że jak się postarasz i najpierw dasz mu chłopca, dostanę dziesięć tysięcy naira.

Jakiś ciężar wtacza mi się na pierś, dokłada się do tego, który noszę, odkąd mama już nie żyła.

– Ale obiecałeś, mamie obiecałeś. A teraz zapominasz, co mówiłeś.

– Adunni. Obietnicami brzucha nie wypełnisz. Obietnica nie zapłaci czynszu. Morufu dobry człowiek. Ślub dobra rzecz. Radosna.

Błagam go i błagam, trzymam za nogi i moczę mu stopy łzami, ale papa nie słucha. Wciąż tylko kiwa głową na „nie” i powtarza:

– To dobra rzecz, radosna. Idowu będzie szczęśliwa. Wszyscy będą szczęśliwi.

Kiedy następnego dnia rano przychodzi Morufu i papa woła, cobym przyszła dziękować mu za kury i kozły, ja nie odpowiadam. Mówię Kayusowi, żeby powiedział papie, że odwiedził mnie miesięczny gość. Że mam ból w brzuchu. Leżę na macie i naciągam chustę mamy na głowę. Słucham, jak papa i Morufu rozmawiają w salonie. Strzela zakrętka butelki dżinu, jak ją otwierają. Chrzęszczą skorupki orzeszków.

Słucham ich, a Morufu głośno się śmieje. Opowiada w mowie joruba o wyborach, co będą za rok; o tym, że Boko Haram porwali w zeszłym miesiącu dużo dziewczyn ze szkoły; mówi o swoim taksi biznesie.

A ja po prostu leżę i moczę łzami chustę mamy, aż zapada noc, aż niebo staje się czarne jak wilgotna ziemia.

ROZDZIAŁ 5

Siedzimy z Enitan na podwórzu za kuchnią.

Enitan sprawdza makijaże na ślub jutro. Kładzie na moje policzki placki białego proszku i wciska mi głęboko w oczy czarną kredkę.

Nasza kuchnia nie jest taka jak te, co je widzę w tiwi, te gdzie jest gaz do gotowania i elektryczność. Nasza to zwykły kawałek miejsca z trzema polanami pod żelaznym kociołkiem i plastikową miską, co służy za zlew. Mamy też krótką drewnianą ławkę, tą, na której właśnie siedzę. To bardzo ładna ławka. Zrobił ją dla mnie Kendo, wioskowy stolarz, z drewna naszego mangowca.

– O, Adunni, teraz wyglądasz jak prawdziwa *olori*. – Enitan przyciska kredkę tak mocno, jakoby chciała zrobić mi krzywdę. – Jak żona samego króla!

Słyszę śmiech, radość przyjaciółki, co musi być taka dumna, że robi mi ślubne makijaże. Unosi moją głowę i rysuje kropkę na środku czoła, jak tym Hinduskom, które oglądamy czasami w tiwi w świetlicy we wiosce. Potem jeszcze pociąga kredką po moich brwiach, w lewo, w prawo, i maluje mi usta czerwoną szminką.

– Adunni – mówi. – Uwaga! Raz... dwa... trzy...! Szybko, otwórz oczy!

Mrugam i patrzę. W pierwszej chwili nie widzę nawet lustra, co Enitan trzyma je przy piersi. Przeszkadzają mi łzy.

– Ty patrz... – każe mi. – Ładnie?

Macam się po twarzy, tu i tam.

– Ach, ach – mówię, że niby jestem bardzo zadowolona z tego, co zrobiła.

Ale to czarne na oczach wygląda tak, jakoby ktoś zdzielił mnie łokciem.

– Skąd ta mina? – pyta przyjaciółka. – Ciągle ci smutno, że idziesz za Morufu?

Próbuję odpowiedzieć, ale myślę, że tylko się popłaczę i nie powiem nic sensownego, a jeszcze zepsuję te wszystkie makijaże, co mi nałożyła.

– Morufu to bogaty mężczyzna. – Enitan wzdycha, jakoby już zmęczona mną i moimi kłopotami. – Zajmie się tobą i twoją rodziną. Co więcej możesz znaleźć w tym życiu, jak będziesz mieć dobrego męża?

– Wiesz, że on ma dwie żony – jakoś mówię. – I cztery dziecki.

– No i co? – śmieje się Enitan. – Słuchaj! Masz szczęście, że bierzesz ślub! Dziękuj Bogu za tą dobrą rzecz i przestań głupio płakać.

– Morufu nie pomoże mi skończyć szkoły. – Serce puchnie mi tak bardzo, że wyciska łzy na twarz. – Sam też nie chodził. A bez szkoły to jak znajdę pracę, skąd dostanę pieniądze? Skąd wezmę mocny głos?

– Martwisz się – mówi Enitan – ale przecież w tej wiosce szkoła nic nie znaczy. Nie jesteśmy w Lagos. Zapomnij o edukacjach, idź za Morufu i urodź mu pięknych, pięknych chłopców. Jego dom jest niedaleko. Będę przychodzić się z tobą bawić, a jak nie będę mieć za dużo pracy

z makijażowaniem, będziemy chodzić nad rzekę. – Sięga do kieszeni sukienki żółtej jak słońce, wyjmuje drewniany grzebień i zaczyna czesać mi włosy. – Zaplotę ci je w stylu *shuku* – mówi. – A potem włożę ozdoby, czerwone paciorki, o tu i tutaj. – Dotyka mojej głowy pośrodku, przy lewym uchu i za prawym uchem. – Chcesz tak? – pyta.

– Rób, jak ty chcesz – odpowiadam, bo nic mnie nie obchodzi.

– Adunni, nowa żona w Ikati. – Głos Enitan brzmi jak piosenka. – No dalej, ty pokaż swój wielki uśmiech! – Wciska mi palec w bok brzucha i wierci, aż na moją smutną twarz wypełza uśmiech. W końcu aż kaszlę ze śmiechu, co ściska mi pierś.

Kawałek dalej w obejściu, pod drzewem mango, Pierworodny wpuszcza do studni żelazny kubeł na długim, grubym sznurze. Ta studnia należała do mojego dziadka-ojca. Zbudował ją z błota, stali i potu, a mama, kiedy żyła, opowiedziała mi, jak się w tej studni zabił. Po prostu zleciał tam, raz kiedy brał wodę. Przez trzy dni nikt nie wiedział, gdzie się podział. Wszyscy go szukali, patrzyli za nim w lesie, na polach, na placu we wiosce, nawet w kostnicy, aż wreszcie ze studni zaczął bić paskudny smród zgniłych jaj i gówna. A jak znaleźli ciało, dziadek-ojciec był cały spuchnięty, jakoby jego nogi, nos, brzuch, zęby i tyłek zaszły naraz w ciążę. Cała wioska lała za nim łzy, wszyscy płakali i bili się w piersi przez trzy dni.

Patrzę teraz na Pierworodnego i jakąś małą częścią duszy chcę, żeby też wleciał do studni, wtedy odwołaliby ślub. Ale źle jest tak myśleć o bracie, więc myślę o czym innym.

Pierworodny wyciąga kubeł, odstawia go i ściera pot z czoła. Przychodzi papa. Jedną ręką prowadzi rower, w drugiej ręce trzyma zieloną szmatę. Założył swoje najbardziej lepsze spodnie, z niebieskiej ankary z rysunkami małych czerwonych łodzi. Wygląda, jakoby szedł odwiedzić króla. Pierworodny kładzie się płasko na ziemi, wita papę – dotyka czołem piachu, po czym zabiera mu tą szmatę i zaczyna polerować rower. Enitan wkłada mi grzebień we włosy, rozdziela je i zaczyna czesać, szybko, mocno.

– Ej! – krzyczę, bo szarpnięcia czuję nawet w mózgu. – Wolniej!

– Przepraszam. – Pochyla mi głowę i zaczyna splatać warkoczyki.

Po pierwszym rządku patrzę do góry. Pierworodny wyczyścił już rower. Papa spluwa na ziemię, wciska ślinę stopą w piach, wskakuje na rower i wyjeżdża z obejścia.

Kiedy Enitan kończy czesanie i malowanie, a ja zmywam te głupoty z twarzy, zostaję przed kuchnią. Siedzę na ławce, obrywam z kukurydzy zielone liście i wrzucam ziarna do wiadra.

Siedzę tak od popołudnia, a teraz księżyc wisi już wysoko na niebie, noc jest duszna i gorąca. Plecy mam jak skorupka jaja co zaraz pęknie, bolą mnie palce żółte od kukurydzy. Chcę przestać łuskać, ale łuskanie trzyma moją głowę w miejscu, nie daje za dużo myśleć.

Kiedy wiadro jest pełne prawie w połowie, odsuwam je na bok, wstaję i przeciągam się, tak żeby plecy trzasnęły. Potem nalewam do kubła zimnej wody i zakrywam go szmatą.

Jutro rano przyjdzie do nas ciotunia Sisi, co zawsze gotuje dla ludzi we wiosce. Zmiesza namoczoną kukurydzę ze słodkimi ziemniakami, cukrem i też imbirem, a potem zetrze wszystko razem, żeby powstał *kunu*, napój na ślub.

Ostatnie dziesięć kukurydz strącam nogą na podłogę. Co z tego, że pełno na niej czerwonego piasku. Jak zechce więcej, niech sobie sama obiera i łuska. Ona, nie ja. Za bardzo bolą mnie palce, w dodatku wszędzie drapią mnie cienkie białe włoski kukurydzy, jakoby oblazły mnie małe węże.

Papa jest w salonie, chrapie z czapką na nosie. Przy jego nogach stoją trzy kartony piwa, podarki na ślub. W jednym kartonie brakuje butelki, ona leży na podłodze obok świeczki, co się pali. Butelka jest ciemna i pusta. Czekam chwilę, myślę, coby jeszcze raz porozmawiać, spróbować wbić papie do głowy rozum przed jutrem. Zaraz potem przypominam sobie o kukurydzy, co się moczy przed domem, o wielkich yamach w kuchni, o workach ryżu i czerwonych papryczkach, o dwoje mięsnych kurczakach i cztery kozłach, co pojawiły się w obejściu.

Myślę o ciotuni Sisi, o Enitan i innych, co przyjdą tu dla mnie jutro rano, ubrani w drogich ubraniach i dobrych butach. Patrzę na butelkę po piwie i wzdycham. Klękam przy drzwiach salonu, dmucham na świeczkę, gaśnie.

Zostawiam papę samego po ciemku, a kiedy wchodzę u siebie do pokoju, ściągam sukienkę, wytrzepuję z niej ostatnie włoski kukurydzy i wieszam na oknie, coby wyschła.

Zawijam się chustą i kładę na macie obok Kayusa. Próbuję położyć głowę wygodnie, ale ona jakoby zaczęła oddychać, jakoby Enitan napakowała mi do niej gorącego powietrza,

kiedy plotła warkoczyki, i teraz cała okropnie ta głowa pulsuje. Siadam, opieram plecy o ścianę i słucham z na zewnątrz wiatru, jak szumi. Czasami chcę być taka jak Kayus, nie bać się ślubu z mężczyzną, nie mieć w tym życiu żadnego problemu. Kayus martwi się tylko, coby zjeść coś i gdzie kopnąć piłkę. Nie martwi się o śluby i pieniądze za żonę. Nie martwi się nawet o szkołę, bo to ja go przez cały czas uczę.

Enitan mówi, że Morufu ma dom i prawdziwy jeżdżący samochód. On ma też mnóstwo jedzenia i pieniądze dla papy, Kayusa, a nawet Pierworodnego. Pieniądze dla Kayusa to dobra rzecz. Mogę chyba spróbować, jak radzi Enitan, być szczęśliwa.

Rozciągam usta, zmuszam, coby się uśmiechnęły. Ale pierś mam pełną trzepoczących skrzydłami ptaków. Ptaki tupią, dziobią i mam ochotę tak głośno płakać, prosić je, niech przestaną trącać mi serce. Chcę skrzyczeć tą noc i kazać jej, żeby nigdy nie stała się jutrem, tylko że Kayus śpi jak dziecko i nie chcę go budzić. Biorę więc za chustę, zwijam ją w kulkę i zaciskam na niej zęby. Czuję smak kukurydzy i słonych łez.

Kiedy mój duch nie ma już więcej łez do wypłakania, wypluwam chustę z ust i pociągam nosem. Jutro przyjdzie i tak. Nic nie poradzę. Kładę się i zamykam oczy. I znów otwieram. Zamykam. Otwieram. Obok słychać jakiś dźwięk, drżenie. Kayus?

Siadam, dotykam go lekko i mówię:

– Kayus, wszystko dobrze?

Ale kiedy go szczypię, on odtrąca moją rękę. Podrywa się z maty i wybiega w ciemność, zanim mogę zapytać, kto go tak goni.

Siedzę więc i słucham; słucham, jak kopie w drzwi naszego pokoju.

Łup, łup, łup.

Słucham jego głosu, smutnego i złego. Wykrzykuje moje imię. Raz i znowu. I znowu. Słucham też papę. On budzi się z przekleństwem i każe Kayusowi wybrać: albo już nie hałasuje, albo idzie do salonu i zbiera porządną chłostę. Zwlekam się z maty i widzę brata przed domem. Siedzi oparty plecami o ścianę naszego pokoju. Masuje sobie lewą stopę i płacze, trze i płacze. Płacze i rozciera.

Klękam, odrywam jego rękę od nogi i mocno ją zaciskam. A potem mocno go tulę i tak zostajemy, bez słowa, zanim wreszcie zasypia głęboko z głową na moim ramieniu.

ROZDZIAŁ 6

Mój ślub jest jak film z tiwi.

Patrzyłam w tym filmie na siebie, jak klęczę przed ojcem, kiedy zmawiał modlitwę, co miała odejść ze mną do domu męża. Patrzyłam na swoje usta, kiedy się otwierają, kiedy rozchyliły się wargi i mój głos mówi „Amen", choć moja głowa za nic nie rozumiała, co się dzieje.

Patrzyłam na wszystko spod białej koronki, co zasłoniła mi twarz: kobiety i mężczyźni stali w obejściu pod drzewem mango, wszyscy ubrani w ten sam styl, na niebiesko, bez butów; stary mężczyzna z mówiącym bębnem pod pachą pociąga za sznurek na boku bębna i wali patykiem od przodu: bum, bum, bum; moje przyjaciółki, Enitan i Ruka, roześmiane, tańczą, śpiewają. Patrzyłam na całe to jedzenie: ryż w oleju palmowym i ryby, i yamy, i *dodo*. Dla kobiet coca-cola, *kunu* i napój *zobo*. Wino palmowe, dżin i piwo, i mocne *ogororo* dla mężczyzn; dla małych dziecków miski czekoladek.

Patrzyłam na siebie, kiedy Morufu wkłada palec do glinianego dzbanuszka z miodem i przytyka go trzy razy do mojego czoła, i mówi:

– Od dzisiaj twoje życie będzie słodkie jak ten miód.

Patrzyłam na to dalej: Morufu kładzie się płasko przed papą i siedem razy przytyka czoło do ziemi. Papa bierze potem moją rękę, zimną i martwą, i wkłada ją w dłoń Morufu, i mówi:

– Teraz to twoja żona. Od dzisiaj po wieczność należy do ciebie. Rób z nią, co chcesz. Używaj, aż będzie pożyteczna. Niech już nigdy nie śpi w domu ojca!

Wtedy wszyscy ze śmiechem powiedzieli:

– Graciulacje! Amen! Graciulacje!

Patrzyłam na swoją duszę i zobaczyłam, jak zdjęcie szkoły, co ustawiłam w sercu u siebie na stole, spada na podłogę i rozbija się na małe, malutkie kawałki.

Morufu wyprowadza taksi z naszego obejścia. Wyciąga dłoń przez okno:

– Dziękuję! Dziękuję! – krzyczy do ludzi przy drodze z lewej i prawej.

Wszyscy machają nam na pożegnanie i życzą dobrego domu.

Siedzę w samochodzie obok niego. Głowę mam nisko, oczy wbite w hennę, co Enitan pomalowała mi rano ręce, i myślę, że wzór przypomina to, co mam teraz w głowie: wąską, pełną zakrętów, czarną drogę. Z dala wygląda pięknie, kiedy spojrzeć z bliska, widać tylko zamęt.

– Ty czujesz dobrze? – pyta Morufu, jak już przy drodze nie ma ludzi, a tylko drzewa i krzewy, z prawej i lewej; kiedy świat się obraca, a zamiast słońca zostaje ciemność i niebo jest jak wielki granatowy koc z mnóstwem świecących dziurek.

Wiatr dmucha mi w twarz i myślę, że jakaś inna panna młoda, szczęśliwa panna młoda, byłaby teraz pełna uśmiechu. Patrzyłaby w gwiazdy i mówiła do siebie: Jak to wspaniale, miałam ślub. Ale ja siedzę tylko ze zwieszoną

głową i próbuję zamknąć łzy za powiekami, coby nie wypłynęły z oczu. Nie chcę płakać przy tym mężczyźnie. Nigdy, nigdy nie chcę mu pokazać swoich uczuć.

– Nie odpowiadasz? – rzuca Morufu. Taksi skręca w lewo i zbliżamy się do granic we wiosce. – No dalej! Ty patrz na mnie!

Podnoszę głowę.

– Dobrze, bardzo dobrze – słyszę. – Bo teraz już ty zamężna kobieta. Moja żona. Inne moje żony... Jak się nazywają, powtórz? Tak, Labake i Khadija. O, one będą ci zazdrościć. Khadija ma mało z rozumem, ale Labake będzie ci chciała dokuczyć. Nie pozwolisz jej, ty słyszysz? Jeśli Labake zrobi ci coś złego albo powie coś złego, zawołaj mnie zaraz, mocno ją wychłoszczę.

Moja głowa nie rozumie, dlaczego Morufu chce chłostać żony. Czy jak zrobię coś źle, też będzie chłostać?

– Tak, *sah* – mówię.

Moje głupie łzy są takie nieposłuszne. Spływają mi po policzkach.

– Co? Czy ja słyszę twój płacz? – Morufu ściąga z głowy ślubną czapkę *fila* i rzuca ją na tylne siedzenie. – Jesteś smutna? – pyta, a ja kiwam na „tak" i modlę się, może mu mnie żal się zrobi i zatrzyma samochód przy drodze, a potem powie: bardzo mu przykro i to wielka pomyłka, i nie chce już nowej żony. Ale Morufu pociąga nosem i mówi: – No, to lepiej otrzyj oczy i zacznij się śmiać. Ty wiesz, ile mnie ten ślub dziś kosztował? Tak, lepiej otwórz usta szeroko, pokaż zęby i zacznij się dla mnie śmiać. No dalej! Co ty tak patrzysz? Czy ja ojca ci zabił, czy jak? Głucha jesteś? Otwieraj, ja mówię!!!

Otwieram usta i szczerzę się szeroko, tak szeroko, że prawie twarz pęka.

– Bardzo dobrze – chwali Morufu. – Śmiej się. Ty bądź szczęśliwa. Nowe żony zawsze szczęśliwe.

Jedziemy jak te dwa wariaty – ja szczerzę zęby, a on gada do siebie o tym, że zapłacił za żonę tysiące i tysiące naira. Kiedy jesteśmy za skrzyżowaniem z piekarnią, zapach wyrastającego chleba bije mi w nos i każe myśleć o mamie. Potem przejeżdżamy przy meczetu. Ludzie wychodzą zza żelaznej furtki: mężczyźni w białych dżalabijach niosą modlitewne paciorki i plastikowe czajniki, kobiety nakrywają głowy hidżabami. Wszyscy idą, jakoby ich kto gonił.

Po jakieś dwadzieścia minut jazdy Morufu skręca obok jadłodajni i wjeżdża do obejścia wielkiego jak pół boiska do piłki w nogę. Pośrodku stoi cementowy dom. W pokojach ciemno, w żadnym z cztery okien nie widzę światła. Nie widzę też drzwi do wejścia, jest tylko taka niska drewniana bramka. A przed bramką wisi zasłonka, łopocze na mocnym wieczornym wietrze. Morufu zatrzymuje samochód przy guawie, co jej gałęzie wyglądają jak ludzkie ręce. Liście rozkładają się nad obejściem jak rozłożone palce. Obok domu stoi jeszcze inny samochód; zielony, w jednym z okien z jego tyłu brakuje szkła, ktoś rozpiął tam niebieską nylonową siatkę.

– To mój dom. Od dwudziestu lat. Sam go zbudowałem – mówi Morufu. – A to – pokazuje mi ten zielony samochód – moje drugie taksi. Kto inny w tej wiosce ma dwa samochody? – Szarpie, otwiera drzwiczki. – Wysiadaj i zaczekaj na mnie – każe. – Wezmę twoje rzeczy z bagażnika.

Wychodzę z samochodu. Stoję i kopię gnijące na ziemi owoce guawy. Jeden, dwa. W domu coś trzaska, jakieś drzwi otwierają się i zamykają. Zaraz wychodzi na dwór gruba kobieta, z biodrami jak owoc *paw-paw*. Ubrana w czarną *iro*. Twarz ma tak białą, jakoby nie pudru posypała, a startą kredą. W dłoni trzyma talerzyk, na nim świeczka. W blasku płomyka, co tańczy, wygląda ona, ta kobieta, jak duch z siatką na włosach.

Niesie tą świeczkę, jakoby szła złożyć jakiemu bogu ofiarę. Idzie powoli, kroki stawia, jakoby kroczyła po skorupkach jajek. Podchodzi i staje przede mną tuż.

– Witaj, złodziejko mężów – mówi do świecy. Podmuch z jej ust gasi ogieniek. – Kiedy ja z tobą skończę, przeklniesz dzień, kiedy matka cię na świat wydała. *Ashewo*.

– Labake! – krzyczy od samochodu Morufu. – Znowu zaczynasz być zła? Nazywasz moją nową żonę *ashewo*? Prostytutka? Chyba pilno ci dziś umrzeć. Adunni, ty nie zwracaj na nią uwagi. Ma problemy w psychice. Jej głowa nie działa, jak trzeba. Ty nie zwracaj uwagi!

Kobieta, ta Labake, zaczyna syczeć. Syczy i syczy, aż echo rozchodzi się po całym obejściu. Wreszcie ona się odwraca i odchodzi, wielkie pośladki falują.

A ja po prostu stoję. Stoję i czuję, jak zimno wspina mi się po nogach i wyżej, aż do głowy. W końcu podchodzi do mnie Morufu. Karton z moimi rzeczami rzuca na ziemię, pluje mi pod nogi i ociera usta grzbietem dłoni.

– To Labake, moja żona, pierwsza – mówi. – Ty nie przejmuj się nią ani trochę. Ona tylko gada i gada. A teraz

chodź ze mną do środka. Zobaczysz Khadiję, to też żona, druga.

ROZDZIAŁ 7

W salonie jest sześć ludzi.

Pod ścianą kanapa, na środku drewniany stół z pustym kubkiem. W kącie pokoju jest tiwi, na nim stoi lampa naftowa, ona wypluwa z siebie ciemnopomarańczowe światło.

Najpierw patrzę na kobiety. Labake, ta z białą twarzą. Czeka przy tiwi i klepie się mocno po brzuchu, jakoby chciała z niego zło jakie wypędzić. Obok niej stoi inna. Dziewczyna wygląda jak w połowie już dorosła. Ma na sobie długą szatę, w świetle lampy zielonoczarną. Oglądam ją od krótko obciętych włosów do napuchniętego brzucha. Odwraca się do mnie tyłem i wbija wzrok w ścianę, jakoby myślała, że zaraz wyciągnę z niej dziecko oczami.

Patrzę na dziecki, co siedzą na podłodze. Są cztery, tylko dziewczynki. Gapią się na mnie i mrugają, jakobym była błyskającym ostrym światłem tiwi. Nie są ubrane jak trzeba. Mają tylko majtki. Nawet ta, co jej piersi są już jak orzeszki kola, nie dostała stanika. Czasem widziałam ją nad strumieniem. Też zawsze tylko w majtkach, nosiła wodę w glinianym garnku. Kiedyś raz nawet grałyśmy we dwóch w dziesięć-dziesięć. Dawno temu.

I nagle wpada mi do głowy jej imię: Kike. Ma czternaście lat. Tyle co ja.

Kiedy patrzy na mnie, ona cała jakoby w szoku, wbijam oczy w lampę na tiwi, wpatruję się w ogień, co tańczy za szkłem.

– To Khadija. – Morufu pokazuje palcem tą w ciąży. – Jest mała, ale to druga żona, więc ważniejsza od ciebie. Ty uklęknij i się przywitaj.

Klękam, aby przywitać się z Khadiją, wtedy Morufu odpędza dziecki.

– Idźcie stąd wszystkie, wy! Idźcie. – Kopie je po nogach. – Zabierajcie się! Kike, Alafia, wstawać! Już się naoglądałyście nowej żony! Na swoje maty! I nie robić hałasu mi dziś. Nie bić się, bo zobaczycie, jak mogę się rozgniewać!

Dziewczynki potykają się jedna o drugą, wybiegają z salonu.

– Labake, Khadija, siądźcie – każe Morufu. – Siadajcie, porozmawiam z wszystkimi wami.

Labake pada ciężko na kanapę, bierze na krzyż ręce na piersi.

– Wiemy, co chcesz, więc mów szybko – mówi.

Khadija się nie rusza. Stoi, gdzie stała.

Morufu ziewa i siada na kanapie obok pierwszej żony. Od światła lampy jego szorstka skóra wygląda jak papier ścierny, obwisła od starego wieku. Zęby on ma brązowe i przekrzywione na lewo. Nim zamyka usta, szybko te zęby przeliczam, wszystkiego pięć. Musi mieć tyle lat, co papa. Pięćdziesiąt pięć, może sześćdziesiąt, ale wygląda, jakoby był ojcem papy.

– Adunni, to twój nowy dom – mówi. – A tu w domu ja rządzę. Panuje dla mnie szacunek. Jestem w tym domu królem. Nikomu nie wolno tu do mnie pyskować. Ani tobie, ani dzieckom, nikomu. Jak ja mówię, ty siedzisz cicho,

Adunni. To znaczy, nie zadajesz mi pytań prosto w twarz, ty mnie słyszysz?

– Ale... To jak mam pytać? Prosto w plecy?

Khadija w kącie wydaje dziwny odgłos. Jakoby walczyła ze śmiechem.

– Adunni, myślisz, że ja sobie żartuję? Oby ten jęzor nie narobił ci kłopotów – grozi Morufu. Uśmiecha się, ale ten uśmiech to ostrzeżenie. – W ogóle nie wolno ci się do męża odzywać. Mam specjalny kij do batożenia za pyskowanie. Nie chcę go użyć na tobie, ty słyszysz? Co ja to mówiłem? A, tak. To twój nowy dom. Przysięgam, osiwiałem, zanim wziąłem jedną żonę. Dlaczego? Bo byłem zajęty, robiłem duże pieniądze i uczyłem się, jak robić taksi biznes. Najpierw wziąłem Labake, ale ona nie dała mi dziecków. Jedno urodziła, dopiero kiedy poświęciliśmy bogom rzeki dwie kozy. To dziewczynka. – Mówi to, jakoby wspomnienie miało gorzki smak, jakoby córki były klątwą od bóstw. – Nazywa się Kike, ta moja pierworodna – nie ustaje mówić Morufu. – Jest w twoim wieku, Adunni. Od tamtej pory złożyliśmy wiele ofiar, ale bogowie rzeki są chyba źli na Labake. Więcej dziecków już nie dała. Dlatego wziąłem sobie żonę drugą, Khadiję. O, to był wielki błąd! Wielki kłopot! Dlaczego? Bo Khadija urodziła trzy dziewczynki: Alafię, Kofo i tą ostatnią, co nie pamiętam, jak się nazywa. Żadnych chłopców. Adunni, oczy masz zdrowe i widzisz, że Khadija znowu nosi w sobie dziecko. Ostrzegłem ją już, że jeśli tym razem nie ma w brzuchu chłopca, jej rodzina nie dostanie ode mnie ani garści jedzenia więcej. Przysięgam, wykopię ją z powrotem do domu ojca, co głoduje. Czy nie tak?

– Bóg nie jest zły – odzywa się do ściany Khadija. – To będzie chłopiec.

– Chcę dwóch chłopców – każe Morufu. – Chłopców poślę do szkoły. Nauczą się po angielsku, będą robić taksi biznes i duże pieniądze. Dziewczynki są tylko do ślubu, gotowania i do roboty w sypialni. Poza tym do niczego. Dla Kike znalazłem już męża. Za pieniądze za nią naprawię okno w samochodzie, może kupię też więcej kurczaków, bo za dużo pieniądzów wydałem, żeby wziąć na żonę swoją słodką Adunni. Ale – mówi dalej – nie przeszkadza mi, że tyle wydałem na Adunni. Ani trochę! A teraz posłuchajcie mnie dobrze wszystkie. Nie chcę tu kłótni. Labake, pilnuj się. Ty zawsze szukasz kłopotów. Jeśli przez ciebie nie będę mieć spokoju, wygnam cię z obejścia. Robię się stary i chcę spokoju. Teraz popatrzymy, jak będziecie ze mną spać. – Morufu drapie się po siwej brodzie, rwie włosek, wkłada go sobie do ust i zjada. – Tak, zrobimy tak. Adunni będzie spać w moim pokoju trzy noce na tydzień. Niedziela, poniedziałek, wtorek. Labake dwie noce: środa i czwartek. Ty z brzuchem: jedną noc. Piątek. Ostatnią noc zatrzymam dla siebie, żeby nabrać energii. Adunni to nowa żona i ma nową krew. Musi mi urodzić chłopca. Czy nie tak, Adunni? – śmieje się, ale poza nim nie ma śmiechu.

Czy chciał powiedzieć, że będziemy spać w jednym łóżku jak kochankowie? Chce mnie zobaczyć gołą? I robić ze mną te głupie bzdury, co je robią dorośli? Drżę i obejmuję się rękami. Nikt jeszcze nie widział mnie gołej. Tylko mama. Nawet kiedy kąpię się w strumieniu, okrywam się wodą jak kocem, otaczam nią całe ciało. Nie chcę, żeby dotykał mnie Morufu z tą twarzą jak stara szmata. Nie chcę męża. Chcę tylko do

mamy. Dlaczego śmierć tak szybko mi ją zabrała? Łzy szczypią mnie w oczy, ale gryzę wargę, tak mocno, że pęka skóra.

Morufu wstaje z kanapy i zdejmuje agbadę, co ją założył na ślub. Nie jest on gruby, ma tylko okrągły brzuch. Okrągły i na oko twardy jak kokos. Może kryje się w nim choroba? Zapomniałam nazwy, ale Nauczycielka mówiła na lekcji, że jest taka jedna choroba, co brzuch robi się od niej twardy, nawet kiedy ktoś nie w ciąży. Ta choroba przychodzi, kiedy się nie je dobrej diety. Myślę, że Morufu ma tą właśnie chorobę.

– Khadija pokaże ci kuchnię, łazienkę i cały dom. Nie masz się czego bać, słyszysz? – warczy Morufu. – A ja się teraz dla ciebie przygotuję. Masz ty jakieś pytania?

Chcę zapytać, czy może mnie wypuścić do papy. Chcę powiedzieć, żeby nie dotykał mnie tej nocy ani w ogóle nigdy. Ale kręcę głową i się trzęsę, bardzo trzęsę. Zimno mi, choć głowa Labake lśni od potu, a Khadija wachluje się ręką.

– Nie mam pytań, *sah* – mamrotam. – Dziękuję, *sah*.

Kiedy Morufu odchodzi, Labake wstaje z kanapy i ciasno owija się swoją *iro*, jakoby szykowała się do walki.

– Masz tyle lat, co moja Kike. – Szybko mruga. – A ja mam tyle lat, co twoja zmarła matka. Boże uchowaj, żebym dzieliła się mężem z własnym dzieckiem. Boże uchowaj, żebym czekała, aż z nim skończysz, zanim wejdę do jego pokoju. O, będziesz ty cierpieć w tym domu. Zapytaj Khadiję, ona ci powie, że zła kobieta ze mnie bardzo. Że na moje szaleństwo nie ma lekarstwa. – Pstryka mi palcami przed twarzą i popycha mnie prosto w pierś, tak mocno, że padam na

kanapę. – Zrobię, że będziesz cierpieć tak, że uciekniesz z powrotem do domu ojca.

Czuję silny szok, zaczynam płakać.

– Nie płacz – prosi Khadija, kiedy zostajemy w salonie same. Odkleja się od ściany, podchodzi i siada obok. – Labake tylko gada. Gębę ma wielką, ale nic nie zrobi. Żadna kobieta nie dzieli się mężem radośnie. Nie przejmuj się nią, słyszysz? Przestań płakać. – Kładzie mi rękę na ramieniu, ma taki miękki dotyk. Po angielsku mówi bardziej dobrze niż ja. Pewnie chodziła do szkoły, zanim zmusili ją do ślubu z Morufu. – Tutaj nie jest tak źle – tłumaczy dalej. – Mamy jedzenie i wodę do picia. Jestem za to wdzięczna, za jedzenie.

Oglądam jej twarz. Oczy są głęboko w głowie, jak niedożywiona, a kiedy się uśmiecha, policzki jej te oczy prawie zasłaniają. Ale widzę w nich dobrego ducha.

– Ja tylko chcę do mamy – szeptam. – Nie chciałam iść za Morufu. Tylko papa kazał, że muszę, bo Morufu zapłaci nasz czynsz.

– O, twój papa jest jednak dobry. Mój oddał mnie za worek ryżu – mówi. – Z choroby odcięli mu nogę. Cukrzyca, znasz taką chorobę?

Kiwam głową że „nie”.

– To choroba od cukru – mówi. – Cukrzyca weszła papie w nogę i doktor uciął ją, o tutaj. – Przystawia sobie rękę do kolana i piłuje, jakoby kroiła yamy. – Na szpital poszło za dużo pieniądzów, a on nie mógł dłużej pracować, więc nie było co jeść. Morufu najpierw pomagał, ale szybko się zmęczył i powiedział, że musi wziąć ze mną ślub albo koniec jedzenia. Kupił mojej rodzinie pięć derika ryżu, więc ojciec

wsadził mnie do jego samochodu i pomachał pa-pa. Nie mieliśmy nawet wesela jak ty. – Śmieje się sztucznie, sucho. – Przedtem chodziłam do szkoły, dobrze się uczyłam. Jestem tu już pięć lat. A teraz Morufu mówi, że nie da mojej rodzinie jedzenia, dopóki nie urodzę mu chłopca. Jestem wszystkim zmęczona. Ale wiem, że teraz będzie chłopiec, więc będę mogła odpocząć.

– Ile masz lat? – Patrzę, jak Khadija opiera się na kanapie i kładzie rękę na spuchniętym brzuchu.

– Dwadzieścia – odpowiada. – Poszłam za niego, kiedy miałam piętnaście, i urodziłam mu trzy dziecki. Trzy dziewczynki, których nie chce, bo są dziewczynkami. To niełatwa rzecz być żoną Morufu. Jeśli chcesz w tym domu spokoju, Adunni, nie pozwól, aby nasz mąż się gniewał. Jego gniew to zły duch. Niedobry.

Nie podoba mi się ton, co powiedziała „nasz mąż", jakoby jakiś tytuł, jakoby mówiła „nasz król".

– Rozchmurz się – mówi. – Uśmiechnij, bądź szczęśliwa. A teraz chodź, pokażę ci cały dom, bo nasz mąż już na ciebie czeka. Dzisiaj w nocy zostaniesz prawdziwą kobietą, a jeśli Bóg się do ciebie uśmiechnie, za dziewięć miesięcy urodzisz chłopca. – Podnosi się i rozciera plecy. Wyciąga rękę. – Chyba deszcz idzie. Słyszysz? Chodź, pokażę ci kuchnię.

Niebo trzaska grzmotem. Czuję, jakoby ten piorun uderzył we mnie, prosto w serce. Biorę dłoń Khadii, jakobym sięgała po nowy smutek.

ROZDZIAŁ 8

Deszcz pada z wielkim gniewem. Dach kuchni jest jak naprężony bęben, a krople stają się pałkami w rękach Boga. Khadija staje pod nim i opowiada.

– To kuchenka naftowa. – Pokazuje żelazny piecyk w lewym kącie. Mówi głośno, bo deszcz strasznie huczy. – Do gotowania jedzenia – tłumaczy, jakoby ktoś chciał na tym gotować samochody. – Mamy dwie. Jedna moja, druga Labake. Jeśli chcesz, możesz korzystać z mojej.

– Dziękuję.

Obejmuję się rękoma i patrzę po kuchni. W misce na podłodze zostały resztki rybnej potrawki; cienkie ości wyglądają jak biały grzebień. Obok stoi małe drewniane krzesło i jeszcze jest gąbka z rafii, a na niej rozpływa się kostka czarnego mydła. Kuchnia nie ma drzwi, to tylko kawałek przestrzeni pod dachem na dwóch słupach.

Drzwi widzę trochę dalej. Jedna część pomalowana, druga świeci gołym drewnem, jakoby ktoś malował i się w połowie rozmyślił, i zostawił. Albo zabrakło farby. Nad zapachem deszczówki czuć gryzący smród starych sików.

– Łazienka? – pytam.

– Tak – mówi Khadija. – Widzisz studnię przed domem? Tam nabierasz wodę i przez kuchnię idziesz do toalety. Każdy korzysta, jak chce. Ty też korzystaj, jak chcesz – mówi, jakoby to cud jakiś był, korzystanie z łazienki jak się zachce. – Ale muszę ci powiedzieć, że nasz mąż musi korzystać

pierwszy. Bardzo wcześnie rano, kiedy z meczetu wzywają na modły albo kiedy zapieje pierwszy kur, około piątej. Potem może iść tam już każdy. Nasz mąż wszystko musi robić pierwszy. Jeśli on nie zjadł, nikt nie może jeść. On jest w tym domu królem. – Uśmiecha się sztywnym uśmiechem i patrzy mi w oczy twardo. Nie mruga. Czekam na coś więcej, a ona tylko klaszcze i mówi: – Na jedną noc wystarczy. Chodź znów do środka. Duży ten deszcz.

Kiedy wracamy, moje ubranie jest mokre i ciężkie.

– Zaprowadzę cię do pokoju naszego męża – mówi Khadija.

Idziemy korytarzem, mój cień tańczy za jej kołyszącą się lampą. Pokazuje mi pokój Labake po lewej, własny po prawej i obok jeszcze pokój dla dziecków.

– Nigdy nie wchodź do pokoju Labake – szepta. – Raz było tak, że Alafia, moja córka, weszła tam, żeby dać jej jeść. A ta wiedźma stłukła ją prawie do krwi. Jeśli chcesz dobrze dla siebie, nawet do tego pokoju nie podchodź.

Na końcu korytarza stajemy przed innymi drzwiami. Wisi w nich zasłona, ona śmierdzi, jakoby potrzebowała długiego prania mydłem i wodą. Za drzwiami słychać ciche pogwizdywanie, kichnięcie, coś szeleści jak papier.

– Pokój naszego męża. – Khadija pokazuje ręką. – Będziesz tu sypiać przez trzy dni w tygodniu. A potem będziesz nocować ze mną. Dobrze?

– Boję się – szeptam. Moje serce jest w brzuchu i chcę je zwymiotować. – Proszę, zostań ze mną.

Khadija się śmieje. W ciemności nie widzę nawet jej oczu. Tylko zęby błyskują.

– To twój pierwszy raz z mężczyzną?

– Nie widziałam jeszcze gołego mężczyzny – mówię. – Boję się.

– To duży zaszczyt. Zachować się dla męża. Kiedy tam wejdziesz, a on będzie gotowy, zamknij oczy, bo to będzie boleć. Ale kiedy zaboli, myśl o czymś, co lubisz. Co lubisz?

– Mamę. – Łzy ciekną mi po twarzy. – Ja chcę do mamy.

Khadija dotyka mojego ramienia, puka dwa razy we drzwi i odchodzi.

– Wejdź, wejdź. – Morufu otwiera.

Za jego plecami widzę dwie lampy. Stoją obok naftowego piecyka, na rozłożonej na podłodze gazecie. Kawałek dalej leży materac, a karton z moimi ubraniami czeka pod szarą ścianą.

– Co tak stoisz i patrzysz?

Na piersi Morufu jest gruby dywan siwych, kręconych włosów. Odsuwa się na bok i wchodzę, wlokę nogę za nogą. Wierci mnie w nosie i kicham od starego dymu sigów. Świecą obie lampy, ale pokój przypomina pogrzebową trumnę. Czuję, że zaraz mnie zgniecie i wyciśnie ze mnie całe życie. Oddechy uciekają ze mnie coraz szybciej, serce pędzi i drga, pędzi i drga.

– Chodź do mnie do łóżka. – Morufu włazi na materac. Schowane w środku sprężyny jęczą. Kładzie się, masuje się po brzuchu i beka smrodem dżinu. – Dlaczego nie tańczyłaś dzisiaj w salonie ojca? – Bierze ręce za głowę. Uśmiecha się do mnie. – Siadaj, siadaj. Nie jesteś szczęśliwa, że wzięliśmy ślub? Wiesz? Ja nie jestem złym człowiekiem.

– Zimno mi – mówię, siadam na materacu.

Nie ma prześcieradła, nic nie osłania gąbki, co wygląda z dziur i rozdarć. Zauważam na podłodze butelkę z ciemnego plastiku. W brudnej wodzie pływają kawałki kory i zielone liście. Próbuję odczytać słowa z naklejki, powoli, jedno po drugim: „Ognisty likier. Obudź uśpioną męskość".

Co znaczy uśpiona męskość? Czy Morufu pije to przeze mnie? Dlaczego?

Mocno chwyta mnie strach.

– Ciało mnie boli – mówię. – Chodziłyśmy z Khadiją po deszczu. Zmarzłam. Proszę, pozwól nam już spać. Czuję się dziś chora.

– Dopiero co wypiłem ognisty likier. – Śmieje się i podsuwa do mnie po materacu. – Wiesz, co robi benzyna w samochodzie? To samo robi ognisty likier z mężczyzną. Sprawia, że całe ciało mi wstaje. Chcesz trochę likieru? Zaraz odpędzi wszystko zimno. Połóż się, kładź się na plecach.

Kiwam głową na „nie".

– No dawaj, połóż się dla mnie. – Poklepuje ręką posłanie.

Materac kaszle kurzem i paskudnym smrodem ubrania, co nie wyschło, a ktoś je wcisnął do szafy. Kiedy nie odpowiadam, woła ostrym głosem moje imię.

– Już idę, *sah* – mówię.

Kiedy się obok niego układam, rzygi wchodzą mi do gardła. Morufu przysuwa się blisko, kładzie rękę na moim brzuchu. Sztywnieję.

– Poluzuj się – rzuca. – Poluzuj.

Daje mi rękę na pierś. Szczypie i ściska ją mocno przez moją *buba*. Jego oddech robi się głośny i szybki. Porusza rękami w górę i dół mojego ciała, jakoby szukał czegoś, co mu zginęło. Kiedy ściąga spodnie, zaczynam płakać i wołać mamę. Wchodzi na mnie i rozchyla mi nogi, jakoby go złościły.

Do pokoju wlatuje jaskrawe światło. Szybki błysk w oknie rzuca na ściany dziwne biało-niebieskie plamy. Czy to mama? Czy przysłała swoje światło, żeby wyssało ciemność, którą nosi w sercu Morufu?

Mamo, pomóż.

Próbuję zatrzymać światło oczami, chcę zamknąć je w sobie, lecz zbyt szybko ucieka. Pół mrugnięcia, potem już nic.

Nagły ból. Chwyta moje myśli, mój oddech i wyrzuca mnie z ciała aż pod sufit. Zostaję na górze i oglądam siebie, gdy przygryzam wargę, gdy drapię go po plecach i walczę z całej siły. Ale to na nic, moja siła nie ma siły, bo Morufu ma w sobie diabła. Im bardziej walczę, tym bardziej wciska się we mnie, wlewa mi tam na dole gorąco, mocniej i mocniej, aż wreszcie wydaje głośny pomruk i opada na mnie. Na koniec stacza się na bok i tak szybko sapie.

– Teraz jesteś prawdziwą kobietą – mówi po chwili. – Jutro zrobimy to znowu. I będziemy robić, aż zajdziesz w ciążę i urodzisz chłopca.

Złazi z materaca, wciąga spodnie i zostawia mnie w pokoju samą z ogniem tam na dole.

Leżę tak we łzach, co z oczu leją mi się do uszu. Patrzę w sufit, na żarówkę, co nie ma w sobie światła.

ROZDZIAŁ 9

Wcześnie rano powietrze jest jak zawiązany wokół mojego ciała sznur.

Sznur jest zbyt ciasny, za gruby. Dusił mnie całą noc, przyciągał mi głowę do nóg, nie pozwalał chodzić, oddychać, myśleć. Chciałabym zerwać z siebie całe ciało i gdzieś je wyrzucić.

Kiedy wychodzę z pokoju Morufu, ciągle boli tam na dole. Pali i piecze, jakobym wiele godzin siedziała na gorących węglach. Nie pamiętam dużo z tego, co się działo w nocy, w głowie mam ciemną szmatę, co zasłania każde zło, jakie zrobił Morufu, aż w końcu przyszedł dzień, a on powiedział:

– Adunni, idź i przynieś mi poranne jedzenie.

Trochę dalej, przed kuchnią, kogut grzebie pazurem w czerwonej ziemi. Rozrzuca grudy dokoła. Pióra na szyi ma brązowe, brudne. Kiedy podchodzę, podnosi głowę, przestaje machać łapą i wita mnie głośnym kukuryku.

Z kuchni wybiegają dwa dziecki Khadii, ich imiona uciekły mi teraz z mózgu, w ich rękach tańczą wiadra. Przypomina mi się czas, kiedy to ja biegałam rano do strumienia ze śmiechem, coby przynieść wody papie. Zanim już nie żyła mama.

Ocieram łzy. Khadija siedzi na drewnianym stołku przed kuchenką. W garnku coś się gotuje, mocno, aż skacze pokrywka.

– Adunni. – Khadija patrzy na mnie, przegania muchę od twarzy. – Dzień dobry.

– Twój mąż kazał, że mam przynieść poranne jedzenie. – Szukam czegoś, na czym mogę utrzymać oczy. Widzę na podłodze obierki po yamach; widzę przy kuchence nóż z drewnianą rączką. Przychodzą do mnie złe myśli. Myślę, coby wziąć ten nóż i trzymać w ubraniu, a potem jak Morufu będzie chciał robić mi w nocy krzywdę, mogę ten nóż wyjąć i odciąć Morufu męskie części. – Gotujesz coś? – Odrywam wzrok od noża i jej patrzę w twarz. – Yamy?

– Tak, świeże yamy. Dobrze spałaś? – Khadija pochyla głowę, ogląda mnie z góry do dołu, jakoby widziała, co w sobie chowam. – Boli cię gdzieś? Leci ci krew?

Wstyd jest jak ręka, co ściska mi gardło.

– Trochę leci. – Pokazuję. – Tam na dole.

– Wiem, jak to jest – mówi łagodnie. – Na ból jest dobry proszek *ibukun*. Kiedy nasz mąż wyjdzie do pracy, zagotuję wodę, natrę cię tym proszkiem i olejem palmowym. Ból odejdzie. – Ogląda się za siebie, sprawdza, czy nikt nie idzie. – Pił ognisty likier?

Kiwam na „tak”.

Khadija odgania muchę.

– Kiedy za pierwszym razem użył go dla mnie, umarłam pięć razy. On tego potrzebuje, żeby mieć siłę do łóżkowej roboty. Zjesz yamy z cebulą?

– Chcę umyć całe ciało – mówię.

Okropnie śmierdzę. Cuchnę zapachem sigów, zapachem Morufu. W ustach mam taki smak, jakoby cała gorycz ze mnie

wypłynęła mi z brzucha pod język.

– Idź. – Khadija macha tam, gdzie łazienka. – Dziecki zostawiły mi wiadro wody. Weź ją sobie. Mi przyniosą nowe.

Łazienka jest kwadratowa w kształcie. Na ścianach zielona trawa. Na podłodze stoi żelazny kubeł pełen wody, w powietrzu mocno czuć sikami.

Dotykam wody, z okrzykiem cofam rękę. Jest lodowata, ziębi mi skórę. Całe moje ciało drży, kiedy ściągam weselne ubranie i wieszam je na drzwiach. Znowu zanurzam dłoń w wiadrze i się polewam. Powoli zaczynam mycie. Smród sigów i ognistego likieru spływa ze skóry.

Kiedy kończę, kładę się goła na zimnej, mokrej podłodze. Boję się, że jak wyjdę, ranek i popołudnie miną za szybko i przyjdzie noc, czas, kiedy Morufu znowu wypełni mnie swoim gorzkim ogniem. Dlatego leżę, zwijam się jak robak i mocno zaciskam oczy.

Nie płacz, Adunni, ostrzegam sama siebie. Nigdy, nigdy nie płacz przez takiego głupiego starego mężczyznę jak Morufu.

ROZDZIAŁ 10

Jestem w tym domu już prawie cztery tygodnie i moje oczy widziały rzeczy, co ich nie życzę najbardziej gorszym wrogom.

W Morufu mieszka diabeł. Szaleństwo wychodzi z niego, jak on pije ten likier diabła albo jak jedno z dziecków budzi w nim gniew.

Widziałam, jak ściąga ze spodni pas i okłada nim Kike i jej siostry tak, że pękała im skóra, aż Labake i Khadija błagały, coby nie zabijał ich dziecków. W Labake też mieszka mały diabeł, taki co pokazuje się tylko przy mnie. Dwa dni temu wcześnie rano, zaraz po pianiu koguta, poszłam się myć. Myłam się powoli, bo tylko wtedy jestem sama, tylko wtedy moje myśli mogą mieć sens. Labake zaczęła walić w drzwi i mówić, że mam wyłazić, bo ona musi się szybko umyć i iść na targ. Kiedy powiedziałam, że zaraz kończę, że zaczeka, syknęła jak wściekła, otwarła drzwi siłą i wyciągnęła mnie gołą na powietrze.

A potem zaczęła zbierać piach z ziemi i malowała nim moje ciało. Nigdy nie czułam takiego wstydu. Zbiegły się dziecka Khadii i śmiały się, kiedy Labake szorowała mnie drapiącym piachem i rzucała we mnie klątwą. Mam do niej szacunek, to nie walczyłam. A kiedy przestała mnie bić, popatrzyła na dwa dziecki Khadii i wybiła z nich śmiech, tak waliła ich po twarzach.

Khadija mówi, że kiedy Labake znów mnie jeszcze potrze piaskiem, to żeby ją ugryźć. Że szacunek to niedobra odpowiedź na jej szaleństwo. Mówi, że zanim jej brzuch spuchł od dziecka, zawsze z Labake walczyły, że biły się, aż jednej leciała krew. Radzi mi, że na następny raz muszę mieć w łazience miseczkę ostrej czerwonej papryki i kiedy Labake zrobi problemy, sypnąć jej tą papryką w buzię i ugryźć ją w pierś.

Khadija przynosi mi w domu Morufu odrobinę pociechy. Dba o mnie zawsze, jak nie dba akurat o swoje trzy dziecki i spuchnięty brzuch.

– Adunni, musisz zjeść te yamy. – Wciska mi z uśmiechem miskę rybnej zupy z yamami. – Zjedz to i dziękuj Bogu, że mamy co do garnka włożyć.

Albo:

– Adunni, pozwól, że natrę ci włosy olejem. Chcesz, żebym ci je umyła?

A ja odpowiadam:

– Nie, nie. Ja tobie dziękuję, Khadija. Sama umyję.

Albo ona:

– Jak te rzeczy z Morufu? Dalej boli?

A ja mówię, że nie, że w ciele już nie boli, ale ból w sercu, duchu i głowie nie znika nigdy.

Teraz na noc idę do pokoju Khadii, chyba że zawoła Morufu. Jak mieszkam z nią, jest dużo bardziej łatwiej. Gdy nocą łapią mnie smutne uczucia, Khadija masuje mi plecy, jej dłoń krąży i krąży, a ona mówi, cobym była silna, cobym walczyła i zachowała ducha. Czasami, kiedy dziecko mocno

kopie, przyciskam usta do jej twardego brzucha i śpiewam, aż oboje głęboko zaśpią. Khadija mówi, że jak urodzi, też będę musiała mu śpiewać, bo dziecko zna już mój głos.

Wczoraj w nocy dawała mi pociechę poprzez słowa:

– Kiedy urodzisz swoje dzieci, nie będziesz już smutna. Jak wzięłam ślub z Morufu, nie chciałam rodzić. Bałam się mieć dziecko tak szybko, bałam się, że od tego ciężaru zachoruję. To brałam coś, lekarstwo, coby zatrzymać ciążę. Ale po dwóch miesiącach powiedziałam sobie: „Khadijo, jeśli nie urodzisz, Morufu odeśle cię do domu ojca". No to przestałam brać lekarstwo i wkrótce urodziłam pierwszą dziewczynkę, Alafię. Kiedy pierwszy raz wzięłam ją na ręce, moje serce było pełne miłości. A teraz dzieci sprawiają, że śmieję się zawsze, nawet jak wcale mi nie do śmiechu. Dzieci to radość, Adunni. Prawdziwa radość.

Ale ja nie chcę teraz rodzić. Jak taka dziewczyna jak ja może rodzić dziecki? Po co wypełniać świat smutnymi dzieciakami, co nie mają szansy na szkołę? Po co robić ze świata smutne, milczące miejsce, gdzie żadne dziecki nie mają głosu?

Całą noc mocno myślałam. Myślałam o lekarstwie, co opowiadała o nim Khadija. Może ja też mogę zatrzymać ciążę?

Rano widzę Khadiję w kuchni; siedzi na ławce przy kuchence i obiera z gałązek liście *ewedu*, potem wrzuca je do miski między nogami.

– Adunni. Dzień dobry. Dobrze się dzisiaj czujesz? Nie płaczesz za mamą?

– Myślałam o tym, co powiedziałaś wczoraj. – Patrzę w swoje stopy, muszę obciąć paznokcie. – O dzieckach.

– Ach.

Patrzę za plecy, czy nikt nie idzie.

– Naprawdę boję się rodzić. – Moje słowa gonią jedno drugie, pędzą szybko, szybko. – Myślałam o tym, co... o lekarstwie na dziecki. Bo ja... nie chcę teraz. Co mogę zrobić?

Khadija przestaje obrywać liście i kiwa głową.

– Adunni, wiesz, że nasz mąż chce dwóch chłopców? Jednego ode mnie, jednego od ciebie. Wiesz o tym?

– Wiem – mówię. – Ale chcę tylko poczekać.

Jestem w nadziei, że jak ciąża długo nie przyjdzie, może Morufu odeśle mnie do papy. Ale o tym Khadii nie mówię.

– Boisz się? – pyta po długiej chwili z litością.

– Bardzo. Mój brzuch nie może puchnąć co roku, żeby dawać Morufu chłopców. – Jedyne, co chcę, żeby mi puchło, to głowa i umysł. Od książek i edukacji. Gryzę się w wargę. – Nie jestem silna jak ty, Khadija. Nie mogę w tym wieku rodzić dziecka.

– Jesteś silna, Adunni – mówi cicho. – Jesteś wojowniczką. Jesteśmy takie same, tylko ty o tym nie wiesz. Chcesz walczyć edukacjami. I jeśli ci się w tej wiosce to uda, to bardzo dobrze. Ja walczę tym, co mam, swoim brzuchem do ciąży. On pomaga mi walczyć, żebym została w tym domu, coby moje dzieci miały dach nad głową, a moja mama i papa nadal mieli chleb i zupę.

Stoję tak i patrzę na nią; na miskę, co w niej rośnie zielona górka z każdym listkiem, co spada z rąk Khadii na ciemnozielone i wilgotne od tych liści palce.

– Umiesz liczyć dni do miesięcznego gościa? – pyta. – Wiesz, kiedy przychodzi?

– Tak. A co?

– Jest coś, co możesz wziąć. Mieszanina mocnych liści.

– I to pomoże? – Serce wypełnia mi nadzieja. – Zatrzyma ciążę?

– Niczego ci nie obiecam, Adunni, ale zobaczę, czy znajdę dobre liście na farmie w Ikati. Dodasz do nich dziesięć nasion *paw-paw*, a potem zmieszasz z imbirem i papryczką. To wszystko zamkniesz w ciemnej butelce z deszczówką i namoczysz przez trzy dni. Musisz to pić pięć dni przed i pięć dni po miesięcznym gościu i zawsze, kiedy będziecie to robić z Morufu. – Podnosi głowę i mruży oczy. – Morufu nie może wiedzieć, że bierzesz to lekarstwo. Rozumiesz, Adunni?

Patrzę w jej okrągłą twarz i widzę dobrego ducha w oczach. Topnieje mi serce.

– Dziękuję. – Pochylam się i sięgam po gałązkę. – Mogę trochę za ciebie obrać?

– Adunni. – Khadija łagodnie odbiera mi gałązkę i kładzie ją na ziemi. – Głowę masz pełną zmartwienia, smutek aż wylewa ci się na twarz. Zapomnij dziś o pracy. Przysuń sobie ławkę, usiądź ze mną i porozmawiajmy.

ROZDZIAŁ 11

Dzięki Khadii dni w tym domu są krótkie i czasami przyjemne.

Razem chodzimy, razem się śmiejemy, a przez to, że jej brzuch zrobił się taki wielki i czasami jej niedobrze, pomagam jej prać, gotować i robić wszystko inne. Pomagam też przy małych dzieckach, kąpię Alafię i jej siostry, daję im jeść, myję głowy i brudne ubrania. To dobre dziecki, zawsze szczęśliwe, roześmiane i robią dużo kłopotów Labake.

Z Morufu nie rozmawiam za często. Zawsze zajęty na farmie albo jeździ taksi od wczesnego rana do nocy. Czasami woła do swojego pokoju, każe mi stawać z rękami na plecach i zadaje takie pytania, jakoby był doktorem. Pyta, czy już mam ciążę albo czy odwiedził mnie miesięczny gość, bo chce, cobym szybko urodziła mu chłopca. Ale najczęściej chce tylko robić mi krzywdę i jeść. Dlatego cały czas piję napój, co zrobiła mi Khadija, ten z ciemnej butelki pełnej gorzkich liści i imbiru.

Kiedy przychodzi moja kolej z Morufu, robię to szybko. Idę do jego pokoju, patrzę, jak pije swój likier, a potem robię z siebie martwe ciało i daję się krzywdzić. Bardzo mam nadzieję, że może po sześciu albo iluś takich miesiącach zobaczy, że ciąża nie przychodzi, i odeśle mnie do papy. Może.

Labake ciągle nie daje mi spokoju. Jak za długo zmywam w kuchni naczynia, za wolno rozcieram fasolę albo jak za

szybko zamiotę obejście, tupie nogą i rzuca na mnie klątwy. Ciągle robi mi kłopoty ta Labake. Zawsze widzi sposób, żeby ze mną walczyć.

Ale dzisiaj jest drugi wtorek w miesiącu.

To dzień spotkania kobiet z targu i wszystkich farmerów z Ikati, co znaczy, że w domu nie ma ani Labake, ani Morufu. I dlatego czuję się dziś wolna, tak wolna, jak nie byłam od dawna, i kiedy sprzątam rano salon, moje serce chce śpiewać. Chce się po prostu cieszyć. Nie myśleć o smutku i nie martwić się różnymi rzeczami. To zaczynam śpiewać piosenkę, co ją właśnie ułożyłam w głowie:

Dzień dobry, piękna dziewczyno!

Chcesz zostać wielką, wielką prawniczką?
Musisz dużo, dużo chodzić do szkoły.

Chcesz nosić wysokie, wysokie buty
I chodzić, stuk-puk-stuk?
Musisz dużo, dużo chodzić do szkoły.

Wyjmuję spod lampy naftowej grubą gazetę, składam ją tak i siak, aż wreszcie wygląda jak peruka, co ją noszą prawnicy w tiwi. Zakładam ją sobie na głowę i przytrzymuję ręką. Potem staję na palcach, jakobym miała już te wysokie, wysokie buty. Krążę po całym salonie i śpiewam:

Chodzę ko-ka-ko
W tych wysokich, wysokich butach!

Po każdym stuk-puk-stuk zatrzymuję się na chwilę, kręcę tyłkiem w lewo i prawo do rytmu, a potem dalej idę na palcach i macham wolną ręką w górę i w dół. Cały czas przyciskam papierową perukę do głowy, coby nie spadła.

Mój głos jest szczęśliwy i jasny jak u porannego ptaszka. Nawet nie widzę, że do salonu patrzy Khadija i śmieje się cicho, bo widzi na moich włosach złożoną gazetę.

– Adunni! – woła.

Z szoku przestaję śpiewać, ale potem widzę, że nie jest zła, i szeroko się uśmiecham.

– Przepraszam – mamrotam. – Ja tylko...

– Skończyłaś poranną pracę? – pyta.

– Wszystko zrobione. – Zdejmuję gazetę z głowy, rozkładam ją i wsuwam znów pod lampę. – Wymyśliłam piosenkę o dziewczynie, co chce zostać prawniczką. Zaśpiewać ci? „Dzień dobry, piękna dziewczyno”... – zaczynam, ale Khadija macha ręką i masuje sobie brzuch.

– Nie, nie teraz. Ciągle mi trochę niedobrze. Może w nocy.

– Dobrze. Znalazłaś okrę, którą ci rano ugotowałam?

– Zaraz wypiję – odpowiada. – Dziękuję.

Rozglądam się po salonie i kiwam głową na „tak”.

– Wszędzie bardzo czysto. Teraz zajmę się praniem...

– Nie – mówi Khadija. – Wynieś tylko brudy za dom. Sama upiorę, kiedy lepiej się poczuję. W zeszłym tygodniu dużo padało i rzeka na pewno jest wysoka. Przyniesiesz mi wody? Przy studni stoi ten mój gliniany garnek. Weź go.

– Mam iść nad Ikati? – Mrugam i przyciskam dłoń do piersi. – Ja?

Morufu nie pozwala mi chodzić nigdzie daleko, nad rzekę też nie. Mówi, że nowe żony nie powinny nigdzie chodzić, że najpierw muszę mu urodzić chłopca i może wtedy, za rok, będę mogła.

– Adunni. – Khadija kiwa głową na „tak" i łagodnie się uśmiecha. – Wiem, że o tej porze nad rzeką bawią się twoi przyjaciele. W domu nie ma Labake ani Morufu. A dawno już nie widziałaś przyjaciół. To leć prędko. I wróć przed popołudniem.

– Och, Khadija. – Podskakuję i klaszczę. – Dziękuję, dziękuję, dziękuję!

Tak szybko nie biegłam chyba ani razu, odkąd urodziła mnie mama.

Skaczę noga za nogą, pędzę po kamieniach, nie staję nawet, żeby pozdrowić kobiety, co niosą drewno, ani dziecki, co sprzedają z koszy na głowach poranny chleb. Patrzę prosto przed siebie, w jednym ręku trzymam gliniany garnek Khadii, w drugim ściskam chustę. Wreszcie jestem blisko. I tam, nad rzeką, przy płocie z liści bananowca widzę Rukę i Enitan.

Na drugim brzegu, tym dla mężczyzn, pięciu czy sześciu chłopców bawi się w bokserów. Krzyczą i śmieją się, ale ja patrzę tylko na Enitan; ona patykiem rysuje na piasku kwadrat. Jej wiadro stoi obok na ziemi. Ruka przysiadła pośladkami na piętach i też patrzy na rysunek.

Stoję tak chwilę i z puchnącym sercem myślę o czasie, kiedy nie miałam męża jeszcze i mogłam się bawić jak one.

Enitan rysuje następny kwadrat. Wiem, że zrobi ich sześć czy siedem, tyle ile trzeba do gry w *suwe*. To moja ulubiona

gra. Rzucałam w jeden kwadrat kamyk, a potem skakałam po innych na nodze i próbowałam nie upaść, aż nie podniosłam kamyka, a Enitan i Ruka stały obok, klaskały i śpiewały: *suwe, suwe, suwe*! Ale to wszystko dawno, dawno, kiedyś.

Odstawiam garnek Khadii i wołam:

– Enitan! Ruka!

Ruka odwraca się do mnie, robi wielkie oczy i uśmiecha się szeroko.

– O, patrzcie! Adunni!

Ja, Enitan i Ruka biegniemy do siebie, ściskamy się i zaczynamy ze śmiechem gadać jedna, druga, naraz.

– Nasza żona! – Enitan ciągnie mnie za rękę, cobym klapnęła sobie na kamieniu nad rzeką. Ruka siada po drugiej stronie, a ja ląduję w środku między nimi. Od uśmiechów na ich twarzach chyba pęknie mi serce. – No to jakie jest życie żony? – pyta Enitan, a jej oczy świecą, jakoby miała w głowie żarówkę. – Mów nam wszystko! Opowiadaj z każdym szczegółem!

– Mam tam dużo jedzenia – mówię.

– A jakie są starsze żony? – pyta Enitan. – I Morufu? Jaki jest do ciebie?

– Czekaj, ja też chcę zapytać – mówi Ruka. – Powiedz nam, Adunni, robiłaś z mężem tą rzecz? – Mruga, jakoby coś skleiło jej powieki. – Bolało czy było słodko?

– A gotujesz codziennie? – pyta Enitan.

– Gadaj lepiej o tej rzeczy! – namawia Ruka. – Chcę o tym usłyszeć!

– Za dużo pytań. – Śmieję się w oczy Ruki, co nie przestaje mrugać. – Labake, pierwsza żona, to bardzo zła kobieta. Zawsze maluje twarz białym proszkiem. Wygląda jak duch. I z każdym walczy.

– Mama Kike? – Enitan naciąga sobie chustę na kolana, powiał mocny, zimny wiatr. – Znam tą kobietę. Ciągle wygląda, jakoby coś ją ugryzło. A druga żona? Jak jej na imię?

– Khadija. – Kładę rękę na piersi i patrzę na przyjaciółki w lewo i prawo. – Ona jest taka jak my. Tylko sześć lat bardziej starsza, ale ma już trzy dziecki i nowe w brzuchu. Jest taka dobra. Gotuje dla mnie i dużo mnie uczy. A ja jej śpiewam nocami. Lubi słuchać. Jest dla mnie jak druga mama.

Jak o tym myślę, łzy szczypią mnie w oczy. Khadija naprawdę jest dla mnie jak druga mama. Mama. Długo modliłam się do Boga, żeby ją sprowadził, choć wiem, że ona już nie wróci, ale teraz po raz pierwszy przychodzi mi do głowy, że może to Khadija jest odpowiedzią na moje modły.

– Widzisz! – Enitan klaszcze w dłonie. – Wcale nie tak źle być żoną!

– Nie – odpowiadam powoli. – Nie tak źle, ale tylko dzięki Khadii. A to, o co pytałaś – zwracam się do Ruki, czuję skurcz w brzuchu. Może jak im powiem, nie będą tak gnać do ślubu. – To za bardzo boli. Czasami aż trudno chodzić. Potem nawet leci mi krew i dużo razy robi mi się niedobrze. Mówię wam, nie biegnijcie do ślubu.

Ale Ruka, głupia ona, chichota nieśmiało i trąca mnie w kolano.

– Kłamczucha! Kłamczucha!

Chcę zapytać, dlaczego myśli, że kłamię, ale Enitan pokazuje palcem do tyłu i krzyczy:

– Patrzcie, kto tu idzie z brzegu chłopców! Kayus!

Zrywam się i patrzę. Prawda, prawda! To mój Kayus biegnie i woła moje imię. Odkąd dwa miesiące temu poszłam za Morufu, widzę brata po raz pierwszy. Zostawiam Enitan z Ruką i pędzę. Spotykamy się tuż przed brzegiem dziewczyn. Brat podnosi mnie i obraca w koło i w koło, aż niebo staje się ziemią. Czasami jest taki silny. Kayus!

– Słyszałem z daleka, jak dziewczyny krzyczały twoje imię. – Odstawia mnie. – Najpierw mówię do siebie, nie, to nie moja Adunni, ale kiedy się dobrze popatrzyłem, zobaczyłem, że to ty!

– Mój Kayus! – Staję prosto na nogach i biorę jego policzki w dłonie.

– Odkąd poszłaś za tego kozła Morufu, nie rozmawiam z papą. – Brat próbuje oderwać moje ręce od siebie, ale trzymam go mocno, bo chcę wchłonąć oczami całą jego twarz: długie, grube rzęsy, coraz cieńsze ślady na policzkach i dwa przednie zęby, ukruszone od dnia, kiedy się przewrócił i upadł na twarz. – Przysięgam, kiedy zacznę pracować w Kassim Motors, zarobię dużo pieniądzów i zabiorę cię od tego Morufu. Zapłacę mu z powrotem tą głupią cenę za żonę, zbudujemy własny dom i będziemy razem mieszkać już zawsze. Tylko ty i ja!

Przyciągam go mocno i tulę jego głowę do piersi, do serca.

– Wiem, że to zrobisz – mówię. – Ale zanim to, poradzę sobie sama. U Morufu nie jest tak źle. Chodź, usiądź ze mną, wszystko ci powiem.

Znad rzeki odchodzę blisko południa. Żegnam się z Kayusem, Enitan i Ruką i ruszam w drogę do domu.

Słońce świeci na niebie jak gorący talerz pomiędzy kłębkami białej waty. W glinianym garnku Khadii niosę na głowie świeżą wodę, a moje serce podskakuje w tańcu, bo w uszach mam jeszcze śmiech Kayusa.

Kiedy zbliżam się do domu, serce przestaje skakać i czuję, jakoby wypełniły je kamienie. Ciężkie głazy, co ciążą stopom i powolne się od nich robią kroki. Chcę pobiec z powrotem do Kayusa, zabrać go do naszego domu, ugotować mu ryż w oleju palmowym, a potem, w nocy, zaśpiewać mu do snu. Wiem tylko, że papa mnie za to zbije, więc skręcam na ścieżkę i idę dalej do Morufu.

Rzut kamieniem od domu, w zaroślach słyszę nagle chrzęst.

– Kto tam? – Staję i myślę, czy nie odstawić garnka i sprawdzić. – Kto?

Z krzaków wyłazi Labake, ciasno okręcona brązową chustą, z oczami szerokimi od szaleństwa. W ręku trzyma cienki, długi patyk, co z niego sterczą krótkie drewniane kolce, ten sam, co go trzyma w kuchni, żeby straszyć dzieci Khadii, kiedy ich matki nie ma w domu.

– Dzień dobry. – Próbuję nie pokazać, że boję się patyka. – Co robisz w krzakach?

– Czekam na ciebie – odpowiada w mowie joruba. – Chciałam złapać cię samą, coby nie uratowała cię Khadija. A teraz mów. Dlaczego w mojej kuchence jest tak mało nafty?

Myślę o zupie z okry, co ją rano gotowałam dla Khadii. Od dwóch tygodni wypija co rano miskę tej zupy, mówi, że to

pomaga obudzić dziecko, kiedy zesztywnieje jej w brzuchu. Ale zawsze gotuję na kuchence Khadii, tej zielonej, obok miednicy do mycia.

– Nie wiem, dlaczego masz mało nafty – mówię.

– Gotowałaś? – pyta Labake. – W kuchni?

– Dla Khadii.

– Na której kuchence?

– Na tej Khadii.

Może się pomyliłam i użyłam kuchenki Labake? Zaglądam sobie do głowy, sprawdzam dokładnie i kiwam na „nie". W kuchni są dwie takie same zielone kuchenki: jedna obok miednicy do mycia, druga za ławką, i co wieczór, po gotowaniu, Labake zabiera swoją do pokoju. Nie. Znowu kiwam głową. Nie użyłam kuchenki Labake, bo rano nie było nawet jej jeszcze w kuchni, tej kuchenki.

– Proszę, odejdź mi z drogi – mówię. – Chcę zanieść tą wodę do...

– Moja kuchenka to jest ta obok miednicy. – Labake podchodzi bardziej blisko i mruży zagniewane oczy. – Ta zielona. Wczoraj nie zabrałam jej do pokoju. Kuchenka Khadii nie działa, ale pewnie brzuch zasłonił jej mózg i zapomniała ci powiedzieć, że Morufu zaniósł tą kuchenkę do naprawy. A teraz zapytam znowu: użyłaś mojej kuchenki?

– To w końcu która twoja? – pytam, a moje serce zaczyna drgać.

Palce bolą od mocnego zaciskania na garnku, co niosę na głowie.

Popycha mnie w pierś. Lekko, garnek kołysze się w tą i na powrót. Zimne krople chlapią mi na twarz, pod chustę, spływają na pierś.

– Jeszcze się pytasz która? – Labake strzela patykiem w powietrzu i czuję, jak od samego tego dźwięku pęka mi skóra.

Oblizuję wargi, cofam się dwa kroki. W garnku mam teraz chyba tylko ogień, kamienie i kłopoty.

– Myślę, że może... – zaczynam, chcę błagać, coby się nie gniewała i mnie nie chłostała.

– Mama! – Słyszę za plecami: woła Kike, córka Labake. – Mama!

Kike nadbiega ścieżką, oddycha bardzo szybko. Odkąd poszłam za jej ojca, nie rozmawiamy ze sobą za dużo. W domu siedzi zwykle sama, a ja staram się nawet na nią nie patrzeć. Jest obwiązana chustą, w ręku ma drewnianą łyżkę z plamą białego ciasta. Jakoby kręciła *fufu* i przybiegła specjalnie do nas. Czego tu szuka? Chce mnie bić z matką?

– Mama. – Kike pada kolanami w piach przed Labake. – To ja, mama. To ja użyłam rano twojej kuchenki. Jajka gotowałam. Ja, nie Adunni.

– To ty, Kike? – Labake patrzy na córkę z góry na dół, jakoby jej wierzyć nie mogła. – Na pewno?

– Przysięgam, mama. To ja.

Labake syczy i popycha mnie raz jeszcze. Tym razem garnek wyskakuje mi z rąk, spada na ziemię i rozlatuje się na kawałki.

Patrzę na zniszczony garnek Khadii, na mokry piasek, co zmienia kolor na ciemnoczerwony. Labake odchodzi, jej stopy podrywają kurz, słyszę, jak głośnym głosem przeklina mocno mnie i Khadiję.

Kiedy zostajemy z Kike same, patrzę na nią. Klęczy dalej na ziemi, nadal ściska tą drewnianą łyżkę, wygląda, jakoby sama nie rozumiała, co tu robi.

– Skłamałaś dla mnie. – Serce puchnie mi od podziękowań i smutnego zaskoczenia. – Dlaczego?

Kike nie odpowiada. Wzrusza tylko ramieniami, wstaje, strzepuje piach z kolan i odbiega pędem, woła za mamą, coby zaczekała.

Przez chwilę patrzę na opadający kurz. Myślę, że może Kike wróci. Potem siadam na ziemi, rozkładam sobie na kolanach chustę i zaczynam do niej zbierać kawałki glinianego garnka Khadii, leżą zmieszane z okruchami szczęścia, jakie poczułam na widok Kayusa.

Nie wiem, ile czasu tak siedzę i zbieram do chusty wszystko, co wpada mi w ręce: wilgotny piasek, kawałki kości przeżutej i wyplutej dawno temu przez psa, puszkę po mleku rozjechaną przez samochód, chwasty przy krzakach. Pakuję to wszystko do chusty i wcale się nie martwię, że śmierdzi i że mam brudne ręce.

Kiedy nie mogę zmieścić więcej, próbuję wstać, ale nie mogę. Coś mnie ciągnie z powrotem i nie wiem, czy to śmiecie z chusty, czy ciężki smutek z serca. Siedzę więc tak na ziemi, aż w końcu ktoś szepta moje imię.

– Czekałam na ciebie. – Głos Khadii, cichy, zatroskany. – Patrz, jakaś ty brudna.

– To przez Labake. – Podnoszę się, a cały ładunek z chusty spada deszczem na ziemię. – Popchnęła mnie i twój garnek się rozbił. Zbierałam te skorupy dla ciebie, wszystko zbierałam i myślałam, jak to naprawić, jak naprawić całe zło, co się stało, odkąd moja mama już nie żyła, ale to zbyt ciężkie. Wszystko za ciężkie.

– Och, Adunni. – Khadija przykłada mi ciepłą dłoń do policzka i ściera łzy, co ich nawet nie zauważyłam. – Chodź ze mną, dziecko – mówi. – Trzeba ci gorącej kąpieli, miski słodkich yamów i mocnego, mocnego snu.

Bierze mnie za rękę i ciągnie z moim ciężkim, ciężkim sercem z powrotem do domu Morufu.

ROZDZIAŁ 12

Od ostatniego tygodnia moje serce dla Kike zmiękło i kiedy się widzimy, pozdrawiamy się czasem spojrzeniami. Dziś rankiem widzi mnie przed kuchnią, jak siedzę na podłodze i ucieram paprykę.

Staje przede mną, bierze się pod boki i pochyla głowę.

– Adunni. Dzień dobry.

– Dobry – odpowiadam. Chwytam ręką kamienny tłuczek i polewam go wodą, żeby zmyć brud, a potem zaczynam miażdżyć paprykę, co leży między moimi nogami na szerokim szarym kamieniu. – Dziękuję ci za... tamto przy krzakach. – Nie odrywam wzroku od pracy. – Już bardziej dawno chciałam powiedzieć ci dziękuję za tamto przy krzakach, ale twoja mama ciągle ma mnie na oku i patrzy, czy z tobą rozmawiam.

– Teraz targ – mówi Kike. – Wróci za długo, z zachodem słońca.

– Dlaczego wtedy dla mnie nakłamałaś? – pytam.

– Bo... – Nic nie odpowiada.

Podnoszę głowę, ręką robię cień dla oczu przed jasnym światłem dnia.

– Nie chciałam iść za twojego ojca – mówię. – Wiesz o tym.

– Wiem. – Kike siada obok na kamieniu. – I wiem, że chcesz iść do szkoły. Ty masz dobry mózg, Adunni. Dobry do uczenia się. Cała wioska tak mówi.

– To dlaczego twoja mama ze mną walczy?

– Mój papa źle zrobił, kiedy wziął śluby z Khadiją i tobą, bo że nie miał małych chłopców. Mama walczy z wami, bo ma w sobie ból. A ty... masz tyle lat co ja, to dla niej bardzo trudne.

– No tak.

– Ojciec znalazł mi męża – tłumaczy Kike. – Szukał i szukał, odkąd miałam dziesięć lat. Wczoraj powiedział, że dostał już za mnie pieniądze. Jutro idę do nowego domu.

– Co to za mężczyzna, ten twój mąż? – Sięgam po kolejną paprykę, rozdzieram ją na pół, kładę na kamiennej płytce i zaczynam bić tłuczkiem. – Spotkałaś się z nim?

Kike kiwa głową na „nie".

– Nazywa się Baba Ogun. Sprzedaje w wiosce lekarstwa dla chorych. Jedną żonę miał. Umarła sześć miesięcy temu, pluła krwią. Dlatego szukał nowej, młodej jak ja, coby poczuć się znowu młodym. Nie robimy prawdziwego wesela, właśnie bo miał przedtem tą umarłą żonę, ale papa z mamą zabiorą mnie do niego już jutro.

Kike nie narzeka; chyba jej nie przeszkadza, że będzie drugą żoną starego mężczyzny z martwą pierwszą żoną.

– Jesteś szczęśliwa, że za niego idziesz? – Nabieram pomiażdżoną paprykę na łyżkę, oglądam. Białe nasionka ciągle są jak piasek, więc nakładam masę z powrotem na kamień i trę dalej.

– Papa jest szczęśliwy. – Wzrusza ramionami. – Mama chce, żebym uczyła się na krawcową. Ale papa mówi, że nie mamy pieniądzów, coby posłać mnie na nauki. Za te pieniądze za mnie naprawi sobie drugie taksi. – Odchyla się i patrzy na

moją dłoń, która toczy tłuczkiem po paprykach. W przód i do tyłu, w przód i do tyłu. – Szkoda, że nie jestem mężczyzną – wzdycha.

– Dlaczego szkoda? – Przestaję trzeć.

– Bo pomyśl, Adunni. Wszyscy mężczyźni w naszej wiosce mogą uczyć się w szkole i pracować, ale my, dziewczyny, idziemy za nich, zaraz jak mamy czternaście lat. Wiem, że mogę dobrze szyć. Bo dobrze rysuję, ładne style. – Wyciąga palec i kreśli coś w piasku.

Zerkam i widzę długą sukienkę, taką w kształcie rybiego ogona, z rękawami jak dwa dzwony.

– Tak, to bardzo ładny styl – mówię.

– Codziennie, kiedy wracam z mamą z targu… – Kike ściera obrazek i znowu przyciska palec do piachu – rysuję sukienki w dużo różnych stylach. Jak zamykam oczy – zaciska mocno powieki – widzę wszystkie kobiety z wioski ubrane w te moje style. – Patrzy na mnie ze smutnym uśmiechem. – Szkoda, że nie jestem mężczyzną, no ale nie jestem, więc robię teraz, co mogę najlepszego. Biorę ślub.

Myślę o tym przez chwilę, o sensie jej słów.

– Modlę się do Boga, żeby mąż był dobry i posłał mnie na nauki do krawcowej – mówi Kike. – A ty, Adunni? Kim chcesz być w życiu?

– Nauczycielką – odpowiadam.

Nauczycielką chcę być, odkąd miałam dwa lata wieku. Nawet zanim moja mama już nie żyła. Zawsze uczyłam drzewa i liście w obejściu, jak mama smażyła puff-puffy na sprzedaż. Stukałam patykiem korzeń mangowca i mówiłam:

„Ty, Mango, ile będzie jeden plus jeden?”. A potem sama odpowiadałam odpowiedź: „Jeden plus jeden jest równa się dwa, nauczycielko Adunni!”.

Uśmiecham się do wspominania i mówię:

– Chcę uczyć dzieci z wioski. Coby dać im lepsze życie. Ale teraz, kiedy wzięłam ślub z twoim ojcem, to już całkiem niemożliwe.

Kike kiwa na „nie”.

– Zamknij oczy i bądź nauczycielką w głowie – mówi. – Zrób to, zamknij oczy. Pomyśl o tym samym rozumem.

Z początku widzę tylko ciemną zasłonę, ale jak ją odsuwam i patrzę głęboko, głęboko w siebie, ląduję nagle w klasie. Ściskam w ręku kredę i piszę na tablicy. Dzieci za moimi plecami mają na sobie biało-czerwone mundurki, siedzą w ławkach i słuchają, jak uczę ich wszystkich tych rzeczy, co uczyła mnie Nauczycielka, zanim zostawiłam szkołę.

W tej chwili czuję w sobie wielką wolność. Tak wielką, że otwieram prędko oczy. Z moich ust wyskakuje śmiech. To prawdziwy szok.

Kike znowu się uśmiecha.

– Widzisz? Mówię ci, Adunni, nawet jeśli poszłaś za mojego ojca i myślisz, że cała nadzieja jest skończona, twój umysł się nie skończył. W głowie możesz być taką nauczycielką, jak chcesz. – Wstaje z kamienia. – Lubisz czytać książki, więc karm głowę czytaniem każdej, jaką znajdziesz. Może szukaj w koszach na śmieci w Idanre albo popatrz na targu za jakimiś tanimi. Jutro idę poznać rodzinę nowego męża, ale w głowie jestem Kike krawcową. Życz mi dobrze.

Kiedy odchodzi, zamykam na chwilę oczy i znowu próbuję stać się w głowie nauczycielką, ale teraz ciemna zasłona jest wszędzie, a od papryki pieką mnie całe palce.

ROZDZIAŁ 13

Wczoraj wieczorem Khadija poprosiła, cobym poszła z nią do akuszerki.

Jej ciąża ma już prawie osiem miesięcy wieku. Od ostatniego tygodnia Khadija chodzi tak, jakoby nosiła między nogami dwie opony. W kuchni ciągle jęczy, bardzo cicho jęczy i myśli, że nikt tego nie usłyszy. Ale ja słyszę, a jak ja ją pytam, czy z dzieckiem dobrze, mówi, że tak. No ale wczoraj, kiedy weszła na matę i zwinęła się obok mnie, a ja zaczęłam śpiewać jej dziecku, pokiwała głową na „nie".

– Adunni. Dzisiaj bez śpiewów, proszę.

Gdy spytałam dlaczego, bo nigdy, nigdy wcześniej mi nie broniła, usłyszałam:

– Boję się, Adunni. Boję się, że dziecko może wyjść za wcześnie.

– Jak to? Coś z nim źle?

– Tak – rzuciła.

– To myślisz czy wiesz? – spytałam.

– Wiem. – Zmarszczyła czoło i zrobiła duże oczy. – To moja ciąża numer cztery, Adunni. Wiem, kiedy dziecko chce wyjść, a kiedy chce jeszcze zostać w środku. To teraz chce wychodzić. A trzeba jeszcze czterech lub pięciu tygodni, żeby było naprawdę silne. Nie teraz. Muszę iść jutro do akuszerki. To chłopiec. Nie może mi umrzeć.

– Skąd wiesz, że chłopiec? Ktoś ci zajrzał do brzucha i sprawdził?

– Wiem – powtarza. – Kiedy Morufu powiedział, że jak nie dostanie chłopca, nie będzie więcej dawać mojej rodzinie jedzenia, zrobiłam coś, żeby był chłopiec na pewno. – Spuszcza głowę, jakoby w smutku. – To wstyd, co zrobiłam, ale nie miałam wyboru. Nie mogę urodzić nowej dziewczynki, Adunni. Wiesz sama. Co mój papa i mama będą jeść, jak urodzę dziewczynkę? Będzie chłopiec. I nie może umrzeć. Idź ze mną jutro rano. Z samego świtu.

Nie spałam dobrze. Ciągle myślałam, co takiego zrobiła Khadija, żeby mieć teraz chłopca. Leżałam z otwartymi oczami w głęboką noc i myślałam. Czasami sprawdzałam, co z nią i jaki ma brzuch, bo bałam się, że dziecko może po prostu wyjść samo i umrzeć. I co wtedy? Wiedziałam, że jeśli zawołam Morufu, Labake strasznie mnie zleje, bo akurat jej noc z mężem była.

Dzięki Bogu dziecko dało radę zostać w środku do rana.

– Gdzie ta akuszerka ma dom? – pytam po rannym myciu. – Powiesz swojemu mężowi, że z tobą idę?

Rozmawiamy w jej pokoju, daleko od Morufu i Labake, ale i tak szeptam. Jestem jego żoną już prawie trzy miesiące, a i tak ciągle nie umiem powiedzieć „nasz mąż". Moje usta po prostu nie chcą tych słów powiedzieć. Kiedy spróbowałam ostatnim razem, aż język mi się zaplątał, więc jak gadamy z Khadiją, mówię po prostu „twój mąż". Ona to rozumie i ja też rozumiem.

– Powiedziałam, że jadę odwiedzić matkę. – Khadija kiwa głową na „nie". – I że pomożesz mi nieść torbę.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że jedziemy do akuszerki? – pytam, bo to mnie dziwi. – Coś w tym złego?

– Ty tego nie zrozumiesz. – Khadija masuje sobie brzuch i krzywi usta, jakoby ciągle bolało. – Jesteś gotowa?

Zakładam czarne sandały, zaciągam sukienkę paskiem i wychodzę za Khadiją.

Morufu z Labake są w obejściu, stoją przed taksi. Dzisiaj ma być ślub Kike i domyślam się, że się szykują, coby ją zawieźć do domu męża.

Morufu ma na sobie tą samą agbadę, co na naszym weselu. Labake włożyła coś, co wygląda jak brązowy worek. Syczy i odwraca się do mnie plecami. Ja też syczę. Tak cicho, żeby tylko moje uszy słyszały.

– Dokąd idziecie z samego rana? – Morufu zarzuca rękaw agbady na łokieć. – Na ślub Kike z nami nie pójdziecie.

– Boże uchowaj – mówi Labake. – Nie mogą z nami iść. To mój dzień. Żadna czarownica mi go nie zepsuje.

– Nie idziemy z wami – odpowiada Khadija. Wygląda, jakoby duch opuszczał jej ciało. Jest cała spocona, ociera czoło. – Jadę do domu matki. Chora jest. Muszę zabrać ze sobą Adunni. Moja torba jest za ciężka do noszenia.

Dlaczego Morufu jest taki ślepy na wszystko, co czuje Khadija?

– Dzień dobry, *sah*. – Przyklękam na powitanie.

– Adunni, moja młoda żono – mówi on. – Chcesz jechać z Khadiją i pozdrowić jej matkę?

Zerkam na Khadiję. Trochę się chwieje, ale kiwa głową na „tak”. Więc i ja kiwam.

– Tak, *sah*.

– Wieczorem musisz tu wrócić – mówi Morufu. – Bo dzisiaj chcę spędzić ze swoją Adunni wyjątkową noc.

– Jeśli łaskawy Bóg pozwoli, wrócimy przed zachodem – obiecuje Khadija.

– No to do wieczora. – Morufu siada do samochodu i zapala silnik.

Z domu wychodzi Kike. Ma na sobie nową *iro* i *buba*, przy szyi ozdobiła ją kwiatkiem. Ładnie to wygląda, może sama ten styl wymyśliła? Z *gele*, co je ma na głowie, zwisa jej na twarz koronka. Jak zasłona. Wygląda zza niej pełnymi nadziei oczami, wokół powiek pomalowała się czarnym *khajal*.

– Niech ci dobrze będzie – mówię, kiedy mnie mija. – Niech ci dobrze będzie, moja krawcowo.

Zaraz potem ruszamy z Khadiją do garażu autobusów.

Dwie mile to niedaleko, ale Khadija idzie strasznie wolno. Jęczy i stęka, pociera sobie brzuch, jakoby miała to dziecko urodzić o tutaj, zaraz przy drodze.

Ciągle marudzi, mówi, że chce kupę, że chce sikać, że chce spać.

Bardzo się o nią boję, ale ukrywam strach i mówię, coby szła bez zatrzymywania, nawet na kupę czy siku. Autobus nie jest pełen, tylko kobiety z targu, z koszami chleba, pomarańczy, fasoli. Jadą sprzedawać poranne jedzenie. Siadamy na przednim siedzeniu. Ja z torbą na kolanach obok kierowcy, co pachnie poranną śliną, Khadija przy drzwiach. Ciągle na nią patrzę, jakobym chciała oczami zatrzymać

dziecko w jej brzuchu. Jak kierowca włącza autobus i wyjeżdżamy z garażu, pytam Khadiję, jak się czuje.

– Dziecko nie wychodzi?

– Jest coraz niżej – odpowiada i kładzie głowę na moim ramieniu. Ściska mi rękę. – Oczy mi się zamykają. Jedziemy do wioski Kere. Obudź mnie tam.

Nie nadążam powiedzieć „nie śpij". Khadija opuszcza powieki i zaczyna chrapać.

ROZDZIAŁ 14

Jedziemy przez las. Autobus mija mangowce po lewej i prawej, z dużymi liściami, wysokie.

Grube gałęzie zwisają nisko, osłaniają drogę jak dziurawy parasol, co przez niego przecieka światło ze słońca. Mijamy wieśniaków, jadą rowerami na farmy. Przeganiają dzwonkami ludzi, kury i psy. Mijamy kobiety, co niosą na głowach kosze opału, chleba i zielonych plantanów. W chustach na plecach niosą dzieci, one śpią. Wracają z farm do domów, z jedzeniem i drewnem do gotowania. Myślę o tym, dlaczego mężczyźni z wioski nie puszczają dziewczynek do szkoły. Nie zależy im, bo kobiety przynoszą opał, chodzą na targ i gotują.

Wyjeżdżamy z Ikati i niedługo potem obejmują nas czerwone wzgórza. Do niektórych tulą się domy, co mają ściany z błota, wyglądają, jakoby miały już za chwilę spaść z góry i zabić wszystkich w środku.

Po drodze widzę stado kóz, będzie ze pięćdziesiąt. Wspinają się na skały w górę. Za nimi idzie jakiś mężczyzna z długim kijem w ręku i okłada zwierzaki po bokach, bardziej wyżej, bardziej wyżej. Po lewej mam wzgórze, co wygląda, jakoby płakało prawdziwymi łzami; spływa z niego smuga czystej wody, błękitnej jak niebo. Wierzchołek ma kształt kurzego jaja i jest gładki jak głowa łysego starca.

Po jakoś tak godzinie zajeżdżamy do garażu w Kere. Khadija, co całą drogę spała i głośno chrapała, wygaduje przez sen jakieś bzdury.

Kierowca zatrzymuje autobus pod drzewem kakaowca. Powietrze pachnie tu prażonymi orzeszkami, a kiedy się rozglądam, widzę mężczyznę – on obraca orzeszki w taczce, co prażą się nad ogniem. Czeka przy nim jeden czy dwóch ludzi, chcą kupić, bo jeszcze ciepłe. Kere to mała wioska, może połowa tego, co Ikati. Tu i tam stoją domy z czerwonego piasku, są takie, co prawie spadają ze wzgórz.

Po drugiej stronie garażu jest sklep, tam sprzedają słodkie czekoladki, sigi, gazety i chleb. Przed wejściem zamiata jakaś kobieta, miotła robi szu, szu. Ona, ta kobieta, chodzi to tu, to tam i śpiewa, jej głos przylatuje do nas nad drogą.

Rano się obudzę, będę sławić Pana.

– Przystanek Kere! – woła kierowca. – Stoimy dziesięć minut i jedziemy dalej!

– Otwórz oczy. – Ze ściśniętym żołądkiem trącam Khadiję łokciem, ale głowa tylko opada jej na bok. Czemu ciągle ona śpi? Oblizuję usta, czuję, jakoby mi wargi płonęły, i stukam ją znowu. – Khadija?

Dlaczego, dlaczego, dlaczego z nią tu przyjechałam? Co ja mam w mózgu? A jeśli będzie spać już zawsze i zawsze?

– Khadija, wstawaj! – wołam bardziej głośniej. Kierowca patrzy. – Nie budzi się! – mówię do niego, zszokowana płaczem we własnych słowach.

– Adunni? – Khadija powoli podnosi powieki, rozgląda się i ociera z ust ślinę. – Już nie śpię. To tutaj. Wysiadajmy.

– Ty jak się czujesz? – Osuszam jej twarz. Skręcony żołądek na chwilę się rozluźnia. – Bałam się, że śpisz zbyt mocno głęboko. W porządku?

– Bardzo dobrze. – Khadija łapie mnie za rękę. – Chodź już.

Wysiadamy z autobusu i idziemy. Ona co chwila staje i stęka, a ja każę, że ma iść dalej. Przechodzimy przez garaż, mijamy przed sklepem kobietę, co śpiewa, i wychodzimy na inną drogę. Rośnie przy niej guawa. Brązowa koza z czerwonym sznurkiem na szyi skubie trawę między korzeniami. Zwierzak podnosi łeb, zauważa nas i ucieka. Khadija staje, opiera się o drzewo. Owoce wiszą tak nisko, że prawie trąca je głową. Żółte, gotowe do zerwania.

– Chcesz usiąść? – Stawiam torbę na ziemi. – Odpocznij sobie.

Khadija nachyla się i siada na korzeniu.

– Ja tu zaczekam. – Wskazuje drżącym palcem okrągły dom w oddali. – Pójdź tam, tam gdzie mają czerwone drzwi. Zapukasz trzy razy. Jak otworzy kobieta, powiedz, że sprzedajesz liście, i wracaj. Ale jak otworzy mężczyzna, mów, że przyszłaś do Bamidele. Że przysyła cię Khadija. Przyprowadź go do mnie.

– A gdzie dom akuszerki? – Patrzę, bo nie wiem. Bamidele to imię mężczyzny. Nigdy w życiu nie widziałam akuszerki mężczyzny. – Khadija?

Świeży pot zalewa jej czoło, na górnej wardze migota wiele kropelek.

– Nie zadawaj dużo pytań teraz – prosi. – Jeśli chcesz, żeby moje dziecko nie umarło, idź i zapytaj o Bamidele. Powiedz mu… Ach, Adunni. Plecy mnie bolą.

Patrzę na nią długą chwilę i znów się zastanawiam, czemu z nią przyjechałam. Czemu nie zostałam w Ikati, razem ze swoimi sprawami? Ale Khadija mi pomogła, dała napój,

cobym zatrzymała ciążę. Dzięki niej w domu nie martwię się ciągle Morufu, to ona walczy o mnie z Labake. Tylko jeśli tu umrze, wszyscy powiedzą, że zabiłam bardziej starszą żonę. Powiedzą, że zazdrość kazała mi ją zawieźć do Kere, zabić na śmierć i zostawić martwą pod drzewem guawy. Wtedy i mnie zabiją, bez żadnych pytań, bo w Ikati zabijają wszystkich, co mordują i kradną.

Pamiętam, jak jeden farmer, Lamidi, zabił przyjaciela, co kłócił się z nim o ziemię. Naczelnik wioski kazał chłostać go siedemdziesiąt razy palmowymi liściami, dzień po dniu, zanim on umrze. A kiedy Lamidi skończył umierać, spalili jego ciało. Bez pogrzebu. Czarnego trupa wyrzucili po prostu do lasu; ofiara złożona leśnym bóstwom.

Poganiam nogi i prędko przechodzę przez drogę, dalej też idę szybko, aż staję przed glinianym domem.

Odwracam się, Khadija podnosi rękę i macha mi na pożegnanie.

Drzwi są czerwone jak krew, to taki kolor gniewu. Zaciskam palce i pukam. Nikt nie odpowiada. Słyszę coś w środku, gra włączone radio. Poranne wiadomości w mowie joruba.

Pukam znów.

Drzwi się otwierają, powoli. Stoi przede mną mężczyzna. Wysoki, młody, ładny. Ubrany w spodnie, bez koszuli. Butów też nie ma. W dłoni trzyma gadające radio.

– Szukam Bamidele – mówię. – Czy to ty?

– Tak, to ja jestem Bamidele. – Wyłącza radio przyciskiem na boku. – Czym mogę służyć?

– Khadija. Znasz Khadiję? – pytam cicho.

Na jego twarzy coś się zmienia, on zerka do domu, chyba sprawdza, czy nikt tam nie idzie.

– Co się stało?

– Khadija powiedziała, żebym cię przyprowadziła. Siedzi tam, kawałek dalej. Źle się czuje.

– Źle? – Marszczy czoło. – Zaczekaj.

Zamyka drzwi.

Stoję tam, przebieram nogami, coraz mniej i mniej spokojna. Kto to ten cały Bamidele? Co ma z nim Khadija? I dlaczego powiedziała mi, że chce do akuszerki, a Morufu powiedziała, że jedzie do matki? Drzwi znowu się otwierają, burzą mi myśli. Mężczyzna ma teraz na sobie koszulę z tego samego materiału, co spodnie.

– Zaprowadź mnie do niej.

Trochę rozmawiamy, trochę biegniemy i wracamy do Khadii. Ona ma twarz całą w pocie, rzuca głową na boki. Staję przy drodze, a ten mężczyzna, ten Bamidele, klęka i bierze ją za rękę.

– Khadija – mówi. – To ja. Co się dzieje?

Ona otwiera oczy z trudem. Wykrzywia usta, jakoby chciała się uśmiechać.

– Bamidele – szepta tak cicho, że pochylam głowę, żeby coś usłyszeć. – Jest kłopot z dzieckiem. Boję się, że umrę.

On ociera jej twarz dłonią. Ja cała w szoku się rozglądam. Czy ktoś nas widzi? Na ulicach nikogo, tylko ta brązowa koza w oddali. Ugina tylne nogi, robi twardą kupę; małe czarne kulki gówna wypadają z jej tyłka jak deszcz.

Co on sobie myśli, że tak dotyka twarzy Khadii? Nie wie, że ona jest żoną innego?

– *Aya mi* – mówi. – Nie umrzesz.

Zwariował? Dlaczego nazywa ją *aya mi*? Swoją żoną?

– Khadija – odzywam się. – Po co on gada takie głupoty?

Khadija nie odpowiada. Jakoby w ogóle nie usłyszała. Stoję więc jak głupia i czekam, żeby coś się stało.

– Dziecko naciska, chce wyjść. – Khadija patrzy na Bamidele. – Boję się, że jak urodzę, zaraz mi umrze. Pamiętasz o klątwie, co opowiadałeś? O rytuale, że musimy razem go zrobić, zanim dziecko będzie mieć dziewięć miesięcy?

Co za klątwa? Jaki rytuał? Tupam. Coraz bardziej nic nie wiem, złoszczę się. Dlaczego wygadują takie rzeczy? Takie bzdury?

Bamidele kiwa głową na „tak".

– Możemy iść dzisiaj – odpowiada. – Razem. Zaniesiemy cię z tą dziewczyną.

Rzuca mi spojrzenie. Cofam się. O jakiej dziewczynie myśli? Nie o mnie. Ja nigdzie nie idę, żeby robić jakiś głupi rytuał.

– Wracam do Ikati – syczę.

– Proszę – szepta Khadija. – Pomóż. Brakuje mi już siły. Nawet ustać nie mogę. Musisz mnie zanieść z Bamidele, trzeba to zrobić.

– Najpierw powiedz, co się stało. – Oglądam Bamidele z góry do dołu, jakoby śmierdział czymś zepsutym. – Kto dla ciebie ten mężczyzna?

– A ty kto dla niej? – On staje prosto.

– To moja *iya ile* – tłumaczę. – Wzięłam ślub z Morufu po niej.

– Ach! – rzuca Bamidele. – Adunni.

Zna moje imię? Skąd?

– Khadija mi o tobie opowiadała. – Uśmiecha się smutno. – Mówiła, że jesteś dobra. Że dobra z ciebie dziewczyna. Mówiła, że...

– Mów z sensem, proszę. Nie mam czasu słuchać, jaka jestem dobra, kiedy Khadija wygląda, jakoby jechała już autobusem do śmierci.

– Khadija to moja pierwsza miłość – wyjawia Bamidele. – Nie powiedziała ci?

– Nie. Jak miała mi powiedzieć? – Czy ten Bamidele ma gąbkę zamiast mózgu?

– Pięć lat temu ja i Khadija mieliśmy miłość. Prawdziwą miłość. Mieliśmy się żenić – słyszę – ale jej ojciec zachorował, więc sprzedał Khadiję Morufu, żeby pomóc rodzinie. Ja wtedy nie miałem pieniądzów. Bolało mnie, że zabrali moją miłość dla starego Morufu, ale przyjąłem to jak mężczyzna. Wyjechałem z Ikati i osiadłem tu, w Kere, żeby pracować jako spawacz. Po czterech latach u Morufu ona mnie znalazła. Powiedziała, że kocha. I znowu zaczęła się miłość. – Spuszcza głowę, zerka na Khadiję, co tarza się z bólu na ziemi. Bamidele znowu patrzy na mnie, w jego oczach lśnią łzy. – To dziecko w jej brzuchu jest dla mnie. Nosi w sobie chłopca. Wiem o tym.

– Pomóżcie. – Głos Khadii jest strasznie słaby.

– Jaki rytuał musicie zrobić? – pytam. – Gdzie?

– W naszej rodzinie jest klątwa – mówi mężczyzna. – Każdą ciężarną, zanim dziecko będzie mieć dziewięć miesięcy, musimy obmyć w rzece siedem razy. Bez tego kobieta umrze z dzieckiem, jak będzie rodzić. U nas w rodzinie nie rodzi się wiele dziewczynek. Wszystkie kobiety zawsze miały chłopców. Sam mam sześciu braci. Khadija nosi w brzuchu moje dziecko i dlatego wiem, że to chłopiec. Mój syn. – Bamidele wzdycha cicho. – Wody rzeki Kere są niedaleko. Możemy ją tam umyć. Mam do tego specjalne czarne mydło. W domu. Ale najpierw ją zanieśmy. Pomóż mi.

– Czy to prawda? – Patrzę na Khadiję. – To nie dziecko Morufu?

– Prawda – przyznaje się ona. – To dziecko Bamidele. Morufu jest głupim, złym mężczyzną. Chce chłopców, ale nie umie mi dać takiej ciąży. Przyszłam więc do Bamidele i pomógł mi z chłopcem. Ale przez tę klątwę nie mogę urodzić przed kąpielą... A teraz dziecko chce wyjść, więc muszę prędko.... Zanieście mnie nad rzekę, proszę.

– Khadija? – Trzymam nogi mocno na ziemi. – Dlaczego chcesz dać Morufu dziecko innego mężczyzny?

Khadija ciska głową na boki. W lewo, w prawo. Wykrzywia twarz.

Bamidele patrzy na mnie, w oczach ma wielkie zmartwienie.

– Musimy iść szybko – mówi. – Weź ją za ręce, a ja złapię tu. Kiedy policzę raz, dwa, trzy, podniesiemy ją.

– Nie zrobię żadnego rytuału. – Zakładam na krzyż ręce na piersi, mocno mi faluje. – Zanieśmy ją po prostu do akuszerki. Ona pomoże. Akuszerka...

– Khadija umrze! – Bamidele krzyczy tak nagle, że koza przestaje robić kupę i ucieka w dal. – Proszę – mówi bardziej ciszej. – To jest w naszej rodzinie od wielu lat. Znałem kobiety, co pożegnały życie, bo nie wzięły tej kąpieli. Nawet moja matka, kiedy była w ciąży ze mną i moimi sześcioma braćmi. Ona też się zawsze tam myła. Trzeba się spieszyć.

Nie podobają mi się te pomysły ani trochę. Nie podoba mi się, że Khadija mnie tu przywiozła i wpakowała w te bzdury. Ale wygląda, jakoby miała umrzeć, a jak mam ją uratować, to muszę pomóc. Muszę. Myślę o dniu, kiedy pojawiłam się w domu Morufu. Myślę o tym, że Khadija nocami wycierała moje łzy i dawała zupę z papryk do picia. Nawet kiedy czuła się chora, to zawsze grzała mi wodę do mycia, jak w dzień, gdy Labake zbiła jej gliniany garnek.

To jej dzięki, że życie z Morufu nie jest takie złe. Bo przy niej umiałam się uśmiechać i śmiać wiele razy. Teraz muszę jej pomóc, coby i ona śmiała się i uśmiechała. I żeby zobaczyła swojego małego chłopca.

Muszę.

Serce bębni mi w uszach. Pochylam się i chwytam jej ręce. Kiedy zakładam sobie jej ramię na szyję, czuję, że jest zimne jak kostka lodu.

– Gdzie ta rzeka?

– Niedaleko – mówi Bamidele. – Milę stąd.

– Dlaczego nie weźmiemy po prostu taksi czy motoru?

– Mam nową żonę. – Bamidele rozgląda się i kiwa głową na „nie”. – Co powiedzą ludzie, jak zobaczą mnie w taksówce lub na motorze z ciężarną?

Zagryzam w ustach przekleństwo. Czyli ten głupi mężczyzna ma żonę, ale dał też ciążę Khadii? Co ona sobie myślała, kiedy to wszystko robiła? I skąd jest taka pewna, że nosi w sobie chłopca, skoro nie sprawdziła tego akuszerka ani nie widzieli doktorzy?

W mieście Idanre, niedaleko Ikati, mieszka taki jeden doktór. Przyjeżdża raz w miesiącu i pomaga ciężarnym kobietom. Mówią, że on ma magiczną lupę i tiwi do sprawdzania, czy w brzuchu siedzi chłopiec, czy dziewczynka. Muszę poprosić Morufu, żeby zawiózł do niego Khadiję.

– Trzeba już iść – każe Bamidele. – Możemy pójść tamtędy.

Pochyla się i chwyta Khadiję z drugiej strony.

– Raz, dwa, trzy... Niesiemy!

Wspólnie ciągniemy Khadiję tam, gdzie podobno jest rzeka.

ROZDZIAŁ 15

Khadija wojuje z Panem Bogiem, walczy o swoją duszę.

Trzymamy ją z Bamidele i błagamy, coby nie przestawała mówić. Coby nie zasypiała. Ja też mówię. Opowiadam jej o mamie, o Kayusie i Pierworodnym, o papie. Mówię o rzeczach, co chcę, żeby wiedziała, i o tym, czego wcale nie chcę powiedzieć. Kiedy pytam: „Jesteś z nami, Khadija? Jesteś tu jeszcze”?, ona tylko jęczy, a ja znowu zaczynam mówić. Gadam o wszystkim, co wpada mi do głowy.

Myślę o Śmierci, o tym, jak przyszedł i zabrał mamę.

Śmierć jest wysoki jak drzewo *iroko*. Nie ma ciała, nie ma mięśni, nie ma oczu. Ma tylko usta i zęby. Dużo zębów, cienkich jak ołówek i ostrych jak noże. Zęby do gryzienia i zabijania. Śmierć nie ma nóg. Ale ma skrzydła z pazurów i strzał. Śmierć umie latać i zabija ptaki w powietrzu, strąca je z nieba, a kiedy spadają na ziemię, wypływają im mózgi. Śmierć umie też pływać, połyka ryby w rzece.

Jak chce zabić człowieka, fruwa nad jego głową, unosi się jak łódź na rzece duszy i czeka, żeby w pewnej chwili ją zabrać.

Śmierć może przybrać dowolną postać. Taki jest mądry. Dzisiaj może wyglądać jak samochód i wywołać wypadek. Jutro może się zmienić w pistolet, kulę, nóż i kaszel z krwią. Może stać się suchym palmowym liściem i wychłostać człowieka, aż umrze on. Tak umarł Lamidi. Albo może być

liną, co wyciska życie z szyi. Tak było z Tafą, kochankiem Asabi.

Czy Śmierć chodzi teraz za Khadiją? A jeśli ona umrze, czy Śmierć zacznie chodzić też za mną?

Idziemy dróżką, którą pokazał Bamidele. Błota jest tyle, że wsysa nasze stopy i trzeba walczyć, żeby je podnosić, przez co idzie się jeszcze trudniej. Ale kiedy widzę brzeg i wodę, czuję największą nadzieję w życiu.

– Khadija – sapię. – Dobrze jest. Już prawie jesteśmy.

Słyszę tylko słaby jęk.

– To właśnie rzeka Kere – mówi Bamidele, kiedy skręcamy ze ścieżki i stajemy przed wodą.

Kere wygląda jak wielkie pole ze szkła, migota w rannym słońcu.

Dwie dziewczynki nabierają glinianymi garnkami wodę. Jedna podnosi głowę, patrzy, kiwa na powitanie i wraca do pracy. Jakiś rybak pływa łodzią, zarzuca sieć, co rozkłada się na wodzie jak pawi ogon.

Khadija zwisa mi w rękach. Nogi mi się ślizgają, ale daję radę ustać. Razem z Bamidele kładziemy ją na ziemi. Robię z torby poduszkę i wsuwam Khadii pod głowę. Klękam i brzegiem chusty ocieram jej twarz.

– Teraz trzeba ją obmyć – mówię do Bamidele.

On też zaczął się pocić. Zerka na rzekę i znowu na mnie.

– Pójdę po to specjalne mydło.

Patrzę na Khadiję. Zamknęła oczy.

Szczypię ją. Podnosi powieki. I znowu opuszcza.

– Jak długo? – pytam. Nie chcę, żeby mnie tu z nią zostawiał. Nie tu, przy rzece, w obcej wiosce. – Kiedy wrócisz?

– Niedługo. – Bamidele wyciera rękę w spodnie. – Pięć minut.

– Za długo – odpowiadam. – Dwie minuty. Biegnij i szybko wracaj.

– Pójdę skrótem. Kiedy mnie nie będzie, ściągnij z niej ubranie.

– Nie będę nic ściągać – mówię. – Jak mam sama rozebrać ciężarną kobietę do goła? – Mam trochę ochotę walnąć tego Bamidele głową w nos, znowu gada jak głupi. – Zanim wrócisz, nic z nią nie zrobię. Słyszysz?

– Wrócę – mówi. Pochyla się i szepta coś Khadii do ucha. Ona kiwa głową na „tak", porusza się pierwszy raz od chyba dziesięć minut. Bamidele staje prosto. – To idę. – Nie daje mi nic powiedzieć, odwraca się i wbiega na ścieżkę, co nią przyszliśmy.

W tej samej chwili na niebie dudni grzmot.

To Śmierć, to jego głos. Daje nam wielkie, wielkie ostrzeżenie.

Mija wiele minut. Bamidele nie wraca.

Ściskam rękę Khadii, liczę sekundy, minuty i patrzę na rzekę. Dziewczynki nad wodą pomagają jedna drugiej, ustawiają sobie na głowach garnki. Kiedy mnie mijają, zatrzymują się. Wyglądają jak bliźniaczki. Mają takie same, okrągłe jak pomidor twarze, a jak się uśmiechają, w ich policzkach robią się takie same dołki. Tylko że jedna ma skórę jak proszek z kakao, a druga żółtobrązową jak świeży chleb.

– Wszystko dobrze? – pyta ta ciemna z kakao. Mówi tak jak wszyscy ludzie z Kere. Po każdym słowie cmoka językiem, przez co trudno mi zrozumieć. – Co się jej stało? Trzeba ci pomóc?

– Chora jest – odpowiadam. – Czekam na... – myślę przez chwilę – ...na Babalawo. Kiedy przyjdzie, da jej lekarstwo. Dziękuję.

– Niech bogowie mają ją w opiece – mówią razem dziewczynki i odchodzą.

Niebo zjadło poranne słońce. Robi się szaro, ciemno. Wiatr dmucha zimnym powietrzem. Dygotam i dzwonię zębami. Rybak zaprowadził łódź daleko, daleko na rzekę. Kogo zawołam na pomoc?

Znowu ocieram twarz Khadii, głaszczę jej chłodną głowę.

– Bardzo boli? – pytam. Strach stworzył wokół mojego serca twardy mur, chce wycisnąć ze mnie oddech, ale dla Khadii przełażę przez ten mur i znajduję siłę. – Lepiej ci?

– Tak, już lepiej. – Porusza wargami, jakoby próbowała się uśmiechnąć. – Ból odchodzi.

– To dobrze – mówię. – Pamiętasz piosenkę o prawniczce, co ją ci chciałam zaśpiewać, ale nie mogłam, bo miałyśmy za dużo pracy? – Nie odpowiada, mówię dalej: – Zaśpiewam teraz. Spodoba ci się. To bardzo ładna piosenka. Słuchaj... *Dzień dobry, piękna dziewczyno...* – Głos trochę mi się łamie, ale zbieram się w sobie i śpiewam dalej:

Chcesz zostać wielką, wielką prawniczką?

Musisz dużo, dużo chodzić do szkoły.

Chcesz nosić wysokie, wysokie buty

I chodzić, stuk-puk-stuk?

Głos mi drży, jest pełen łez, ale staram się, z całych sił próbuję śpiewać dalej.

– *Stuk-puk...*

– Adunni – odzywa się Khadija.

– Tak – odpowiadam. – Jestem tu. Śpiewam. Śpiewam dla ciebie i dziecka. Podoba ci się piosenka? A dziecku się podoba?

– Gdzie Bamidele?

– Nie wrócił.

– Kiedy wróci? – pyta. – Tak długo go nie ma. Gdzie jest?

– Jest w... – milknę.

Co jeśli Bamidele uciekł i nigdy już nie wróci, co jeśli zostawił ją, coby umarła na śmierć?

– Czy Bamidele mnie oszuka? – Khadija oddycha coraz wolniej i wolniej. – Czy mnie tak zostawi?

Zanim znajduję w głowie dobrą odpowiedź, wyrywa się jej głęboki krzyk, skowyt psa w pułapce. Podnoszę głowę, szukam oczami latającego na niebie Śmierci i mówię mu, żeby znalazł sobie kogoś innego. Mówię, żeby zmienił się w samochód, co pędzi bez umiaru, i zabił tą srającą kozę. Ale kiedy patrzę znów na Khadiję, wiem, że wita już Śmierć spojrzeniem. Ona i Śmierć stają się jednym, żoną i mężem.

– Adunni, zajmij się moimi dziećmi – mówi słabym głosem, cichutko.

– Nie. – Mocno ściskam jej zimną rękę. – Khadija, nie ja. Ty. Ty zajmiesz się dzieckami. I moimi też. Zostaniemy razem i razem będziemy walczyć z Labake. Razem będziemy się

śmiać z Morufu. Ja i ty. Czy nie, Khadija? Czy nie? Dobrze, zaczekaj chwilę. Zaśpiewam jeszcze jedną piosenkę. Piosenkę o… – Łapię za jej ramiona, potrząsam.

Ciało Khadii się rusza, trzęsie, ale oczy są szeroko otwarte, szare jak niebo. Widzą to, co tylko duch może zobaczyć. Kładę twarz na jej piersi, napuchniętej od świeżego mleka dla martwego dziecka. Płaczę coraz głośniej i mocno ją szarpię.

Obudź się, Khadijo – błagam ją całą duszą. Obudź się. Obudź. Obudź.

Ale to na nic.

Khadija przestała żyć.

A Bamidele nie wrócił.

ROZDZIAŁ 16

Podnoszę się z ziemi, patrzę na boki.

Rybak zaczyna wracać. Chcę zaczekać i poprosić, coby mi pomógł zanieść Khadiję do Morufu, ale w mojej głowie słychać przestrogę. Jeśli na niego zaczekam, pomyśli, że ja ją zabiłam. Nie patrzył, kiedy był tu Bamidele. Zabierze mnie do naczelnika wioski w Ikati. Myślę o farmerze Lamidim. O tym, jak go siedem dni chłostali. Znajdę Bamidele. Muszę. Znajdę go najpierw, a potem wrócimy tu razem i zaniesiemy Khadiję do domu, coby miała pogrzeb. Bamidele powie, co się stało, naczelnikowi wioski, Morufu i dzieckom Khadii. Powie, że to on dał jej ciążę. Że jego rodzina ma klątwę. Że jest takie mydło, co tą klątwę przegania, ale nie wrócił, żeby dać to mydło Khadii.

Wycieram twarz i postanawiam decyzję.

To Bamidele będzie za nią cierpieć, to on będzie cierpieć za Khadiję.

Nie ja. Nie ja.

Idę wiele, wiele mil. Przechodzę wiele ścieżek i staję przed innym domem. Jest tu smukłe drzewo bez liści i dziki krzew, co ma dużo czerwonych owoców, pięknych – jak się patrzy, trujących, jak się zje. Domu Bamidele nie znajduję. Gdzie on jest? Idę szybko, niosę w umyśle widok ciała Khadii. Widzę, jak leży w piasku, nad rzeką. Na niebie znowu huczy grzmot i wiem, że szykuje się deszcz.

Jak popada, woda zmyje ciało Khadii do rzeki i zabierze ją na zawsze. Co wtedy powiem Bamidele? Albo komu innemu?

Jak mam powiedzieć, że Khadija umarła, tylko nie mam martwego ciała?

Błagam niebo, coby zaczekało i nie spadło deszczem, coby dało mi więcej czasu, coby znaleźć ten dom. Nagle widzę kozę, tą z czerwonym sznurkiem, leży w cieniu guawy. Wiem, że dom Bamidele jest blisko. Dziękuję kozie i szukam dalej, aż wreszcie znajduję to miejsce. Czerwone drzwi.

Podnoszę z ziemi kamień i walę nim w te drzwi. Nikt ze środka nie mówi. Walę znowu. A potem zaczynam krzyczeć:

– Bamidele, wyjdź! Bamidele!

Drzwi się otwierają powoli.

Najpierw pokazuje się napuchnięty brzuch, potem twarz kobiety. Jasna skóra, twarz jak u głodnej laleczki. Włosy poskręcane sterczą do nieba jak ciernie w koronie. Okrągły brzuch, taki wielki jak brzuch Khadii, zmienia mi się w oczach, staje się zaciśniętą pięścią i bije mnie w pierś. To dlatego Bamidele nie wrócił. Bo ma ciężarną żonę.

– Szukam Bamidele – krzyczę. Oddycham szybko, próbuję nie płakać. – Powiedz mu, coby wyszedł. Powiedz, że Khadija nie żyje.

– Bamidele? – Patrzy, jakoby nie rozumiała. – Z którego domu?

– Z tego. – Się rozglądam. Widzę kozę. Podnosi łeb, patrzy na mnie i wiem, że koza też wie. To dom Bamidele. – Przyszłam tu rano. Otworzył mi drzwi, te same czerwone drzwi. Jesteś jego żoną?

Mruży oczy, jakoby chciała mnie dobrze obejrzeć. Po chwili kiwa głową na „tak".

– Ale Bamidele wyjechał w podróż – mówi. – Już trzy tygodnie temu. Pojechał do wioski swojej matki. Czego tu chcesz? Kim jest Khadija?

– Nie – mówię. – Bamidele nie wyjechał. Jest tutaj. Dziś rano otworzył mi drzwi.

Skaczę naprzód, próbuję pchnąć drzwi, lecz ona wychodzi, zamyka je za sobą i mocno trzyma klamkę.

– Bamidele tu nie ma – upiera się. – Idź sobie.

– Ale on pozwolił Khadii umrzeć! – Teraz już płaczę, płaczę i tupam. – Jej ciało jest przy rzece Kere. Martwe. Bardzo martwe. Musimy iść i ją przynieść! Bamidele, wyjdź! Zabiłeś kobietę! Wychodź!

W domu obok otwierają się drzwi. Wygląda z nich mężczyzna, patrzy na nas.

– Masz problemy z uszami? – pyta cicho kobieta. – Bamidele tu nie ma. Idź, zanim nazwę cię *ole*.

Ole. Złodziejka.

To słowo jest dla wszystkich jak rozkaz. Kiedy ludzie je słyszą, zaczynają biegać wokoło i szukać *ole*. Jeśli mnie tak nazwie, nikt nie będzie o nic pytać. Cała wioska zacznie mnie gonić. Założą mi na głowę starą oponę i włożą do niej ogień. Spalą mnie.

Patrzę w górę i widzę Śmierć. Żegluje nad moją głową, błyska zębami, macha skrzydłami i zastanawia się, w jakiej postaci po mnie przyjść: jako kij czy jako ogień.

Ale myślę o Khadii. Myślę o jej dzieckach, Alafii i tych innych. O jej chorym ojcu.

Wzmacniam głos i znowu wołam:

– Bamidele, wychodź! Bamidele, zabiłeś kobietę! Wychodź!

– *Ole*! *Ole*! *Ole*! – krzyczy kobieta, jej głos zasłania mój.

Mężczyzna z domu obok wygląda jak wiejski zabijaka, ma takie wielkie, wielkie ręce i szeroką, mocarną pierś.

– *Ole*? – pyta, ale nie czeka na odpowiedź, tylko wychodzi na ulicę. Moja twarz jest tu obca. On wie, że to ja. I też zaczyna krzyczeć. – *Ole*! *Ole*! Wszyscy wychodzić! Łapaj złodziejkę!

Mężczyzna i kobieta łączą głosy, zgniatają moje słowa.

Już zaraz wszędzie tu będzie pełno ludzi.

Patrzę w lewo, w prawo. Z prawej ścieżka, ta co prowadzi do garażu autobusów.

Patrzę na twarz kobiety, ona na moją. Na chwilę milknie, daje mi szansę uciec i nigdy nie wracać.

Ale Khadija. Och, Khadija.

– Bamidele! – wołam znowu. – Wiem, że jesteś tam, w środku. Bóg cię osądzi! Zabiłeś kobietę! Wychodź!

– *Ole*! *Ole*! – krzyczy znowu żona.

Mężczyzna jest już prawie obok. W ręku trzyma coś szorstkiego, grubego i brązowego. Gałąź?

Odwracam się, widzę innych dwóch ludzi, co wychodzą z domów.

Czterech ludzi. Jedna złodziejka: ja.

Zamykam usta; zaczynam biec.

ROZDZIAŁ 17

Wsiadam na motocykl w garażu autobusów i błagam kierowcę, żeby zawiózł mnie do domu. Do mojego domu.

Do Morufu nie mogę wrócić, bo co ja mu powiem, jak zapyta, gdzie Khadija? Co powiem jej dzieckom?

To mówię kierowcy, żeby wiózł mnie do domu papy. Nie wiem nawet, kiedy zajeżdżamy, bo moja głowa nie myśli jak trzeba. To już trzy miesiące, odkąd stąd wyszłam jako żona Morufu. A teraz wracam jako co?

Kiedy wchodzę, papa siedzi na kanapie. Głęboko śpi, głowę ma opartą o deskę kanapy. Czapkę wziął na nos. Chrapie tak głośno, że cały salon się trzęsie. Nagle się podrywa i patrzy, jakoby zobaczył złego ducha.

– Adunni? – Przeciera oczy, kiwa głową na „nie". – To ty?

– *Sah*. To ja, *sah*. Dzień dobry, papo. – Ciężko mi klękać, za bardzo się trzęsę. Kierowca na zewnątrz naciska trąbkę motocykla. Piip. – Kierowca chce dostać pieniądze, *sah* – mówię i zanim papa może odpowiedzieć, pędzę do pokoju, co dzieliłam go z Kayusem i Pierworodnym, i wyciągam pieniądze z kryjówki pod matą. Schowałam je tam dawno temu. Wybiegam przed dom i płacę dwadzieścia naira.

– Coś ty zrobiła? – pyta papa, jak wracam do salonu. Teraz stoi prosto, ręce ma na biodrach. – Uciekłaś z domu męża?

– Nie, *sah*, nie uciekłam z domu męża. – Ciężko klękam i łapię go za nogi. – Papo, pomóż.

– Co się stało? – pyta, kiedy zaczynam płakać. – Dlaczego beczysz?

Opowiadam mu i czuję, jak jego nogi miękną. Odrywa się ode mnie i pada na kanapę.

– Khadija nie żyje? – szepta. – Twoja starsza żona nie żyje?

– To Bamidele – tłumaczę. – Ona miała mężczyznę przyjaciela. Kochanka. Nazywa się Bamidele. Jest spawaczem w wiosce Kere. Zrobił jej ciążę, a teraz zostawił, coby umarła. Nie wrócił z mydłem do zmycia złej klątwy. – Już jak o tym mówię, wiem, że to wszystko brzmi jak same kłamstwa. – Mówię ci prawdę, papo. Bóg widzi me serce! Pan Bóg wie, że to prawda. Bamidele miał mydło, ale nie wrócił, i Khadija przez niego nie żyje. Prawdę mówię, papo!

Chowa twarz w rękach. Nie odzywa się długo, bardzo długo. Kiedy znowu patrzy, oczy ma czerwone, wodniste, jakoby sam miał się popłakać.

– Kto cię widział, kiedy to się stało?

– Mnie? Nikt. – Kiwam głową na „nie". – Żona Bamidele mówi, że on teraz wyjechał. Nie powie prawdy. – Przypominam sobie bliźniaczki, były tam po wodę. Ale nie znam nawet ich imion, nie wiem, czy widziały mnie i Bamidele z Khadiją. Mnie widziały, tyle wiem. Wszyscy mnie widzieli. Wszyscy powiedzą, że to ja zabiłam Khadiję. – Mówię prawdę, przysięgam.

– Ach! – Papa trzy razy bije się w pierś. – Ach, Adunni, zabiłaś mnie! To koniec.

– Przysięgam, że nic nie zrobiłam. – Za mocno płaczę i muszę każde słowo wykasłać z siebie. – Papo, pomóż mi, pomóż!

– Adunni. – Papa odrywa moje ręce ze swych kolan i wzdycha smutno. – Muszę iść do naczelnika wioski. Trzeba powiedzieć, co się stało.

– Nie, papo! Nie! – Szarpię go za spodnie. – Wiesz, co będzie. Nie dadzą mi szansy, żebym coś powiedziała. Po prostu mnie zabiją. Nie będą słuchać o Bamidele.

– Nie możemy zostawić Khadii samej – mówi papa. – Trzeba tam iść i przynieść jej ciało. Ja nie mogę, bo pomyślą, że zabiłem. Dlatego muszę się widzieć z naczelnikiem i powiedzieć.

– A jak każą, mnie żebyś przyprowadził, co wtedy?

Patrzy na mnie. Nigdy nie widziałam u niego tyle smutku i niepewności.

– Wtedy cię przyprowadzę – odpowiada cichym, złamanym głosem. – Khadija ma rodzinę, oni muszą się dowiedzieć, że nie żyje. Tak samo jak musi wiedzieć naczelnik wioski. Morufu też. Pójdę i znajdę ich wszystkich. Ale naczelnik cię nie zabije, póki żyję ja, twój papa. Przysięgam, nie spotka cię nic złego. Ale najpierw osusz łzy. Idź do swojego pokoju i czekaj na mnie.

Papa patrzy w lewo i prawo, klepie się po kieszeni, wygląda, jakoby czegoś szukał, tylko nie wiedział czego. Wreszcie wsuwa stopy w kapcie i zostawia mnie na klęczkach w salonie.

Kiedy wchodzę do pokoju, co dzieliłam go z Kayusem i Pierworodnym, serce dalej tłucze mi w piersi. Idę do okna, odsuwam mamową chustę, co z niej zrobiliśmy zasłonę, i sprawdzam, czy nikt nie idzie.

Słońce zaczyna schodzić z nieba, zmienia kolor na czerwień oczu papy, taką jak kiedy za dużo wypije. W obejściu pusto i cicho. Tylko liście mangowca tańczą na wieczornym wietrze i coś sobie szeptają.

Czy to źle myśleć o uciekaniu, kiedy Khadija leży tam sama, martwa w wiosce Kere? Czy jest dla mnie inna możliwość? Papa mówi, że nic mi nie zrobią, ale papa obiecał już coś mamie i nie dotrzymał słowa. Jak może dotrzymać teraz obietnicy mnie?

Ocieram oczy, odchodzę od okna i wyciągam spod łóżka swoją matę. Z maty wyciągam czarną nylonową siatkę i wciskam do niej swoje rzeczy.

Nie mam dużo rzeczy, bo trzy z moich czterech ubrań zostały w domu Morufu. Zabieram sukienkę z ankary, jedne spodnie, czarny stanik, co dała mi mama, kiedy zaczęły mi rosnąć piersi, patyk do żucia i starą Biblię w mowie joruba, też po mamie. Ma czarną gumową okładkę. Słowa w środku są małe, a krawędzie wygięły się przez dużo lat, kiedy mama czytała tą Biblię w kuchni przy świecy. Przyciskam ją sobie do piersi i modlę się do Boga, żeby mi pomógł. Żeby wybawił mnie z kłopotów.

Patrzę po całym pokoju. Patrzę na poduchę z kanapy, na której sypia Kayus, na zieloną matę w kącie, na obok lampę naftową. Kiwam głową na „nie". Jak to wszystko zostawić? Jeśli ucieknę, to czy zobaczę jeszcze kiedyś Kayusa?

Zapalam lampę i podnoszę ją, jakoby to miało odpędzić ciemność z mojego serca. Wyciągam tysiąc naira, co trzymałam tam od przed ślubu. Odliczam sto naira, zwijam pieniądze i wsuwam pod poduchę Kayusa. To niedużo, ale da

się kupić dwie albo trzy czekoladki. Będzie szczęśliwy. Próbuję nie płakać, przykładam twarz do maty i proszę, coby dbała za mnie o mojego brata.

W dali słyszę Pierworodnego. Chyba dopiero wszedł na obejście. Podrywam się i wybiegam mu na spotkanie. Nylonowa siatka tańczy mi w ręku.

Pierworodny dźwiga na głowie dwie opony, wygląda, jakoby wracał z warsztatu.

– Adunni? – Mruga w szoku.

– To ja, bracie – odpowiadam.

Próbuję patrzeć normalnie. Spycham Khadiję głęboko w tył głowy.

– Co tak stoisz i patrzysz? – mówi Pierworodny. – Weź to ode mnie.

Zabieram opony, stawiam je na ziemi.

– Czego tu szukasz? – pyta on. – Gdzie twój mąż? Co tam niesiesz?

– Przysłał mnie z pieniądzami dla papy – kłamię, mocno ściskam siatkę z nylonu. – Z podziękowaniem za ślub ze mną.

– Dobry człowiek ten twój mąż. – Pierworodny zbiera palcem pot z czoła i strzepuje. – Dzięki niemu mamy teraz dużo jedzenia. Widziałaś te yamy i plantany w kuchni? Zapłaciliśmy nawet czynsz, dwa miesiące temu. Mówił ci papa? A gdzie on? W środku?

– Papa wyszedł. – Przełykam ślinę i próbuję nie umilknąć. – Poszedł do pana Bady.

– Ty też wychodzisz? Wracasz do domu męża?

– Tak – odpowiadam. – Noc zapada.

– Pozdrów go ode mnie, porządny człowiek. – Patrzy na mnie z góry na dół. – Odprowadzić cię? Ciemno już.

– Nie. Dziękuję. Już idę, już.

Pierworodny przeciąga się i ziewa jak pies. Mlaska szerokimi ustami.

– Leć prędko. – Mruży oczy. – Ale czekaj, Adunni. Na pewno wszystko dobrze? Masz na twarzy zmartwienie. Co się stało? Morufu aby zdrowy?

– Zdrowy. – Oblizuję suche, popękane wargi.

– A bardziej starsze żony? Labake i ta druga? Dobre są dla ciebie?

Khadija była dobra, teraz już nie żyje.

– Dobre – odpowiadam załamanym od łez głosem. – Pozwól, że już pójdę.

– Spiesz się – mówi. – Powodzenia. Pozdrów tego dobrego człowieka, tego bardzo dobrego człowieka.

Pierworodny wchodzi do domu, w oknie pokoju zapala się słabe światło lampy. Chodzę z nogi na nogę, patrzę w niebo, na szare chmury, co się zbierają. Wiatr brzmi jak gwizdek ze smutną, chłodną piosenką. W powietrzu taki zapach, woń kurzu, co chłonie wodę. Wiem, że szykuje się na deszcz.

Teraz, myślę. Idź teraz.

Nabieram głęboki oddech, patrzę w lewo na dom, w prawo na drogę z pyłem. Przyciskam siatkę z nylonu do piersi i biegnę przed siebie.

ROZDZIAŁ 18

Biegnę z głową nisko, w oczach mam swoje stopy i błotną ścieżkę, co prowadzi za wioskę.

Po lewej i prawej mam plantacje kukurydzy i szerokie zielone liście. Cieszę się, bo chronią mnie przed spojrzeniami z wioski. Niebo błyska jasnym światłem, potem słychać grzmot. Biegnę, a moje uszy łapią dalekie szczekanie psów, meczenie kóz z sąsiednich obejść, co tupią kopytami, jakoby walczyły z samą ziemią. Wszędzie biegają kury, ich pióra furkotają za każdym razem, jak na niebie światła. Biegnę, od czasu do czasu przeskakuję kamienie i chwasty albo stare opony, co jakieś diabła dziecki zostawiły je na drodze, coby się kto przewrócił.

Wtem, zupełnie znikąd, pojawia się przede mną czerwony kogut z zielonym sznurkiem na szyi. Uderzam nogą o skałkę. Zatrzymuję się i pochylam, coby pomasować kostki. Bolą, dyszą bólem, a ja z całych sił próbuję nie płakać. Bokiem widzę dwie dziewczyny z wiadrami na głowach. Jedna to Ruka. Idą obok siebie i głośno się śmieją. Ale jak tylko mnie widzą, śmiech cichnie.

– Adunni, nasza nowa żona – mówi Ruka, kiedy stają przede mną. – Dokąd ty?

– Po wodę z Ikati – sapię, jakoby zaraz miało mi zabraknąć oddechu. Prostuję się i wskazuję ręką za siebie, na swój dom. – Studnia nasza wyschła, a potrzeba wody na... na jutro. –

Chcę się na niby roześmiać, ale wiem, że śmiech zmieni się w płacz.

– Patrzcie no! – rzuca druga dziewczyna. – Jaka to z niej nowa żona? Po wodę idzie w deszczu i bez wiadra? – Zerkam na nią. Wygląda całkiem jak ten kogut, co wyskoczył mi na ścieżkę. Ma taką cienką szyję i twarz długą jak ptasi dziób. Nie znam jej. Dlaczego zadaje te wszystkie pytania? – Ruka, chodź. Zostaw ją, proszę – dodaje, a w jej oczach płonie ogień zazdrości. – Myśli, że jak się zrobiła nową żoną, to lepsza od nas.

– Adunni – mówi Ruka. – Widzisz, jak małżeństwo ci służy? Dobrze wyglądasz. A powiedz, prawda to, że Kike wzięła dziś rano ślub?

– Tak – odpowiadam. Niebem szarpie kolejny grzmot. – Dziękuję. Pójdę już, bo zaraz rozpada się mocno.

– Kiedy urodzisz nowe dziecko, przyjdziemy i zatańczymy dla was! – Ruka puszcza mi oko i odchodzi z przyjaciółką. – Pa, pa!

– Pa, pa! – mówię, lecz nie robię nawet kroku.

Stoję tak, choć tamte są już daleko. Stoję, kiedy z nieba zaczyna się lać woda. Wielka ulewa. Taka, co wstrząsa ziemią i przez nią dachy domów huczą, jakoby jakiś obłąkaniec wygrywał szaloną muzykę, a przy tym walił łyżkami w garnki i patelnie. Deszcz zalewa mi głowę, spływa po twarzy i do ust, tak że czuję na języku olej kokosowy z włosów i słone łzy. Całe ubranie mi przemaka i zaczynam dygotać. Myślę o tym, co powiedziała Ruka, że chce dla mnie zatańczyć, kiedy urodzę nowe dziecko. Czy papa i Morufu wpadną w szok z gniewu i zaskoczenia, jak usłyszą, że zaginęłam? Czy pomyślą, że

uciekłam, bo zabiłam Khadiję? Czy papę rozboli przeze mnie serce? Czy wsadzą go do więzienia? A może domyśli się, że uciekłam? I czy jeśli mnie znajdą, zechcą posłuchać, co powiem o Bamidele?

Ocieram dłonią twarz, wciągam katar do nosa. Wszystko to za trudne. Może wcale nie robię nic dobrego? Może mogę wrócić do domu i pójść z papą do naczelnika wioski? Tylko wtedy zabiją mnie tak, jak zabili farmera Lamidi i Tafę, kochanka Asabi, i innych jeszcze, co nie pamiętam teraz ich imion.

Myślę, że najpierw muszę uciec, potem, jak już znajdzie się Bamidele, mogę spróbować wrócić. Biorę do ręki brzeg sukienki, skręcam ją, wyciskam z niej deszcz. Potrząsam, żeby wyschła, ale mokry materiał lepi mi się do skóry i zaczynam kichać.

Biegnę dalej, w końcu trafiam na plac targowy. Pośrodku sterczy jeden słup z lampą, złotożółte światło pada na wilgotny cement i odbija się jak na szkle. Obok jest szary posąg z kamienia naszego wioskowego króla. On siedzi na tronie. Wyryte oczy ma otwarte, w ręku ściska wielki kij, jakoby wypatrywał, czy gdzie tu nie kręcą się złodzieje… jakoby wypatrywał mnie.

Przestało padać, ale niebo ciągle czarne jak węgiel, a stragany stoją puste. Zniknęli sprzedawcy mleka w puszkach i sardynek, nikt nie zachwala kukurydzy i *garri*, odeszli nawet ci, co sprzedają elektronikę, tiwi i DVD. Pochowali się też mallamowie, co u nich zawsze można kupić suyę. Tylko w powietrzu nadal czuć zapach suszonego mięsa, smażonej cebuli i papryki, przez co głód drażni mi brzuch.

Przechodzę cały plac i skręcam do granic wioski. Jest tam jeszcze jeden posąg króla, podobny do tego na targu, tylko że ten król trzyma tablicę ze słowami POŻEGNAJ SIĘ Z IKATI, SZCZĘŚLIWĄ WIOSKĄ. A jak spojrzeć na tablicę z drugiej strony, to widać inny napis: WITAMY W IKATI, SZCZĘŚLIWEJ WIOSCE. Dzisiaj czekają mnie tylko pożegnania, nie spotka mnie żadne szczęście.

Widzę kobietę, co sprzedaje akarę. Miesza w garnku pełnym czarnego, gorącego oleju. Stoi pod czerwoną parasolką i rozmawia z akarą w mowie joruba, tłumaczy fasolowym ciastkom, coby nabrały słodyczy i zwabiły klientów, bo ich przegnał deszcz.

Kiedy na mnie patrzy, ściera pot z czoła. Krople spadają prosto w olej. Słychać głośne szyyy, a z garnka podnosi się czarny, szczypiący w oczy dym.

– Przyszłaś kupić akarę? – pyta.

Głód chłoszcze mnie coraz mocniej, ale moje usta niczego teraz nie zjedzą.

– Nie – mówię. – Dziękuję. Nie mam za co.

Robi się poważna, patrzy. Jej oczy biegną od moich stóp po mój czubek głowy.

– Jak nie masz pieniądzów, żeby kupić takie dobre jedzenie, lepiej sobie idź i zrób miejsce lepszym klientom.

W tej samej chwili słyszę, jak ktoś woła mnie po imieniu; z chrypą, głosem palacza sigów.

Żar uderza mi do głowy. Kto mnie tu zna, tak daleko od domu? Odwracam się. Pan Bada. Ma na sobie ciasny niebieski

kaftan. Jego okrągła, tłusta głowa, łysa bez jednego włosa, lśni w ciemności, jakoby ktoś wysmarował ją olejem.

– Dobry wieczór, *sah*. – Klękam na powitanie.

– Chcesz kupić akarę? – Wsuwa rękę do kieszeni kaftana, wyciąga zwitek pieniądzów. Wylicza dwa razy po dwadzieścia naira i podaje kobiecie. – Madam, daj sześć dla mojej Adunni. To córka przyjaciela. Wyszła za Morufu taksówkarza. Jest nową żoną. Młodą żoną.

Kobieta zgarnia pieniądze, jakoby w ogóle nie usłyszała, co powiedział. Zwija je trzy razy i wciska sobie głęboko do stanika.

– Dziękuję, *sah* – mówię.

– Wstań, dziecko. Co tu robisz na takim deszczu?

– Idę – odpowiadam, choć słowa kleją mi się do gardła. – Idę do wioski obok. – Głupia dziewczyno, myślę do siebie, po co mu mówisz, dokąd idziesz?

– A to po co? – dziwi się pan Bada. – Gdzie twój mąż?

– To on mnie posłał. Do takiego warsztatu. Po części do samochodu.

– W taki deszcz twój mąż powinien posłać kogoś innego – mówi pan Bada.

Kobieta nabiera łyżką sześć kulek akary, strzepuje olej z powrotem do garnka i zawija ciastka w starą gazetę.

– Tak, *sah*. – Drżącą ręką odbieram pakunek. – Ale mąż mnie odbierze. Dziękuję, *sah*.

– I dobrze. Powodzenia. Pozdrów ode mnie męża. Słyszysz?

Znowu biegnę i tym razem staję dopiero we wiosce obok, w miejscu, co Iya powiedziała, że mam ją tu znaleźć, jak będę

potrzebować pomocy.

ROZDZIAŁ 19

Iya mieszka we wspólnym domu w wiosce Agan, co zaczyna się zaraz za naszą Ikati. Po drugiej stronie jej drzwi otwiera się wejście do pokoju kogoś innego. A obok są jeszcze inne drzwi. Razem jest takich dziesięć drzwi. Pięć po lewej, pięć po prawej. Do wszystkich wchodzi się z jednego długiego i wąskiego korytarza.

Kiedy docieram do Agan, już ciemna noc, a na niebie błyszczy zakrzywiony jasnożółty księżyc. Deszcz odwiedził też tą wioskę, wiatr ciągle dmucha na mnie zimnym powietrzem i bez przerwy kicham. Na targu przy brzegu Agan mają więcej słupów z lampami niż w Ikati i jest tu pełno ludzi, co sprzedają napój *zobo*, telefoniczne karty z napełnianiem, chleby i suya.

Mężczyźni i kobiety rozmawiają, śmieją się, kupują i sprzedają, jakoby dla nich dzień się nie skończył. Ich dziecki bawią się w kałużach między straganami. Po drugiej stronie placu pod drzewem guawy stoi motocykl. Idę tam i widzę kierowcę – on siedzi na ziemi, oparty plecami o pień. Motor przywiązał sobie do kostki metalowym łańcuchem, pewnie coby nie okradli go złodzieje, jak zaśnie. Łańcuch zamknięty jest na małą złotą kłódkę. Mężczyzna ma na sobie T-shirt i dżinsy. Chrapie tak, że słyszę go nawet mimo nocnych hałasów.

– Dobry wieczór, *sah* – podnoszę głos. – Chcę pojechać na ulicę Kasumu... *Sah*? Przywitałam się. Dlaczego nie

odpowiadasz? *Sah*, przepraszam?

Wołam tak trzy razy, a on nic. W końcu kopię go w nogę. Kierowca próbuje się poderwać, ale zaraz się przewraca, bo łańcuch za krótki.

– Wariatka! – rzuca. – Co mnie kopiesz, jak widzisz, że śpię? Nie nauczyli cię w domu szacunku dla starszych?

– Przepraszam, *sah* – mówię. – Obudziłam cię, bo nie odpowiadałeś. Chcę pojechać na ulicę Kasumu.

Wciska dłoń do kieszeni, wyciąga z niej mały kluczyk i otwiera kłódkę.

– Późno już. O tej porze to będzie pięćdziesiąt naira. – Wytacza motor spod drzewa, wsiada i zapala silnik. – Jedziesz czy nie?

– *Sah*, proszę. Pięćdziesiąt naira to dla mnie dużo. Dwadzieścia?

– Słowo daję, po tym jak mnie kopnęłaś, powinnaś zapłacić trzysta – warczy. – Wskakuj. Zawiozę cię dla Boga.

– Dziękuję, *sah*. – Siadam za nim, kładę swoją siatkę z nylonu przed sobą i zatykam oddech, bo jego ciało śmierdzi jak krowie placki.

Jak jedziemy przez wioskę, widzę rzędy domów z metalowymi blachami jako dachy, salony piwne, co przed nimi świecą zielone i czerwone żarówki, a mężczyźni z tłustymi brzuchami tłoczą się ściśnięci na małych drewnianych ławkach. Piją, śmieją się i grają głośną muzykę.

Skręcamy w ulicę Kasumu i pokazują mi się światła w domu Iyi. Jestem w nadziei, że ona mi pomoże. Że przypomni sobie,

co powiedziała dawno temu, kiedy przyniosłam jej jedzenie. Że ma dobre serce i zatrzyma mnie na krótko u siebie.

Płacę kierowcy, zsiadam z motora i biorę głęboki oddech. Wchodzę do środka, idę długim korytarzem z jedną tylko żarówką, co bez przerwy miga, jakoby elektryczność miała jakiś problem.

Znajduję pokój numer dwa i pukam do drzwi.

– Iya – wołam. – Tu Adunni. Adunni, jedyna córka Idowu z wioski Ikati, tej Idowu, co sprzedawała puff-puffy.

Nikt nie odpowiada.

Pukam znowu. Mocniej, pięścią.

– To ja, Adunni. Adunni z Ikati.

Wciąż cicho. Teraz chce mi się naraz siku i kupę. Wciskam rękę między nogi.

Jeśli Iya nie otworzy, to gdzie będę dziś spać? Na targu? Myślę o tym kierowcy i smrodzie jego ciała. Usta wypełnia mi ślina, w oczach stają łzy. Pukam i pukam, nikt nie przychodzi. Płaczę wielkim, głośnym płaczem, on zaciska mi pierś i zmusza gardło do kaszlu. Myślę, że zrobiłam duży, duży błąd. Jak mogłam pomyśleć, że to dobry pomysł? Dlaczego czasami robię takie głupie, durne rzeczy? Płaczę tak mocno, że nawet nie słyszę, kiedy otwierają się drzwi.

Ocieram oczy. Pokój jest otwarty, ale nikt nie stoi na progu. Patrzę w dół i widzę, Iya siedzi na podłodze.

– Adunni.

Głos ma słaby, jakoby odezwała się z ciasno zamkniętego pojemnika. Nogi wyciągnęła przed siebie, wyglądają jak dwa druty. Obok leży laska i myślę sobie, że Iya chyba nic nie jadła,

odkąd ostatnim razem przyniosłam jej jedzenie. Szyję, twarz i pierś ma cienkie jak patyki. Na głowie ma tylko kępkę siwych włosów, na samym środku. Obwiązuje się chustą, co przy każdym oddechu unosi się i opada z takim szumem, jakoby ktoś siorbał gorącą herbatę. Nikt nie musi mi nic mówić. Od razu wiem, że Iya jest jeszcze bardziej chorsza niż moja mama, zanim już nie żyła.

– Dobry wieczór. – Klękam na powitanie. – Obudziłam cię?

– Ach, Adunni – wzdycha. – Słyszałam, że pukasz. Wstałam, ale to długo trwa, bo muszę ciągnąć swoje martwe nogi. – Skóra na jej czole mocno się naciąga. Oczy kobieta ma otwarte, ale nie patrzy na mnie. Wypatruje czegoś za moimi plecami. – Co cię tu sprowadza o tej godzinie? Deszcz zmył wasz dom?

– *Ma*, potrzebuję twojej pomocy – mówię. – W domu mam wielkie kłopoty.

– Wejdź. – Odsuwa się na tyłku i otwiera drzwi szeroko. – Mamy tylko pół prądu, więc nie włączymy elektrycznego światła. Tam z lewej znajdziesz lampę naftową.

Wchodzę i zaraz za progiem czuję gęstą woń nafty. Zerkam na okno, podnoszę lampę z podłogi i zapalam ją. Kiedy już świeci i widzę cały pokój, serce mi smutnieje. Zanim już nie przychodziłam, Iya miała tu tiwi, szafę, krzesło i wiatrak, teraz jest tylko materac i niebieska kuchenka na naftę za nim. Na drewnianym kiju za materacem wiszą dwie, trzy sukienki, i to już tyle.

Oczy Iyi są szeroko otwarte, nieruchome. Kiedy siadam na podłodze, nie patrzą za mną. Po chwili ona zerka na okno i zaczyna mówić:

– *Ma binu*. Nie gniewaj się. Krzesło sprzedałam tydzień temu. Co ci się stało?

Opowiadam historię o Morufu i Khadii. Bardzo mocno walczę, coby się nie popłakać.

– Chcę tylko gdzieś być, na krótko – tłumaczę. – Może aż znajdzie się Bamidele i powie, że to przez niego Khadija umarła.

– Bamidele się nie znajdzie. – Iya kiwa głową na „nie". – Nie, kiedy ma nową żonę i nowe dziecko. Nawet jak go złapią, zaciągną go do naczelnika Ikati, bo stamtąd jest Khadija. A wszyscy wiedzą, że Ikati jest najbardziej gorsze. Tam zabijają bez żadnego pytania. Dlatego Bamidele nigdy nie powie naczelnikowi prawdy o Khadii. Nikt nie chce umierać przed swoim czasem. Ach, twoja mama będzie bardzo smutna, że to wszystko cię spotkało. Co dla ciebie zrobić, Adunni?

– Pomóż mi – proszę. – Pozwól, że tu na krótko zostanę, że się u ciebie schowam. A potem może znajdę pracę w innej wiosce i dalej już sama będę sobie pomagać.

– Nie możesz tu zostać – mówi. – Siedzisz tuż przede mną, a zamiast ciebie widzę tylko taki dym. Czasami nie widzę nic. Moje oczy chorują. Moje nogi chorują. Moje ciało choruje. Wszystko chore.

– Mogę się tobą zająć – obiecuję. – Umiem gotować i prać. Mogę przynosić wodę, chodzić na targ, powiedz tylko co, a ja zrobię. – Mówię to wszystko, a myślę: co zrobię, żeby ludzie z tej wioski nie posłali wiadomości do mojego papy?

Iya kiwa głową na „nie".

– Mój koniec jest blisko, Adunni – odzywa się w mowie joruba. – Przodkowie wzywają mnie do siebie. – Pochyla głowę na bok i jeszcze pochyla, jakoby ktoś za oknem wołał jej imię. – Słyszysz? Biją już w bębny i śpiewają powitalne pieśni. – Pokazuje w uśmiechu zęby. W świetle latarni wygląda, jakoby miała tylko pół twarzy.

Nie wiem, jak odpowiedzieć na słowa o przodkach, no to po prostu milczę.

– Twoja matka... dobra kobieta – przypomina sobie Iya. – Niech Bóg da jej duszy odpoczynek. – Myśli przez chwilę. – Nie płacz, Adunni. Mogę ci pomóc inaczej. – Odchyla powoli głowę, układa się na materacu. – Mam brata, nazywa się Kola. Jesteśmy z jednego ojca, ale różne są nasze matki. Jego praca to pomaganie takim dziewczynom jak ty. – Teraz patrzy w sufit, otwarte oczy nie mrugają. Znów przez chwilę milczy. Wreszcie słyszę: – Dzisiaj pójdziemy spać. Jutro porozmawiamy. Zgaś lampę, żebyśmy nie zginęły w ogniu, aż zanim zapieje kur.

– Tak, *ma*.

Gaszę lampę, układam się na podłodze i wciskam dłonie pod głowę. Siatkę z nylonu zostawiam przy nogach. W domu cicho, ale na zewnątrz świerszcze wołają w noc kre-kre. Iya czasami ma kaszel, jakoby chciała wypluć całe płuca. A czasami chrapie jak generator.

Leżę i myślę o mamie, o Kayusie i Khadii, o wtedy kiedy nie miałam tylu kłopotów. Myślę o tym wszystkim, aż pierwszy kur zaczyna ze świtem swoje kukuryku, a wczesne światło poranka wlewa się z okna do pokoju.

Wtem słyszę taki hałas, jakoby walczyły ze sobą jakieś zwierzęta. Na początku myślę, że może to tylko w mojej głowie, ale dźwięki są coraz bardziej głośniejsze, coraz bardziej bliżej. Słychać bijące o ziemię stopy, dudnią, jakoby to szaleni żołnierze szli na wojenny front. Kiedy docierają tuż przed dom, serce zaczyna mi mocno walić, bo poznaję głos papy. Najbardziej zagniewany ze wszystkich.

– Gdzie moja córka?! – krzyczy. – Kto w tej przeklętej wiosce nazywa się Iya?

ROZDZIAŁ 20

Całe moje ciało słabnie, robi się miękkie.

Głowa mówi, że mam wstać. Wstawaj, Adunni, wstawaj, wstawaj, uciekaj. Ręce i nogi nic z tego nie rozumieją. Chcę do łazienki i kiedy o tym myślę, gorące siki zalewają mi sukienkę, moczą całą podłogę. Serce huczy w uszach; wali bum, bum, bum.

Papa tu jest. Tutaj, w wiosce Agan. Co mogę zrobić? Dokąd iść, żeby zniknąć na zawsze?

– Adunni – odzywa się Iya z materaca. Próbuję odpowiedzieć, ale głos lepi mi się do gardła i nie wychodzi z ust. – Adunni? – mówi znowu, jej słowa ciężkie są od snu. – Czy słyszę twojego papę?

– Tak, *ma* – rzucam, ale ona jakoby nie słyszała.

Sama też siebie nie słyszę. Coś skradło mi głos. Ktoś puka do pokoju. Drzwi się trzęsą.

– Otwierać zaraz! – Zły głos papy.

Zimno zalewa mi ciało. Już po mnie. Umarłam na śmierć. Co zrobię? Dokąd pójdę?

– Adunni – szepta Iya bardzo cicho, tak że nie słyszę za dobrze. – Za materacem są drzwi. Do łazienki. Idź tam. Szybko.

Kiedy się nie ruszam, Iya bije w coś ręką.

– Już!

Podrywam się, jakoby elektryczność przebiegła mi po plecach. Dopiero teraz widzę drzwi, które pokazała. To na nich powiesiła ubrania. Jak mogłam być wczoraj tak ślepa?

– Otwierać! – woła papa.

Drzwi znowu się kolebią.

– Z łóżka wstaję – odpowiada mu Iya. – Jeśli wywalisz drzwi starej, schorowanej kobiecie, spotka cię kara od gromu z jasnego nieba.

Otwieram te drugie drzwi i wychodzę na wąski korytarz, śmierdzi tu sikami. Zapach mnie dławi, zmusza do kaszlu, wyciska łzy z oczu.

Słyszę jeszcze jeden wielki trzask, a po nim głos papy:

– Co to tak długo trwa?

Iya odpowiada bełkotem bez sensu.

Na końcu korytarza są inne drzwi. Wchodzę do środka i przełykam rzygi, co podchodzą mi do gardła, kiedy widzę na podłodze gówna. Niektóre brązowe i kuliste jak jaja na twardo, inne wodne jak owsianka. Wszystko cuchnie. Na gównach siedzą muchy, tańczą i skaczą z jednego na drugie. Po lewej, obok zepsutej toalety bez spłuczki, jest miska do mycia. Plamy gówna są wszędzie. Staję w jedynym czystym miejscu podłogi, trzymam w sobie rzygi, słucham, jak papa kłóci się z Iyą.

– Gdzie moja córka?

Bełkot. Mamrotanie.

– Coś ci usta zakleiło? Gdzie moja córka, pytam? Ludzie gadają, że widzieli, jak tu wczoraj przyszła.

Mamrotanie. Bełkot.

– Kayus – mówi papa. – Ta starucha ma problem z mówieniem i słuchaniem. Przeszukaj pokój. Patrz dokładnie. Znajdź mi Adunni!

Słyszę stuk, huk, bum i myślę, że papa z Kayusem rozrzucają rzeczy Iyi wszędzie.

– Co masz w tej siatce?! – woła papa. – Czy to czasem nie ubrania Adunni? Kayus, patrz no i powiedz.

Nie słyszę odpowiedzi. Zaciskam z całej siły oczy, kulę się w sobie.

– A tamte drzwi? – krzyczy papa. – Otwórz.

Coś grzechocze w korytarzu. Klapanie stóp.

– Kayus, patrz tam, gdzie tak śmierdzi – rozkazuje papa. – Sprawdź, czy nie chowa się tam Adunni. Słyszysz?!!

– Tak, *sah* – odpowiada Kayus.

Kiedy otwierają się drzwi, przyciskam się cała do ściany i rozmazuję plecami plamy gówna. Modlę się, żeby mnie ta ściana połknęła, mnie i całe to gówno, wszystko razem...

Kayus staje przede mną. Patrzy na mnie. Nie mruga. Jakoby zobaczył ducha mamy i jeszcze jej mamy. Kiwam głową na „nie", kładę palec na ustach. Błagają go moje oczy, błaga go mój duch. Proszę, tylko nie mów papie, mówię spojrzeniem. Nie mów papie.

– I co? Jest tam? – woła papa z korytarza. – Kayus?!

– Nie, *sah* – odpowiada. – Nikogo tu nie ma... Ale okno otwarte, może uciekła na targ.

– To wyłaź, idziemy od razu! – nakazuje papa. – Szybko! Morufu i jego ludzie czekają. Naczelnik też czeka!

Kayus stoi jeszcze chwilę. Wargi mu się trzęsą, jakoby walczył z płaczem. Oczy ma mokre od łez, ale na ustach pojawia się słaby uśmiech. A kiedy kładzie sobie dłoń na piersi i kiwa głową na „tak”, wiem, że chce, cobym uciekła, że nie da im złapać mnie.

Dziękuję, mówię bez słów. Dziękuję, mój bracie.

– Kayus! – krzyczy papa. – Idziemy!

Znowu kiwa głową, powoli. Nasze ostatnie pa, pa.

Pa, pa, Kayus, mówią do niego moje oczy, kiedy się odwraca i wybiega na korytarz. Pa, pa, mój słodki.

Stoję tam jeszcze długo, długo. Z ręką na sercu, ze łzami w oczach.

ROZDZIAŁ 21

Iyę widzę w pokoju. Siedzi na podłodze przy naftowej kuchence i miesza w garnku długą drewnianą łyżką.

Po garnkiem tańczy ogień, a kiedy wchodzę, Iya go przykręca i przyciska sobie górną wargę do nosa.

– Wszystko mi zasmrodzisz – mówi. – Idź się umyj. Tą cuchnącą sukienkę wyrzuć. Masz inną?

Patrzę na swoje rzeczy, co czekają w kącie. Biblia mamy i sukienka z ankary.

– Oni tu wrócą – mówię. – Widzieli moje rzeczy. A tam nie mogę się umyć. Wszędzie gówno.

Iya wybucha śmiechem. Śmiech kończy się kaszlem. Brzmi, jakoby ktoś spuścił wodę w toalecie.

– Bo tam nie myje się nikt z rozumem – odpowiada. – To miejsce do srania. Się sra i wychodzi. Sprzątamy tam co miesiąc po kolei, pokój za pokojem. W tygodniu przyszłym będzie sprzątać pokój numer osiem. Idź za dom, do studni. Tam się umyjesz. Yamy gotuję. – Uśmiecha się, jakobyśmy rozmawiały wesoło o jedzeniu. Jakoby przez papę niemal nie pękło mi serce.

– Nie jestem głodna – mamrotam. – Sprawdziłaś, że papa i Kayus na pewno poszli?

– O – odpowiada Iya – pewnie są już prawie w Ikati. Jeden mały chłopiec, taki co pomaga mi w domu, pilnuje teraz

granicy wioski. On bardzo szybko biega. Jak zobaczy twojego papę albo brata, przyjdzie i nam powie.

Zdejmuje z garnka pokrywkę, wsadza łyżkę do środka i kręci. Rozgotowane yamy pachną papryczkami, rakami i olejem palmowym, ale wyglądają jak pomarańczowe gówno. Rzygi wchodzą mi do ust, szybko połykam je z powrotem.

– Innego chłopca posłałam po Kolę. Niedługo przyjdzie – mówi dalej Iya. – Teraz już idź, Adunni. Idź i wymyj się z tego wszystkiego.

– A jak papa wróci, kiedy będę się myć?

– Tak, tak. Stój dłużej i zadawaj głupie pytania. – Iya nabiera łyżką trochę jedzenia i oblizuje, żeby sprawdzić smak. – Jak papa wróci i zobaczy, że tu sterczysz, nie powiem za tobą ani słowa. Przy studni jest pokój i wiadro. Idź szybko.

Zabieram z podłogi sukienkę z ankary, majtki i stanik. Wychodzę.

Studnia, szary okrągły mur w ziemi, co ma w środku pełno wody, jest za budynkiem. Wrzucam wiadro do środka, napełniam je i wchodzę do łazienki; kwadratowy pokój z zimną, cementową podłogą, śliską, jakoby kto rozlał tu surowe jajo. Tak jak w domu Morufu, po ścianie wchodzi czarna trawa, sięga aż po żelazny dach.

Ściągam ubranie i polewam sobie głowę. Zimna woda szokuje mnie jak elektryczność. Szoruję całe ciało ręką – jedną, drugą; woda miesza się ze łzami. Szoruję i płaczę, płaczę i szoruję, aż w końcu wydaje mi się, że jak nie przestanę, to zedrę sobie skórę i popłynie krew.

Kiedy kończę, moje ciało aż dyszy od tego całego szorowania. Zakładam na mokrą skórę stanik i majtki, na

mokrą, bo nie mam szmaty, coby się wysuszyć. Kiedy wracam do pokoju, Iya je yamy z miski, całe palce ma w pomarańczowej masie, jakoby wsadziła rękę do farby.

– A teraz chcesz jeść? – Oblizuje dłoń. – Świeże yamy, nowy zbiór.

– Nie, *ma* – odpowiadam. – Brzuch mi cały podchodzi.

– Nie zamartwiaj się. Kola będzie na pewno – mówi Iya. – Mieszka w Idanre, to niedaleko, ale przyjedzie samochodem. Ma też taki telefon, co się go nosi ze sobą. Jak to się nazywa?

– Komórka. Morufu też ma.

– O, to, to! – Oczy kobiety lśnią, jakoby była bardzo dumna ze swojego brata i jego komórki.

Kiedy ktoś znowu puka do drzwi, przeganiam właśnie sen z oczu. Ale to pukanie nie jest zagniewane, nie takie jak papy.

– Otwórz – każe Iya. – To Kola. Mój brat. Nie inaczej.

Otwieram. Na progu stoi mężczyzna. Patykowaty, jego twarz wygląda jak coś spalonego. Ma na tej twarzy ślady. Dwie proste kreski od oczu po szczękę, po obu stronach. Jakoby ktoś był zły i wymalował mu czarną farbą dwa numery jedenaście.

– Dzień dobry. – Klękam.

Pochyla głowę w lewo, patrzy na mnie z góry na dół i chrząka, jakoby chciał zaśpiewać bardzo głośną piosenkę.

– Jest moja siostra? – pyta.

– Wejdź, *sah.* – Odsuwam się, żeby zrobić mu miejsce. – Witaj, *sah*.

Pozdrawia Iyę szybkim skinieniem. Ona modli się za niego i dziękuje mu za Milo i herbatę Lipton, co to jej przysłał w miesiącu temu. Mężczyzna pyta, czy Iya bierze lekarstwo, na co ona mówi, że tak, trzy razy na dzień. Ale nie widziałam, żeby brała. Ani wczoraj, ani dzisiaj rano.

Kiedy znowu chrzęści mu w gardle, zaczynam myśleć, że może trzeba dać wody.

– Posłałaś po mnie? – pyta chyba zły, jakoby Iya bez przerwy robiła mu kłopoty. – Jeszcze nie mam dla ciebie pieniądzów.

– Nie obchodzą mnie twoje pieniądze. Ale musisz dla mnie pomóc tej tutaj. Dziewczyna, co otworzyła ci drzwi, to Adunni. Pamiętasz Idowu, kobietę z puff-puffami? Adunni jest jej córką.

– Ach! – Mister Kola obraca się do mnie i kiwa głową na „tak". – Pamiętam, jak przynosiła ci jedzenie. Przykro mi, że śmierć spotkała twoją matkę.

– Dziękuję, *sah* – odpowiadam.

– Adunni potrzebuje naszej pomocy. – Iya opowiada całą historię o Khadii i o tym, jak szukał mnie papa, i że w końcu wróci. – Możesz znaleźć jej pracę? Taką jak tym innym? Adunni to bardzo dobra dziewczyna. Nawet na książkach się zna. I mówi bardzo dobrym angielskim.

– Iya. – Mister Kola pociąga nosem. – Mogę jej pomóc, ale nie dzisiaj. Dziś jest za mało czasu. Widzę, że ma kłopoty, ale jeśli zaczeka może tydzień, to znajdę...

– Tydzień to za długo – rzuca kobieta. – Adunni musi jechać dzisiaj. Teraz, rano. Jej papa tu wróci i ją znajdzie. To

pewne. Nie mogę pozwolić, żeby stało się jej coś złego. Obiecałam to jej matce lata temu. I dotrzymam obietnicy.

Kiedy to słucham, łzy znów szczypią mi oczy. Składam ze sobą ręce, podnoszę je do ust i zmawiam za nią modlitwę.

– Rozumiem – mówi mister Kola. – Ale nikt teraz nie da jej pracy, bo... – Milknie, jakoby pomyślał o czymś innym. – Jest taka dziewczyna, co miała zacząć dla mnie pracę w Lagos. Właśnie dziś – mówi. – Może mogę dać Adunni na jej miejsce. Moja szefowa właśnie takiej chyba szuka. Jest w dobrym wieku. Może pojechać daleko? Do Lagos?

Do Lagos? Tego lśniącego, wielkiego miasta? Do Lagos pełnego samolotów, samochodów i pieniądzów? Do Lagos, co o nim bez przerwy rozmawiałam ze swoją przyjaciółką Enitan? Co marzyłyśmy, że pojedziemy tam, kiedy będziemy mieć trochę pieniądzów?

Serce wiruje mi z uczuć i smutku. Robię się bardzo smutna, bo chciałam do Lagos pojechać, coby zobaczyć, jak tam jest, i dowiedzieć się czegoś o tym mieście, nie dlatego że uciekłam. Ale mister Kola czeka na odpowiedź, a papa i Morufu mogą wrócić już zaraz.

– Mogę jechać tak daleko, jak chcesz, *sah* – mówię. – Jestem dobrą dziewczyną, *sah*.

– To ja zadzwonię – odpowiada.

Wkłada rękę do kieszeni i wyciąga komórkę. Naciska na niej jedną, dwie, trzy cyfry i przykłada sobie do ucha. Rozmawia, kiwa głową w górę i w dół, w prawo i lewo.

– Halo? Wielka Madam? Dzień dobry, *ma*. Tu pan Kola, agent. Przepraszam, że budzę tak wcześnie. Jest mały, ale ważny problem. Dziewczyna, którą obiecałem przywieźć, ma

dur brzuszny. No i jest zbyt chora, żeby daleko jeździć. Ale jest inna dziewczyna. Dobra. Na imię jej Adunni. Tak. Ta sama cena. Mała dziewczyna, tak. A czy ja kiedyś zawiodłem, *ma*? Oczywiście, tak. Przeszła wszystkie badania. Dziękuję. – Znowu naciska cyfrę na komórce i chowa ją do kieszeni. – Załatwione – mówi. – Pakuj rzeczy. Jedziemy do Lagos.

Nie wiem, śmiać się czy płakać. Zaciska mi się gardło. Klękam, dziękuję Iyi i zbieram rzeczy do nowej siatki worka z nylonu, ona sama mi dała.

– Kola, dziękuję. – Iya klaszcze w ręce. – I dziękuje ci duch matki Adunni.

Mister Kola kiwa głową na „tak", wciska dłoń do kieszeni i wyciąga dwa brudne pieniądze i kluczyk. Ściska pieniądze i wkłada je Iyi do ręki.

– Ciężkie czasy. W tym kraju nie jest do śmiechu. Niech ci wystarczy do następnego miesiąca. – Patrzy na mnie i macha kluczykiem. – Idziemy.

Mocno łapię siatkę, ale nie ruszam nogami. Stoję i mrugam. Patrzę na tego mężczyznę, bo co jeśli to zły człowiek? Co jak zrobi mi w Lagos złe rzeczy?

– Iya?

Chcę zapytać, czy naprawdę dobrze go zna, choć jest jej bratem, ale słowa chowają mi się gdzieś w mózgu, zbyt głęboko, żeby je znaleźć. Więc stoję tak, patrzę na niego i mrugam.

– Adunni – odzywa się Iya takim głosem, jakoby chciała mnie zaraz zdzielić kijem po głowie. – Lepiej już idźcie, bo zaraz wrócą twoi.

Mister Kola pociąga nosem, odwraca się.

– Będę w samochodzie – mówi. – Jak cię nie zobaczę za pięć minut, jadę sam.

– Módl się za mnie – proszę kobietę i kłaniam się nisko, tak by mogła dosięgnąć mojej głowy.

– W Lagos spotkają cię dobre rzeczy. – Kładzie mi dłoń na włosach. – Jest z tobą duch matki. Idź prędko.

Kiedy mister Kola zapala silnik i samochód wyjeżdża na drogę, spada na mnie ciężar wszystkiego, co się stało, łamie mi serce.

Zostawiam Ikati.

Chciałam tego całe życie. Chciałam wyjechać i zobaczyć, jak wygląda świat. Ale nie tak. Nie kiedy pojedzie za mną złe słowo. Nie jak dziewczyna, co szuka jej cała wioska, bo myślą, że zabiłam kobietę. Nie kiedy jedną połowę duszy zostawiłam z Kayusem, a drugą z Khadiją.

Zwieszam głowę i czuję, jak przygniata mnie ciężka, gruba chusta. Chusta wstydu, smutku i bólu serca.

ROZDZIAŁ 22

Lagos jest tak daleko, jakobyśmy jechali aż na sam koniec Nigerii. Wioskę Agan zostawiliśmy chyba trzy godziny temu, a wciąż jesteśmy na autostradzie.

Bierze mnie na spanie, ale w drodze są co pięć minut dziury i kiedy niebieski samochód Mazda w nie wpada, trzęsie mną jak prąd. Podskoki przepędzają mi sen z oczu. Czasami boję się, że auto podzieli się na dwie części i mister Kola zostanie w jednej, a ja w drugiej.

Dlatego patrzę w okno, na zewnątrz. Przy autostradzie dzieci, kobiety i mężczyźni zachwalają chleby, coca-colę i fantę, sprzedają zawieszone na patykach suszone mięso, gazety, owoce, wodę w torebkach z nylonu. Brzuch burzy mi się z głodu, ale nie proszę pana Kolę, coby się zatrzymał i kupił jeść, bo mister Kola patrzy bardzo poważnie i mocno ściska kierownicę w dwóch rękach, jakoby się bał, że mu ona odleci. Na czole ma gniewną zmarszczkę, gruby wałek ze skóry.

Od rana jedziemy w milczeniu i kiedy czuję się zmęczona ciszą, zadaję pytanie:

– Kiedy będziemy w tym Lagos?

Ręką robię cień nad oczami przed słońcem. Jeszcze nie ma południa, a żar jest wielki, jakoby słońce pluło z nieba żywym ogniem. Wszystko rozpalone, nawet guma na samochodowym krześle smaży mi tyłek i czasami siadam na

dłoniach, żeby go ostudzić. Mister Kola nie odpowiada, to pytam znowu.

– Niedługo – rzuca.

Patrzy w lusterko i skręca na inny pas.

– Co ze mną będzie?

– Zaczniesz pracować. A właśnie. Adunni, posłuchaj. Mam w schowku wyniki badań. Zrobił je dla mnie przyjaciel doktor. Wielka Madam chce być pewna, że nie przyniesiesz jakiejś choroby. – Zerka na mnie. – Jesteś chora?

– Nie, *sah*.

– To dobrze. Napiszę na tych wynikach twoje imię i pokażę je Wielkiej Madam. Jak zapyta, czy byłaś u doktora, musisz powiedzieć, że tak, że byliśmy w klinice w Idanre, dobrze? Bo jak powiesz, że nie, to nie da ci pracy.

– Powiem, że tak.

Poprawiam się na siedzeniu. Nie rozumiem, dlaczego mister Kola kłamie. Jeśli kłamie o doktorze, to o czym jeszcze? Czy naprawdę dobrze wszystko pomyślałam, zanim uciekłam z Ikati z tym mężczyzną? Patrzę na niego. Porusza policzkami w górę i w dół, jakoby pożerał powietrze. Wzdycham. Jeśli mówi mi kłamstwa, i tak nic nie dam rady. Nie mogę wracać do Ikati ani uciec gdzieś dalej.

– Zostaniesz ze mną w tej pracy? – pytam.

– Nie. Będę cię odwiedzać co trzy miesiące.

– A będę w tej pracy chodzić do szkoły?

Patrzy na mnie tak dziwnie i chrząka.

– Jak będziesz grzeczna i Wielka Madam cię polubi, może cię pośle do szkoły.

– A jak wróci papa, to Iya mu powie, dokąd jedziemy?

– Iya najpierw umrze, niż zdradzi twoją matkę – odpowiada mister Kola. – To uparta kobieta i nie boi się śmierci. Słuchaj, papa już cię nie znajdzie, nie przez Iyę. Nie przeze mnie. Żeby cię znalazł, sama musiałabyś wrócić do Ikati. Chcesz tam wracać?

Szybko kiwam głową na „nie", choć serce mnie boli, że już nigdy nie wrócę do wioski.

– A kto to ta Wielka Madam? – Rozcieram pierś, masuję obolałe serce. – Dlaczego tak ją nazywasz?

– Adunni – mówi mister Kola i jedziemy bardziej wolno, bo inne samochody przed nami też jadą bardziej wolno.

– Tak, *sah*?

– Niedługo Lagos. Bądź cicho i daj mi prowadzić.

Wzruszam ramionami i patrzę na drogę. Mijamy kobietę. Siedzi na niskiej ławce, pochyla się nad garnkiem z wrzącym czarnym olejem i miesza w nim długą żelazną łyżką. Łyżka popycha smażone tam okrągłe puff-puffy. Ona zupełnie jak pasterz, co przegania owce to tu, to tam. Przypomina mi się, kiedy stałam obok mamy i trzymałam w rękach starą gazetę, rozłożoną jak talerz. Mama wyciągała z oleju brązowe puff-puffy, po trzy, potrząsała łyżką, coby spłynął cały olej, a potem wrzucała gorące kulki do mojej gazety, cobym mogła zjeść, sprawdzić, czy dobrze są słodkie i słone. Podskakiwałam i ze śmiechem wołałam: „Gorące, gorące, gorące". A mama odpowiadała: „Gorące, ale bardzo słodziutkie, prawda, Adunni?".

Myślę o tym, jak prosiła, cobym śpiewała, kiedy choroba kąsała jej ciało i nie pozwalała wstać z maty.

– Adunni, *mi* – mówiła. – Słodyczy moja, przegnaj mój ból śpiewaniem.

Kiedy przypomina mi się Kayus, odpędzam ten widok. Nie chcę teraz myśleć o bracie. O tym, jak rano przyłożył dłoń do piersi, o smutku w jego oczach, kiedy mówił mi pa, pa.

Zaczynam więc śpiewać piosenkę, co jej nauczyła mnie mama, kiedy miałam jakieś sześć lat wieku, piosenkę o nadziei i Bożej miłości.

Przyciskam nos do okna i śpiewam z samego dna brzucha:

Enikan nbe to feran wa	*Jeden jest najlepszy ze wszystkich*
A! O! Fe wa!	*Och, jak On kocha*
Ife Re ju t'iyekan lo	*Kocha mocniej niż brat*
A! O! Fe wa!	*Och, jak On kocha*
Ore aye nko wa sile	*Ziemscy przyjaciele przychodzą i odchodzą*
Boni dun, ola le koro	*Raz nas pocieszają, raz nas smucą*
Sugbon Ore yi ki ntan ni	*Ale ten Przyjaciel nie zwiedzie nas nigdy*
A! O! Fe wa!	*Och, jak On kocha*

Kiedy kończę, zerkam na pana Kolę. Zmarszczki znikają mu z czoła, a wargi podchodzą do góry, jakoby chciał się uśmiechnąć.

– Dobrze z tobą, *sah*? – pytam. – Czy mój śpiew nie robi za dużo hałasu?

– Ładnie śpiewasz. Mówił ci ktoś?

– Mama mówiła. Dużo razy – odpowiadam.

Milczy. Tylko coś przełyka.

– Mam nadzieję, że Wielka Madam będzie dla ciebie dobra – słyszę po chwili.

Ja też, *sah*, myślę sobie. Ja też.

– Witamy w Lagos – ogłasza mister Kola. – Obudź się, Adunni.

Drygam, budzę się i trę oczy, a potem ścieram głupią ślinę, co we śnie wypłynęła mi z ust prosto na sukienkę.

– Przepraszam, *sah* – rzucam. – Już jesteśmy?

Nie wiem, jak długo spałam, ale teraz widzę na ulicy bardzo dużo samochodów. Jest ich tyle jak mrówek, co zbiegają się do kostki cukru. Auta rozmawiają ze sobą trąbieniem: pii, pii. Kiedy jedno takie trąbi tuż za nami, mister Kola poważnieje, mamrota coś pod nosem i klepie dłonią kierownicę. Pii.

Zapach świeżego chleba, ananasów, pomarańczy i *paw-paw*. Zapachy siwego dymu z tyłków samochodów, benzyny, niemytych od dawna pach, wszystko to spotyka się i miesza w powietrzu.

Oddycham bardziej głębiej, powietrze jest zbyt gęste. Zatyka mi gardło, zmusza do kaszlu.

Na ulicy między samochodami przeciskają się ludzie. Każdy sprzedaje co tylko ma do sprzedania, nawet komórki i filmy

na DVD. Jeden mężczyzna trzyma w ręku coś, co wygląda jak kostka mleka, i przyciska nos do okna po mojej stronie.

– Kupcie zimne lody! – woła. – Hej, mała! – rzuca do mnie. – Co to za dzień bez loda?

Nie odpowiadamy i handlarz odchodzi.

Ale przed samochodem pojawia się inny. Ten ma na sobie zieloną koszulkę i czarne spodnie, a w ręku trzyma butelkę ze spienioną wodą. Zanim mogę zapytać, co robi, ściska górę butelki i wylewa wodę z pianą na przednie okno. Zaraz potem wyciąga z kieszeni brązową szmatę i wszystko ściera.

– Wynocha! Zostaw tą szybę w spokoju! – Mister Kola bije w kierownicę. Pii. – Już mi stąd, bo cię rozjadę. Z drogi!

Mężczyzna nie zachowuje się, jakoby usłyszał. Wyciera okno szybko, szybko. Góra, dół, lewo i prawo. Próbuję się nie śmiać, bo szmata zostawia na szkle więcej brudu, niż zanim tarł w lewo, w prawo. Myślę sobie, że może miał w tej butelce olej. Kiedy kończy zmywać, potrząsa szmatą, składa ją i wciska sobie do kieszeni. Uśmiecha się i przykłada rękę do głowy, robi salut.

– Bóg z tobą, *sah* – mówi. – Czyścimy, żebyś dobrze widział drogę.

– Patrz go, jaki kretyn – rzuca mister Kola. – Chce, żebym mu zapłacił za to, że zafajdał mi szybę. Bóg na ciebie jeszcze ześle karę, zobaczysz!

Nie wiem, czy mężczyzna słyszy. Stoi przed samochodem i pokazuje nam zęby w uśmiechu. Znów podnosi rękę do głowy.

– Bóg z tobą, *sah* – powtarza, zanim aż mister Kola wychodzi na ulicę. Wtedy ten ze szmatą biegnie do innego auta.

– Skaranie boskie – mruczy mister Kola, mój kierowca. – Kretyn. Skaranie boskie.

Jedziemy dalej i podjeżdżamy do takiego chłopca. Ma może sześć lat wieku. Ze zwisającej jak z wieszaka czerwonej koszulki sterczy długa szyja. Na stopach dziecek ma czerwone klapki. Patrzy na mnie, ale jego oczy są gdzieś daleko, może zaginęły w innym miejscu, w innym mieście, w innej porze życia. Podnosi rękę do ust, macha mi pa, pa. Znowu dotyka ust. Na szyi ma tabliczkę: GŁÓD. POMUŻ JA PROSZĘ.

– Czego on chce? – pytam pana Kolę.

– To żebrak – odpowiada.

W Ikati nie mieliśmy dziecków, co żebrzą. Nawet jak mama i papa dziecka nie mają pieniądzów, nie posyłają go na żebry. Takie dziecki piorą, sprzątają i grzebią w koszach na śmieci. Dziewczynki biorą ślub, a mama i papa zbierają za nie pieniądze i kupują jedzenie. Ale żadne dziecki nie żebrzą o jedzenie.

– Jestem trochę głodna, *sah* – mówię, kiedy samochód znowu toczy się do przodu.

Brzuch skręca mi się nagle. Głodny. Ale szeptam tylko, bo wstydzę się prosić o jedzenie, kiedy on i Iya już mi tyle pomogli.

– Chcesz bułkę nadziewaną parówką? – pyta mister Kola.

Opuszcza okno po swojej stronie i woła ręką takiego sprzedawcę, co ma na głowie tacę pełną małych, małych

chlebów.

– Bułkę nadziewaną? – pytam.

– Taki chleb z mięsem w środku. Bułka z parówką.

– Tak, *sah*.

– Po ile to? – pyta Mister Kola mężczyznę.

– Sto naira. – Sprzedawca zdejmuje z tacy jeden mały chleb. – Gorące. Prosto z piekarni.

– Trzy wezmę.

Mister Kola trzyma kierownicę jedną ręką, a drugą wysuwa z pliku w kieszeni świeże banknoty. Patrzę na to i smutno mi się robi, bo rano wcisnął Iyi brudne pieniądze, co za nie nawet dwóch takich chlebków nie kupi, a temu tutaj płaci czystymi.

– Zjedz dwa, dla mnie zostaw jednego. – Podaje mi torebkę.

Mięso w środku jest małe i twarde. Jakobym jadła słoną gumę do żucia. Ale jestem za głodna, więc przełykam wszystko. Nawet nie do końca rozgryzam.

Na ulicy w Lagos jeździ za dużo okad. Okady są z lewej, z prawej, tu i tam. Wszędzie te motocyklowe taksi. Bez strachu wpadają przed samochody i pędzą dalej. Suną po drodze jak strumyki wody. Ich kierowcy mają takie same czapki z plastiku, za duże na ich głowy. Pytam o to pana Kolę.

– To kaski. Każdy kierowca okady w Lagos musi nosić kask, bo jak nie, to gubernator wsadzi go do więzienia.

– Można iść do więzienia, jak się nie nosi czapki-kasku? – Ocieram usta grzbietem dłoni.

– Tak słyszę.

Chcę zapytać o bardziej więcej, bo to, co powiedział, nie ma sensu, ale wtedy moje oczy wabi coś innego. Wielkie autobusy. Całe mnóstwo. Żółte z czarnymi pasami. Do jednych przywiązane są ładunki, drugie wożą ludzi. Ten obok naszego auta ma otwarte drzwi. Niektórzy w środku siedzą innym na kolanach. Jakiś mężczyzna trzyma się otwartych drzwi, a całe jego ciało wisi na zewnątrz.

– Bezpośredni do Falomo! – krzyczy. – Wsiadać tylko z odliczoną gotówką!

– Dlaczego nie jedzie w środku? – pytam.

– Konduktorzy w Lagos jeżdżą tak jak on – odpowiada mister Kola. – Po to, żeby sprzedać też swoje miejsce. O, dzięki Bogu, korek wreszcie drgnął.

Samochód toczy się naprzód i niedługo zostawiamy cały hałas za sobą. Wjeżdżamy na drogę, co prowadzi w górę i w górę, wysoko ponad taką rzeką, co się ciągnie hen, hen w dole. Nawet jak wyciągam szyję, nie widzę, gdzie się ta rzeka kończy. Po wodzie pływa rybak, wygląda stąd jak patyk. Pływają tam też białe łodzie, kajaki wożą ludzi.

Odwracam się od rzeki i patrzę na zielony znak nad drogą.

– Trzeci Most, Wsypa Wik... Wiktorii, Ikoyi – czytam na głos, bo chcę, coby mister Kola wiedział, że umiem po angielsku.

– Wyspa – poprawia mister Kola. – „Wyspa", nie „wsypa".

– Ach, no tak. To tam teraz jedziemy? Na tą Wyspę Wiktorii?

– Jedziemy do Ikoyi – tłumaczy mister Kola i patrzy na mnie tak, jakoby chciał, cobym zaczęła skakać i tańczyć. – Ale

najpierw zabiorę cię na Wyspę Wiktorii, żebyś sobie popatrzyła. Potem zawrócimy i pojedziemy do Ikoyi, do domu Wielkiej Madam. Tam wszystko zrozumiesz. Wielka Madam ma prawdziwą rezydencję. Ogromny dom. Jest bogata, Adunni. Bardzo bogata.

– I to dobrze?

– Pieniądze zawsze są dobre. – Mister Kola mocno zaciska usta, jakoby zmęczyły go te wypytywania.

Dalej siedzimy w ciszy, aż w końcu zjeżdżamy z innej wysokiej drogi znowu do miasta. Tym razem wszystko wkoło lśni i świeci. Wysokie budynki ze ścianami ze szkła, wielkie domy, co przypominają statki, kapelusze, kostki, kółka, trójkąty. Są wszelkich kształtów i kolorów. Stoją wszędzie, po prawej, po lewej.

– Ach! – Otwieram szeroko oczy. Się rozglądam.

– Tak – mówi mister Kola. – Bardzo tu ładnie. Ładnie, ale tłoczno. Ten szklany budynek to bank. A ten niebieski, tam daleko nad wodą, to Centrum Miejskie. A tutaj, ten co ma ze sto okien, to Nigeryjska Akademia Prawa. A tamten hotel, ten wysoki, co wygląda, jakoby miał w środku masę świecących gwiazd, to Hotel Intercontinental. Ogromnie drogi. Pięć gwiazdek. A patrz, a tu jest hotel Radisson Blu. O, a tędy pojedziemy już w stronę Ikoyi.

Toczymy się na inną ulicę z wieloma budynkami i masą sklepów. W końcu mister Kola kiwa głową na „tak” i mówi:

– Patrz, Adunni, tamten sklep, ten z manekinami na wystawie, obok GTBanku, to sklep Wielkiej Madam. Cały budynek należy do niej.

Oglądam wysoki szklany dom, co mi go pokazał. Widzę na dachu szklane litery, świecą i mrugają, zielone i niebieskie: TEKSTYLIA U KAYLI. W oknie na dole stoją dwie lalki bez rąk. Skórę mają takiego koloru jak ludzie z Zagranicy w tiwi. Jeszcze nigdy nie widziałam lalki wysokiej jak ja sama. Jedna ma na sobie drogą niebieską koronkę, a druga jest goła. Z przodu ma dwie piersi, małe jak niedojrzałe guawy.

– Ach! – mówię znowu, bo tylko to przychodzi mi do głowy.

– Kayla to imię jej córki. – Mister Kola siedzi z oczami prosto przed siebie. – Stąd taka nazwa. Dobrze, tutaj w końcu jakoś się jedzie.

Suniemy dalej, a mister Kola ciągle pokazuje: ten sklep, ten bank, to biuro. Wszystko dla mnie za piękne i za głośne, od tego chyba puchnie mi głowa. Kiedy skręcamy w taką cichą drogę z zielonymi drzewami po lewej i prawej, gdzie nie ma już hałasu i szkła, i banków, moja głowa wreszcie się uspokaja.

– I co myślisz? – pyta mister Kola. – O Lagos?

– Za dużo wszystkiego, *sah* – odpowiadam. – Lagos to miasto hałasu. Za dużo świateł i szkła.

Mister Kola bierze głowę do tyłu, poprawia czapkę i się śmieje.

– Miasto hałasu to całkiem dobre określenie – mówi. – Wielka Madam mieszka na końcu tej ulicy.

– Tak, *sah*.

– Adunni. – Mister Kola zatrzymuje samochód na boku drogi, obraca się całym ciałem do mnie i patrzy. – W domu

Wielkiej Madam musisz być grzeczna. Nie kradnij. Nie kłam. I proszę, nie lataj za chłopcami.

– Ja? – Robię poważną minę. – Kraść? To niemożliwe, *sah.* I ani razu nie kłamię. A chłopców nie lubię. Jestem bardzo dobrą dziewczyną, *sah*.

– Muszę cię ostrzec, bo jeśli Wielka Madam powie, że już cię nie chce, nie będę wiedział, co z tobą zrobić. Rozumiesz?

– Tak, *sah.* Ja też nie wiem, co ze sobą zrobić. Jak wrócę do Ikati, zabije mnie naczelnik wioski.

– No tak. – Mister Kola chrząka aż trzy razy, znaczy: chce powiedzieć coś bardzo ważnego. – Słuchaj, Wielka Madam spodziewa się, że będziesz ciężko pracować.

– Umiem ciężko pracować, *sah*.

– Ona ma swoje zasady i musisz być im wszystkim posłuszna.

Kiwam głową na „tak".

– Jedz, co dostaniesz. Śpij, gdzie ci pokażą. Ubieraj się w to, co każą – tłumaczy. – Słyszysz? I tylko niech ci woda sodowa do głowy nie uderzy, jak już tam chwilę pobędziesz. Bo wtedy cię wyrzucą. Rozumiesz, że do Ikati wrócić nie możesz, więc zachowuj się jak trzeba. Jasne?

Jak ma mi woda sodowa uderzyć do głowy? Ja przecież niczego takiego nie piję.

– Tak, *sah.* Co jeszcze będę robić?

– Co miesiąc Wielka Madam zapłaci ci dziesięć tysięcy naira – mówi mister Kola.

– Dziesięć co? Dla mnie? To za dużo pieniądzów, żebym tyle dostawała.

– Dlatego będę je odbierać za ciebie. Włożę je do banku, coby były bezpieczne. A za trzy miesiące, kiedy cię odwiedzę, przywiozę je wszystkie. Słyszysz?

– Tak, *sah* – powtarzam. Może jednak mister Kola jest dobrym człowiekiem. Nie zawsze się uśmiecha i chce nakłamać o badaniu medycznym, ale może naprawdę mi pomaga. – Dziękuję, *sah*.

– No, to czas jechać. – Zapala silnik.

Samochód toczy się kawałek i skręca w wąską drogę. Na końcu widzę czarną bramę. Mister Kola zatrzymuje przed nią auto i trąbi. Pii, pii.

W tej samej chwili podjeżdża do nas z tyłu wysoki szary samochód z przednimi lampami, co wyglądają jak oczy wściekłego kocura. Tak wysokiego samochodu nie widziałam ani raz w życiu. Staje, trąbi i brama od razu szeroko się otwiera.

– To dżip Wielkiej Madam – mówi mister Kola. – Kiedy się spotkamy, pozdrów ją, a potem odejdź na bok, żebym mógł z nią spokojnie porozmawiać. Słyszysz?

– Tak, *sah* – powtarzam, kiedy nasz samochód znowu rusza naprzód.

Patrzę po całym obejściu. Oglądam wielki biały dom z czerwonym dachem i dwoma wielgachnymi złotymi słupami z przodu. Wyglądają, jakoby dobry stolarz ściął całe wysokie drzewa, przetarł je papierem ściernym i spryskał złotą farbą. Oglądam niskie palmy, trzy po każdej stronie drogi. Ich pnie przypominają grube ananasy. Długie, zielone liście rozkładają się szeroko, jakoby chciały powiedzieć: Witaj, Adunni, witaj w tym pięknym, pięknym domu.

Oglądam kwiaty – żółte, niebieskie, czerwone i zielone. Rosną to tu, to tam w doniczkach z czarnego szkła, co stoją po całym obejściu. Patrzę na złote lampy z okrągłymi żarówkami. Zupełnie jak księżyce w słoikach. Liczę okna na górze domu, dziesięć niebieskich, szklanych prostokątów w złotych ramach. Stopnie z czerwonego kamienia prowadzą do szerokich czarnych drzwi. Schody są jak język; język olbrzyma, co zjadł za dużo rzeczy, co migotają.

Kiedy tak to wszystko oglądam, kiedy z waleniem sercem połykam cały dom oczami, myślę sobie, że może Wielka Madam jest królową, a ja trafiłam do pałacu samego króla.

ROZDZIAŁ 23

Dżip Wielkiej Madam zatrzymuje się obok innego podobnego samochodu.

Mister Kola hamuje tuż za tamtymi, wyłącza silnik i wysiadamy. Mężczyzna, co prowadził auto Wielkiej Madam, też wychodzi i biegnie do drzwiczek po drugiej stronie. Ma jasną, gładką skórę. Ubrał się w długą brązową szatę, a na głowę włożył białą czapkę Fila. Patrzę na trzy ciemne ślady na boku jego czoła, na białe koraliki modlitewne w ręku. Nie wypuszcza ich, nawet kiedy otwiera dżipa, pochyla głowę i odsuwa się na bok.

– Kto to? – pytam pana Kolę.

– Abu – szepta mister Kola. – Kierowca Wielkiej Madam. Pracuje u niej od lat. Dość tych pytań.

Z samochodu ucieka chłodne powietrze, mocno pachnące kwiatami. Ktoś wysiada. Najpierw widzę stopy. Żółte stopy, czarne palce. Każdy paznokieć w innym kolorze: czerwone, zielone, fioletowe, pomarańczowe, złote. Na najmniejszych palcach błyskają złote obrączki. Kiedy wysiada, jej ciało wypełnia prawie całe obejście. Teraz rozumiem, dlaczego mówią na nią Wielka Madam. Kobieta staje przy dżipie i głęboko oddycha. Jej pierś, szeroka jak szkolna tablica, podnosi się i opada, podnosi i opada. Zupełnie jakoby Wielka Madam chciała wciągnąć nosem całe ciepło, cobyśmy zmarzli i się zaziębili. Czekam. Stoję obok mister Koli i widzę, że on

drży tak samo jak ja. Trzęsą się nawet drzewa w obejściu i te żółte, różowe, niebieskie kwiaty w wysokiej donicy.

Wielka Madam ubrana jest w długą do stóp koronkową *bou-bou*. *Bou-bou* migocze, jakoby miała oczy i ciągle nimi mrugała. Kobieta chyba nie ma szyi. Okrągła głowa wyrasta od razu z szerokiego ciała, a jej piersi zwisają prawie do kolan. Na głowie ma złote *gele*, co wygląda jak przyklejony do włosów wiatrak spod sufitu.

Podchodzi w naszą stronę i dopiero wtedy dobrze widzę jej twarz. Zupełnie jakoby jakieś dziecko diabła pomalowało ją po złości stopami. Cała jest posypana pomarańczowym pudrem, a brwi ma pociągnięte czerwoną kreską, co sięga do samych uszu. Na powiekach leży zielony proszek. Złota szminka na ustach, czerwone plamy na policzkach.

– Dzień dobry, Wielka Madam. – Mister Kola na powitanie jej kładzie się na ziemi.

Kiedy kobieta otwiera usta, coby odpowiedzieć, widać, że jeden z jej dolnych zębów ma w sobie kawałek złota.

– Dzień dobry, agencie Kola – odpowiada niskim głosem. – To ta dziewczyna?

– Najlepsza, *ma.*

Wielka Madam się śmieje. Ten jej śmiech brzmi jak stukot wielkiego kamienia, co spada z wysokiej góry.

Mister Kola wstaje i teraz klękam ja.

– Dzień dobry, *ma* – mówię. – Na imię mi Adunni.

– Adunni. – Ogląda mnie z poważną miną, a potem zaczyna zadawać pytanie za pytaniem. – Umiesz ciężko pracować? Nie mam czasu na głupoty. Czy mister Kola

powiedział ci już, jakie są moje oczekiwania? Zrobiłaś wszystkie badania? Znasz angielski? Umiesz pisać? Podstawowa komunikacja?

Nie rozumiem, co to „oczy kiwania" i co znaczy „komunikacja", więc klęczę po prostu bez słowa.

– Jest bardzo pracowita – chwali mister Kola. – I zdrowa. O, tu są jej wyniki. Wielka Madam wie, że nigdy nie sprowadzam chorych dziewczyn. Ta tutaj rozumie po angielsku i umie nawet przeczytać proste zdania. A w dodatku jest inteligentna. Taka, na jakiej ci zależało, *ma*. Nie sprawi zawodu. Adunni, wstań.

Wielka Madam rozpina *bou-bou* i chucha sobie do środka, na piersi.

– Agencie Kola. Kiedy chcesz mi jakąś sprzedać, zawsze mówisz to samo. Ostatnia, którą sprowadziłeś... Jak się nazywała? Rebecca? Zniknęła i nie wróciła do dziś.

Co za dziewczynę przywiózł tu wcześniej mister Kola? I jak to: zniknęła? Patrzę na niego, ale pamiętam, że nie wolno mi teraz mówić. Odwracam się do Wielkiej Madam, myślę, coby może ją zapytać, kim była ta dziewczyna, ale twarz kobiety jest jak milczący grzmot, tak błyska gniewem, że aż się boję. Czy tej Rebecce stało się coś złego i dlatego zniknęła? A jeśli coś złego stało się Rebecce, czy to samo będzie ze mną?

– Idź do środka i zaczekaj tam na mnie – rzuca Wielka Madam. – Daj nam spokojnie porozmawiać.

Mister Kola kiwa głową na „tak".

– No, Adunni. Idź do domu – mówi. – Muszę pomówić z Wielką Madam. Potem przyjdę.

Wstaję na nogi i raz jeszcze patrzę po obejściu. Zerkam na palmy z lewej i prawej, na inne samochody i na główne drzwi, co wyglądają jak drzwi do nieba. Mają takie olbrzymie klamki ze złotego drewna. Kiedy odchodzę, czuję, jak spojrzenia mister Koli i Wielkiej Madam wiercą mi w plecach dziurę.

Pod drzwiami odwracam się i patrzę na nich, stoją z pochylonymi blisko do siebie głowami, gadają i gadają.

Klamki na drzwiach mają kształt lwich głów z uśmiechem. Niby wiem, że to takie rzeźby, ale przed pukaniem i tak ostrożnie sprawdzam, czy lwy się nie zbudzą i na mnie nie skoczą. Otwiera mi taki jeden niski mężczyzna z gładką skórą koloru węgli z ogniska, co już stygną. Policzki ma okrągłe i spuchnięte, jakoby ktoś je nadmuchał. Wokół ust kręcą się długie wąsy. Ubrany jest w białe spodnie i koszulę, a na głowie we wysoką białą czapkę. Na jego szyi wisi długa niebieska sukienka bez tyłu, co obejmuje cały brzuch. Czytam wyszyty na niej napis: Kucharz.

– Dzień dobry, *sah*. Wielka Madam powiedziała, że mam wejść do środka. – Pokazuję za siebie na Wielką Madam i pana Kolę. – Na imię mi Adunni.

– Nowa pokojówka! No, nareszcie! – rzuca.

– Pokojówka? – Czyli taką pracę będę tu mieć?

Mister Kola nic wcześniej nie mówił. Pytał tylko, czy umiem ciężko pracować, a ja odpowiadałam, że tak.

– Nazywam się Kofi. Jestem kucharzem. – Mężczyzna trąca krótkim palcem napis na brzuchu. – Bardzo wykształconym kucharzem. Skoro masz tu u nas pracować, to chodź ze mną.

Kofi mówi, jakoby miał problem z językiem. Dlaczego tak?

– Czemu dziwnie mówisz? – Patrzę na niego uważnie. – Jesteś z Nigerii?

– Z Ghany. – Odwraca się do mnie. – Mieszkam w Nigerii dwadzieścia lat, ale ciągle mam akcent. Przywiozłem go z domu i już mi chyba nie przejdzie.

– Nie przejdzie? – pytam ze współczuciem, gdy idę za nim do środka. – A kiedy to się zaczęło? To boli? Mam nadzieję, że na to się nie umiera.

Kofi staje i patrzy na mnie jak na wariatkę czy co.

– Skąd Wielka Madam bierze te niewykształcone stworzenia? Powiedziałem, że mówię z akcentem obcego języka. To nie choroba. Okej?

– Okej – odpowiadam, choć nie jest okej.

Przez to, co powiedział, czuję się jeszcze bardziej pogubiona. Może ten akcent wszedł mu też do głowy?

Kiedy się rozglądam, dreszcze chodzą mi na całym ciele. Na podłodze leżą złote i czarne kafelki. Ściany są jasnoczerwone, wiszą na nich zdjęcia Wielkiej Madam i dwóch dziecków, chłopca i dziewczynki. Nos chłopca wygląda jak wielka litera M, a zęby dziewczynki wyłażą na dolną wargę. Dziecki mają długie czarne szaty i trójkątne czapki na głowach. Wielka Madam stoi między nimi, trzyma im ręce na ramionach. Pod inną ścianą są dwa krzesła z drewnianymi oparciami, a obok nich leżą dwie okrągłe poduchy, czerwona i złota, pękate jak balony. Czuję zapach pasty do butów, gotowanej ryby i nowych pieniądzów. Czuć też zimne powietrze, co wylatuje z białego pudełka przy suficie. Na ścianie po lewej i prawej są lustra i taki zegar z wielką tarczą i cyferkami. Po prawej widzę naczynie z zieloną wodą. Na dnie

leżą kamienie. W zielonej wodzie świeci szklany patyk i pływają wokół niego małe ryby. One są kolorowe: czerwone, zielone, czarno-białe, pomarańczowe. Mają bardzo różne kształty, a jedna nawet wygląda zupełnie jak żaba. Ze świecącego patyka wyskakują bąbelki, dużo bąbelków, przez co woda pluska, jakoby się gotowała.

Kofi pokazuje mi naczynie z rybami.

– Usiądź tam, przy akwarium. Ja będę w kuchni. Szykuję kolację. Twoja praca polega na zajmowaniu się domem. Moja na gotowaniu. Rób swoje, a ja będę robić swoje.

Zanim mogę zapytać, czym mam się zająć, Kofi wychodzi przez szklane drzwi i zamyka mi je przed twarzą.

– A-kwa-rium – powtarzam powoli, patrzę na naczynie z rybkami.

Siadam na krześle, a swoje rzeczy daję na podłogę. Siedzenie jest miękkie, z brązowej gumy i pachnie jak nowe buty. Chłodzi mi tyłek. Patrzę na zegar. Wskazówki mówią, że za piętnaście druga.

Czy znaleźli już Khadiję? Może nawet pochowali? A co z jej dzieckami? Czy bardzo płaczą, bo ich mama nie żyje? A ja? Co tu robię w tym mieście hałasu jako pokojówka takiej Wielkiej Madam, co nosi na twarzy za dużo kolorów? Dlaczego nie jestem w Ikati, w domu Morufu? Dlaczego nie zasypiam obok Khadii i nie szeptam z nią po nocy? Albo z mamą, gdyby nie umarła, dlaczego nie siedzę przy jej nogach na macie, nie wącham jej zapach mąki, cukru i mleka?

Dlaczego mam pracę pokojówki, skoro chciałam tylko iść do szkoły? Nie wiem kiedy ani jak, ale moje oczy znów robią

się mokre od łez. Tym razem płaczę krótko i wycieram te łzy, każę swojej głowie, żeby była silna. A potem siedzę już cicho i czekam na Wielką Madam i pana Kolę.

ROZDZIAŁ 24

Wielka Madam nie przyprowadziła mister Koli.

Wchodzi sama jedna. Staje na środku salonu, opiera obie ręce na biodrach i zaczyna głośno wołać:

– Kofi! Kofi!!!

Siedzę na krześle i patrzę. Otwieram usta i zaraz je zamykam. Nie wiem, czy coś mówić, czy zachować słowa dla siebie.

– Kofi! – krzyczy. – Ko... Gdzie on się podział? Kofi!!! Głuchy jesteś?

Kucharz przybiega skądś z drewnianą łyżką w ręku.

– Przepraszam, madam. Nie słyszałem, bo blender hałasował. Właśnie zacząłem... Potrzeba czegoś?

– Co robisz na obiad? – pyta ona. – Przyniosłeś pomarańcze z targu Balogun? A yamy? Czy świeża ryba dla Wielkiego Taty już na ogniu?

Mężczyzna kiwa głową najpierw na „tak", potem kręci na „nie".

– Ryba się grilluje. Pomarańcze nie były świeże, ale i tak trochę wziąłem. Gotuję biały ryż i potrawkę z ryb. Może podam też brokuły? Madam życzy sobie na parze czy smażone?

– Na parze. Znajdź dla Adunni uniform. I zaprowadź dziewczynę do jej pokoju.

Kiedy to słyszę, wstaję na nogi.

– Tu jestem, *ma* – mówię. – A gdzie mister Kola?

– Kiedy już się przebierze, oprowadź ją po domu. – Na mnie Wielka Madam nawet nie patrzy. Mówi tylko do Kofiego. Jakobym nie powiedziała jednego słowa. – A potem wyciśnij mi sok z pięciu pomarańczy i przynieś na górę. W pralni czekają ubrania, które trzeba wyprasować. Wątpię, żeby umiała prasować żelazkiem. Pokaż jej. Jak mi coś przypali, odliczę ci z pensji. Zrozumiano?

– Wszystko zrozumiałem, madam – mówi Kofi.

– To i dobrze – rzuca ona. – I powiedz Abu, niech przyniesie z bagażnika materiał. Przywiozłam trzy belki burgundowej francuskiej koronki. Zostawcie wszystko w holu. Caroline przyśle po to potem kierowcę. A teraz dajcie mi spokój. Nie chcę, żeby mi przeszkadzano. – Wielka Madam odwraca się i wychodzi.

– Czy z nią wszystko dobrze? – Patrzę na zamykające się szklane drzwi. – Dlaczego ze mną nie rozmawia?

– Nie chcesz, żeby z tobą rozmawiała – szepta Kofi. – Zaczekaj tu chwilę. Wyłączę pod kuchnią gaz i wszystko ci pokażę. Kiedy Wielka Madam wróci na dół, lepiej, żebyś już pracowała.

Kofi odchodzi, a ja patrzę na siebie w lustrze. Moja głowa wygląda jak źle uprawiane pole: nowe, grube włoski wyrastają pomiędzy warkoczami jak uparte chwasty w ogrodzie. Czerwone koraliki, co dawno temu wplotła mi je Enitan, wszystkie już pospadały. Oczy mam wielkie od szoku, a skóra, co zawsze była gładka, jasna i ładna, ma teraz kolor zepsutej herbaty bez mleka.

ROZDZIAŁ 25

Dom Wielkiej Madam ma pokoje tu i tam, z lewej i prawej.

Pokój do srania jest inny od tego do kąpania. Pokój do wieszania ubrań jest inny od tego do spania w łóżku. Jest specjalny pokój do chowania butów, do chowania samochodów, do trzymania makijaży. Wszystkie są duże, ze złotymi kafelkami na podłodze. Do sypialni Wielkiej Madam nie weszliśmy, ale Kofi powiedział, że w środku jest okrągłe łóżko i jeszcze jedna łazienka. Na dole są dwa salony. Jeden dla odwiedzających gości, drugi tylko dla Wielkiej Madam.

– Tu się nie wchodzi. Tylko kiedy sama cię poprosi. – Kofi zamyka drzwi tego drugiego salonu.

Na ścianach w każdym pokoju wiszą lustra. Wielka Madam to chyba bardzo próżna kobieta. Bez przerwy się przegląda.

Kolejny pokój – tylko do jedzenia, taki z długim stołem i ze piętnastoma złotymi krzesłami. Stół to długa złota płyta na czterech szklanych nogach. Na środku sufitu wisi skrzynka ze setką żarówek, a w kątach stoją szklane garnki, co w nie powtykano pełno różowych i czerwonych, świeżo pachnących kwiatów.

– To jadalnia – tłumaczy Kofi. – Wielki Tata i Wielka Madam jedzą tu, kiedy między nimi dobrze. Ostatnio to rzadkość. Chodź za mną. Tak, a ten mały pokój to biblioteka. – Otwiera drzwi obok i wchodzimy do ciemnobrązowej skrzyni z drewna.

A w niej masa książek, po sam sufit. Jest też kanapa z normalnymi poduchami. I stół z krzesłem. I złoty wiatrak, co ma trzy łopatki. Pachnie tu kurzem, ale mi nie przeszkadza. Kiedy na to wszystko patrzę, puchnie mi serce. Zupełnie jakobym była w niebie książek i edukacji.

– Lubisz książki? – pyta Kofi.

– Chcę czytać co dzień – odpowiadam, czuję odrobinę szczęścia.

Przypominam sobie, co powiedziała mi Kike o karmieniu głowy czytaniem książek. Wyginam szyję, próbuję przeczytać nazwy kilku.

Wszystko rozpada się

Słownik angielski Col-linsa

Afrykańska Biblia z kom-menta-rzami

His-toria Nigerii

1000 modlitw na ratunek mał-żeńńń... stwu

Nigeryjska księga faktów. Przeszłość i teraźniejszość, wydanie 5, 2014

– Czyje są te wszystkie książki? – Zachwycam się i oglądam ten cudowny pokój.

– Wielkiego Taty – odpowiada Kofi. – Dawno temu bardzo lubił czytać. Ale to zanim stracił pracę i zabrał się za alkohol. Teraz z biblioteki prawie nikt już nie korzysta. Pokazuję ci tylko dlatego, że trzeba tu często ścierać kurze.

– Kto to ten Wielki Tata? Mąż Wielkiej Madam?

– Tak – szepta Kofi. – Bezwstydny alkoholik i nieuleczalny hazardzista. Raz po raz wpada w długi i każe żonie je spłacać.

Żaden z niego mężczyzna, jakby mnie kto pytał. Naprawdę żaden. Nigdy go nie ma, bo ciągle jeździ po mieście. Ale dzisiaj powinien się zjawić. A jak mówię, że jeździ po mieście, to mam na myśli, że odwiedza swoje baby.

– Jak to?

– Tak to. Kobieciarz jeden. Ma przyjaciółki. Wiele przyjaciółek. – Kofi krzywi się, jakoby nagle poczuł w ustach gorzki smak. – Ile ty masz lat, Adunni?

– Mam czternaście lat wieku – odpowiadam.

Po co temu mężczyźnie mój wiek?

– Rozumiem. Chodź ze mną. Tędy.

Wychodzimy z biblioteki i Kofi otwiera jeszcze jedne szklane drzwi. Tuż za progiem staje na chwilę i zagląda mi głęboko do oczu.

– Bardzo uważaj na Wielkiego Tatę – szepta tak cicho, że prawie nic nie słychać. – Bądź przy nim ekstraostrożna.

Chcę zapytać, co to znaczy, ale on wtedy klaszcze i mówi:

– Dobrze. To właśnie kuchnia. Moja ulubiona część domu. Proszę do środka.

Takiej kuchni nigdy nie widziałam. Do każdej pracy jest tu inna maszyna. Do mielenia, do mycia, do pompowania wody, do grzania wody. Lodówka dziesięć razy większa od tej, którą mieli w sklepie na targu w Ikati. I każda ta maszyna pasuje do tych innych kolorem. Wszystko czerwone. A w kuchence jest nawet lustro.

– To Wielka Madam kazała dać lustro na kuchenkę?

– Nie – śmieje się Kofi. – Tak już zrobili. Drzwi piekarnika są ze szkła. Dlatego wyglądają jak lustro. – Stuka kuchenkę

parę razy, jakoby był z niej ogromnie dumny. – Najnowszy smeg, sześć palników. Nadałem jej imię. Samanta. W skrócie: Sammy. Fantastyczny sprzęt. To jeden z powodów, dla których jeszcze tu pracuję.

Zamykam na chwilę oczy i widzę w tej wielkiej kuchni mamę. Śpiewa piosenki, zlizuje z palców smak mąki i cukru; naciska to jeden, to drugi guzik i maszyny same smażą za nią puff-puffy. Patrzę znowu i wyglądam przez okno nad zlewem. Szerokie, zielone pole. Myślę o Kayusie. Och, jak on mógłby tu kopać piłkę. Taką prawdziwą piłkę, nie puszkę po mleku, co zawsze kopał ją w domu. Słyszę w głowie jego głos. „Gol!" – krzyczy, kiedy trafia do siatki. Kayus od małego chciał być jak Mr Mercy, piłkarz z Zagranicy.

Papa mógłby usiąść w salonie, na kanapie z miękką poduchą. Oglądałby wieczorne wiadomości i rozmawiał z panem Badą o wyborach. Myślę o tym, jak jemu, mamie i braciom spodobałby się ten dom, wielki i bogaty, potężny.

– Skąd będziemy brać wodę do mycia naczyń i gotowania? – pytam; głos drży mi z szoku. Uspokajam gardło, chrząkam i każę sobie nie myśleć za dużo o życiu zbyt wspaniałym, coby mogło być prawdziwe. – Jest tu gdzieś rzeka albo studnia?

– Adunni, u nas są krany – tłumaczy Kofi. – Zobacz, to jest kran. Stuka w coś przy zlewie. – Płynie z niego woda. Przekręcasz tę wajchę na lewo i masz ciepłą, a w prawo jest zimna. Widzisz? – Obraca wajchą i woda tryska gniewnym strumieniem. W Ikati mamy jeden wspólny kran na całą wioskę, ale woda płynie tam po kropli na godzinę. Za wolno. Kofi obraca jeszcze raz i wyłącza wodę. – No, to teraz idziemy do twojego pokoju. Chodź.

Zostawiamy kuchnię; wychodzimy na obejście. Jeszcze więcej trawy, kolejne palmy przy ścieżce. Skręcamy za róg i widzę mały dom. Też ma czerwony dach, a do tego dwa okna, jedne drewniane drzwi i dwie donice z żółtymi, śpiącymi kwiatami.

– Nazywają to kwaterą chłopców – tłumaczy Kofi. – Cała służba Wielkiej Madam tu mieszka. Dostaniesz jeden pokój dla siebie.

– Dlaczego nie będę spać w domu Wielkiej Madam?

– Bo nie będziesz. – Zaciska usta. – Ja sam gotuję dla tej przeklętej kobiety już pięć lat, a i tak nie mogę spać w jej domu. No dobra. Wchodzimy. – Otwiera drewniane drzwi. Długi korytarz, w którym widzę kolejne trzy drzwi. Kofi pokazuje na pierwsze i naciska klamkę. – To właśnie twój pokój. Wcześniej mieszkała tu Rebecca, dopóki... – Przestaje mówić, przełyka. – Wchodź.

– Dopóki co? – pytam. – Co się z tą Rebeccą stało?

– A kto to może wiedzieć? Pewnie uciekła z chłopakiem. – Wzrusza ramionami. – Twój uniform leży na łóżku. Dawniej nosiła go Rebecca. Mam nadzieję, że pasuje rozmiarem. Jej buty masz pod łóżkiem. Jak się okażą za duże, wypchaj je chusteczkami. No, to przebieraj się, a ja zaraz wrócę i pokażę ci, co masz robić.

Robię krok przez próg. Pokój jest duży jak salon Morufu. Z sufitu na sznurku z białego plastiku zwisa żarówka. W ścianie otwiera się okno, za nim widać metalową kratę. Czerwone zasłony zajmują prawie całe okno, ale przez szparę wpada trochę wiatru i migotanie światła. Zasłony są jak czerwone wargi, co odkrywają dwa białe zęby. Na łóżku leży

materac z żółtej pianki. W kącie stół i krzesło, a obok mam brązową drewnianą szafkę.

– To dla mnie? – Sięgam po ubranie z łóżka i je rozkładam. Długa do stóp sukienka, pokryta czerwonymi i białymi kwadratami. – Uniform do szkoły? – Serce mi rośnie. Może w końcu dobrze, że uciekłam z Ikati.

– Ten uniform nie ma ze szkołą nic wspólnego. To nie mundurek – odpowiada głucho Kofi. – Wielka Madam chce, żeby jej służba nosiła uniformy. Ja mam uniform kucharza, ty będziesz nosić uniform pokojówki.

Sukienka wypada mi z ręki i frunie cicho na podłogę.

– To nie do szkoły? Po co ktoś ze zdrowym sensem chce, żeby pokojówka nosiła uniform?

– Wielka Madam chce, żebyśmy wyglądali profesjonalnie. Jak w porządnym domu, rozumiesz. A ja się zgadzam. Nie wiem jak twoja, ale moja praca jest ważna. A ona ma ważnych przyjaciół. Bardzo bogatych ludzi. Czy to mister Kola powiedział ci, że Wielka Madam pośle cię do szkoły?

– Mówił, że jak będę grzeczna, to może tak. No to kiedy zobaczyłam ten uniform, pomyślałam, że...

– Będziesz się uczyć? – Kofi wchodzi mi w słowo i kręci głową. – Nigdy nie wykształciła żadnej pokojówki, jaką tu widziałem. Ty jesteś tu do pracy. Tym masz się zajmować, i tyle. Przebieraj się. Za dziesięć minut spotkamy się na zewnątrz.

– Używałaś kiedyś żelazka? – pyta Kofi.

Stoimy w małym pokoju z długim trójkątnym stołem. Przy drzwiach stoi kosz pełen czystych ubrań. Na stole widzę

żelazko z napisem Philips.

– W Ikati mieliśmy dwa sklepy, gdzie takie sprzedawali. – Podciągam uniform pod szyję, żeby pasował. – Ale to bardzo drogie. W życiu nawet nie dotknęłam żelazka.

Uniform sięga mi prawie do kostek. Jest w nim za dużo miejsca na ręce i wyglądam, jakobym szykowała się latać z ptakami. Na nogach mam buty Rebeki. Też są za duże, więc wcisnęłam z przodu papier toaletowy, przez co muszę teraz zginać palce i to boli. Myślę sobie, że Rebecca była pewnie starsza niż ja. I dużo większa.

– To proste. – Kofi przekręca coś na żelazku. – Musisz tylko wsadzić to tutaj do gniazdka i obrócić tę tarczę tak, żeby pasowała do znaczka na metce ubrania. Nie martw się, pokażę ci, jak je czytać i co znaczą. A potem wystarczy, jak będziesz robić tak. – Posuwa żelazkiem w przód i w tył po ubraniu z taką miną, jakoby to ubranie zrobiło mu krzywdę. – A kiedy skończysz, zawsze pamiętaj je wyłączyć, o tutaj. Inaczej może wybuchnąć pożar. Jak nie będziesz czegoś pewna, pytaj mnie.

Kofi mówi po angielsku tak dziwnie, że nie wszystko rozumiem, ale wytężam mózg i bardzo się staram złapać, o co w jego słowach chodzi.

– Zawsze będę je wyłączać. Za każdym razem. Nie chcę buchnąć pożarem.

– Bardzo dobrze – rzuca. – Wielka Madam ma dla pokojówek specjalny rozkład dnia. Na pewno sama ci go przedstawi, ale wiem, że chce, byś zaczynała o piątej rano. Będziesz myć podłogi w całym domu. Podłogi i kafelki we wszystkich pięciu łazienkach. Masz też myć okna, zamiatać wokół domu i szorować płyty na podjeździe. Wieczorem

będziesz musiała podlewać wszystkie kwiaty, przecierać lustra i trzepać pościel.

– Okej. – Nagle robię się smutna. – To dużo pracy, ale umiem ciężko pracować. Mister Kola powiedział, że po trzech miesiącach przywiezie mi pieniądze.

Może po wielu miesiącach pracowania i oszczędzania pieniądzów kupię bilet i wrócę autobusem do jakiejś wioski niedaleko Ikati. A jak już będę blisko Ikati, blisko Kayusa i nawet papy, moje serce stanie się nie tak ciężkie.

– Naprawdę myślisz, że mister Kola przywiezie ci pensję? – Kofi podnosi brwi. – Wierzysz w to?

Kiwam głową na „tak".

– On mi pomaga. Nie mam rachunku w banku i dlatego przechowa dla mnie pieniądze. Co robisz taką minę?

– Dlatego – Kofi naciska guzik i żelazko pryska na ubranie wodą – że Rebecce obiecał to samo. Uwierzyła, a on zabrał jej całą pensję i nie pokazał się aż do dziś, kiedy przyjechał tu z tobą.

– To znaczy, że ucieknie z moimi pieniądzami? – Serce zaczyna mi skakać w piersi jak dzikie. W górę i w dół, w górę i w dół. – Bo przysięgam, że go znajdę i obiję mu głowę tymi za dużymi butami. Kofi, ty pewny?

– Mówię tylko, co widziałem na własne oczy. – Wzrusza ramionami. – Rany, zadziorna jesteś jak na tak młodą dziewczynę. Mnie to nie przeszkadza, ale przy Wielkiej Madam lepiej bądź pokorna. Szanuj ją, okej?

– A co mam być zadziorna? – rzucam. – Ale wszystkich szanuję, jak oni szanują mnie. A teraz powiedz prawdę, czy

mogę w tym całym Lagos znaleźć pana Kolę?

Kofi wzdycha, ale uśmiech podnosi mu kąciki ust.

– Z mister Kolą to poczekamy i zobaczymy, jak będzie, okej? Dobrze, weź tę koszulę i pokaż mi, jak prasujesz.

ROZDZIAŁ 26

Stoimy w kuchni, a Kofi rozciera papryczki w mikserze. W domu papy i w domu Morufu tarłam je na kamieniu. Łatwo było. Wystarczyło suwać tłuczkiem do przodu i do tyłu. A ta maszyna jest za szybka i robi za dużo hałasu, przez to nie wiadomo, co się dzieje.

Chcę zrozumieć, jak to jest, że jeden guzik na maszynie obraca w kółko papryczki, pomidory i cebulę, tak że znikają i zmieniają się w paprykową wodę, ale nadal myślę tylko o tym, co usłyszałam o mister Koli, o swoich pieniądzach i o zaginięciu Rebeki. Czuję, jakobym miała w głowie coś gorącego, jakoby parzyły mnie wszystkie te sprawy, co ich nie rozumiem.

– A ta Rebecca – pytam – kim była? Dlaczego uciekła? Co ją stąd przegoniło?

Palec kucharza sztywnieje nad guzikiem.

– Była pokojówką Wielkiej Madam. – Nie patrzy na mnie. – Powiedziałem ci już, że pewnie uciekła. To znaczy: była, ale już jej nie ma. Tylko nie wypytuj o nią madam, słyszysz?

– Słyszę. – Przebieram w miejscu nogami, a w mojej głowie robi się coraz bardziej gorąco. – Ale czy tak samo będzie ze mną? Czy też mnie tu potem nie będzie?

– Nie gadaj głupot. – Kofi naciska guzik i kuchnię znowu wypełnia hałas.

– A mogę pytać Wielką Madam o inne sprawy? – przekrzykuję jazgot. – Gdzie ona jest?

Odrywa palec od guzika, odwraca się przez ramię.

– O co chcesz pytać? Wielka Madam nie wie, gdzie mieszka mister Kola.

– Chcę poprosić, coby nie płaciła pieniądzów na rachunek do banku mister Koli – tłumaczę. – Może da mi, a wtedy schowam sobie pod poduszkę. Co ty na to?

– Adunni. – Mężczyzna bierze chustkę i ściera pot z czoła. – Daj sobie spokój. Z Wielką Madam nic nie wskórasz. Ona zawsze ma zły humor. Będzie z tobą gadać tylko wtedy, jak sama zechce. Nie chodź do niej w żadnej sprawie. Ona do ciebie przyjdzie. Co do pensji, nic teraz nie zrobisz. W ogóle nic nie zrobisz, chyba że znajdziesz inną pracę. Umiesz się poruszać po Lagos? Gdybyś wyszła przed dom, to żeby dojść do głównej ulicy, skręcisz w lewo czy w prawo?

– Nie znam Lagos. – Składam krzyżem ręce na piersi. – Dlaczego nie mogę rozmawiać z Wielką Madam? Czy ona nie jest człowiekiem jak... – Milknę, bo nagle otwierają się drzwi i do kuchni wchodzi kobieta, co wygląda jak Wielka Madam.

Wpada jak fala oceanu, głośna i silna. Patrzę na nią z mruganiem. Tak, to Wielka Madam, tylko ze zmytymi makijażami. Jej twarz wygląda, jakoby zgniła, jak zła droga, co w niej pełno dziur. Na policzkach widać tłuste parchy. Ma na sobie inną *bou-bou*, niebieską ze złotym pasem, co biegnie pośrodku z góry na dół. Zdjęła *gele*, odsłoniła włosy: krótkie, siwe, zaplecione w warkoczyki. Kładzie ręce na biodrach, a jej oczy przeskakują ze mnie na Kofiego.

– Co się tu wyprawia?

– Chcę z tobą porozmawiać, *ma*. Poważnie porozmawiać – mówię.

Kofi patrzy na mnie. Ostrzega oczami, żebym zatrzasnęła buzię na kłódkę, ale robię tak, jakobym go nie widziała.

– Mister Kola powiedział, że zatrzyma moje pieniądze na swoim rachunku w banku – zaczynam. Ale Kofi mówi, że...

– Właśnie zabraliśmy się do... – przerywa mi kucharz, ucisza mnie. – Znaczy: właśnie pokazywałem Adunni, jak miksować papryczki, madam. – Jego głos zmienia ton. Jakoby Kofi się bał, że ta kobieta zaraz jego w tym mikserze zmiksuje.

– Prosiłam, żebyś ją oprowadził po domu – rzuca Wielka Madam. – Zrobiłeś to? Czy odkąd się przebrała, zdążyła zrobić cokolwiek? Jest bystra i rozsądna? Czy mam sprowadzić pana Kolę, żeby jutro rano odwiózł ją na wieś?

– Nie, madam – odpowiada Kofi. – Adunni szybko się uczy. Odrobinę za dużo gada, no i jest trochę zadziorna. Ale inteligentna. Wyprasowała nawet kilka koszul. Sam ją nauczyłem.

– Adunni... – Wielka Madam patrzy na mnie z góry na dół.

Przypomina mi się, jak patrzył na mnie papa. Jakobym śmierdziała gównem.

– Tak, *ma*?

– Chodź ze mną.

Odwraca się i wychodzi z kuchni. Idę za nią przez jadalnię do salonu. Ten salon jest jak wszystkie inne w tym domu. Okrągła kanapa, złote kafelki na podłodze, długie lustro na ścianie. A obok niego wisi też tiwi, płaskie jak lustro. W tiwi stoi jakiś mężczyzna i porusza ustami, ale głos nie wychodzi na zewnątrz. Wielka Madam opada na kanapę, poducha trzeszczy.

Bierze do ręki pilota i kieruje go na tiwi, wyłącza i wypuszcza z gniewem powietrze. Na szklanym stoliku przy niej stoi szklanka pomarańczowego soku z kostkami lodu.

– Adunni? – Bierze szklankę i pije.

– Ja słucham, *ma*.

Przełyka i odstawia szklankę tak mocno, jakoby chciała ją stłuc. Lód w środku grzechocze.

– Adunni? – słyszę znowu.

– Tak, *ma*? – Czy ona ma problem z uszami? Po co mnie woła dwa razy?

– Nie stój tak – rzuca. – Kiedy do ciebie mówię, masz klęczeć.

– Tak, *ma*. – Klękam i daję ręce za plecy.

– Ile masz lat?

– Ja? – Kładę rękę na piersi.

– Nie, twój duch – parska jakoś. – A kogo niby pytam? Siebie?

– Mam czternaście lat wieku, *ma*. Prawie piętnaście.

– Mister Kola powiedział, że umarła ci matka i uciekłaś z domu.

– Tak, *ma*. – Dzięki Bogu, że nie mówił jej o Khadii.

– Kiedy przestałaś chodzić do szkoły?

– Byłam tylko w szkole podstawowej. Udało się prawie cztery lata, a potem przestałam. Ale lubię książki. I uczenie.

– Potrafisz czytać i pisać?

Kiwam głową na „tak”.

Wielka Madam sięga i bierze do ręki taką torebkę z żółtymi piórami. Jakoby ktoś zabił ptaka, zanurzył biedne zwierzę w żółtej farbie i sprzedał. Wyciąga długopis, szarpie zębami pokrywkę, wypluwa ją na podłogę i podaje mi ten długopis. Potem jakieś kartki też mi wciska w rękę.

– A teraz otwórz szeroko uszy, które dał ci Bóg, i słuchaj uważnie – każe. – Zapiszesz listę rzeczy, których potrzebujemy w domu, i dasz ją Abu, mojemu kierowcy. W sobotnie ranki jeżdżą z Kofim na zakupy. Co drugi tydzień, w piątek, obejdziesz cały dom, sprawdzisz, czego brakuje, i zanotujesz wszystko w tym zeszycie. Zrozumiałaś?

– Tak, *ma* – odpowiadam.

– Nie wiem, co ci powiedział mister Kola, ale jestem bardzo ważną osobą w towarzystwie – tłumaczy. – Mam bardzo ważnych klientów. Prezydentów, gubernatorów, senatorów. Wszyscy noszą moje tkaniny. „Tekstylia u Kayli" to w Nigerii sklep numer jeden.

– Tak, *ma*.

Co ja mam z tym wszystkim wspólnego? Po co to opowiada?

– Twoim zadaniem jest utrzymywać dom w czystości i robić wszystko, co ci każę. Kiedy nie będziesz pracować, musisz przebywać w kwaterze chłopców, w swoim pokoju. Jeśli będziesz potrzebna, poślę kogoś po ciebie. Rozumiesz?

– Tak, *ma*. Rozumiem.

– A teraz... – kobieta układa się na kanapie i wyciąga nogi – wymasuj mi stopy.

– Ale jak? – pytam.

Pokazuje mi ręką. Kręci nią, jakoby formowała glinę.

– Dłońmi. Rozmasuj mi całe stopy, razem z palcami. Masaż dobrze mi zrobi.

Patrzę na jej stopy. Skóra wygląda jak suchy, spękany po bokach cement. W duchu kręcę głową na „nie". Ma tyle pieniądzów, a jej nogi wyglądają, jakoby od rana do nocy pracowała bez butów na budowie. Biorę je, kręcę nosem, bo śmierdzą, i pocieram rękami kostki. Raz tak, raz inaczej. Chcę zapytać o pana Kolę i swoje pieniądze, ale kiedy patrzę w górę, widzę, że zamknęła oczy. Szybko zaczyna chrapać. Jej gardło wydaje taki dźwięk, jak ten mikser w kuchni.

Masuję ją tak przez piętnaście minut, aż otwierają się drzwi salonu i wchodzi jakiś mężczyzna. Myślę sobie: Wielki Tata. Przypomina balon, co przed chwilą pękł i ucieka z niego powietrze. Zostało jeszcze w górnej połowie ciała, ale na dole już nie. Ubrany jest w białą agbadę i czapkę na głowie. Skórę ma brązową jak świeży ziemniak, a wokół ust kręci się pełno siwych włosków. Na nosie ma szkła, za nimi widzę oczy, szerokie i czerwone, skaczą, jakoby nie umiały ustać w miejscu. Się chwieje, gdy podchodzi, uderza po drodze o tiwi. Wreszcie zatrzymuje się przy mnie.

– A to co za jedna? – Rozciąga słowa jak papa, kiedy za dużo wypije.

– Dobry wieczór, *sah* – mówię. – Na imię mi Adunni. Jestem nową pokojówką Wielkiej Madam.

– Adunni, śliczna Adunni. – Oblizuje usta, język włazi mu na wąsy. – Piękne imię dla pięknej dziewczyny. – Dotyka swojej piersi, pokazuje włosy grube i pokręcone. – A ja jestem Wódz Adeoti, jedyny w swoim rodzaju. Ale ty możesz mnie

nazywać Wielkim Tatą. Powiedz to, niech no usłyszę. Powiedz: Wielki Tata!

– Wielki Tata – mówię.

Nie czuję się przy nim dobrze. Wiercę się, patrzę na Wielką Madam, ale ona ciągle śpi. Potrząsam ją za nogę, tylko zaczyna inaczej chrapać. Jeszcze głośniej.

– Wielka Madam. – Szczypię ją w stopę. – Wielki Tata prosi.

Nie odpowiada. Połyka powietrze i chrapie. Myślę, że gdybym wzięła tiwi i rozbiła jej na głowie, też by nie wstała. Jakoby umarła.

– Ta kobieta przespałaby tsunami – rzuca Wielki Tata. Pada na kanapę i ściąga czapkę, kładzie ją obok siebie. Zdejmuje z nosa szkła, dmucha na nie i wyciera kawałkiem agbady. A potem zakłada z powrotem. – To jak się nazywasz?

– Adunni, *sah*.

– A, tak. Adunni. Cudowne imię.

– Dziękuję, *sah*.

– I mówisz, że ile masz lat?

– Jeszcze nie powiedziałam, *sah*.

Śmieje się, na dole brakuje mu jednego zęba.

– Pyskata, co? To mi się podoba. Nawet bardzo. Okej, zapytam jak trzeba. Ile masz lat?

Odpowiadam.

– Czternaście, prawie piętnaście, co? Czyli ile? Prawie szesnaście albo i siedemnaście. W zasadzie dorosła. Nie jesteś niewinna.

– Nie, *sah* – mówię. – Na imię mi Adunni. Nie Niewinna.

Wielki Tata odrzuca głowę do tyłu i znowu rechocze. Pociera się szeroką ręką po brzuchu.

– Nieuk jak się patrzy. No dalej, Adunni. Rozbaw mnie bardziej. Jakie jeszcze zdradzisz mi tajemnice?

– Nie mam żadnych tajemnic – mówię i w tej samej chwili budzi się Wielka Madam.

Rozgląda się po całym salonie, jakoby zabłądziła w ciemnym lesie.

– Adunni? – Patrzy na mnie z góry. – Zasnęłam?

– Tak, *ma* – mówię. – Wielki Tata przyszedł.

Podnosi wzrok i mruga.

– Witaj, Wodzu. Jak podróż? Adunni, idź i powiedz Kofiemu, żeby podał obiad. Niech wyciśnie więcej soku z pomarańczy.

Nadal trzymam na kolanach jej stopy. Nie wiem, czy lepiej je zabrać, czy czekać, aż sama weźmie.

– Co się tak gapisz? – krzyczy. – Rusz się!

– Twoje nogi, *ma* – mówię.

Zdejmuje stopy, plaska nimi o podłogę.

Kiedy wstaję i wychodzę, czuję na sobie gorące oczy Wielkiego Taty. Odprowadzają mnie, nawet kiedy zamykam drzwi i idę do kuchni.

Nocą u siebie w pokoju wyłączam światło, kładę się do łóżka i przyciskam rękę do serca. Bardzo mocno bije. Wszystko mnie boli, boli po całym tym sprzątaniu i zamiataniu, ale po raz pierwszy od kiedy się urodziłam przez

mamę, jestem sama. We własnym pokoju, w swoim łóżku. Takim prawdziwym, z miękkim materacem.

Dobrze mieć te rzeczy, ale czuję, jakoby mojemu ciału czegoś brakowało: oka, nogi, ucha. Nie ma tu ze mną Khadii, nie ma też Morufu ani cuchnącego, śmierdzącego materaca. Dzieci Khadii nie szeptają i nie śmieją się cicho do siebie w pokoju na końcu korytarza i kto wie, kiedy zobaczę znowu nad strumieniem Kayusa, Enitan i Rukę.

Zamykam oczy i nagle przychodzi do mnie wspomnienie: z czasu kiedy miałam pięć lat wieku i z mamą odwiedziłyśmy wodospady Agan. Słyszę ryczącą, huczącą wodę, hałas, co tak łaskotał mamę, gdy stanęła jak pod prysznicem, że zaczęła się śmiać. Ale ja siedziałam wtedy przy wodospadzie na brązowej skale i bardzo się bałam. O to, że woda się rozgniewa i połknie nas obie. Kiedy mama poczuła mój strach, podeszła, podciągnęła mnie na nogi i przycisnęła moją twarz do swojego miękkiego, mokrego brzucha.

– Adunni – zawołała. – Nie bój się. Posłuchaj, jakie to cudne. Posłuchaj muzyki wodospadu.

Słuchałam więc i słuchałam, aż moje uszy złowiły w hałasie piosenkę melodię tysiąca trąb zmieszaną z biciem tysiąca bębnów. I nagle nie było już strachu. Zaraz śmiałyśmy się z mamą i tańczyłyśmy zalane wodą.

Ten sam strach obejmuje mnie dziś w tym dużym domu: strach przed wodą, co spada z wysoka, przed grzmotami i skałami, co potrafią zmiażdżyć, przed Wielką Madam, Wielkim Tatą i Zaginioną Rebeccą. Ale w hałasie tego domu nie słyszę muzyki, tu nie jest cudnie. Kiedy próbuję zasnąć, nie ma przy mnie mamy, co poczułaby mój strach i zabrała go

precz. Widzę tylko Khadiję, leży słaba, słaba na mokrym piachu wioski Kere, prosi z płaczem, cobym pomogła, cobym nie pozwoliła jej umrzeć.

ROZDZIAŁ 27

Tak wygląda moja praca w domu Wielkiej Madam: codziennie muszę umyć wszystkie łazienki i toalety. Muszę szczoteczką do zębów wyszorować między kafelkami i wybielaczem czyścić podłogi i ściany. Muszę zamiatać w każdym pokoju i w całym obejściu. Muszę wyrywać chwasty z doniczek, choć Kofi mówi, że mają takiego człowieka, co nazywają go Ogródnikiem.

Kofi mówi, że Pan Ogródnik przyjdzie w sobotę rano i popracuje przy kwiatach i trawie, ale Wielka Madam powiedziała, że i tak mam to zrobić, więc robię. Kiedy kończę, piorę w wiadrze przed domem jej majtki i stanik, mydłem i wodą. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam majtki Wielkiej Madam, chciałam umrzeć na śmierć. Naprawdę są wielkie jak zasłony. A stanik wygląda jak dwie łodzie. Ona lubi nosić dwa majtki i dwa staniki na dzień, więc w tygodniu piorę ich dużo. A potem muszę je włożyć do maszyny do prania w kuchni, coby i ona je wyprała.

Kiedy zapytałam Kofiego, po co mam prać, jak potem pierze jeszcze maszyna, wzruszył tylko ramionami i rzucił:

– Pierz i nie marudź.

Wieczorem myję okna, czyszczę lustra, ścieram kurz ze stołów i krzeseł. Przemywam to, zamiatam tamto. Nocami masuję też śmierdzące stopy Wielkiej Madam, a czasem zdejmuje też z głowy chustę i prosi, żebym drapała jej włosy.

Na jedzenie mam przerwę po południu, i tyle. Nie ma wieczornego jedzenia. Nie ma porannego.

– Wielka Madam mówi, że stać ją tylko, żeby karmić cię raz dziennie – tłumaczył Kofi, kiedy zapytałam, dlaczego nie ma jedzenia rano i wieczorem.

Czasami Kofi woła mnie rano i daje jedzenie, zanim zbudzi się Wielka Madam. Dwa tygodnie temu przeszło dostałam ryż i potrawkę z jednym gotowanym jajkiem. Wielka Madam spała na górze, więc podziękowałam i usiadłam w kuchni na stołku. Jak tylko ugryzłam jajko, do kuchni weszła Wielka Madam. Zszokowana cała zesztywniałam. Poczułam strach, że zaraz otworzy się podłoga i połknie mnie razem z tym jajkiem.

Zobaczyła mnie, podeszła, zabrała mi talerz i wywaliła cały ryż na moją głowę. Zabrała też jajko, ono wcisnęła mi w czoło. Się popłakałam, bo papryczki z potrawki wlazły mi do oczu i bałam się, że oślepnę. A Wielka Madam zaczęła mnie wtedy bić i kopać. Wszędzie.

– Mówiłam przecież, że nie chcę widzieć, jak jesz w tym domu bez mojego pozwolenia! – krzyczała. – Chyba się nie spodziewasz, że będę cię ubierać i utrzymywać w zamian za tak niechlujną pracę? Jeśli musisz jeść częściej niż raz dziennie, jedz gdzieś na zewnątrz. Własne jedzenie. Nie moje. Czy to jasne? – Spojrzała na Kofiego. – Jeśli jeszcze raz zobaczę, że ta dziewucha je częściej niż raz dziennie, obetnę ci pensję.

Kiedy skończyła bić, odszedł mi głód. To pierwszy raz, kiedy mnie pobiła, a od tamtego dnia dostaję prawie codziennie.

Wczoraj rano walnęła mnie w twarz, bo śpiewałam, kiedy wyrywałam chwasty z trawy. Była w samochodzie i już jechali, ale kazała kierowcy zatrzymać. Wysiadła, podeszła, kiedy klęczałam w gorącym słońcu pod palmą, i uderzyła mnie grzbietem dłoni.

Cios mnie oszołomił. Na chwilę oślepło mi lewe oko.

– Strasznie wyjesz – warknęła. – Przeszkadzasz mieszkańcom Wellington Road tym wyciem, które nazywasz śpiewem. Nie jesteś już w swojej wiosce. Tutaj masz się zachowywać jak zdrowa na umyśle. Tutaj wszyscy mamy klasę. I pieniądze.

Kiedy krzyczała, myślałam sobie, że jej krzyki muszą przeszkadzać ludziom bardziej niż moja cicha piosenka, ale tego powiedzieć nie mogłam. Jak przestała wrzeszczeć, odetchnęła, kiwnęła głową, odwróciła się, usiadła do samochodu i odjechała. Zapytałam Kofiego, dlaczego ona tak ciągle mnie bije. Usłyszałam, że sam nie wie.

– Z tobą jest najgorzej – powiedział. – Bije zawsze, jak tylko cię zobaczy. Naraziłaś się czymś?

Pomyślałam chwilę.

– Nie. Nic nie zrobiłam.

– Skoro tak, sugeruję, żebyś znalazła sposób na powrót do swojej wioski – westchnął. – Adunni, powiem ci coś o sobie. Pięć lat temu poważnie zastanawiałem się, czy nie wrócić do Ghany. Straciłem wtedy pracę u ghańskiego ambasadora w Nigerii, u którego byłem kucharzem. To była zaszczytna praca, Adunni, bardzo ważna. Mieszkałem w cudownym domu w Abudży, zupełnie innym niż ten chlew tutaj. Usługiwałem światowym przywódcom. Dobrze mi się żyło.

Ale kiedy powołano nowego ambasadora, straciłem pracę. Ten nowy, przeklęty idiota, stwierdził, że nie pasuje mu moja kuchnia. – Pokiwał głową na „nie", jakoby poczuł w niej dawny ból. – Postanowiłem, że zostanę w tym kraju i znajdę nowe zajęcie. Wiesz, wcześniej studiowałem na uniwersytecie księgowość i całą rodzinę zmartwiłem, kiedy zdecydowałem oddać się pasji i zostać kucharzem. Jak więc mogłem wrócić do Ghany? Byłby wstyd. Zwłaszcza że jeszcze nie skończyłem budowy. A wszyscy tam ciągle myśleli, że mam ważną pracę u ambasadora. Pracuję tu tylko dlatego, że muszę skończyć budować dom w Ghanie. Ale ciebie nic tu nie trzyma. Nic. Wracaj do swojej wioski. Wracaj do domu.

– Tylko jak ja wrócę? – zapytałam. – Mister Kola zniknął, a ja nie znam drogi do Ikati. Nawet gdybym znała, to nie mogę wrócić, bo... – Zacisnęłam usta. – Bo nie mogę.

Kofi pokazał minę jak ciemna chmura.

– Więc przestań narzekać – usłyszałam. – Pracuj. Ja tak zrobiłem, tak robię codziennie.

– Ale ona za bardzo mnie bije. – Poczułam w oczach gorące łzy. – Mama mnie tak nie biła, nawet papa tak nie bił. – Nawet Labake. Nikt.

– Próbuj nie wchodzić jej w drogę – dał mi radę Kofi. – Jak będzie w domu, pracuj na zewnątrz. Kiedy wyjdzie, biegnij do środka i znajdź sobie zajęcie w domu. Jak cię nie zawoła, nie pokazuj się jej na oczy. Adunni, wiesz przecież, że za dużo gadasz. Musisz mieć odpowiedź na każde pytanie? Naucz się siedzieć cicho. I na litość boską, przestań ciągle śpiewać.

I tak przez następne dwie noce po rozmowie z kucharzem leżałam w łóżku i myślałam nad dobrym planem, aż wreszcie

przyszedł mi do głowy sprytny pomysł na chowanie się przed Wielką Madam.

Dziś rano, jak myłam okno przed kuchnią, usłyszałam jej samochód. Szybko zabrałam szmatę, okrążyłam dom, weszłam do biblioteki i zamknęłam za sobą drzwi.

Oddycham głęboko i zaczynam ścierać regał. Wyciągam po kolei każdą książkę, jedną po drugiej, i wycieram. Próbuję trochę czytać. Nie mogę czytać głośno, bo przecież Wielka Madam, ale mówię do siebie w głowie.

Wiele książek ma za dużo angielskiego i odkładam je po pierwszych dziesięciu słowach. W pewnej chwili biorę do ręki *Słownik Collinsa*. Książka jest mała, ale gruba jak Biblia mojej mamy. Są tu szerokie, żółte i niebieskie litery. Otwieram ją i widzę, że przy wszystkich słowach stoją ich znaczenia. Przewracam strony. Książka poukładała słowa literami, jak w alfabecie ABC. Znam alfabet, więc zaczynam szukać różnych słów. Zaczynam od N, coby sprawdzić „niewinna", bo Wielki Tata wyśmiał mnie wtedy, że myślałam, że to zwykłe imię. Collins tak pisze o „niewinna":

1. przymiotnik: *taka osoba, która nie zawiniła, nie zrobiła nic złego lub nie popełniła przestępstwa.*

2. rzeczownik: *osoba czysta, naiwna lub łatwowierna.*

Dlaczego Wielki Tata pytał, czy jestem czysta? I jak mogę być czysta po tym, gdy Morufu zabrudził mojego ducha i ciało, kiedy pił swój ognisty likier. Zamykam *Collinsa* i biorę *Nigeryjską księgę faktów*.

Po co taka długa nazwa? Ta książka jest bardzo wysoka, jakoby trzy inne, tylko ze sobą sklejone. Na okładce jest obrazek jasnej kuli, a na tej kuli narysowali mapę Nigerii – zieloną, białą i zieloną jak nasza flaga.

Odkładam księgę i patrzę do *Collinsa*, co znaczy „fakt".

rzeczownik*: rzecz lub wydarzenie, o których wiadomo, że są prawdziwe.*

Czy w tej książce znajdę prawdziwą odpowiedź na każde swoje pytanie? Patrzę na pierwszą stronę. Masa kurzu, co drapie mnie w gardle. Kaszlę dwa razy. Książka wygląda na pełną mądrości. Dużo obrazków, też dużo wyjaśnień wielu spraw o Nigerii i całym świecie. Pokazuje, kiedy różne rzeczy stały się w Nigerii. Od dawna aż do 2014 roku.

Fakt: 1 października 1960 to Nigeryjski Dzień Niepodległości. Nigeria uzyskuje niepodległość od Wielkiej Brytanii.

Co to ta Wielka Brytania? Nasz wojenny wróg? Wiem, że niepodległość znaczy, że ktoś jest wolny. Kiedy zabrali naszą wolność? I jak ją potem odebraliśmy? Siadam na podłodze, nie odrywam oczu od książki.

Fakt: Lagos jest najludniejszym miastem Nigerii. To centrum światowego handlu, słynące z licznych plaż, bogatego życia nocnego i największej w Afryce koncentracji milionerów.

Czyli to dlatego wszyscy bogaci ludzie mieszkają w Lagos. Przełykam ślinę i przyciągam książkę bliżej. Mam mnóstwo pracy, ale ta książka jest jak dwie wielkie dłonie pełne miłości, grzejące i karmiące dobrym jedzeniem:

Fakt: w 2012 w wyniku fałszywego oskarżenia o kradzież czworo studentów Uniwersytetu Port Harcourt zostało poddanych torturom i śmiertelnie pobitych w Aluu. Ten straszliwy akt wywołał międzynarodowe oburzenie wymierzone przeciwko panującej w Nigerii sprawiedliwości dżungli.

Sprawiedliwość dżungli.

Może gdybym nie uciekła z Ikati przed żoną Bamidele i tymi ludźmi z wioski Agan... Może też daliby mnie tej sprawiedliwości dżungli i spalili ogniem, boby myśleli, że jestem złodziejką.

Ten fakt bardzo mnie zasmuca, ale czytam dalej. Uczę się faktów, co je rozumiem, i tych, co ich nie rozumiem, aż wreszcie książka robi się za ciężka dla moich rąk. Odkładam ją i wracam wycierać.

Kiedy starłam już kurze w całej bibliotece, wyciągam z kieszeni zeszyt, siadam na kanapie i przypominam sobie w głowie wszystkie rzeczy, co ich potrzeba w domu. Zapisuję je. Czasami sprawdzam w *Collinsie*, jak się co pisze.

1) Papier toaletowy.

2) Mydło.

3) Worki z nylonu. Do wkładania śmieci.

4) Wybielacz. Do brudnych toalet.

5) Mydło w proszku. Do maszyny do prania.

– Adunni? – słyszę z daleka. To Wielka Madam. – Adunni!!!

– Już idę, *ma* – wołam i szybko wciskam zeszyt do kieszeni.

Wstaję.

Kiedy otwieram drzwi, Wielka Madam stoi przed biblioteką. Oczy ma gniewne, całe jej ciało wygląda, jakoby miała zaraz pęknąć.

– Głucha jesteś? – pyta z rękami na biodrach. – Dlaczego muszę tak długo wołać?

Zanim mogę dać dobrą odpowiedź, bije mnie w twarz. Mocno.

Oszołomiona się cofam.

– Aj! – Rozcieram policzek. – Przecież odpowiedziałam. Mówiłam, że idę, ale… – Kolejne uderzenie ucisza moje słowa. Tym razem dostaję w plecy.

Padam na kolana, zamykam oczy i myślę o mamie. Myślę o Ikati, o Kayusie. A ona tłucze mnie dłonią po plecach. Łup, łup, łup, jakoby wściekły bębniarz walił w bęben.

Nie płaczę. Zbieram tylko ciosy i oddaję jej w myślach. Po każdym razie sama ją walę, choć tak naprawdę wcale jej nie dotykam. Nie liczę, ile tego jest. W końcu słyszę głos Wielkiego Taty.

– Co tu się dzieje, do cholery?

– Idiotka funta kłaków niewarta! – Wielka Madam kopie mnie, pluje mi na plecy. – Dlaczego nie płaczesz? Opętało cię? Może masz w sobie demona? Bo jak tak, to ja go z ciebie wytłukę.

– Florence, chcesz tę dziewczynę zabić czy co? – pyta Wielki Tata. – Twój wariacki gniew przegonił już stąd inne, a teraz chcesz to samo zrobić i tej biedaczce? Adunni!

Otwieram oczy, patrzę do góry. Dzisiaj widzę go pierwszy raz od tamtej chwili w salonie Wielkiej Madam. Nigdy go nie ma, ciągle jeździ po swoich kobietach. Dzisiaj nie ma czerwonych oczu. Nie przeciąga słów. Wygląda jak ktoś rozsądny.

– Adunni, wstań. – Podaje mi rękę.

Dźwigam się na nogi. Wielka Madam już mnie nie bije, ale w plecach czuję, jak gdyby nadal mnie okładała. Boli, jakoby ktoś wtarł mi w skórę papryczki, a potem polał ją naftą i zapalił zapałką. Cała oddycham bólem.

– Dzień dobry, *sah*. – Nie klękam na powitanie. Moje kolana nie potrafią się zgiąć. Nic w moim ciele nie działa jak trzeba.

– Adunni, dobrze się czujesz? – pyta.

– Okej, *sah* – odpowiadam, choć wiadomo, że nie jest okej.

– Florence – zwraca się Wielki Tata do żony. – Jeśli ktoś tu jest opętany, to ty.

Kobieta wypuszcza długi oddech. Wygląda, jakoby zjadła właśnie coś słodkiego, jakoby bicie mnie dodało jej sił i nadziei. Patrzy na mnie z góry na dół i syczy:

– Ta dziewucha jest do niczego. Leniwa niedorajda. Cały dom musiałam przeszukać, zanim znalazłam ją w bibliotece. Miga się od pracy.

– Czyli znalazłaś dziewczynę tutaj i dlatego postanowiłaś ją zabić? Chciałaś zamordować dziecko innej kobiety? – Wielki Tata podnosi głos. – Florence, słychać cię było już z podjazdu. Z podjazdu! A gdybyś ją naprawdę zabiła? Gdybyś uszkodziła

jej mózg? Gdyby skończyła sparaliżowana? Jak byś to wyjaśniła przed sądem?

Nie wszystko rozumiem, ale wiem, że Wielki Tata jest na nią zły.

– No, Florence. – Mężczyzna unosi palec, kiwa nim w lewo i w prawo. – Mam nadzieję, że to ostatni raz, kiedy podniosłaś na to dziecko rękę w moim domu. Powtarzam. Mam nadzieję, że to ostatni raz, kiedy podniosłaś rękę na Adunni. Czy to jasne?

Wielka Madam mamrota coś niewyraźnie o płaceniu rachunków i przyjaciółce prostytutce. Zaraz potem odchodzi.

– Nic ci nie jest? – Wielki Tata patrzy na mnie.

– Nie, *sah*. Dziękuję, *sah*.

– Chodź no tu… – Rozkłada szeroko ręce, jakoby chciał coś złapać. – No chodź, chodź. Nie bój się. Chodź.

Stoję twardo w miejscu, patrzę na niego. Co ode mnie chce? Mam go przytulić, e? Kiedy się nie ruszam, podchodzi i otacza moje ciało ramionami.

Sztywnieję, kładę mu ręce na piersi, ale on tylko mocniej ściska.

– Nie przejmuj się nią, Adunni. – Przytyka mi usta do szyi. Jego wąsy drapią mi skórę. Czuję gorący oddech, pachnie miętą i trochę piciem. – Słyszysz?

– Tak, *sah* – odpowiadam przez zęby. – Czeka na mnie praca, *sah*. Proszę mnie puścić, cobym…

– Chcę, żebyś w tym domu czuła się przy mnie swobodnie – ucina moje słowa, trzyma coraz mocniej. – Jeśli pozwolisz, żebym cię bronił, Florence już nigdy cię nie tknie.

Mocno pcham jego w pierś, uciekam mu z rąk i wybiegam przed dom. Pędzę tak szybko, że nie zauważam Kofiego, co stoi przy kranie i łapie wodę do miski. Wpadam na niego ramieniem, tak że prawie się z tą miską przewraca. Ale przytrzymuje się ściany i odstawia miskę na ziemię.

– Adunni! – Wyłącza kran. – Co się stało? Dlaczego... Goni cię kto?

Opieram ręce na kolanach, czekam, żeby oddech mi zwolnił

– Wielki Tata – sapię. – Złapał mnie za mocno, przed chwilą. Uciekłam, jak dałam radę najszybciej.

– Wielki Tata cię złapał? – pyta z troską Kofi. – Dlaczego? Gdzie jego żona?

– Nie wiem dlaczego – mówię. – Najpierw Wielka Madam mnie stłukła, a potem on powiedział, że chce, żebym się czuła swobodnie, i że będzie mnie chronić, jak pozwolę. Kofi, co on ma do mnie? – Patrzę na niego ze strachem.

Sama wiem, o jakie zamiary Wielkiemu Tacie chodzi, ale boję się o tym bardziej pomyśleć. Boję się to powiedzieć.

– Czy tego człowieka ktoś przeklął, czy co? – rzuca cicho Kofi. – Ach, *chale*, ostrzegałem cię przecież. Mówiłem, żebyś była ostrożna.

– Próbowałam być os... ostrożna. – Łzy płyną mi z oczu na policzki. – Nie chcę mieć w Lagos kłopotów i nie mogę wrócić do Ikati, ale Wielki Tata ściskał tak mocno, przestraszył mnie. Już kiedyś innym razem widziałam, jak na mnie tak patrzy. Pomóż mi, Kofi, proszę.

– Nie płacz. – Kiwa głową na „nie” i wzdycha. – Musi być coś... Pomyślę. Może coś się uda. Przestań płakać, słyszysz?

– Dziękuję. – Ocieram twarz brzegiem sukienki, potem idę zająć się wieczornym myciem toalet.

Kiedy kończę pracę i kładę się o północy do łóżka, ciało bardzo boli. Plecy płoną.

Palce mam jak sztywne kawałki plastiku i wiem, że to dlatego, że za mocno ściskałam szmatę. Za mocno i za długo. Próbuję spać, ale kiedy zamykam oczy, ciągle widzę zęby Wielkiego Taty – ostre jak noże, całe we krwi, zbliżają się i chcą gryźć.

ROZDZIAŁ 28

Fakt: Nigeryjczycy znani są z upodobania do imprez i zabaw. Tylko w 2012 roku mieszkańcy tego kraju wydali na szampana ponad 59 milionów dolarów.

Wielka Madam wydaje w niedzielę wielkie przyjęcie. Szaleje z przygotowaniami. Co sekunda krzyczy:

– Adunni, w toalecie na dole umyj dokładnie każdy kąt. – Wskazuje tłustą dłonią drzwi łazienki. – Weź tę nową szczoteczkę do zębów. Tę, którą wczoraj kupiłam, i zanim przetrzesz kafelki, wyszoruj fugi. A ogrodzenie wyszorowałaś, jak kazałam? Tak? No to wyszoruj jeszcze raz. Cement ma się błyszczeć jak nagrobek mojej matki. A, tylko żebyś nie zapomniała o lustrach w jadalni.

Wczoraj po południu przed dom zajechał wysoki biały samochód ciężarówka. Kiedy wybiegłam zobaczyć, kto jest w środku, zobaczyłam tylko brązową krowę. Stała z tyłu. Ciągle zganiała językiem muchy, co siadały jej na nosie. Pojawił się Kofi, ściągnął krowę z ciężarówki i przywiązał ją długim sznurem za szyję do palmy kokosowej.

– Na niedzielę się ją zarżnie. Będzie mięso na grilla i do gotowania. – Śmieje się, klepie krowę po tyłku.

– Po co Wielka Madam wydaje to przyjęcie? – pytam dziś rano Kofiego. W gorącym słońcu przed domem piorę obrus ze złotej koronki. – Ma urodziny?

– Nie – odpowiada. Siedzi na ławce i przebiera rozłożoną na tacy fasolę. – To będzie spotkanie Stowarzyszenia Żon z Wellington Road. Wielka Madam jest jego przewodniczącą.

– Jakie spotkanie, mówisz?

– Stowarzyszenia Żon z Wellington Road. Zgraja kobiet w średnim wieku. Spotykają się, by mieć okazję założyć ładne ciuchy i się upić. Mówią niby, że zbierają fundusze, pieniądze na pomoc ubogim. Kłamstwa! Imprezy takie jak ta w niedzielę mieszkanki tutejszej ulicy urządzają raz na kwartał, każda po kolei. Teraz jest listopad i padło na Wielką Madam.

– To nawet nie urodziny. – Szoruję obrus, zanurzam go w wodzie z mydłem i mnę dwiema rękami. – Zwykłe spotkanie, a marnują takie pieniądze. *Nigeryjska księga faktów* mówi, że Nigeryjczycy lubią wydawać na imprezy, ale nie myślałam, że to prawda. Czy Wellingston Road to nasza ulica?

– Zgadza się. – Kofi kiwa głową na „tak”. – Tylko bez S. Wellington. Na tej ulicy mieszkają rozmaici ludzie. Połowa to byli wojskowi, złodzieje, którzy nakradli, ile mogli z państwowej kasy, a potem rozwiedli się z pierwszymi żonami, żeby wziąć młodsze. Druga połowa to bogaci biznesmeni w rodzaju Wielkiej Madam. Różni prezesi i ludzie ze świata rozrywki. Niektórych nie stać na takie życie, ale wychodzą z siebie, żeby się tylko popisać.

Podnosi tacę i potrząsa nią tak, że fasola skacze w powietrze i upada z powrotem. Kiedy ziarna jeszcze fruwają, Kofi mocno dmucha, żeby wydmuchać z nich brud.

– Trzy lata temu – mówi – jedna z tych głupich żon wpadła na pomysł, żeby założyć stowarzyszenie. Tylko dlatego, że mieszkają przy jednej z najbogatszych ulic w Lagos. Moim

zdaniem to kolejna wymówka dla imprez. Oni wszyscy tak korzystają z pieniędzy. Urządzają przyjęcia i chwalą się obcą walutą. Dolary traktują jak lekarstwo. Wiesz, jaki jest teraz kurs? Sto siedemdziesiąt naira za jednego dolara. *Chale*, jeżeli Buhari nie zostanie za rok prezydentem, to już nic nie pchnie tego kraju naprzód. Nic.

Nie rozumiem, dlaczego Kofi zawsze wytyka, że Nigeryjczycy wydają na to i na tamto, kiedy sam korzysta z nigeryjskich pieniądzów, żeby budować dom w swojej Ghanie. Jak goście Wielkiej Madam dają mu pieniądze, widzę, jak je ściska. Widzę, jak głośno dziękuje i z wielkim uśmiechem wkłada do kieszeni. Dlaczego nie odmawia, jeśli to pieniądze ze złodziejstwa? On sam też jest złym problemem Nigerii.

Kofi kaszle sobie do ręki i wyciera ją w białe spodnie.

– Wielka Madam bywa na przyjęciach co weekend. Sprzedaje tkaniny połowie Lagos, więc zarabia miliony. *Chale*, patrz, ile robaków wyłazi z tej fasoli! Dranie musiały się dostać do worka! Zaraz... Co ja to mówiłem? A tak, stowarzyszenie. Jest ich w sumie z dziesięć, najwyżej piętnaście. I wszystkie ze sobą konkurują. Ostatnie spotkanie organizowała niejaka Caroline Bankole. To najbliższa przyjaciółka Wielkiej Madam. Obrzydliwie bogata żona biznesmena handlującego ropą i gazem. Dla dziesięciorga gości kazała zabić trzy kozy i wynajęła modnego kucharza celebrytę, przepłacanego bufona. A wino, jakie podała, było starsze od mojego pradziadka.

– Czy Wielki Tata pracuje w jakiejś pracy? – Patrzę na palce Kofiego, co nimi rozłupuje łupiny. – Wielka Madam ma pracę. Codziennie jeździ do sklepu. Ale Wielki Tata nie. Dlaczego?

– Bo Wielki Tata to dureń – rzuca Kofi. – Kiedyś miał posadę w banku. Pewnego razu zatwierdził udzielenie kilku wielkich pożyczek swoim znajomym. W grę wchodziły miliardy naira. Znajomi oczywiście tych pieniędzy nie spłacili. Bank najpierw ogłosił upadłość, a dwa lata później po prostu się zamknął. To było... – poważnieje na twarzy i myśli – jakieś piętnaście lat temu. Długo zanim tu zostałem zatrudniony. Kiedy go poznałem, był już taki jak teraz. Nic nie robi, tylko wydaje pieniądze Wielkiej Madam na kobiety, zakłady NairaBet i chlańsko.

– Co to jest chlańsko?

– Picie. Piwo. Wino. Alkohol.

– Szmapan też?

– Szma... co? – Parska śmiechem.

– Widziałam w *Nigeryjskiej księdze faktów*. Nigeryjczycy wydają na to miliony. Szma-pan.

– Ach! Szampan! – śmieje się Kofi. – Szampan, nie szmapan. O, tak. Wielka Madam z przyjaciółkami na przyjęciach wypijają całe butelki, jakby kosztował tyle, co woda.

– A to jest takie picie jak *ogogoro*, co mieliśmy w Ikati? Albo jak dżin? – pytam. – I kiedy wypijesz za dużo, robi ci się z twarzą o tak? – Przewracam oczami, kręcę nimi w prawo i w lewo. Kofi znowu się śmieje.

– To już trzy miesiące, jak tu jesteś – odzywa się po chwili. – Jeśli dobrze pamiętam, mister Kola przywiózł cię w sierpniu. Co zrobisz w sprawie pensji?

– Jeszcze nie wiem. – Wyciskam mydło z obrusa. – Ciągle chcę porozmawiać z Wielką Madam, ale boję się, że znowu mnie stłucze.

– Poczekaj jeszcze kilka miesięcy. Zobaczymy, co będzie. – Kofi odstawia tacę, wyciera dłonie o kolana i patrzy za plecy, jakoby sprawdzał, czy ktoś nie idzie. Zaraz potem wciska rękę do kieszeni i wyciąga złożoną gazetę. – Weź to. Przeczytaj i powiedz, co myślisz.

– Że mam czytać gazetę? – Patrzę na jego rękę. – Ale po co?

– Po prostu przeczytaj – słyszę. – *Chale*, musiałem specjalnie znaleźć czas, żeby pójść do dawnej pracy, do ambasady. Dopiero tam zdobyłem dla ciebie ten numer „Nation Oil". Jest tu coś, co myślę, że może być dla ciebie dobre.

Strzepuję wodę z ręki, biorę gazetę koniuszkami palców i potrząsam, coby się otworzyła. To tylko jedna strona, wydarta z całej reszty. Bardzo ciasno zapisana.

– Wszystko czytać?

– Oj, Adunni… – wzdycha Kofi. – Spójrz na ten nagłówek po lewej. Nad nekrologiem.

Patrzę, gdzie każe. Czytam głośno, powoli:

CZEKAMY NA ZGŁOSZENIA: SZKOŁA ŚREDNIA OCEAN OIL URUCHAMIA STYPENDIUM DLA KOBIET PRACUJĄCYCH JAKO POMOCE DOMOWE

Ocean Oil, czołowy potentat nigeryjskiego rynku naftowego, we współpracy ze szkołą specjalną Diamond,

zaprasza pracujące jako pomoce domowe dziewczyny pomiędzy 12. a 15. rokiem życia do udziału w dorocznym stypendium. To już siódma z rzędu akcja, która pozwala uzupełniać edukację inteligentnym, utalentowanym dziewczętom, które pozostają w trudnej sytuacji życiowej. Pan Ehi Odafe, prezes Ocean Oil, ufundował to stypendium dla uczczenia pamięci swej matki. Madam Ese Odafe pracowała w charakterze pokojówki, aby posłać do szkoły własne dzieci.

Stypendium obejmuje: koszt 8-letniego kształcenia w prestiżowej szkole specjalnej Diamond dla 5 studentek; a także, w uzasadnionych przypadkach, koszty zakwaterowania i utrzymania na cały okres nauki.

Kandydatki muszą być pomiędzy 12. a 15. rokiem życia i pracować jako pokojówka, sprzątaczka bądź pomoc domowa innego rodzaju.

Do wniosku prosimy załączyć napisane przez kandydatkę wypracowanie, nie dłuższe niż 1000 słów, które uzasadnia, dlaczego danej kandydatce powinniśmy przyznać nasze stypendium. Należy również przesłać pozytywną opinię i zgodę podpisaną przez poręczyciela, który musi być poważanym obywatelem Nigerii. Zgłoszenia przyjmujemy do 19 grudnia 2014 roku.

Lista osób przyjętych zostanie wywieszona w naszej siedzibie w kwietniu 2015 roku. W trosce o ochronę wrażliwych danych nie opublikujemy nazwisk w mediach.

– Co to wszystko znaczy? – Kładę gazetę przy nogach i naciskam stopą, żeby nie porwał jej wiatr. – Dużo trudnych

angielskich słów, ale jest coś o szkole.

– To szansa, żebyś mogła pójść do szkoły, za którą nie trzeba płacić – tłumaczy Kofi. – Dadzą ci też dom i wszystko. Prezes Ocean Oil był przyjacielem mojego poprzedniego szefa. Naprawdę niesamowity facet. Bardzo pilnuje, żeby jego ludzie co roku przysyłali do ambasady informację o stypendium. Na wypadek gdyby ktoś z pracowników miał akurat dzieci w odpowiednim wieku.

Kiwam głową na „tak". Nie do końca wierzę w to, co słyszę.

– A te rzeczy, których chcą? Jak mam im to wszystko wysłać?

– Wczoraj, kiedy wracaliśmy z targu, Abu podrzucił mnie do biura Ocean Oil – mówi Kofi. – Wziąłem dla ciebie wniosek. Czeka u mnie w pokoju. Adunni, to twoja jedyna szansa na wolność. – Podnosi głos, prawie jakoby się rozzłościł. – Jeśli zostaniesz tutaj, ten… bydlak może zrobić ci krzywdę. Ciągle wszyscy powtarzamy, że Rebecca uciekła z chłopakiem, ale kto tam wie? Czasami myślę, że on mógł mieć z tym coś wspólnego. Adunni, w Ghanie mam córkę w twoim wieku i nie wyobrażam sobie… – Kiwa głową na „nie". – Zapomnij o tym draniu. Pomyśl o przyszłości. Tutaj dla ciebie przyszłości nie ma, a z tego, co mówiłaś, nie ma jej też w Ikati. Poza tym stypendium nie masz nic.

– Ale czas dali krótki – mówię. – Może najpierw zrobię sobie bardziej lepszy angielski do następnego roku i wtedy…

– Nie możesz tego odwlekać! – Kofi prawie już krzyczy. – Masz czternaście lat. A górna granica to piętnaście. Musisz się zgłosić teraz. Co? Boisz się? Bo wiem, że Adunni, jaką poznałem, skorzystałaby z tej szansy bez zastanowienia.

Nie odpowiadam.

Nie chcę, coby wiedział, że jestem strasznie pełna strachu. Że pragnęłam czegoś takiego od dawna, a teraz, kiedy mi o tym powiedział, boję się spróbować.

Boję się nawet pomyśleć, jak tu by zacząć.

– Posłuchaj, wiem, że to cię trochę przeraża. Będziesz musiała napisać przekonujące... bardzo dobre wypracowanie, żeby cię wybrali. Ale jesteś naprawdę bystra. Konkurencja będzie silna, wiele dziewczyn odpadnie, ale jednego jestem pewien. To się może udać.

– Myślisz?

– Wiem. Wiem, że to możliwe. – Kofi wzrusza ramionami. – Ale zmusić cię nie zmuszę przecież. Wszystko zależy od ciebie, *chale*. Ja zrobiłem, co mogłem. Kiedy mój dom w Kumasi będzie gotowy, znikam stąd na dobre.

Mrugam. W oczach stają mi łzy.

– Jak mogę zrobić bardziej lepszy angielski i napisać wypracowanie już do grudnia? A w ogóle co to wypracowanie?

– Taka jakby historia. W tym wypadku historia o tobie – tłumaczy Kofi. – Mieliście w podstawówce prace pisemne?

– Prace pisemne umiem. – Wyciągam gazetę spod nogi, składam i wciskam sobie do stanika. – Nauczycielka w Ikati uczyła nas pisać różne rzeczy.

– *Chale*, uda ci się. Musisz tylko spróbować. Wystarczy, że znajdziemy kogoś, kto za ciebie poręczy, bo ja nie mogę. Nie jestem obywatelem Nigerii i choć uważam, że praca w kuchni jest niezbędna dla przetrwania ludzkości, to nie wiem, czy sam umiałbym ci pomóc. Wielka Madam i Wielki Tata

odpadają. Mam kilku nigeryjskich przyjaciół. Mogę poprosić ich o pomoc, ale będą musieli się z tobą spotkać. Z tym widzę kłopot. Ale jakoś sobie poradzimy. Najbardziej martwi mnie brak czasu. Zostało nam ledwie trochę ponad miesiąc.

Słyszę wszystko, co mówi Kofi, i widzę, jak bardzo chce, żebym weszła do tego stypendium. Przysięgam, ja też chcę, chcę całą sobą, tylko nie jestem pewna, czy dam radę albo nawet czy przed grudniem napiszę wypracowanie i znajdę kogoś, kto będzie za mnie poręczać.

– Kofi, a dlaczego ty cały czas mówisz na mnie *chale*? – pytam, coby oderwać myśli od tego całego wypracowania. – Zapominasz, że na imię mi Adunni, tak?

– *Chale* to w moim języku „przyjaciel".

– Jestem twoją przyjaciółką? – Uśmiecham się. Kofi czasami jest dla mnie bardzo dobry, tak jak dzisiaj. Ale dużo razy robi tak, jakoby mnie w ogóle nie znał. Czasami, kiedy witam go rano, wcale nie odpowiada, a czasami rozmawia ze mną długo i daje mi jedzenie. – Ja też myślę, że jestem twoją przyjaciółką – mówię. – Dziękuję ci ogromnie za to stypendium.

– Namoczę fasolę. – Wstaje z ławki, zabiera tacę. – Przestań już międlić ten obrus. I tak zaraz pójdzie do pralki. No zostaw go i znajdź sobie coś innego do roboty.

Wieczorem wchodzę do swojego pokoju, siadam na skraju łóżka i wyciągam ze stanika gazetę.

Od kiedy usłyszałam o tym stypendium, próbuję odepchnąć myśli o nim daleko od siebie, ale ciągle wracają. Bez przerwy

myślę: co jeśli? Co jeśli się zgłoszę i mnie wybiorą, i pójdę się uczyć do szkoły?

Rozkładam gazetę na łóżku, wygładzam ją ręką i mrużę oczy, coby wszystko przeczytać we księżyca świetle, co bije z okna. Wielka Madam nie zawsze lubi, jak włączamy światło w nocy, ale dziś za ciemno na czytanie. Wstaję więc i przesuwam zasłonę, żeby zrobić więcej światła. Między metalową kratą a szybą coś wisi.

Patrzę długo i nic nie rozumiem. Wygląda jak korale na długim sznurku. Czyje to korale?

Wstrzymuję oddech i zdejmuję je z kraty. Grzechoczą cicho i w końcu zwijają mi się na dłoni jak mały wąż. Podnoszę je do oczu. Co to? Bo to nie korale na szyję. Za duże, za długie. Kolory koralików: żółty, zielony, czarny i czerwony, przypominają mi o Ikati, o dziewczynach nad rzeką, co nosiły takie na talii, a kiedy bawiły się i tańczyły, te koraliki głośno klekotały.

Kiedy byłam mała, też chciałam mieć koraliki, mama wtedy powiedziała, że ich nie lubi, to nigdy takich nie dostałam. Ciekawe, czyje te korale? Patrzę na nie, obracam w ręku i zauważam, że co cztery koraliki jeden jest czerwony. A czerwień to kolor wioski Agan; taka czerwień, co w świetle księżyca jest pomarańczowa, a w ciemności ma kolor krwi.

Czy to korale Rebeki? Czy ona przyjechała z Agan? I dlaczego te korale zdjęła, a potem powiesiła za oknem?

Coraz mniej rozumiem. Dziewczyny z wioski, te co miały korale, nie zdejmowały ich nawet na chwilę. Nigdy. Zakładały je, jak miały jakieś trzy lata wieku, i nosiły już cały czas.

– Rebecca – szeptam w nocne powietrze. – Jeśli, jak gada Kofi, uciekłaś ze swoim chłopakiem, dlaczego nie zabrałaś korali? Po co je zdjęłaś?

Nikt na moje pytanie nie odpowiada, w ogóle głucho, słychać tylko, jak na zewnątrz mruczy generator. Odwracam się, wciskam korale pod poduszkę i wchodzę do łóżka ze złożoną gazetą w rękach. Próbuję spać, ale robi mi się zimno i ciężko na duszy. Rebecce stało się coś złego. Wiem o tym. Czuję to w środku, ta pewność oplata mi kości jak sznur korali.

Mocno ściskam gazetę, gniotę ją w palcach.

Do grudnia nie jest daleko.

Jeśli zrobię bardziej lepszy angielski, znajdę poręczyciela i wejdę do stypendium, może uwolnię się z tego miejsca, z tego zła.

Ale kto pomoże mi w tym złym, wielkim domu?

ROZDZIAŁ 29

Fakt: Nigerię zamieszkuje ponad 250 grup etnicznych, w związku z czym jada się tu wiele rozmaitych potraw. Do najpopularniejszych należą ryż jollof, *pikantne szaszłyki* suya *oraz* akara, *przysmak wyrabiany ze smażonego ciasta z mąki fasolowej.*

Niedziela. Środek popołudnia. Obejście jest pełne różnych samochodów.

Nigdy czegoś takiego nie widziałam na oczy. Samochody w kształcie samolotów i helipiterów, auta jak łodzie i wiadra. Niektóre niskie i bez dachu, inne wysokie jak dżip Wielkiej Madam. Każdy wygląda bardzo drogo. Nie widziałam kobiet, co z nich wychodzą, bo Wielka Madam kazała mi iść za dom i wyrywać chwasty z trawy.

Spytałam, dlaczego chce, żebym rwała chwasty w niedzielne popołudnie, a ona podniosła kamień i uderzyła mnie nim mocno w głowę. Powiedziała jeszcze, że jestem idiotką i że nie mam „prawa zadawać jej bezczelnych pytań".

Kiedy wyrywam te chwasty, Kofi woła do kuchni.

– No ja tu zaraz oszaleję – mówi. – Idź, umyj ręce. Musisz mi pomóc.

Myję dłonie, a Kofi daje mi tacę pełną małych smażonych kawałków mięsa z zieloną papryką i cebulą. Mięso jest nadziane na cienkie patyczki.

– Zanieś to do salonu i poczęstuj wszystkie kobiety – mówi Kofi.

Patrzę na tacę. Kofi ułożył kawałki mięsa wokół okrągłego malutkiego pomidora, co czeka na środku.

– Mam im dać to mięso? Tak po kawałku, jeden po drugim? A pomidor? Co z tym zrobić?

– To nie pomidor – wzdycha. – To wiśnia. Do ozdoby. Zostaw wszystko jak jest, Adunni. I błagam cię, nie dotykaj jedzenia sama. Nie próbuj nikomu podawać ręką. Jeśli dotkniesz choć kawałka, Wielka Madam wywali wszystko do kosza i każe mi gotować od nowa. A wtedy, *chale*, osobiście obedrę cię żywcem ze skóry. Więc trzymaj język za zębami, głowa w dół, a jak będziesz podchodzić do nich z tacą, zawsze dygnij... o tak. – Kofi ugina kolano i szybko się prostuje. – Powtarzam: nie odzywaj się do nikogo. Rozdaj jedzenie i natychmiast wracaj tutaj. Jasne? Rany, gdzie ja odstawiłem ten *jollof*?

Wchodzę z tacą do salonu, zwracam się do pierwszej kobiety przede mną. Ma mocno czarną skórę. Aż lśni. A pachnie gorzkimi pomarańczami i dymem. Zapach jest ostry i dziwny, naraz kaleczy mi nos i łaskocze w niego. Kobieta ma na sobie ciasną zieloną sukienkę do kolan. Z dekoltu wystają okrągłe połówki piersi. Włosy krótko obcięte, brązowe jak kora, z boku głowy przedziałek, od ucha aż na środek. Wszystkie makijaże na jej twarzy są zielone, z wyjątkiem szminki czerwonej jak krew. Nawet oczy ma mocno zielone. Patrzę w podłogę i podsuwam tacę.

– A to co za jedna? – pyta ona chrypiącym głosem jak ludzie, co za dużo palą. – Florence, czy to właśnie ta nowa

pokojówka, o której opowiadałaś?

– Tak, do niczego jak one wszystkie – odpowiada z rogu salonu Wielka Madam.

Ktoś przy tiwi zaczyna się śmiać.

– Gdzie ty je znajdujesz? – pyta inna kobieta. Patrzę na nią. Ma sukienkę z ankary, niebiesko-białą z błyszczącymi kamykami na piersi. Na głowie nosi perukę, dużą i okrągłą. Jakoby przykleiła sobie piłkę. Puder na jej twarzy jest pomarańczowy – przypomina wieczorne słońce, a wargi ma brązowe jak jej buty. – Od tego swojego agenta? Pana Koli? Mówiłam ci, żebyś dała sobie spokój z lokalnymi pośrednikami. Nie chcesz się posłuchać. Ja korzystam z agencji Konsult-A-Maid. Przysyłają mi same najlepsze. I wszystkie z zagranicy.

– Tłumaczyłam wam to już kilka razy – odpowiada Wielka Madam. – Mister Kola jest tani i solidny. Kiedy Rebecca odeszła, znalazł mi tę naprawdę szybko. Po co mi do sprzątania domu ktoś z zagranicy? Dzieci mieszkają za granicą, więc nie boję się, że ona zrobi im krzywdę. Wiem, że wy najmujecie do dzieci te drogie Filipinki, więc powiedzcie: naprawdę są lepszymi niańkami niż nasze? Moim zdaniem one wszystkie beznadziejne. Biała skóra i obcy akcent nikogo nie uczą lepiej pracować. Słyszałam, że nawet płacicie im w dolarach. Nie rozumiem, czemu miałabym we własnym kraju płacić pokojówce w dolarach. W dodatku przy tym kursie.

Zielone Oczy sięga po mięso. Kolor jej paznokci pasuje do powiek. Paznokcie są naprawdę długie i zawijają się do

środka. Boję się pomyśleć, jak z takimi paznokciami podciera w toalecie tyłek.

– Jak ma na imię? – rzuca. – No dalej, dziewczyno. Podnieś głowę! Jak się nazywasz?

Podnoszę głowę. Kofi surowo nakazał być cicho, ale kobieta patrzy tymi swoimi zielonymi oczami, mruga i czeka, cobym odpowiedziała. Kojarzy mi się z kotem. Czarną kocicą z brązowymi włosami, zielonymi oczami i długimi pazurami.

– Na imię mi Adunni, *ma*.

– O, przynajmniej zna angielski. A pamiętacie tę dziewuchę, która była u Florence przez jakiś tydzień? Tę, co wykradła z kuchni pół zapasów? Jak jej było?

– Chichi – mówi Wielka Madam. – Opętana córka diabła. Odesłałam ją do piekła, z którego wylazła. Przyłapałam ją, jak sika mi do ulubionej filiżanki od porannej herbaty.

– Czyli Rebecca nadal zajmuje pierwsze miejsce. Pełna szacunku, umiała się wysłowić. Ile mogła mieć: dwadzieścia lat?

Kiedy słyszę imię Rebeki, sztywnieję. Może jedna z tych kobiet coś wie. Może Wielka Madam coś powie.

– Kogo to obchodzi? – rzuca moja pani. – Może ktoś ma ochotę na koktajl? Są też grillowane ślimaki na ostro. I jeszcze *suye*, świeże i pikantne.

– Florence, udało ci się wyjaśnić, co się stało z Rebeccą? – pyta Piłka na Głowie. – Lubiłam tę dziewczynę. Uciekła może? Florence? Byłaś u jej krewnych?

– Jestem gotowa przysiąc, że któraś z was prosiła o domową piña coladę – mówi Wielka Madam.

– Wszystkie wcześniej czy później uciekają, prawda? – odzywa się inna kobieta. Patrzę na nią. Jej ciało to jedna prosta kreska. Nie ma biustu, na piersi płaska jak podłoga. Włosy ma długie do pleców, proste, tak czarne, że przypominają węgiel. Rzęsy sterczą jej z twarzy jak miotły i zamiatają z policzków czerwony puder. – Po co Florence miałaby jeździć Bóg wie gdzie, żeby jej szukać? Wiadomo przecież, jakie są pokojówki. Zaciąży taka z jakimś miejscowym idiotą i znika. Ej, ty! Podejdź no z tą tacą.

– Tak, *ma*. – Podchodzę. Podaję tacę, ale ciągle się gapię w złote kafelki podłogi. – Proszę, *ma*.

Chwyta patyczek z mięsem i podnosi, palce ma jak zapałki.

– Roznieś po kolei, poczęstuj wszystkie dziewczyny.

– Jakie dziewczyny? – Podnoszę głowy. – Chodzi o te kobiety?

Nieznajoma odrzuca wąską głowę do tyłu tak szybko, aż mnie bierze strach, że jej się czaszka oderwie, spadnie na ziemię i wytoczy się na zewnątrz.

– Czy ona nazwała nas właśnie kobietami? – Śmieje się, aż jej oczy są pełne łez. – Rany, rany. Przezabawne. Kiki, Caroline, Sade. Ona nazwała nas kobietami. Dobrze, że nie staruchami.

Śmiech otacza mnie ze wszystkich stron, szalony chór.

– Przepraszam, *ma* – mówię. – Nie pomyślałam.

– Co z wami? – Czyjś głos przebija się przez śmiech. Ten głos dolatuje z daleka, z tyłu, i brzmi słodko jak miód. Chcę na nią spojrzeć, ale nie mogę obrócić głowy, więc tylko słucham i zamykam ten dźwięk w swoim sercu. – Przecież jesteśmy

kobietami – mówi. – Nie rozumiem, czemu chcecie ją zawstydzać. Mnie to wcale nie śmieszy. Ani trochę.

– Oho, Tia znowu zaczyna swoje kazania. – Zielone Oczy szepta do Piłki na Głowie.

Piłka na Głowie marszczy nos, jakoby coś jej zaśmierdziało.

– Ostatnio bez przerwy narzekała na dziurę ozonową. Biedna, pogubiona.

– Powinna się z kimś przespać i wreszcie urodzić dziecko. – Zielone Oczy chichota pod nosem, a Chuda podnosi z tacy kolejny kawałek mięsa.

– Adunni, wiesz przecież, że powinnaś być teraz w ogrodzie. – To syk Wielkiej Madam. Odwracam się. Jej czerwona *bou-bou* zamiata podłogę, żółte kokardy na ramionach podskakują w górę i w dół. W dłoni ma kieliszek wina, czerwony napój faluje przy każdym kroku. – Rozdaj poczęstunek i wynocha. Jeśli jeszcze raz cię usłyszę, rozbiję ci ten kieliszek na głowie.

– Tak, *ma*.

– Podobno senator Abdul poprze kampanię Jonathana – mówi Zielone Oczy, kiedy odwracam się od Wielkiej Madam. – Dawniej był jednym z jego najgłośniejszych krytyków. Podejrzewam, że stoi za tym spora sumka.

– Mój mąż ma jutro spotkanie w Aso Rock – odpowiada Chuda. Sięga po dwa kolejne kawałki mięsa i wgryza się w jeden, jakoby zrobił jej coś złego. Jest taka chuda. Gdzie się to całe jedzenie podziewa? – Zawsze kiedy jeździ do prezydenta dyskutować o dochodach z ropy i takich tam, przywozi do domu walizkę dolarów – mówi z pełnymi ustami. – Teraz zbliżają się wybory, więc myślę, że zamiast walizki

przywiezie cały samochód pieniędzy. Muszę być grzeczną dziewczynką, żeby zabrał mnie w przyszłym tygodniu do Harrodsa. Ta torebka od Gucciego, wiecie, ta z krokodylowej skóry, normalnie nie daje mi spać.

– Ta za pięć tysięcy? Z bambusowymi uchami? – pyta Zielone Oczy.

– Pięć tysięcy czego? Dolarów? – rzuca Piłka na Głowie.

– Funtów, kochanie – odpowiada Chuda. – Zamierzam wybrać się z nią na pięćdziesiątkę senatora Laduna. Buty kupiłam już w zeszłym miesiącu, u Harveya Nicksa. Niesamowite. Czerwone podeszwy, sześć cali. Idealnie zagrają z torebką.

Naprawdę, naprawdę, bogaci ludzie są chorzy na głowę. Bo dlaczego buty miałyby grać z torebką? I w co? Może nocą zajrzę do książki o faktach. Może tam się dowiem, dlaczego bogaci Nigeryjczycy bawią się w grę z butami i torbami?

– Do mnie jakoś Gucci nie przemawia – odzywa się Zielone Oczy. – Wyobrażacie sobie, jak długo czekałam na swoją birkin bag od Hermèsa? Osiem miesięcy, cholera. Ale przysięgam, drugiej takiej torebki nie znajdziecie w całym Lagos. A przy okazji... Podobno mąż Loli zrobił tej swojej kochance dzieciaka. Nawet bliźniaki.

– Czy możemy porozmawiać o zbiórce dla sierocińca w Ikoyi? – odzywa się ktoś, lecz zanim mam szansę sprawdzić kto to, wtrąca się Chuda.

– Wiedziałam, że tak będzie. Wiedziałam! Sama Lolę ostrzegałam, prawda? Radziłam, żeby zorganizowała jakichś chłopaków. Stłukliby tamtej to jej wybielone dupsko, i tyle.

Ale ona tylko cytowała Pismo Święte. Mówiła, że wszystkie bitwy stoczy za nią Bóg.

Noszę tacę po całym salonie. Słucham, jak gadają i gadają o zakupach, o drogich torebkach, o butach za dolary i funty, o takich mężach, co robią ciążę kochankom.

Podchodzę do ostatniej kobiety. Stoi w kącie sama jedna. Wygląda, jakoby zabłądziła albo przyszła tu przypadkiem. Ma na sobie różowy T-shirt, niebieskie dżinsy i płócienne buty na stopach. Wygląda bardziej młodo niż inne kobiety, a jej szczupła, jajowata twarz ma kolor prażonego nerkowca. Na głowie nosi mnóstwo maleńkich warkoczyków, miliony i miliony. Niektóre zwisają jej przed twarzą i obijają się o nos. Resztę związała opaską na środku głowy. Nie ma dużo makijaży. Tylko usta pomalowała czerwoną szminką, czerwoną jak ta wiśnia na tacy. W nosie ma kolczyk, złota plamka po lewej stronie.

Podnoszę do niej tacę i się uśmiecham. Ona też się uśmiecha. Pokazuje białe zęby, a na nich żelazną kratkę.

– Jesteśmy kobietami – mówi swoim miodowym głosem. Szepta, ale dość głośno, cobym mogła słyszeć. – Kobietami, nie dziewczynami. Nie przejmuj się nimi.

Naprawdę, naprawdę, jej głos gra mi w uszach jak muzyka. Czuję go w brzuchu tak, że chce mi się śpiewać. I śmiać. Patrzę na jej białe płócienne buty, na krótkie, chude nogi w niebieskich dżinsach. Bierze kawałek mięsa. Małe palce, krótkie, ładne paznokcie.

– Dziękuję – mówi.

Dziękuję.

Słowo, co ja jego nigdy w tym domu nie słyszę. Patrzę na jej twarz, mrugam. Dlaczego powiedziała „dziękuję”? Za to, że trzymam tacę? Za nic?

– Dziękuję – powtarza tym głosem pełnym muzyki. – Mam nadzieję, że podoba ci się służba u madam Florence.

– Miła jesteś, *ma.* Że mówisz „dziękuję” – odpowiadam. – Odkąd wyjechałam z Ikati, nikt mi nie mówi „dziękuję”.

– Będzie okej. – Kobieta łagodnie dotyka mojego ramienia. – A teraz już idź.

Dotyk jest jak elektryczność. Zszokowana upuszczam tacę. Kawałki mięsa rozlatują się po całej podłodze.

– Dobrze się czujesz? – pyta ona.

Patrzę na mięso, wokół leży sześć kawałków. Chcę tylko do mamy. Chcę, coby znowu żyła, tak tylko na dwie albo trzy minuty. Mogłaby przyjść i powiedzieć Wielkiej Madam, coby mnie już nie biła, albo niech zrobiby jakieś czary i ukryje mnie, dopóki mięso nie zniknie z podłogi. Albo...

– Nie płacz – odzywa się kobieta. – Poczekaj, pomogę ci to pozbierać. Cofnij się kawałek, żebym mogła...

– Nie, nie. – Ocieram łzy. – Sama zabiorę, *ma*.

Pochylam się po pierwsze mięso, ale czuję, jak wieje zimne powietrze i coś ciężkiego ląduje mi na głowie.

– Florence?! Co, do diabła? – woła kobieta z miodowym głosem i chcę jej powiedzieć, że tak, chyba mam w głowie diabła i piekło, bo w mojej głowie zapłonął ogień, ogień, ogień.

To chyba sufit spadł i rozbił się na mnie, myślę sobie. Ale kiedy patrzę do góry, widzę Wielką Madam. Trzyma w dłoni

swój czerwony but i zanim mogę powiedzieć jeszcze jedno słowo, wali mnie tym butem prosto w środek głowy.

ROZDZIAŁ 30

Fakt: Północnonigeryjski stan Zamfara jako pierwszy w 2000 roku zalegalizował poligamię.

– Słyszysz mnie?

Jej głos wypełnia mnie ciepłem, ale głowę mam wciąż spuchniętą od żaru, mózg obija się o czaszkę. Bum, bum, bum. Wszystko wokół czarne. Czuję coś mokrego na twarzy, na powiekach. Zimne i miękkie. Szmata?

– Otwórz oczy.

Czuję jej zapach. Pachnie jak olej kokosowy, masło, białe lilie.

– Adunni – odzywa się znowu. – Otwórz oczy.

Jesteśmy za domem, w ogrodzie. Plecy mam oparte o ścianę przy kranie, a ta kobieta pochyla się nade mną, klęczy. Za nią słońce wisi wysoko na niebie, rzuca promienie na trawę. Kobieta uśmiecha się do mnie, kratka na jej zębach jasno mruga. Też chcę się uśmiechnąć, ale kiedy próbuję, ból głowy kradnie mi z ust uśmiech, zabiera go i zgniata.

– Pewnie cię boli – słyszę.

– Bardzo gorąco – mówię.

– Zobaczę, czy kucharz nie ma czasem jakiegoś paracetamolu.

Coś mokrego spływa mi po twarzy, ale zanim udaje mi się podnieść palce, ona bierze szmatkę i wyciera. Szmatka jest

szara, jedna z tych, co używamy w kuchni, ale szybko robi się czerwona.

– Krwawię krwią? – pytam. – Wielka Madam bardzo mnie zraniła?

– Nie jest tak źle. Tylko wygląda paskudnie. Jak się czujesz?

– Jakoby Boko Haram zbombardowali mi głowę.

– Twoja madam bardzo się rozgniewała. – Uśmiecha się ona. – Podobno kazała ci pracować w ogrodzie. Dlaczego obsługiwałaś gości?

– Kofi prosił, cobym mu pomogła.

Zerka na dom, gdzie słychać śmiech, hałasy i muzykę.

– Chwilę tu z tobą posiedzę. – Siada obok na ziemi, jakobyśmy były najlepszymi przyjaciółkami, takimi od małego. – To moje drugie spotkanie stowarzyszenia – odzywa się po chwili. – Mąż chce, żebym lepiej poznała sąsiadki. Uważa, że jestem zbyt sztywna. Jak tam głowa? Lepiej?

– Tak, madam – odpowiadam. – Lepiej. Jesteś dobrym człowiekiem.

– Daj spokój z tą „madam" rzuca. – Mów mi Tia.

– Madam Ti-a?

– Niech będzie pani Tia.

– Pani Tia. – Uśmiecham się. – Jak się pani podoba, to mnie też.

– Ile masz lat?

– Czternaście, *ma*.

– Czternaście? – Poważnieje, myśli. – Niedobrze. Florence nie powinna zatrudniać nieletnich. Muszę z nią porozmawiać...

– Nie! – prawie krzyczę, a kiedy pani Tia patrzy na mnie z troską, zmuszam się znowu do uśmiechu. – Znaczy, proszę nie mówić o mnie z Wielką Madam. Proszę mnie zostawić.

Jak mam tej kobiecie powiedzieć, że muszę tu doczekać do stypendium? Że poza tym domem nie mam innego miejsca?

– Okeej – przeciąga to słowo. – Nic jej nie powiem. Skąd jesteś? Mówiłaś wcześniej o Ikati, tak? Gdzie to jest?

Odpowiadam, że nie wiem, ale to daleko, bo zanim aż przyjechaliśmy do Lagos, jechaliśmy bardzo długo.

– Nie muszę pytać, czy ci się tu podoba. Od razu widać, że nie jesteś szczęśliwa.

Opuszczam twarz, kiwam głową na „nie".

– A pani daleko mieszka? – pytam.

– Sprowadziliśmy się tu w zeszłym roku. To znaczy, ja się sprowadziłam. Mąż mieszkał tutaj od zawsze. Pochodzę z Anglii. Znasz Anglię? Wielką Brytanię?

Przypominam sobie tego bogatego mężczyznę Ade. Przyjaciela mamy.

– Słyszałam o Anglii i Zagranicy. Oglądałam trochę w wiadomościach CNN, w tiwi.

Pani Tia drapie się w brodę paznokciem, jakoby bardzo głęboko się namyślała.

– Chodziłaś do szkoły?

– Krótki czas chodziłam. Nie mogłam skończyć, bo nie było pieniądzów i bo mama umierała, ale próbuję uczyć się

bardziej lepiej angielskiego, bo ogromnie chcę zdać niedługo taki egzamin. I czytam *Collinsa* i taką książkę o faktach z Nigerii.

– *Collinsa*? Ach, słownik, tak? – Kobieta ogląda całą moją twarz. Zagląda mi do oczu, jakoby zobaczyła mnie dopiero teraz i czegoś mi w środku szukała. – To zaskakujące, że Florence planuje cię posłać do szkoły. Mogłabyś ją poprosić o jakieś książki, wiesz? – mówi. – Kilka podręczników do gramatyki z pewnością pomogłoby ci zdać ten egzamin.

– Tak, madam. Znaczy, pani Tio. – Jak powiedzieć, że Wielka Madam nie posyła mnie do żadnej szkoły? – Znasz Rebeccę? – pytam, bo myślę o koralach, co ciągle czekają pod moją poduszką. Może pani Tia mi pomoże.

– Słyszałam, jak o niej wspominały. Ale sama jej nie poznałam. A co?

– Nic. Tylko pytam. Pracowała tu wcześniej, a potem zaginęła. Dowiadywałam się u Kofiego. Powiedział, że może uciekła z chłopakiem.

– Pewnie tak. – Pani Tia wzrusza ramionami. – Takie rzeczy dzieją się bez przerwy.

Od rozmawiania z panią Tią ból w mojej głowie zaczyna słabnąć. Jej miodowy głos jest jak lekarstwo. Jej śmiech chłodzi mi gorące czoło. Nie chcę, coby szła, więc zadaję więcej pytań, mówię wszystko, co wymyślam, byle tylko została.

– A kiedy się urodziłaś, to mieszkałaś w Nigerii? Kiedy wyjechałaś do Zagranicy?

– Urodziłam się w Lagos. I skończyłam tutaj podstawówkę – odpowiada. – W Ikoyi, dokładnie rzecz biorąc. Potem tata

dostał pracę w firmie naftowej w Port Harcourt, więc się przeprowadziliśmy. – Słowa „Port Harcourt" brzmią jak piosenka, jej język każe im tańczyć. – Większość życia spędziłam w Port Harcourt, no a później wyjechałam na studia, do Surrey.

– Do Sorry? – wyłapuję. – To takie smutne miejsce?

– Nie. – Pani Tia podnosi rękę i z uśmiechem robi dla oczu osłonę od słońca. – To ładne i przyjemne miejsce. Inne.

– A masz brata czy siostrę? Gdzie twoja mama?

– Jestem jedynaczką. – Wzrusza ramionami. – Rodzice zostali w Port Harcourt. Tata nadal tam pracuje. Mama była bibliotekarką na tamtejszym uniwersytecie, ale w zeszłym roku zachorowała.

– Twoja mama choruje? – Czuję w sercu wielkie współczucie. – Choroba to najgorsza rzecz, co może spotkać mamę. Kiedy moja mama chorowała, nie mogłam żyć normalnie. Codziennie płakałam, aż umarła. Nawet teraz płaczę prawie codziennie. Ty też codziennie płaczesz?

– Nie, ja nie płaczę. – Wzdycha. – Przykro mi z powodu śmierci twojej matki. Musiałyście być ze sobą blisko.

– Z mamą? – Uśmiecham się cicho. – Mama była dla mnie wszystkim. Najlepszą przyjaciółką. Wszystkim.

– To dobrze. – Urywa na chwilę. – Ja... Jak to powiedzieć? Przeniosłam się... Wróciłam do Nigerii w zeszłym roku.

Chyba nie ma wiele uczuć do swojej mamy. Albo nie chce o niej gadać.

– Dlaczego wróciłaś do Nigerii? Bo mama zachorowała?

– Bo chciałam. Dostałam niesamowitą szansę pracy w małej, świetnej firmie. Lagos Environmental Consultancy. Nie mogłam odmówić. No i... – Zabiera z twarzy warkoczyk, okręca go sobie na palcu. – Dlatego, że się zakochałam i wyszłam za mąż – mówi teraz nowym, dziwnie wysokim tonem. Jej oczy zaczynają lśnić. – On ma na imię Ken. Kenneth Dada. Jest lekarzem. To dobry człowiek. Pomaga kobietom zajść w ciążę.

Patrzę szybko na jej brzuch. Pod koszulką jest płasko. Czy ma swoje dziecki?

– Nie mam dzieci – mówi, jakoby wiedziała, co mi siedzi w głowie.

– Nie masz dziecków?

Spod doniczki wybiega jaszczurka. Się zatrzymuje, patrzy na mnie i panią Tię, powoli mruga, jakoby walczyła ze snem. Kiwa pomarańczową głową i biegnie na drugą stronę obejścia.

– Nie. – Ona też patrzy na jaszczurkę. – Nie chcę mieć.

– Wcale a wcale?

Naprawdę, naprawdę nigdy nie słyszałam, coby dorosła kobieta nie chciała dziecków. W mojej wiosce wszystkie dorosłe kobiety mają dziecki, a jak dziecko nie przychodzi, może z powodu choroby, ich mąż bierze ślub z kolejną żoną i te dorosłe kobiety opiekują się potem jej dzieckami, coby nie było wstydu. Patrzę z troską na jej twarz.

– Czy jak dalej nie będziesz mieć dziecków, twój mąż weźmie ślub z inną kobietą?

Pani Tia śmieje się jak mały dzwonek.

– Nie ma mowy! Ludzie nie chcą mieć dzieci z wielu różnych powodów.

Kiwam głową na „tak”. Czuję, że chyba trochę ją rozumiem, mimo że jest dorosłą kobietą.

– Nie tak dawno temu – mówię, myśląc o tym, jak piłam w domu Morufu liście, coby ciąża nie przyszła – bardzo się bałam rodzić dziecki. Bo w mojej wiosce chcą, żeby dziewczyny rodziły wcześnie. Ale ja chcę skończyć szkołę. Moja mama, zanim już nie żyła, bardzo walczyła, żebym skończyła szkołę. Dlatego była najlepszą mamą na szerokim świecie. Więc zdecydowałam, że kiedy skończę szkołę i znajdę pracę, poszukam bardzo dobrego mężczyzny do ślubu. Papa nie zawsze był dla mnie dobry, nie chciał, żeby dziewczyny chodziły do szkoły. Ale ja nie jestem jak papa i nie wezmę ślubu z takim jak on. Nie, ja będę ciężko pracować, urodzę dziecki i z mężem wyślemy je do bardzo dobrej szkoły, nawet jak wszystkie będą dziewczynkami. A potem jednego dnia pojadę do Ikati i pokażę je papie, a on będzie ze mnie dumny, kiedy zobaczy moje własne dziecki i moje własne pieniądze. – Robię się smutna. Może któregoś dnia papa nie będzie zły, że uciekłam z Ikati. – Miałam w wiosce przyjaciółkę. Na imię jej było Khadija. Powiedziała, że dziecki dają radość. – Uśmiecham się. – Może jednego dnia też tą radość poczuję i podzielę się nią z papą, zrobię z niego szczęśliwego starca.

Pani Tia powoli kiwa głową na „tak”. Patrzy na mnie długo, aż robi mi się dziwnie.

– A pani? Pani skończyłaś szkołę. Pracujesz w dobrej pracy. Więc jakie, pani Tia, masz różne powody, coby nie chcieć dziecków? – Pochylam głowę zaskoczona własnym pytaniem.

Poważnieje i nachodzi mnie strach, że zrobiła się zła. Zaraz zdejmie buta i walnie mnie w głowę jak Wielka Madam, a mój mózg wypłynie na dobre. Ale nie zdjęła buta. Patrzy tylko ostro, a jej brwi schodzą się w kreskę. Wstaje, otrzepuje piach z tyłka.

– Mam nadzieję, że szybko dojdziesz do siebie – mówi. – Bardzo miło się z tobą rozmawiało.

Kiedy odchodzi, zaczynam myśleć. Dlaczego otworzyłam te swoje wielkie usta? Po co powiedziałam taką głupią głupotę?

ROZDZIAŁ 31

Fakt: Nigeryjski przemysł filmowy nosi popularną nazwę Nollywood. Branża ta, wprowadzająca na rynek ponad pięćdziesiąt tytułów tygodniowo, warta jest około 5 miliardów dolarów i jest pod tym względem druga na świecie, tuż za indyjskim Bollywood.

Dzień po tym, jak prawie rozwaliła mi głowę, Wielka Madam wzywa mnie do siebie.

Siedzi na kanapie w salonie. Jedna noga zwisa z oparcia, drugą ma na poduszce na podłodze. Głośno gra tiwi. Pokazują taki stary film w mowie joruba. Mężczyzna w tiwi ma na sobie czerwone ubranie obwieszone muszelkami. Trzyma w ręku białego ptaka. Twarz ma pomalowaną czarną farbą, a na niej mnóstwo białych kropek. Gada do ptaka, błaga, coby uczynił go bogaczem.

– *Ma*? – Klękam przed nią, patrzę na tiwi.

Mężczyzna zaczyna tańczyć na jednej nodze, kręci ptakiem w kółko i w kółko.

Wielka Madam zatrzymuje obraz pilotem. Noga człowieka w czerwonym ubraniu zawisa w powietrzu. Mężczyzna wygląda teraz jak posąg, co chciałby zaraz odlecieć.

– Jak twoja głowa? – pyta Wielka Madam. Patrzy, jakoby chciała usłyszeć, że mózg mi umarł.

– Moja głowa jest zdrowa, *ma* – odpowiadam.

– Następnym razem rozłupię ci czaszkę. Może wtedy, kiedy każę ci coś zrobić, usłyszysz wreszcie jak trzeba – syczy. – Wiesz, że nie toleruję nieposłuszeństwa. Powiedziałam wyraźnie: kiedy przyjdą goście, masz siedzieć w ogrodzie. Nie wchodź do salonu, powiedziałam. Nie... wchodź... do... salonu. Którego słowa nie zrozumiałaś?

– Teraz rozumiem, *ma*.

– Masz wielkie szczęście, że wczoraj była w tym domu Tia Dada – syczy dalej. – Bóg wie, gdyby nie ona, zatłukłabym cię na śmierć. Nawet nie wiem, kto zaprosił tę babę z piskliwym głosem. Jeszcze miała czelność się wtrącić! Zagroziła, że wezwie policję! Tylko dlatego, że zdyscyplinowałam własną pokojówkę. Ciekawe, gdzie znajdzie w Nigerii policjanta, który przyszedłby po Wielką Madam? Czy ona w ogóle wie, kim jestem? Moje tkaniny kupują wszyscy najważniejsi w tym kraju. Kto by aresztował panią Florence Adeoti? Za kogo ona się uważa? – Wielka Madam unosi palcami górę swojej *bou-bou*, dmucha pod nią powietrzem. – Moim zdaniem to wina doktora Kena. Kiedy mu wszyscy radzili, żeby się ustatkował i ożenił z Molarą, to nie. Powiedział, że chce znaleźć kobietę, która zrozumie jego potrzeby. Jakie znowu potrzeby? Dureń. I patrz, z kim skończył. Z niesympatyczną, pustą beczką. Są rok po ślubie, a po niej nadal nie widać ciąży.

Kiedy mówi źle o pani Tii, coś pali mnie w piersi. Czuję w sercu ogień, zły ogień. Chcę na Wielką Madam nakrzyczeć, chcę powiedzieć, że pani Tia ma głos jak miód i dobrą duszę. Że pani Tia nie ma dziecka z bardzo różnych powodów. Ale boję się, że jeśli to zrobię, Wielka Madam złapie za nóż i zarżnie mi gardło.

– Ile ty masz uszu? – pyta ona.

– Dwa, *ma*.

– No to pociągnij się za nie. Tak. Pociągnij. O tak. – Szczypie paznokciami moje prawe ucho i szarpie je w dół, prawie do ramienia. – Posłuchaj uważnie. W przyszłym tygodniu wyjeżdżam. Będę w Szwajcarii i Dubaju. Zatrzymam się też w Wielkiej Brytanii, odwiedzę dzieci. Jak Bóg pozwoli, wrócę pewnie za dwa tygodnie.

– Tak, *ma*.

– Pod moją nieobecność musisz się odpowiednio zachowywać. Nie chcę potem usłyszeć od Kofiego, że znowu zrobiłaś coś, czego nie powinnaś. Słyszysz, co mówię?

– Tak, *ma*.

– Masz listę wszystkiego, czego potrzeba w domu?

– Napiszę zaraz, kiedy tu skończę. Dam ją Abu.

– Wielkiego Taty też nie będzie – mówi. – Wybiera się do Ijebu, do swoich ubogich krewnych. Jeśli wróci przede mną, trzymaj się od niego z daleka. Kiedy przyjdzie do ogrodu, idź do swojego pokoju. Jeżeli cię wezwie, nie reaguj. Masz go słuchać, tylko kiedy będę w pobliżu. Nie lubię zostawiać go samego z pokojówkami. – Kiwa głową na „nie". – Dla spokoju zawiozłabym cię do Ikei, do swojej siostry. Ale ona też akurat wyjeżdża. – Wielka Madam bierze pilota i włącza film w tiwi. – Kazałam już Kofiemu, żeby na ciebie uważał. Będzie miał cię na oku. Rób wszystko, co każe. Jak usłyszę od niego choć słowo skargi, to wylecisz na ulicę. I nawet nie zadzwonię do mister Koli, żeby cię odwiózł do domu. Wyrzucę cię jak śmiecia. *Sho ti gbo*? Słyszysz mnie?

– Tak, *ma* – odpowiadam. – Czy mogę zadać jedno pytanie, *ma*?

– Co znowu?

– Chodzi o Rebeccę. Zastanawiałam się, czy...

– Zejdź mi z oczu!!! – Wielka Madam krzyczy tak, że niemal staje mi serce. – Jak śmiesz pytać mnie o Rebeccę? Kim ona jest? Naprawdę musisz być idiotką, że o nią pytasz.

Kiedy pochyla się i ściąga lewy but, podskakuję na nogi i odbiegam. Rzucony but wali w szklane drzwi, prawie je rozbija.

Abu jest w ogrodzie przy kranie. Podwija sobie nogawki do kolan. Obok na ziemi stoi jego niebieski czajniczek modlitewny.

– Dzień dobry, Abu – rzucam zdyszana.

Mało z nim rozmawiam, ale kiedy się widzimy, zawsze pozdrawiamy się uśmiechami, a czasem, jak musi się zabrać do popołudniowych modłów, myję za niego opony samochodu.

– *Sannu*, Adunni. – Przekręca kran i sięga po czajnik, żeby nabrać wody. – Co tak biegasz? Mogę ci pomóc?

Abu, podobnie jak Kofi, ma dziwny angielski. Zamiast P mówi F, więc „pomóc" brzmi jak „fomóc". A kiedy chce się napić Fanty, słychać, jakoby chciał Pany. Na początku go nie rozumiałam, teraz to już nie jest wielki kłopot. Wszyscy na całym świecie mówią inaczej. Wielka Madam, pani Tia, Kofi, Abu i nawet ja, Adunni. Mówimy inaczej, bo każdy miał inne dorastanie. Ale jeśli tylko chwilę cierpliwie posłuchać, wszyscy możemy się zrozumieć.

– Biegłam, bo uciekłam przed Wielką Madam – tłumaczę i zaraz potem wybucham śmiechem. Śmieję się i śmieję, aż

boli mnie w piersi. – Zadałam jej proste pytanie, a ona walnęła we mnie butem. Naprawdę, ta kobieta ma duży problem. Ale nic, powiedziała, cobym dała ci listę. Na zakupy.

– Zostaw ją w samochodzie. – Abu wyłącza kran. – Po modlitwie pojadę z Kofim do ShopRite.

– Okej. – Kiwam głową na „tak" i robię bardziej cichszy głos. – Abu, chcę o coś zapytać. Pamiętasz Rebeccę?

Spluwa na ziemię, ociera usta grzbietem dłoni.

– Tę, co pracowała u madam przed tobą? Znam ją dobrze.

– Dziękuję. Wiesz, dlaczego zaginęła? Kofi ciągle mówi, że nie wie. Myśli, że uciekła z mężczyzną. Zapytałam właśnie Wielką Madam, ale rzuciła we mnie butem. No to pomyślałam sobie: pójdę do Abu, może Abu mi powie.

– *Walahi*, Adunni, prosisz się o wielkie kłopoty. – Abu zabiera swój czajnik z plastiku i zaczyna szybko odchodzić. – Skoro Kofi mówi, że uciekła, to posłuchaj go i daj sobie spokój.

– Abu! Zaczekaj! – wołam, ale on skręcił już za kwaterę chłopców i zniknął w pokoju modłów.

ROZDZIAŁ 32

Fakt: Funmilayo Ransome-Kuti, matka legendarnego muzyka Feli Kutiego, była znaną feministką walczącą o równy dostęp kobiet do edukacji.

Pani Tia wróciła w dzień, kiedy Wielka Madam wyjechała do Zagranicy.

Kiedy Kofi powiedział, że przyszedł do mnie gość, myłam toaletę na dole i miałam głowę głęboko w muszli. Najpierw się przestraszyłam, że znalazł mnie papa z całą wioską. Ale w holu widzę panią Tię. Stoi pochylona i wiąże sznurówkę swojego białego płóciennego buta. Ma na sobie czarne ciasne spodnie i koszulkę. Podnosi głowę i się uśmiecha.

– Cześć – mówi.

– Cześć – odpowiadam. – Ty jesteś tym moim gościem? – Może ciągle nie przeszła jej złość na mnie, że ostatnim razem nie pohamowałam głupiego języka. – Proszę, nie gniewaj się za to, co powiedziałam. Czasami za dużo gadam i potem...

– Prawdę mówiąc, przychodzę, żeby przeprosić. – Ucisza moje słowa machnięciem. – Nie powinnam tak wtedy odejść. Zapytałaś o coś, o co pytają wszyscy. Źle zrobiłam. Przepraszam.

– Ty mnie przepraszasz? – Kiwam głową na „nie". Nie rozumiem tej kobiety.

– Nasza rozmowa. Trochę mnie… – Drapie się po głowie, zabiera warkoczyki z twarzy i zawija je za uszy. – Poruszyła. Sama sobie nie umiem tego wytłumaczyć. Takie to dziwne.

O czym ona mówi?

Pani Tia rozgląda się po holu.

– Twoja madam wyjechała, prawda? Na ostatnim spotkaniu wspomniała, że jej nie będzie. Mam nadzieję, że moja wizyta nie okaże się… Znaczy, że to nie problem, jeśli porozmawiamy?

– Nie problem – rzucam.

Przez chwilę milczymy obie.

– To, co wtedy powiedziałaś… – odzywa się ona. – Wypytywałaś o powody i tak dalej. Coś się we mnie obudziło.

– Co się obudziło? – Składam na krzyż ręce na piersi, patrzę na nią.

Pociera sobie dłonie, szuka miejsca dla oczu. Patrzy na podłogę, na moją twarz.

– Więc dwa dni temu poszłam jak co rano pobiegać na moście Lekki-Ikoyi. Było przyjemnie, biegłam bardzo szybko, kiedy znienacka, na samym środku mostu, doznałam olśnienia.

– Olśnie… Co?

Pani Tia macha ręką. Oczy ma teraz takie wielkie, świecące.

– Chwili prawdy. Na temat posiadania dzieci i w ogóle… Wszystko z powodu tej naszej rozmowy. – Zaczyna się śmiać, ale zaraz cichnie. – Czy ja mówię dla ciebie niejasno?

– Za bardzo niejasno – odpowiadam.

I dla siebie też, myślę. Jesteś niejasna dla samej siebie. Bogaci ludzie mają dużo problemów z mózgiem, naprawdę.

– Jestem po prostu taka podekscytowana – rzuca. – Chyba pójdę już do domu. Uważaj na siebie i życzę powodzenia na egzaminie.

Odwraca się i wiem, że jeśli teraz odejdzie, nie zobaczę jej już nigdy. Nie myślę więc długo, tylko skaczę naprzód i łapię ją za rękę. Trzymam.

Staje, patrzy na mnie, na moją dłoń, na moje palce na swoim ramieniu.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– Przepraszam, *ma*. Proszę, się nie złość.

– Co się dzieje?

Czekam, coby zaczęła krzyczeć. Nie krzyczy. Stoi spokojnie. Jej twarz jakoby mięknie, oczy czekają na moją odpowiedź. Klękam i zaczynam mówić.

– Pytałaś mnie o egzamin. – Wciskam rękę do stanika, wyjmuję gazetę i wgniatam jej do ręki. – Nie będzie żadnego egzaminu, ale potrzebuję twojej pomocy, *ma*. Potrzebuję, żeby ktoś dobrze o mnie napisał. W poręczeniu.

– W poręczeniu? Po co ci? Ach, poczekaj, wstań. – Podciąga mnie na nogi. – Co my tu mamy? – Czyta po cichu, jej oczy skaczą po kartce. – Rozumiem. – Składa gazetę i mi oddaje. – Stypendium dla pomocy domowych. Fantastyczna inicjatywa. Domyślam się, że Florence nie ma z tym nic wspólnego?

– Zabije mnie, jak się dowie. Ale muszę spróbować. Po prostu muszę.

– Dlaczego to takie pilne? – pyta.

Łzy nachodzą mi do oczu. Przyciskam palce do ust.

– Moje serce pragnęło tego przez całe życie. Proszę... – Milknę i przełykam płacz. – Ostateczny koniec tego stypendium to piętnaście lat wieku. Proszę.

Pani Tia przestępuje z nogi na nogę.

– Prawdę mówiąc... Nie znamy się tak dobrze, żebym mogła za ciebie ręczyć...

– Wielka Madam teraz wyjechała i podróżuje. Jestem niepodległa jak Nigeria, ale tylko na te dwa tygodnie, nie na zawsze i zawsze. Możesz mi zadać każde pytanie, kazać zrobić wszystko. Zrobię, co zapragniesz. Za dwa tygodnie możesz mnie już dobrze znać. Pokażę ci w te dwa tygodnie prawdziwą siebie i będziesz mogła o tym napisać, powiedzieć im, że jestem dobrą dziewczyną i że zawsze ciężko pracuję. Proszę.

Uśmiecha się. Najpierw tak trochę, ale już chwilę potem głośno się śmieje.

– Adunni, jesteś najzabawniejszą dziewczyną, jaką w życiu poznałam. Z przyjemnością bym ci pomogła, ale widzisz, niespecjalnie dogadujemy się z Florence – tłumaczy. – Jeżeli się dowie, że napisałam ci referencje, że za ciebie poręczyłam...

– Przenigdy nigdy się nie dowie. – Oczy mam pełne pewności. – To będzie moja tajemnica na zawsze. Ona ciągle mnie bije. To moja szansa na wolność. Proszę – powtarzam i powtarzam. Chcę tylko, coby powiedziała zgodę. – Możesz mi pomóc?

– Cóż, chyba tak. Ty mi już pomogłaś. – Wzdycha. Zanim zdążę zapytać, w czym jej niby pomogłam, mówi dalej: – Musisz w kilka tygodni napisać wypracowanie na tysiąc słów?

– Tak, *ma.* – Serce bije mi strasznie szybko.

– Pomyślmy... – Pani Tia patrzy na sufit, potem znowu na mnie. – Kena w tym tygodniu nie będzie. Artykuły na ten miesiąc mam już w zasadzie gotowe. Spotkanie z ludźmi z Environmental Agency da się pewnie przesunąć, a raport o zaporze Kainji najwyżej dostarczę później o dzień lub dwa. Czy na pewno mogę to zrobić?

Nie wiem, pyta mnie czy siebie. Może mówi naraz i do mnie, i do siebie, ale stoję cicho, czekam. Patrzę. Ciągle mam nadzieję, że powie „tak".

– Adunni, posłuchaj. W tym tygodniu uda mi się znaleźć trochę czasu. I też kilka dni w przyszłym. Skoro twojej madam nie ma, zaglądałabym wieczorami, żeby... no wiesz, poduczyć cię angielskiego. Miejmy nadzieję, że dzięki temu poznam cię na tyle, aby napisać ci dobre referencje. Jeżeli wygospodarujesz wolną chwilę, to... – milknie. – Coś się stało?

Się stało. Bardzo się stało.

– Pomożesz? Będziesz mnie uczyć? – Kładę sobie dłoń na piersi. – Mnie?

Nawet nie myślę, czy to tak dobrze, po prostu podbiegam, obejmuję ją rękami i przytulam mocno. Pachnie potem bogatych ludzi i czymś miętowym. Kiedy ją wypuszczam, zaczyna się śmiać. Nie gniewa się, że ją uścisnęłam, a ja czuję się smutna i szczęśliwa, że ta bogata kobieta mnie nie popchnęła i nie opluła jak Wielka Madam.

– Przepraszam – mamrotam. – Cieszę się bardzo na tą naszą naukę i poprawianie angielskiego. Napiszesz mi też poręczenie?

– To nie powinien być problem. – Pani Tia wzrusza ramionami. – Nie będzie żadnego *wahala*. Przyjdę jutro wieczorem. O której najlepiej?

– O siódmej, siódmej i trzydzieści. Wtedy kończę całą pracę.

– O siódmej? A o której zaczynasz? – Robi wielkie oczy.

– Budzę się około czwartej i trzydzieści. Albo o piątej – odpowiadam. – Potem robię pracę. Czyszczę, zamiatam, piorę. Wszystko do siódmej, siódmej i trzydzieści. Ale jak w domu jest Wielka Madam, pracuję czasami do jedenastej czy dwunastej w nocy.

– Od świtu? Przecież to jakiś obłęd. – Pani Tia szepta, ale słyszę każde słowo. – Do zobaczenia jutro. Macha dwoma palcami i się odwraca.

– Dziękuję, *ma*. Do zobaczenia.

Śpię dobrze. We śnie widzę Khadiję i mamę. Obie są szczęśliwymi ptakami i mają tęczowe, kolorowe skrzydła. Obie fruwają wysoko na niebie bez chmur.

ROZDZIAŁ 33

Fakt: W Nigerii z internetu korzysta ponad 50 milionów osób. Przewiduje się, że w roku 2018 liczba nigeryjskich internautów wzrośnie do przeszło 80 milionów, co zapewni krajowi miejsce w czołowej piętnastce globalnego wykorzystania sieci.

– Dlaczego chowasz zęby za tą kratką? – pytam o to panią Tię pierwszego wieczora, kiedy uczy mnie jak w szkole.

Jest siódma piętnaście, słońce nadal świeci, przez co wszystko jest pomarańczowe. Siedzimy na zewnątrz pod palmą, tą przy kuchni, obok kranu. Wiatru nie ma, powietrze stoi sztywno, gęste od zapachu cebuli, co obiera ją Kofi.

Siedzimy na ziemi, ja w swoim uniformie, ona w niebieskich dżinsach i białej koszulce z czarnym napisem DZIEWCZYNY RZĄDZĄ. Na stopach ma białe płócienne buty. Jest taka mała, że przypomina mi się przez to Khadija.

– Za kratką? – Patrzy na mnie i ściska sobie nos. – Zęby? Ach... – śmieje się. – Mówisz o aparacie?

– Aparat? Tak się to nazywa?

– Mhm, to aparat. W dzieciństwie miałam krzywe zęby. Rosły jedne na drugich. Wyglądałam jak mały rekin. Za rok mi go zdejmą. I masz rację, trochę to wygląda jak krata. – Dotyka drutów językiem, tu i tam. – Pomyślałam, że zaczniemy od czegoś prostego. Na przykład od czasów.

Podnosi z ziemi ołówek i zeszyt. Ołówkiem pisze na zeszycie ADUNNI. Jej litery są ładnie wygięte i wszystkie się ze sobą łączą. Myślę o wzorach henną, co to Enitan mi pomalowała na ręce przed ślubem. – Sprawdziłam w sieci program nauczania – mówi. – To taki plan lekcji.

– Pro-gram na-u-cza-nia – powtarzam powoli.

– Świetna wymowa. O czym to ja...? A, tak. Znalazłam w sieci. Przez telefon. – Unosi się lekko, sięga do kieszeni, wyjmuje telefon. Rysuje coś na nim palcem i nagle ze środka bije światło. Pokazuje mi; widzę dużo słów jak w gazecie. – Sugeruję, żebyśmy zaczęły od kursu dla średniozaawansowanych. – Znów patrzy na telefon. – To strona BBC. Ich kursy mogą nam pomóc – tłumaczy; gapię się i nic nie rozumiem. – Znalazłam też kilka darmowych kursów do samodzielnej nauki. Czasami ja będę cię uczyć, a czasami dam ci telefon, żebyś mogła sama słuchać.

– Ale o jaką sieć chodzi? – pytam.

– Sieć to inaczej internet.

– Inta... rnet.

Widziałam to słowo w książce o faktach. Ale kiedy myślę o sieci, nadal widzę tylko materiał, co ma dużo dziur.

– Spójrz. – I znowu pokazuje mi telefon. – Komórka ma dostęp do internetu. To takie miejsce, dzięki któremu możesz się łączyć z ludźmi z całego świata i znaleźć prawie każdą informację. Kiedy połączysz z internetem telefon lub komputer, wchodzisz do sieci. Tam możesz robić zakupy, zawierać znajomości, poznawać nowych przyjaciół, wysyłać mejle i robić masę innych rzeczy.

– Można w tej sieci chodzić na zakupy?

– Ja bardzo często kupuję w sieci. – Pani Tia kiwa głową na „tak”. – Jedzenie, ubrania. W sumie wszystko, czego mi trzeba.

– To musi być drogie – mówię. – Dlaczego nie chodzisz na prawdziwy targ?

– Nie mam czasu – śmieje się ona. – Słabo mówię w joruba i na targach z trudem się dogaduję. Poza tym za nic nie potrafię się targować. Czyli prosić kupca, żeby sprzedał towar w niższej cenie. Jestem w tym kiepska. Zawsze kończy się tak, że wracam do domu cała sfrustrowana.

– Może jednego dnia pójdę z tobą? – mówię. – W Ikati zawsze kupowałam rzeczy dla mamy za małą cenę. Bardziej mniejszą niż chciały kobiety z targu. Dlatego że nie zawsze mieliśmy pieniądzów. Pokażę ci, jak robi się to…. Targowanie, czy jak mu tam. – Uśmiecham się. – Chcę ci trochę pomóc, tak jak ty pomagasz mi.

– Pieniędzy.

– Co?

– Poprawiam cię. Nie mówi się „pieniądzów”, tylko „pieniędzy”.

– Aha.

– Byłoby wspaniale, gdybyś poszła ze mną na targ. – Pani Tia też się do mnie uśmiecha. – Dziękuję.

– Jak się spotkaliście z mężem? – pytam. – To było w Nigerii czy w Zagranicy?

– Męża poznałam w sieci – odpowiada. – Na Facebooku. Przez rok utrzymywaliśmy związek na odległość, co nie jest

najłatwiejsze na świecie. A pobraliśmy się na Barbadosie, mniej więcej półtora roku temu.

– Ten Facebook też jest w sieci?

– Poczekaj, pokażę ci. – Naciska coś na telefonie. Widzę białe i niebieskie kolory tego Facebooka, widzę małe zdjęcia pani Tii, dużo różnych zdjęć różnych ludzi. – To serwis społecznościowy – tłumaczy. – Spotykają się tu ludzie z całego świata. Wystarczy nacisnąć odpowiedni przycisk. Załóżmy, że chcę znaleźć... O, proszę, Katie właśnie przysłała mi wiadomość. – Stuka na twarz jakiejś dziewczyny. – Katie jest moją przyjaciółką. Byłyśmy współlokatorkami.

Katie śmieje się tak, że pokazuje wszystkie zęby. Skórę ma bladą jak kurczak, co obrali go ze wszystkich piór. Nos w kształcie znaku zapytania – długi i wygięty na końcu. Jej włosy wyglądają jak wodospad, są czerwone jak krew i spływają z głowy na ramiona.

– Ona nie jest z Nigerii?

– Nie. Jest Brytyjką.

Zamyślam się na chwilę.

– Twoja przyjaciółka zabrała nam wolność. Ale odebraliśmy ją z powrotem pierwszego października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku.

– To zrobił rząd brytyjski. – Pani Tia lekko się uśmiecha. – Nie Katie ani żaden inny konkretny człowiek.

– Jednego dnia odbiorę swoją wolność od Wielkiej Madam.

– Tak będzie – mówi pani Tia. – Pewnego dnia.

Znowu patrzę na zdjęcie tamtej dziewczyny.

– Nie wiedziałam, że w Zagranicy mogą mieszkać tacy ludzie jak ty. Kiedy oglądam z Wielką Madam wiadomości w tiwi, widzę tylko ludzi, co wyglądają jak Katie.

– Co? Chcesz powiedzieć, że w wiadomościach widzisz samych białych? – Śmieje się cicho. – To przecież nie... Znaczy, w angielskiej telewizji jest mnóstwo czarnych, no i... – Wzdycha, a jej głos robi się trochę smutny. – Ale masz rację. Za mało jest czarnych prezenterów wiadomości. I parlamentarzystów... I na innych najwyższych stanowiskach. Za mało.

Nie wiem, czy w całości rozumiem, o czym ona mówi. Nie wiem, dlaczego nazywa zagranicznych ludzi białymi i czarnymi. Kolory są dla kredek, ołówków i innych rzeczy. Wiem, że w Nigerii nie każdy ma taki sam kolor skóry. Nawet ja i Kayus, i Pierworodny nie mamy tego samego koloru, ale nikt nie nazywa tu nikogo białym albo czarnym. Wołamy się normalnie, po imieniu: Adunni, Kayus, Pierworodny. Wystarczy.

Patrzę na panią Tię, chcę zapytać, czy to ważne w Brytanii i Zagranicy, że ktoś ma taki kolor lub inny. Ale ona przygryza wargę i nadal patrzy smutno. Zostawiam więc słowa dla siebie i opowiadam o innym fakcie:

– Rzekę Niger odkrył pan Mungo Park.

– Co?

– To taki fakt – odpowiadam. – W *Nigeryjskiej księdze faktów* było. Pan Mungo Park, mężczyzna z Brytanii, podróżował do Nigerii i odkrył tu rzekę Niger. Ale on przecież nie był z Nigerii. To jak mógł odkryć rzekę, która była w Nigerii od zawsze? Ktoś musiał panu Mungo tą rzekę

pokazać, zaprowadzić go do niej. Kto to był? I dlaczego jego imienia nie ma w tej książce?

– Może dlatego, że... – Pani Tia znowu gryzie się w wargę, myśli. – Prawdę powiedziawszy, sama nie jestem pewna. Warto się nad tym zastanowić.

– Tak samo jak Kofi – mówię. – Prawie już pięć lat gotuje całe jedzenie, ale wszyscy są na niego ślepi. Kiedy przychodzą goście i jedzą smażony ryż Kofiego, zawsze chwalą Wielką Madam. Że jej ryż jest bardzo słodki, a ona się uśmiecha i dziękuje. Dlaczego nie może powiedzieć, że to Kofi robi jeść? Bierze podziękowania za to, co zrobił inny człowiek.

– Dlatego że ona o tym nie myśli – odpowiada pani Tia. – I może też dlatego, że płaci Kofiemu pensję. Co nie znaczy, że to w porządku. Czekaj, wyloguję się z Facebooka.

– A ten Facebook... Mogę w nim znaleźć każdego, kogo szukam?

– Zazwyczaj. – Kiwa głową na „tak".

Myślę o Bamidele, o tym, czy jego też mogę w tym Facebooku znaleźć.

– Poszuka pani dla mnie kogoś, co ma na imię Bamidele?

– Bamidele? – Naciska telefon, kiwa głową na „nie". – Adunni, wielu ludzi ma tak na imię. A jakie nazwisko? – Zerka na mnie. Wzruszam ramionami. – Rozumiem. No cóż. Na naszej pierwszej lekcji omówimy czasy. Na szczęście bardzo dobrze rozumiesz angielski i znasz nawet niektóre trudniejsze słowa, ale nad czasami musimy jeszcze popracować. Gotowa?

– Tak. Bardzo gotowa.

– No, to proszę. – W jej oczach tańczą iskry. – Weź zeszyt i ołówek. Zaczynamy.

ROZDZIAŁ 34

Fakt: Nigeryjczycy udający się do Wielkiej Brytanii nie potrzebowali wizy wjazdowej aż do roku 1984.

Naprawdę, naprawdę, angielski jest strasznie poplątany.

Czasami nawet nie rozumiem różnic między tym, co uczy mnie pani Tia, a tym, co już wiem. W głowie mówię dobrym angielskim, ale ona ciągle powtarza, że nie mówię jak trzeba. Choć najpierw musiałam długo błagać, to teraz widzę, że ona ogromnie się cieszy, że mnie uczy, i codziennie o siódmej i trzydzieści przychodzi jak szczęśliwe dziecko. Podskakuje na obu nogach, z zeszytem i ołówkiem w ręku, bardzo chcąca dawać mi edukację. Czasami mnie to męczy, te wszystkie lekcje i poprawki, ale wiem, że jak się lepiej nauczę, będę mieć większą szansę na wejście do szkoły.

Ale zdarza się, że tylko gadamy i gadamy.

Wczoraj opowiedziałam jej więcej o sobie. Że uciekłam, bo papa chciał sprzedać mnie Morufu z powodu czynszu. I że spotkałam pana Kolę, a on przywiózł mnie do domu Wielkiej Madam. Mówię jej o mamie, że za nią tęsknię. Kiedy zaczynam płakać, pani Tia masuje mi ręką plecy, w kółko i w kółko. I mówi:

– Wszystko będzie dobrze, Adunni. Wszystko się ułoży.

Ale skąd ona wie, że będzie dobrze? Jej wystarczy, że wsiądzie do samolotu i zobaczy swoją mamę w Port Harcourt. Ale ja? Czy jakiś samolot zawiezie mnie do nieba? Moja mama

jest już tylko słodkim wspomnieniem nadziei, gorzkim wspomnieniem bólu, czasami kwiatem, a czasami światłem, co błyska na niebie.

Nie mówię pani Tii, że wyszłam za Morufu, ani o tym, co mi robił w pokoju, kiedy wypił swój ognisty likier. Nie mówię, co się stało z Khadiją. Bo to wszystko trzymam w głowie w specjalnym pudełku. Zamknęłam je i wyrzuciłam klucz głęboko do rzeki swojej duszy. Może jednego dnia, kiedyś, zanurkuję i znajdę ten klucz.

Pani Tia też się trochę przede mną otwiera. Słyszę, że ona i jej papa są „niesamowicie zżyci", ale z mamą od małego zawsze się kłóciła, bo mama była „nadmiernie wymagająca". Ona nie pozwalała córce mieć dużo przyjaciół i dlatego teraz pani Tia nie umie trzymać wielu przyjaciół przy sobie. Mówi też, że rodzice nie nauczyli jej mowy joruba, bo są z plemion Edo i Ijaw, ale teraz wstyd jej, że nie potrafi nic w joruba, bo chciałaby rozmawiać z rodziną męża, a nie da rady. Obiecuję więc, że mogę ją uczyć.

– Fantastycznie! – odpowiada.

A potem robi wyznanie, że chce mieć dzieci. Ona chce, ale mąż nie myśli o tym tak poważnie jak ona, choć teraz zaczynają próbować. Kiedy tak opowiada, w jej oczach stają łzy, a ja czuję, że ma w duchu ulgę, jakoby przestała właśnie nieść ciężar, co dźwigała go od dawna. Kiedy pytam, dlaczego zmieniła zdanie i już chce mieć dzieci, wyciąga telefon, włącza internet i mi podaje.

– Posłuchaj tego – każe. – To ustna lekcja angielskiego. Słuchaj i powtarzaj.

Nie lubię tych ustnych lekcji. Nie słyszę dobrze, co ci ludzie gadają. Ich głos jest szybki, jakoby ktoś gonił ich z laską i kazał paplać bez zatrzymywania. Ale ponieważ pani Tia na mnie patrzy, zmuszam się i mówię to, co mówi telefon. Wczoraj uczyła mnie takiego słowa: „sztućce".

– Sztu-cie-ce – stękam.

– Sztuć-ce – mówi telefon.

– Sztuć-ce – powtarza pani Tia.

– Czym się różniły moje od twojego mówienia? – pytam.

– Czym się różni moje od twojego. „Różni", nie „różniły" – tłumaczy ona.

A potem pokazuje, czym się różni „różni" od „różniły".

Tak to właśnie idzie. Zaczynamy rozmawiać i ja coś mówię, a pani Tia kręci nosem. Daje mi naukę i zaraz zapominamy, o czym rozmawiałyśmy wcześniej.

Ale tego wieczora, przed lekcją angielskiego, siadam obok niej na ziemi i zbieram się na odwagę.

– Mogę o coś zapytać?

– Jasne. Pytaj, o co zechcesz.

– Mogę znowu zapytać, dlaczego zmieniłaś zdanie o dzieciach?

Pani Tia wzdycha, podnosi z ziemi kamień i rzuca go w trawę. Skubie sobie dolną wargę zębami, gryzie ją mocno i mruga, mruga i mruga.

– Mówiłam ci już, że moja matka była twardą kobietą – odzywa się wreszcie. – Nadal jest, ale przez chorobę osłabła i trochę złagodniała. Ode mnie wymagała doskonałości pod każdym względem. We wszystkim. Jako dziecko nie miałam

przyjaciół. Każdą chwilę poświęcałam nauce. Matka chciała, żebym została księgową. A ja nie cierpię liczyć. Chciała też, żebym w wieku dwudziestu dwóch lat wyszła za mąż i natychmiast urodziła. Wymyśliła sobie, że zanim osiągnie pewien określony wiek, musi zostać babką. Nalegała, żebym po studiach wróciła do Port Harcourt, ale wtedy poznałam Kena i wyprowadziłam się do Lagos. Matka miała dokładną rozpiskę całego mojego życia, a ja się przeciwko temu buntowałam. Byłam przez nią tak bardzo nieszczęśliwa, że nie potrafiłam sobie wyobrazić posiadania dziecka. Nie chciałam zrobić mu tego, co matka zrobiła mnie. Nie sądziłam, że mogę zostać dobrą mamą. Zresztą w ogóle wolałam nie sprowadzać dzieci na ten świat. Bo zobacz, jak to wszystko wokół wygląda! Myślałam sobie, że na ochotnika przysłużę się ograniczeniu ludzkiej populacji. Że uratuję planetę. Zanim poznałam Kena, cały rok jeździłam jako działaczka społeczna i prowadziłam kampanię na rzecz ograniczenia tempa wzrostu zaludnienia Ziemi. – Cichnie na chwilę, uspokaja głos. – Ale kiedy mama w zeszłym roku zachorowała i okazało się, że to nieuleczalne, czyli że już nie wyzdrowieje, zaczęłam ją odwiedzać. I zobaczyłam pewne sprawy w nieco innym świetle. Przy każdej wizycie mama płakała i trzymała mnie za rękę, jakby chciała przeprosić za wszystko, co między nami zaszło. Kiedy tak jeździłam tam i z powrotem do Port Harcourt, zwłaszcza w ciągu kilku ostatnich miesięcy, zaczęłam żałować, że nie mam dziecka, które mogłabym ze sobą zabrać. Może gdybym pokazała mamie wnuka, dałabym jej powód do życia. Szczerze mówiąc, zawsze była to przelotna myśl, nie taka, żebym od razu zaczęła rozmawiać na ten temat z Kenem czy żebym

naprawdę zmieniła zdanie. Ale tego wieczora, kiedy się poznałyśmy – patrzy na mnie, uśmiecha się – powiedziałaś coś o swoim ojcu, który nie zawsze był dobry, a ty i tak go kochałaś. Powiedziałaś, że nie będziesz się spieszyć, tylko cierpliwie poszukasz dobrego mężczyzny i we właściwej chwili urodzisz dzieci, które dostaną wszystko, czego ty nie miałaś. Właśnie dzięki tobie zrozumiałam, że jednak mogę być dobrą matką. Że nie muszę stać się taka, jak moja mama. Że mogę dokonywać innych wyborów. Ty nie masz o tym pojęcia, ale twoje słowa coś we mnie wtedy obudziły. Z dawna tłumione pragnienie. – W jej oczach lśnią łzy. – A teraz już wiem, że naprawdę tego chcę. Nie mogę przestać o tym myśleć, o małym synku czy córeczce. Wystarczy mi jedno, bo wciąż bardzo zależy mi na środowisku. – Śmieje się cicho. – Wychowam swoje dziecko w domu pełnym miłości i równowagi, z nadzieją, że wyrośnie na człowieka tak samo bystrego, inteligentnego i wesołego jak ty.

– Kiedyś będzie z ciebie dobra mama – mówię i mrugam, bo też płaczę. – Taka jak moja mama. Pani Tio, nie jesteś jak swoja mama. Jesteś dobrym człowiekiem – tak ją przekonywam. Bierze mnie za rękę i mocno ją ściska. Nic nie mówi. – A co powiedział doktor? – pytam. – O tej zmianie zdania?

Odkąd mi o nim opowiedziała, nazywam pana Kena doktorem. Jej to nie przeszkadza.

– Na początku nie był zachwycony – odpowiada. – Zmartwił się. Stwierdził, że nie tak się umawialiśmy, że samodzielnie zmieniam plany. Ale w tej sprawie niczego konkretnie nie ustalaliśmy. Kiedy się poznaliśmy, powiedział, że nie chce mieć dzieci, a mi to nie przeszkadzało. Więc się

pobraliśmy. – Rzuca nieśmiały uśmiech i dodaje: – Ale teraz też się namyślił. Próbujemy. I wiem, że się uda.

– Bardzo niedługo – zaświadczam.

– Czy możemy wreszcie zająć się lekcjami? – Pani Tia kiwa głową na „tak", podaje mi zeszyt i długopis.

Minęło sześć wieczorów. Siedzę w łóżku w swoim pokoju i czytam z kartki, którą dała mi pani Tia.

Napisała na niej dziesięć zdań po angielsku i mam wybrać, które poprawne, a które nie. Z ołówkiem w dłoni patrzę w kartkę. Nagle słyszę hałas, jakoby szczur drapał drzwi pazurami.

Wyłażę z łóżka, biorę do ręki but i mocno go ściskam. Jeśli ten szczur pokaże tu łeb, to go rozwalę. Czekam, oddycham szybko i cicho. Hałas się powtarza, skrzypienie. Zza moich drzwi. Podchodzę i otwieram je.

Przede mną stoi Wielki Tata, w oczach ma szok. Ubrany jest w spodnie, białą koszulkę, kapcie. Jego ciało pachnie, jakoby za dużo wypił.

Co on tu robi? W kwaterze chłopców?

– Adunni. – Patrzy na moją pierś. – Co słychać?

– *Sah*? – Klękam na powitanie. Łapię koszulę nocną rękami, zaciągam ją, osłaniam się. – Wszystko okej. Dobry wieczór.

Przypominam sobie, co kazała Wielka Madam, że mam mu nie odpowiadać. Wstaję więc na nogi i chcę wrócić do pokoju.

– Podejdź tu – mówi Wielki Tata. Oblizuje górną wargę i coś pełnego nadziei umiera w moim sercu. – No chodź – rzuca. – Nie bój się.

Patrzę w lewo. W prawo. Ale Kofi już na pewno śpi i chrapie.

– Jesteś bardzo piękną dziewczyną. – Wielki Tata zsuwa okulary na nos. – I inteligentną.

– Dziękuję, *sah*.

– Moja żona wyjechała.

– Tak, *sah*.

– Ona jak zwykle czuje się zagrożona. Moja żona. Przez każdą, cholera, kobietę w moim otoczeniu. To strasznie frustrujące, nie masz pojęcia, jak bardzo.

– Tak, *sah*.

– Ale nie ma się czym martwić. – Wielki Tata chybocze się na nogach, kiwa głową na „nie". – Znaczy, moją żoną. Nie ma się czym przejmować – bełkocze. Już nie mówię „tak, *sah*". Tylko stoję plecami do ściany, z rękami zaciśniętymi na nocnej koszuli. – Przychodzę do ciebie, bo... jest propozycja, Adunni, słyszę. – Propozycja. To nie imię, rozumiesz.

– O co chodzi, *sah*? – Odganiam moskita z szyi, ziewam. – Łapie mnie sen.

– Nie musisz przede mną uciekać, słodka dziewczyno. Jestem, rozumiesz, dżentelmenem – mówi. Nic z tego nie rozumiem, więc nie odpowiadam. – Chcę tylko powiedzieć, że – chrząka – mogę ci pomóc. Dać ci pieniądze na wydatki. – Kiwa się i wpada ramieniem na ścianę. – Rozumiesz?

– Nie. Dziękuję, *sah.* – Odsuwam się, otwieram drzwi pokoju. On podchodzi bardziej bliżej, wstawia stopy na środek drzwi. – Proszę, niech *sah* odejdzie, bo będę krzyczeć – mówię cicho, ale serce głośno wali mi w uszach. Jak zamierzy

zrobić mi krzywdę, to kogo zawołam? Czy jeśli wrzasnę, Kofi mnie usłyszy?

Wielki Tata poprawia szkła na nosie, podnosi obie ręce.

– Ejże, nie ma powodu do niepokoju. Nie ma co robić...

– Dobry wieczór panu. – Kofi pojawia się w korytarzu jakoby znikąd. Nie ma swojej wysokiej czapki. Jego łysa głowa wygląda jak gładka piłka. Wokół pasa ma zawiązany biały ręcznik, nic nie zasłania mocnej piersi. Nigdy jeszcze nie byłam taka szczęśliwa na widok prawie gołego mężczyzny. – Usłyszałem jakiś hałas – mówi dalej. – Obudziłem się. Czy czegoś panu potrzeba? Może lekkiej przekąski?

– E-e. – Wielki Tata kiwa głową na „nie". – Adunni wołała... o pomoc. Chyba. Nie wiem. Jakiś hałas napędził jej strachu. A ja... tak... Właśnie wychodziłem. Dziękuję.

Wielki Tata odwraca się i odchodzi w noc. Chwilę potem trzaskają drzwi.

– Masz szczęście, że jeszcze nie spałem – odzywa się do mnie Kofi.

– Dziękuję tobie. – Dreszcz biegnie po całym moim ciele. Szczypie mnie skóra.

– Wielka Madam wraca w przyszłym tygodniu. Piszesz już to wypracowanie? Widziałem, że od kilku dni pracujesz nad tym z tą kobietą, z żoną doktora.

– Uczy mnie bardziej lepszego angielskiego, żebym umiała napisać – odpowiadam, a kiedy o tym myślę, czuję się lekko. Ciepła nadzieja przegania z mojego ciała dreszcze.

ROZDZIAŁ 35

Fakt: Zawieranie związków małżeńskich z dziećmi zostało zdelegalizowane przez rząd Nigerii w 2003 roku. Szacuje się jednak, że wciąż około 17% dziewcząt, zwłaszcza pochodzących z północnej części kraju, wychodzi za mąż przed ukończeniem piętnastego roku życia.

Po tamtej nocy nie śpię za bardzo dobrze.

Czasami siedzę w łóżku, ściskam w ręku korale Rebeki i czytam Biblię mamy albo uczę się angielskiego z książki, co dała mi ją pani Tia. Kiedy indziej patrzę na żarówkę pod sufitem, słucham szumu generatora na zewnątrz i myślę, czy Wielki Tata siedzi u siebie w domu, czy nie siedzi. Ale wygląda na to, że zaczął się dobrze zachowywać. Nie przyszedł do mnie wczoraj ani dzień przed wcześniej, no ale wiem, że myśli tylko o tym, jak przyjdzie, kiedy nie będzie Kofiego. Dlatego muszę wcześniej wymyślić, co zrobię, żeby utrzymać go daleko od siebie. Po długim myśleniu bez żadnych rozwiązań podejmuję decyzję, że opowiem o wszystkim pani Tii.

Tego wieczora siadam za kuchnią na niskim drewnianym krześle, a pani Tia staje przed czarną tablicą (sama tą tablicę kupiła i przyniosła poprzedniego dnia. Tablica jest kwadratowa i tak duża jak tiwi z naszego salonu w Ikati). Postawiła ją na wysokim kuchennym stołku i pisze na niej różową kredą.

– Trzy noce temu przyszedł do mnie Wielki Tata – mówię, kiedy ona ściera szmatą tablicę. – Wlazł mi prawie do pokoju.

– Co? – Pani Tia odwraca się, czyści ręce chusteczką z tylnej kieszeni. – Po co do ciebie przyszedł?

– Nie wiem. Ale pewnikiem nie po to, coby mi życzyć dobrej nocy. Miał jakiś inny zamiar; boję się, że chciał mi zrobić coś złego.

– Mówił coś? – Pani Tia ogląda się przez ramię. – Jest teraz w domu?

– Nie. Musiał wyjść – rzucam. – Zawróci dopiero bardzo późno.

– Wróci dopiero bardzo późno – poprawia mnie pani Tia. – Co ci wtedy powiedział?

– Same bzdury. Ale boję się, że chce mi robić krzywdę – powtarzam.

Pani Tia patrzy, jakoby moje słowa pojawiały się przed nią w powietrzu, kiwa głową na „nie".

– Krzywdę? Chodzi ci o nieprzyzwoity dotyk? Że chce zrobić z tobą coś, czego nie powinien?

– Tak – szeptam. – Kofi się pokazał i go zatrzymał. Jak o tym myślę, szybko robi mi się zimno. – Boję się, pani Tio. I też dlatego chcę stąd odejść. Chcę pójść do szkoły.

– Adunni, posłuchaj. – Podchodzi bardziej blisko, siada na piętach i patrzy mi oko w oko. – Musisz być bardzo ostrożna. Czy w drzwiach twojego pokoju jest zamek?

– Nie mam zamku. – Kiwam głową na „nie".

– Zamka – poprawia i uśmiecha się, bo widzi, jak wywracam oczami. – Wiem, że to z początku niełatwe, ale

w końcu dojdziemy i do tego. Twoja madam wraca za dwa dni, prawda?

– W sobotę. Dzień po jutrze.

– Wystarczy powiedzieć „pojutrze". Potem już nie będziemy mogły widywać się tak często. – W głosie pani Tii słychać pełno smutku. – Florence to się nie spodoba.

– No tak. – Też robię się smutna.

– Chyba że wymyślimy coś, co sprawi, że ona pozwoli nam się widywać.

– Że niby co?

– Na przykład powiem jej... Sama nie wiem... Muszę znaleźć jakiś dobry powód. Może namówię swojego męża, żeby z nią pomówił. Florence go szanuje, a Ken mógłby jej powiedzieć, że chcę, żebyś kilka razy wybrała się ze mną na targ czy coś? Bo zdecydowanie potrzebujemy więcej czasu, żeby popracować nad twoim wypracowaniem.

– Myślisz, że się zgodzi?

– Zawsze warto spróbować – przekonywa pani Tia. – A swoją drogą, mam porozmawiać z nią o tym zajściu z Wielkim Tatą?

– Powiedzieć jej *ke*? – Robię wielkie oczy i kręcę głową na „nie". – Pobije mnie bardzo, a może i odeśle. Nie chcę, coby mnie odesłała, jeszcze nie.

– Dobrze. Na razie nic jeszcze nie powiem, ale ty musisz ją poprosić o zamek. Żeby zainstalowała ci w drzwiach do pokoju. Zrobisz to, Adunni? Za coś takiego chyba cię nie zbije, prawda?

– Nie wiem. Mogę spróbować.

– Musisz. – Pani Tia wstaje, potrząsa nogami, jakoby całkiem odrętwiały i chciała, coby ożyły. – Ale przy mężu madam musisz bardzo uważać. I musisz mi powiedzieć, jeżeli on znowu przyjdzie do twojego pokoju, dobrze?

Czuję bardzo różne uczucia. Ona patrzy na mnie, ogląda mnie.

– Co będziesz mnie dzisiaj uczyć? – pytam.

– Dzisiaj zajmiemy się czasem teraźniejszym ciągłym – oznajmuje. Ma dziwny głos. Spięte usta. Podchodzi do tablicy i pisze CZASOWNIK: *TO BE* (forma *ING*). – Patrzy na mnie. – Wiem, że na pierwszy rzut oka to nie ma sensu, ale wszystko ci wyjaśnię.

Gryzę ołówek, trzymam oczy na tablicy.

– Czasu teraźniejszego ciągłego używamy, opowiadając o teraźniejszości. O czymś, co dzieje się dokładnie w tym w momencie, kiedy o tym mówimy. Na przykład: *I am standing in front of you*. Stoję przed tobą. *Standing* to właśnie czas teraźniejszy ciągły. Takie słowa tworzymy, dodając do czasownika końcówkę *ing*. Wiesz, czym jest czasownik?

– Słowo czynności. Słowo robienia – odpowiadam. Nauczycielka uczyła mnie tego w Ikati. Nie zapomniałam.

– Świetnie. Możesz mi podać jakiś przykład czasu teraźniejszego ciągłego?

– *I am sitting on top the chair* – mówię.

– Znakomicie! – Pani Tia klaszcze w dłonie. – Prawidłowo będzie: *I am sitting on the chair*. Nie musisz dodawać do tego zdania słowa *top*. – Odwraca się do tablicy i pisze: *SITTIN*... Zatrzymuje się przed literą G. Trzęsą się jej ręce. Znów

spogląda na mnie. – Chyba muszę usiąść. – Chwieje się, siada obok mnie na ziemi, podciąga wysoko kolana i kładzie między nimi głowę.

– Wszystko okej? – Gapię się na jej skręcone włosy, co opadły na nogi. – Chcesz pani wody z lodem?

– Zmęczona jestem. – Podnosi głowę, uśmiecha się słabo. – Wiesz, mam nadzieję, że... Mogę być w ciąży.

– Tak? – Robię wielkie oczy, zasłaniam usta. – Skąd pani wiesz?

Śmieje się, zabiera loczek z nosa.

– Żartuję tylko. To trochę za wcześnie.

– Kiedy ostatnio był u pani miesięczny gość? – pytam.

– Powinien być za kilka dni.

– Nie przyjdzie. – Kiwam głową na „nie". – Już teraz nie przyjdzie.

– Urocza jesteś mówi. – Tylko że... Chodzi o matkę Kena. Nie daje mi spokoju.

– Mama doktora? Dlaczego?

Pani Tia oddycha mi w twarz, powietrze pachnie pastą do zębów.

– Złożyła nam wizytę dziś rano. Odwiedza nas mniej więcej raz w miesiącu.

– Po co? – pytam. – To dlatego jesteś teraz smutna? Czego ona u was szuka?

– Wypytuje, czy jestem w ciąży. Wyobrażasz sobie? Przez ostatnie pół roku raz na miesiąc przyjeżdża i pyta: „Gdzie moje wnuki? Kiedy będę mogła wziąć wnuki na ręce? Kiedy

będę mogła z nimi zatańczyć?”. Jakbym chowała przed nią te dzieci na strychu czy coś. Jak tak bardzo chce potańczyć, niech sobie do klubu idzie. – Milknie, ale po chwili mówi dalej. – Kontakty z rodziną mojego męża są dosyć stresujące, zwłaszcza że długo nie wspominaliśmy im, że postanowiliśmy nie mieć dzieci.

– Więc ona nie wiedziała… – Mówię powoli, myślę o słowach, o angielskim. – Nie wie, że doktor nie chce dzieci? – pytam. Pani Tia kiwa głową na „nie”. Odganiam muchę z nosa. – Więc niech pani powie, że potrzebujesz czasu, że ty i doktor zaczniecie próbować. A jeśli nie może dłużej czekać, niech porozmawia z synem i z nim się kłóci.

– Nie uwierzy. – Wzrusza ramionami. – Powtarza, że to już za długo trwa. Że jest zmęczona tym wiecznym czekaniem.

– Dziecko przyjdzie bardzo niedługo, a wtedy mama doktora nie będzie szukać z tobą problemów.

Pani Tia patrzy dziwnie i wzdycha. Wstaje i sięga po kredę.

– Dobrze, dokończmy lekcję. Dzisiaj porozmawiam z Kenem i może we dwie wybierzemy się razem na targ.

ROZDZIAŁ 36

Fakt: Nigeryjscy senatorowie należą do najlepiej opłacanych parlamentarzystów świata. Jeśli zsumować pensję i rozmaite dodatki, senator zarabia w tym kraju około 240 milionów nair (1,7 miliona dolarów) rocznie.

Wielka Madam wraca cała w uśmiechach, pachnie jak nowe ubranie.

Wychodzi z samochodu, idzie prosto do domu i zaczyna otwierać wszystkie drzwi, coby sprawdzić, gdzie czysto, gdzie brudno. Jest chyba zadowolona, a kiedy widzi, że kran w toalecie aż świeci, nawet klepie mnie dwa razy po głowie. Próbuję z nią porozmawiać. Pytam, jak zachowują się jej dzieci i czy w Londynie nie jest za zimno. Słyszę, że syn „pracuje w IT", a córka Kayla ma zaręczyny z jakimś mężczyzną.

– To bankier. – Radosna otwiera drugie drzwi, zagląda do toalety. – Wezmą ślub w przyszłym roku. Jej narzeczony jest synem senatora Kutiego. Ma na imię Kunle. Bardzo przystojny chłopak. Skończył London School of Economics na czołowym miejscu. Dobrze córkę wychowałam. Zbadała rynek i upolowała prawdziwy diament. Bogatego młodego mężczyznę. – Znów się śmieje. – W łazience jest naprawdę czysto. Adunni, dobrze zadbałaś o dom. Bardzo dobrze. Spisałaś się.

Dziękuję i idę za nią, dźwigam cały ładunek zakupów, co kupiła w Zagranicy.

– Walizkę postaw tutaj – rzuca, kiedy stajemy na piętrze przed jej pokojem. Siada na kanapie w korytarzu i się wachluje. – Kiedy wyjeżdżam, zawsze zapominam, jak w tym kraju jest gorąco. Przeklęty upał. Adunni, włącz klimatyzację i wiatrak. Na pełną moc.

Naciskam guzik klimatyzacji, daję pełne szybkie wiatraka na podłodze. Zaczyna wiać zimne powietrze, a ja klękam przed nią i czekam na inne rozkazy, co mam robić.

Dzwoni jej komórka. Odbiera.

– Tak. Właśnie dotarłam z lotniska. Już wiesz? Dobre wieści szybko się rozchodzą. Dziękuję. Dzięki Bogu. To syn senatora Kutiego. – Odrzuca głowę, śmieje się. – To zrządzenie samego Boga. Osobiście złączył moją Kaylę z tym Kunle. Ślub? W grudniu. Tak, mamy trochę ponad rok, żeby zaplanować wesele. Ale następnego lata urządzimy ceremonię zaręczyn. Z rozmachem. Oczywiście, że dostarczę tkaniny. Zajrzyj jutro do mojego sklepu, opowiem ci wszystko ze szczegółami. Teraz muszę odsapnąć. Potem zadzwonię. – Kończy rozmowę. – Telefon nie przestaje dzwonić, odkąd wysiadłam z samolotu. Gdzie mój mąż?

– Wyszedł – mówię.

– Jak zwykle – syczy. – Jak zwykle zero pożytku z tego człowieka. Mam nadzieję, że cię nie dręczył?

Myślę o tym, co powiedziała pani Tia, o zamku w drzwiach.

– Nie, *ma* – odpowiadam.

– Możesz odejść. Potem przyjdź, pomasujesz mi głowę. Moje stopy też za tobą tęsknią.

– Tak, *ma*. – Wstaję, ale zaraz znowu klękam. – Mam prośbę, *ma*.

– O co chodzi? – Wielka Madam sięga po torebkę, zasuwa zamek.

– Chcę... – Drapię się po głowie, próbuję dobrze ułożyć słowa. – Żeby w drzwiach mojego pokoju zrobić zamek.

– Po co ci? – Patrzy na mnie ostro.

– To nic takiego, *ma*. Ale tak zwyczajnie, czasami by był przydatny. Bo jestem już prawie kobietą i chcę...

Nie czuję się pewnie. Gryzę wargę. Wszystkie słowa, co podpowiedziała pani Tia, stają się ptakami i odlatują mi z pamięci.

– Czy mój mąż był w kwaterze chłopców? – Wielka Madam nachyla się, patrzy mi głęboko do oczu. – Adunni, powiedz prawdę. Czy on przyszedł do twojego pokoju?

Kiwam głową na „nie", potem kiwam na „tak".

– Nie, *ma*. To znaczy, nie on. Tylko szczur. Szczur hałasował i chcę zamykać drzwi. Przed szczurem.

– Przed szczurem, *abi*? – Mruży oczy. – Rozumiem. Wstawaj i idź już. Dobrze. Poproszę stolarza, żeby zamontował ci zamek.

– Dziękuję, *ma.* – Podnoszę się. – Wrócę wieczorem, coby pomasować ci pani głowę.

Wielka Madam nie odpowiada.

Kilka godzin potem idę znów na piętro, coby ją wymasować.

Kiedy podnoszę rękę do pukania, słyszę za drzwiami Wielkiej Madam mnóstwo hałasu. Stoję tak i czekam, choć wiem, że źle robię. Słyszę, jakoby dwoje ludzi się bardzo kłóciło. Pochylam głowę, słucham dobrze.

Ktoś czymś trzaska, później krzyczy Wielka Madam:

– Kiedy ty wreszcie zaczniesz się szanować? *Haba*. Adunni nie ma jeszcze piętnastu lat. Co robiłeś w jej pokoju, Wodzu? Po coś tam poszedł?

Wielki Tata odpowiada powoli, głos ma ciężki od picia.

– Adunni ci o tym powiedziała? Że u niej byłem?

– Dziewczyna poprosiła o zamek. Po co miałaby o to prosić, jeśli nie dlatego, żeś się tam do niej powlókł? Nie masz odpowiedzi, co? Żadnego z ciebie pożytku…

– Zważaj na słowa, kobieto – rzuca Wielki Tata. – Bo zaraz inaczej z tobą porozmawiam.

– Ty? Przecież ty nic mi nie możesz zrobić – krzyczy Wielka Madam. – To ja wkładam ci pieniądze do kieszeni, żebyś mógł spojrzeć co rano w lustro. Żebyś mógł być mężczyzną. Myślisz, że nie wiem o Amace z uniwersytetu w Lagos? Dopiero co w zeszłym tygodniu przelałeś na jej konto dwieście tysięcy nair, prawda? Moich nair. A co powiesz o Tayo? O tej z chudymi nogami, z uniwersytetu w Ife? Może nie wysłałeś jej przed miesiącem na Zanzibar? Wiem o nich wszystkich. Ale robić to w moim domu? Pod tym dachem? Ach, Bóg się z tobą policzy. Jak możesz uganiać się za naszą służącą? Za tą prostaczką? Po co ci tani seks z takim nikim? Jak nisko można upaść, Wodzu? – Wielka Madam zaczyna

płakać. Zawodzi i mówi przez łzy: – Dlaczego nie potrafisz mnie pokochać? Co jeszcze zrobić, żebyś wreszcie na mnie spojrzał, żebyś naprawdę mnie zobaczył? Żebyś zrozumiał, że jestem kobietą godną miłości? Kobietą, która poświęciła dla ciebie tak wiele. Twoje dzieci nie chcą zjechać do domu na święta, bo nie są w stanie znieść tego, jak mnie traktujesz. Ale ja, ja trwam w tym małżeństwie. Trwam w nim, bo cię kocham!

– To dlatego Kayla nie dzwoni do mnie już od dwóch miesięcy?! – Ryk Wielkiego Taty ucisza szloch Wielkiej Madam. – Coś ty nagadała moim dzieciom?

– Nie musiałam im nic mówić, Wodzu. Oboje nie są ślepi. Wychowali się w tym domu, widzieli, jak się wobec mnie zachowujesz! Dlaczego to robisz naszej rodzinie?

Potem znowu pyta męża, jak nisko może upaść i dlaczego ugania się za takim śmieciem jak ja. Aż nagle słyszę hałas. Jakoby ktoś walnął pięścią w poduszkę. Uderzenie. Dwa uderzenia. Trzy. Kładę rękę na piersi, serce bije mi bardzo szybko. Czy Wielka Madam i Wielki Tata kłócą się tak strasznie, bo poprosiłam o zamek? Ach, dlaczego nie trzymałam twarzy na kłódkę!

Czy ona mnie teraz odeśle? Dokąd wtedy pójdę? Kiedy Wielka Madam znowu zaczyna przeklinać męża i całą jego rodzinę, robię krok w tył. Jeden. Drugi. Zbiegam po schodach, pędzę przez kuchnię i uciekam do swojego pokoju.

ROZDZIAŁ 37

Kiedy docieram do kwatery chłopców, spotykam Kofiego. Stoi przed drzwiami mojego pokoju. Widzę po oczach, że jest zły.

– Padam na twarz. Gotuję dziś od samego rana. – Ociera fartuchem pot z czoła. – Ktoś zadzwonił do drzwi i wydzierałem się jak wariat. Wołałem cię, Adunni, bo wydawało mi się, że jesteś w tym domu pokojówką. Nie miałem pojęcia, że schowałaś się tutaj. Naprawdę jestem zmordowany.

– Jak to: jesteś zamordowany?

– Powiedziałem „zmordowany", nie „zamordowany". Chodź ze mną. Mamy gości.

– Jakich gości? – Ruszam za nim. – Gdzie Wielka Madam? Wszystko z nią okej?

– Okej. – Kofi daje szybkie, duże kroki. Aż muszę biec, żeby go słyszeć. – Ale bardzo się pokłócili. *Chale*, ta twoja niewyparzona gęba kiedyś cię jeszcze zabije. Po co prosiłaś Wielką Madam o zamek? Mówiłem przecież, że masz być ostrożna. Nie trzeba było prosić o zamek. Są inne możliwości. Dlaczego się mnie nie poradziłaś? Mogłabyś na przykład przesuwać sobie szafkę pod drzwi. Albo postawić w wejściu pułapkę na szczury i kiedy ten drań wszedłby do środka, zatrzasnęłaby mu się na palcu. O, dopiero byłoby na co popatrzeć! Wyobraź sobie! Skakałby jak opętany i wył z bólu, ale nie mógłby powiedzieć żonie, co się stało. Ha!

– Nie wiedziałam, że się przez to pokłócą. – Ocieram z oczu świeże łzy. – Zaczekaj, za bardzo gnasz!

– Smażę w głębokim tłuszczu pałeczki z kurczaka. Nie mam czasu na spacery.

– Ale pani Tia powiedziała, że powinnam poprosić o ten zamek. No to poprosiłam i mam teraz duży problem. Czy Wielka Madam mnie odeśle?

– Nie wiem – rzuca Kofi. – Tak się składa, że pani Tia jest żoną obrzydliwie bogatego lekarza i nie ma w życiu żadnych kłopotów. Nie powinna niczego radzić półanalfabetkom z IQ smażonej ryby.

– IQ ryby? – pytam. – Smażysz z kurczakiem też ryby?

Kofi nagle się zatrzymuje, patrzy na mnie niezadowolony. Po długiej chwili znowu pruje przed siebie.

– Módl się lepiej, żeby Wielka Madam zajęła się ślubem i nie zaczęła myśleć o zmianie pokojówki, zanim się dowiesz, co ze stypendium – słyszę. – Znaczy, jak już dojdzie do siebie, bo Wielki Tata nieźle ją pobił.

– Dlaczego on tak ciągle ją bije? – pytam.

Wchodzimy do kuchni tylnymi drzwiami. Kofi niemal pędzi do maszyny smażeniowej i wyciąga z gorącego oleju koszyk z kurczakiem. Kawałki mięsa mają głęboki złotobrązowy kolor. Pachnie tak, że usta mam pełne śliny. Głód skręca mi żołądek. Odkąd Wielka Madam wróciła, skończyło się moje poranne jedzenie.

– Goście czekają w salonie. – Kofi sięga po smażone udko i rozrywa je zębami. – Znakomicie zamarynowane. Doskonała równowaga między solą a innymi przyprawami. A ty na co się

tak gapisz? Idź, przywitaj gości, a potem leć na górę i powiedz Wielkiej Madam, że przyszli. Będę się modlił, żebyś wróciła żywa.

W salonie siedzą pani Tia i doktor. Kiedy klękam na powitanie, kobieta rzuca mi uśmiech, ale ten uśmiech wcale nie mówi, że się znamy ani że już wcześniej rozmawiałyśmy. Usta ma sztywne, zaciśnięte w wąską kreskę, jakobym była jakaś obca, jakoby widziała mnie może raz, dawno temu.

– Adunni, prawda? – odzywa się do mnie. – Jak się masz? Miło cię znowu widzieć. – Kładzie rękę na kolanach mężczyzny. – Poznaj mojego męża, doktora Kena. Przyszliśmy pogratulować madam Florence i Wodzowi zaręczyn córki. Kofi powiedział, że państwo są na piętrze. Mogłabyś dać im znać, że czekamy? – Spogląda na doktora. –

Mówiłam ci, że poznałam Adunni na spotkaniu stowarzyszenia? To ta dziewczyna, z którą chciałabym wybrać się na targ. Pokazałaby mi, jak trzeba się targować i w ogóle. Naturalnie pod warunkiem, że madam nie będzie miała nic przeciwko temu.

Doktor jest wysoki, a jego oczy kojarzą mi się z zatęchłą, brązową wodą. Ma krzaczaste brwi i wąsy, co wędrują spod nosa na środek brody. Ubrał się w białą koszulę na guziki. Jest trochę rozpięta i widać złoty krzyżyk na złotym łańcuszku, co wisi na długiej, gładkiej szyi. Spod krótkich brązowych spodni do kolan wystają łydki obrośnięte gęstymi kręconymi włoskami. Jego brązowe buty mocno pachną gumą.

Kiwa głową na „tak”, patrzy na mnie z góry na dół i z dołu na górę.

– Ciekawe rzeczy o tobie słyszałem – mówi. Głos ma gładki, śliski. Słowa spływają mu z ust łatwo, jakoby natarł je wcześniej olejem. Pasują do siebie, doktor i pani Tia. Miodowy głos i głos oleisty. Szkoda, że mają problemy z powodu dzieci.

– Tak, *sah* – odpowiadam. – Dobry wieczór, *sah*. Zaraz zawołam Wielką Madam i Wielkiego Tatę, coby zeszli. Podać zimne picie? Mamy w lodówce fantę, świeży sok i wino. Czego się państwo napiją?

– Dla mnie woda, dziękuję. – Doktor macha ręką. Wstaję, a on szepta do żony: – Wiesz, że na Wellington Road mogłabyś znaleźć wiele innych kobiet, kulturalnych i ładnie mówiących? Myślę, że każda z przyjemnością wybrałaby się z tobą na targ.

Pani Tia śmieje się jak dzwoneczek i odpowiada:

– Kochanie, zaufaj mi. Wiem, czego chcę. Ta sprawdzi się doskonale.

ROZDZIAŁ 38

Fakt: Z ciążą wiążą się w Nigerii liczne przesądy. Jednym z nich jest przekonanie, że przypięta do ubrania ciężarnej agrafka może odpędzić złe duchy.

– Cotygodniowe artykuły Tii cieszą się sporą popularnością – mówi doktor, jak wnoszę do jadalni tacę ze szklankami. – Blog zdobył już pięć tysięcy subskrybentów. Czytałaś może?

– A kto ma tam czas czytać o środowisku, kiedy pieniądze trzeba zarabiać? – śmieje się Wielka Madam.

Siedzi na krześle przy stole z Wielkim Tatą, panią Tią i doktorem. Nałożyła na twarz pełno różnych makijaży. Wygląda, jakoby polała się rozpuszczoną tęczą. Pod czerwono-złotą szminką świecą białe zęby. Kącik ust ma spuchnięty. I ona, i Wielki Tata szeroko się uśmiechają, zupełnie nie widać, że dopiero przed chwilą prawie się pozabijali.

– Postaw te szklanki tutaj – rzuca mi Wielka Madam. – O, tu, na środku. Tak, właśnie tutaj.

– A mimo to moja żona ciągle narzeka na nudę – znów się odzywa doktor, kiedy zdejmuję szklanki z tacy i stawiam na stole. – Radziłem, żeby zaczęła się częściej spotykać z takimi osobami jak ty, madam Florence. Z kobietami z klasą, sąsiadkami z ulicy. Ale ona woli siedzieć w domu i marudzić.

– Moim zdaniem potrzeba jej dzieci. – Wielka Madam sięga po szklankę, ogląda ją dobrze, wyciera ręką i odstawia. – Pani

Dada, kiedy człowiek zajmie się ganianiem małych urwisów po całym domu, nie ma czasu narzekać. Przy dzieciach nuda nie grozi. To wykluczone. Adunni, podaj szklankę Wodzowi. Dlaczego państwo tak długo nie mają dzieci? Jesteście małżeństwem już ponad rok. Ja zaszłam w ciążę pierwszej nocy po ślubie. – Wielka Madam chichota nieśmiało. – Mam nadzieję, że nie myślisz, żeby, jak to mówią, najpierw skorzystać z życia i podróżować? Jak nie będziesz ostrożna i się nie pospieszysz, macica ci uschnie. – Znowu śmiech, ale tym razem śmieje się tylko ona. – A kiedy wreszcie zajdziesz, to się ukryj. Tak trzeba. I jak pokaże się brzuch, pamiętaj, żeby przypiąć do ubrania agrafkę. Wtedy niczyje złe oko nie odbierze dziecka – daje rady. Pani Tia siedzi sztywno, jakoby ktoś wykrochmalił jej całe ciało. – No to kiedy powinniśmy się spodziewać dobrych wiadomości? – Wielka Madam gada, jako gdyby ktoś przeklął jej usta. – Kiedy zaprosicie nas na okolicznościowy ryż z kurczakiem?

– Dopiero co zaczęliśmy i… – mówi pani Tia, ale doktor naciska jej dłoń i kończy za nią:

– Będziemy próbować. Z czasem, jak Bóg pozwoli, w końcu się uda. Dla mnie najważniejsze, żeby Tia czuła się szczęśliwa. Nie byłoby dobrze, gdyby ktokolwiek ją poganiał. – Doktor patrzy na żonę oczami pełnymi miłości i kiwa głową na „tak”.

– To prawda – cedzi pani Tia przez zęby za tymi kratkami, jakoby miała w ustach pełno ostrych szpilek. – Próbujemy. Nikt nikogo nie ponagla.

Kaszlę, stawiam szklankę przed Wielkim Tatą, czuję na dłoni jego gorące oczy.

– Powiedzieć Kofiemu, żeby podawał już jedzenie? – pytam. – I sok pomarańczowy?

– W takich sytuacjach Bóg wie najlepiej, kiedy co ma się wydarzyć – dodaje do rozmowy Wielki Tata. – Dzieci są darem. Cudem.

– Nie inaczej – zgadza się doktor.

– Soku pomarańczowego? – pytam jeszcze raz, ale nikt nie odpowiada, więc cofam się i przyciskam tacę do piersi.

Pani Tia opuszcza głowę, jakoby zobaczyła na szklanym blacie swoją smutną twarz i zrobiło się jej żal samej siebie. Doktor bierze pod stołem jej rękę i trzyma.

– Aczkolwiek jest coś, co pozwoliłoby jej przestać zamartwiać się dzieckiem – mówi doktor. – Powinna częściej wychodzić. Tia uwielbia być wśród ludzi i poznawać lokalne kultury. Chciałaby zmienić wystrój domu i zastanawia się, czy wasza pomoc domowa – doktor uśmiecha się i kiwa głową w moją stronę – nie mogłaby wybrać się któregoś dnia z nią na zakupy. Dzięki temu Tia nauczyłaby się nareszcie targować.

– Pomoc domowa? – prycha Wielka Madam. – Która? Adunni? A co ona tam wie? W Lagos jest obca. To analfabetka, kompletnie do niczego. Z nikim na żaden targ nie pójdzie. Poza tym, dlaczego pani Dada nie może targować się sama? Czy nie jest Nigeryjką? Do czego jej Adunni?

– Mogę się targować sama. – Pani Tia podnosi głowę. – A przynajmniej mogę spróbować. Ale miło byłoby mieć wsparcie. Adunni świetnie zna język joruba. Jest też inteligentna i dobrze się przy niej czuję. Lepiej niż

w towarzystwie wielu innych ludzi. Myślę, że wspólnie odkryłybyśmy sporo nowych rzeczy.

– Chcecie odkryć nowe rzeczy *ke*? – Wielka Madam ze śmiechem kiwa głową na „nie". – A czy moja dziewczyna to jakaś wyszukiwarka? Nie, nie. Proszę. Nie chcę, żeby Adunni...

– Wiesz co, Florence? – Wielki Tata podnosi rękę. – Myślę, że to dobry pomysł. Zgadzam się. Możecie pożyczać Adunni raz w tygodniu, najlepiej wieczorem.

Wielka Madam patrzy, jakoby chciała zastrzelić męża oczami, zabić go na śmierć za gadanie takich głupot.

– Na pewno? – pyta pani Tia. – Jeśli to faktycznie nie problem, byłabym zachwycona.

– Nie ma żadnego problemu – mówi Wielki Tata. – Nalegam. Doktor Ken jest naszym drogim przyjacielem, a skoro jego cudowna żona prosi o drobną przysługę, nie wypada przecież odmówić.

– Kochanie, słyszałeś? – Pani Tia uśmiecha się do męża.

– Zdaje się, że madam Florence nie uważa, że... – Doktor patrzy niepewnie.

– Nie, nie. W porządku. – Słowa Wielkiej Madam szokują wszystkich. – Raz w tygodniu możecie chodzić razem na targ. Na krótko. Na bardzo krótko. Adunni jest mi potrzebna w domu, ma tutaj dużo pracy, więc proszę, jeśli będzie pani chciała takiej pomocy na dłużej, mogę państwu polecić swojego agenta, pana Kolę. Sprowadzi dobrą dziewczynę za bardzo rozsądne pieniądze.

– To miło z twojej strony – odpowiada pani Tia. – Jestem bardzo wdzięczna. Dziękuję.

Wielka Madam mruczy pod nosem; mamrota coś, czego nikt nie słyszy.

Serce podskakuje mi w piersi. Czy to znaczy, że będę się spotykać z panią Tią raz w tygodniu? I że nauczę się więcej, zanim napiszę to wypracowanie? To najbardziej lepsza dobra wiadomość, jaka mnie spotkała, odkąd jestem w Lagos.

– Co ty tu jeszcze robisz? – Wielka Madam patrzy w moją stronę. – Idź wreszcie po ten sok, bo zaraz ci przyłożę i przestaniesz się tak cieszyć.

ROZDZIAŁ 39

Nocą zmawiam wieczorną modlitwę. Dziękuję Bogu, że wszedł do głowy Wielkiej Madam i pozwoliła mi raz w tygodniu wychodzić z panią Tią.

Dziękuję mu też za to, że choć mister Kola nie wrócił z moimi pieniądzami, to nie leżę w trumnie pod ziemią; że zamiast piasku mam pod głową poduszkę. Modlę się za nowy 2015 rok, coby był dla mnie szczęśliwy, ten rok, kiedy pójdę do szkoły. Nie zapominam o Khadii. Proszę Boga, niech zadba o nią w niebie, niech da jej wielkie, wielkie łóżko i dużo jedzenia. Proszę go też, coby pilnował mojej mamy.

Pamiętam jednakowo o pani Tii. Modlę się, coby miała ciążę i urodziła dziecko w przyszłym roku. Jedno, bo chce jedno, a nie dwa czy trzy dziecki. I to jedno zrobi, że nie będzie miała problemów z mamą doktora. I jeszcze papa: coby Bóg dał mu dobre serce i spokój w głowie.

Nie modlę się tylko za Kayusa. Jak myślę, coby modlić się za bardziej młodszego brata, wypełnia mnie smutek. A dzisiaj jest dobry dzień, nie chcę w nim smutku. Kiedy kończę modlitwę, czuję się wolna, jak od dawna nie byłam. A kiedy się uśmiecham, uśmiech wychodzi na usta z samej głębi serca.

Zaczynam rozplatać warkoczyki. Moje włosy zawsze były mocno czarne i grube jak gąbka. Kiedyś łamały mamie wszystkie grzebienie z drewna. Teraz śmierdzą wybielaczem, kurzem i olejem. Rozplatam warkoczyki przez całą jedną godzinę. Po wszystkim patrzę na siebie w lustrze. Włosy

obejmują mi szyję jak chmura, są ciepłe i tłuste. Potrząsam głową, wtedy podskakują na ramionach. Ze śmiechem ściągam ubranie, biorę chustę, owijam się nią i wychodzę z pokoju.

Jest ciemno. Księżyc wygląda, jakoby Bóg rzucił na czarną płytę świecące jajo, a wokół rozsypał gwiazdy. Niektóre mrugają i migotają, inne siedzą spokojnie, rysują na niebie dziwne kształty. Idę szybko po trawie. Śmieję się, bo świerszcz wyskakuje do góry i hałasuje kre-kre. Kiedy podchodzę do prania, co schnie na sznurku, widzę w ciemności kształt mężczyzny. Idzie, jakoby urwało mu pół nogi: Wielki Tata. Staję, przyciskam ręce do piersi i patrzę. Rozmawia z kimś przez telefon, mówi cicho, ale i tak go słyszę:

– Kochanie moje, powiedziałem przecież, że przepraszam. Wynagrodzę ci to, obiecuję. Może spotkamy się jutro wieczorem w hotelu Federal Palace? Albo w tym... Adunni!

Widzi mnie, sztywnieje jak posąg. Mocno przykłada telefon do ucha. Otwiera oczy tak szeroko, że zajmują prawie całe czoło. Kobieta w telefonie ciągle gada, mówi, jakoby połknęła pszczołę, bzz-bzz, ale ja słyszę te ciche słowa: „Kochanie, jesteś tam?".

– Dobry wieczór, *sah* – rzucam, kiedy Wielki Tata otrząsa się i odsuwa telefon od głowy.

Takiego jeszcze wcześniej nie widziałam: czarny, cienki, wygląda na drogi. Mały jak pudełko zapałek. Wielki Tata coś naciska i cyfry na telefonie zaczynają świecić, malują mu twarz dziwną zielenią. Zaraz potem wsuwa telefon do spodni z ankary, tych samych, co nosił je rano.

– Co tu robisz? – pyta. – Zaraz, zaraz... Podsłuchiwałaś?

– Szłam po pranie – odpowiadam. Nie obchodzi mnie, że Wielki Tata gada z inną kobietą tutaj, kiedy jego żona śpi obok w domu. – Nic nie słyszałam, *sah*.

– To dobrze. – Kiwa głową na „tak". – Rozmawiałem ze swoim pastorem. Znaczy, z pastorem żony. Bo my... ten... Planujemy na jutro specjalną mszę w hotelu. Piękny mamy wieczór, prawda?

– Dobranoc, *sah*.

– Chodź no tu na chwilę. Nie uważasz, że po tym, co dziś zrobiłem, należy mi się odrobina wdzięczności?

– Odrobina wdzięcz... Co? – Mocniej zgniatam w palcach chustę na piersi.

– Jeśli nie wiesz, co to znaczy...

– Wiem, co to znaczy – odpowiadam. – Ale za co dziękować?

– Za to, że ująłem się za tobą – mówi cicho Wielki Tata. – Przy Dadach. Przestań już, nie zgrywaj głupiej. – Patrzy przez ramię na dom. W jednym oknie gaśnie światło i ktoś zaciąga zasłonę. – Wiem, że spotykałyście się z Tią Dadą i urządzałyście sobie jakieś lekcje. Widziałem ją tu raz czy dwa, kiedy Florence nie było. Siedziała z tobą tam, za kuchnią. Podoba mi się, że ona próbuje cię kształcić. – Oblizuje usta. – Popieram to. W stu procentach. Właśnie dlatego powiedziałem to, co powiedziałem. Żona nigdy by się na to nie zgodziła. Nie jest taka wspaniałomyślna jak ja.

– Dziękuję, *sah*.

– Naprawdę niewiele trzeba, żeby madam wykopała cię na ulicę. – Wielki Tata podnosi dwa palce do oczu. – O, dosłownie tyle brakuje. Ale dzięki mnie tak się nie stanie. Mogę pozwolić, żebyś spotykała się raz na tydzień z Tią Dadą, tak długo jak zechcesz, ale pod jednym warunkiem.

– Co to za jeden warunek? – Zabijam moskita na ramieniu. Patrzę na dłoń. Została z niego plamka krwi. – Tylko szybko, *sah*. Chcę iść. Strasznie gryzą.

– A w wiosce, z której przyjechałaś, moskitów nie było? Tam nie gryzły? Patrzcie tylko! Moskity jej przeszkadzają. Jesteś zupełnie jak wszystkie pokojówki. Wystarczy, że posmakują luksusu, a już wyobrażają sobie nie wiadomo co. Słuchaj, chcę tylko, żebyś pozwoliła mi sobie pomóc. Chcę być dla ciebie miły. Rozumiesz?

Patrzę na niego. Siwa broda otacza mu twarz jak srebrna bawełna.

– Jeśli *sah* chce mi pomóc – nagle do głowy wpada mi nowy pomysł – proszę znaleźć pana Kolę. I powiedzieć mu, coby przywiózł moje pieniądze za pracę od sierpnia. Teraz jest już pierwszy tydzień grudnia, *sah*. Cztery miesiące pracuję bez pensji.

– Pana Kolę? A kto to? Ten agent? – Wielki Tata tłumi śmiech. – Dlaczego miałbym tracić czas i siłę na szukanie mister Koli? Tak za nic? Ile wynosi ta twoja pensja? Mogę ci zapłacić dwa, trzy razy tyle. Słuchaj, jeśli pozwolisz sobie pomóc, dostaniesz więcej, niż zdołasz wydać.

– Chcę pieniądzów, co je zarobiłam, *sah* – mówię i odchodzę. – Dobranoc.

– Adunni – woła za mną, ale niegłośno. Wiem dlaczego. Boi się, że usłyszy go Wielka Madam. – Adunni, wracaj – syczy szeptem. – Chodź tutaj.

Podchodzę do sznurka z praniem. Wisi za kwaterą chłopców, między dwoma drzewami. Ściągam z niego swoją sukienkę i zarzucam ją sobie na ramię.

Czym różni się Wielki Tata od Morufu? Jeden mówi dobrym angielskim, a drugi nie, ale obaj mają w głowie tą samą chorobę.

Chorobę, na którą nie ma lekarstwa.

ROZDZIAŁ 40

Fakt: Według szacunków przeprowadzonych w 2012 roku, od momentu uzyskania niepodległości Nigeria wskutek korupcji straciła ponad 400 miliardów dolarów wpływów ze sprzedaży ropy naftowej.

Człowiek w tiwi gada o wyborach już od godziny.

Siedzę na podłodze, masuję stopy Wielkiej Madam i patrzę na tego mężczyznę. W ręku trzyma mikrofon, ma długą szyję, ubrany jest w szarą marynarkę. „W miarę jak dwa tysiące czternasty rok zbliża się do końca – słyszę – wszystkich coraz bardziej nurtuje pytanie: czy Afryka rządzona przez człowieka w fedorze, który w dzieciństwie nie miał nawet jednej pary butów, jeszcze bardziej zbliży się ku przepaści niestabilności, rozlewu krwi i gospodarczych wstrząsów? Czy też Nigeryjczycy zdołają się przebudzić i zagłosują na zmianę, której twarzą jest Muhammadu Buhari, emerytowany generał, dawniej głowa tego państwa? Do dnia decyzji już tylko cztery miesiące. Do tego momentu zostańcie, proszę, z nami, ze swoim ulubionym kanałem".

– Niemożliwe, żeby Buhari znów nami rządził. – Wielka Madam kręci stopą. – Tutaj mnie podrap, Adunni, o tak, właśnie tu, koło pięty. Świetnie. Idealnie. Boże uchowaj, żeby Buhari został prezydentem. – Nie mówi wcale do mnie, ale na mnie patrzy, na moją dłoń, co sunie w górę i w dół po jej stopie. – Buhari będzie chciał się rozprawić ze wszystkimi,

którzy zyskali cokolwiek za czasów Jonathana. Ach, mój Boże, nie pozwól, żeby zwyciężył. Buhari to wróg postępu. Z korupcją chce walczyć? Z jaką znowu korupcją? Same kłamstwa! Ta cała jego gadanina o zmianie, wszystkie obietnice, to tylko mydlenie nigeryjskich oczu. Myślą, że Buhari będzie kolejnym Obamą. Mogę im jedynie współczuć. Ten człowiek jest bez serca. Potrafi rządzić tylko tak, jak rządzą wojskowi. I właśnie w taki sposób wykończy ten kraj.

Ktoś puka do drzwi; wchodzi pani Tia. Ma na sobie jak zwykle bawełniany T-shirt i dżinsy. Błyszczące litery na koszulce układają się w napis NAIJA GIRL. Uśmiecha się, puszcza do mnie oko.

– Dzień dobry, madam Florence. – Lekko pochyla głowę w stronę Wielkiej Madam. – Mam nadzieję, że sobota upływa pani przyjemnie.

Wielka Madam zadziera nos, jakoby spodziewała się poczuć jakiś smród.

– Pani Dada, dzień dobry.

– Pomyślałam – uśmiech pani Tii nie gaśnie – że skoro mamy sobotni poranek, a w zeszłym tygodniu się… hmm… umówiłyśmy, że pochodziłabym z Adunni na targ… Wpadłam zapytać, czy może dzisiaj nie byłoby dobrze się razem wybrać? Powiedzmy, około drugiej?

– Adunni jest zajęta – odpowiada Wielka Madam. – Masuj, masuj porządnie. Tu, tu, ten paluch – rzuca do mnie.

– No tak. – Pani Tia się śmieje, ale brzmi to bardziej jakoby coś ją zabolało. – Wydawało mi się, że uzgodniłyśmy…

– Niczego nie uzgadniałyśmy. – Wielka Madam zabiera mi swoje nogi i podciąga się na kanapie. – Zaproponowałam ci

swoją pomoc domową w ramach przysługi. Ale do niczego nie jestem zobowiązana. Dzisiaj potrzebuję dziewczyny. Przyjdź w poniedziałek, kiedy będę w sklepie.

– Dobrze – wzdycha pani Tia. – Zajrzę w przyszłym tygodniu.

Kiedy odwraca się, żeby pójść, moje serce robi się bardzo ciężkie.

– Chwileczkę, pani Dada. – Wielka Madam podnosi rękę. – Jak wspominałam w zeszłym tygodniu, mam agenta, pana Kolę. Bardzo solidny. I oferuje rozsądne ceny. Mogę dać do niego numer, a jeśli nie zechcesz mister Koli, bo wiem, że ludzie tacy jak ty uważają, że są na to zbyt wyrafinowani, polecam spróbować z agencją, o której na spotkaniu stowarzyszenia opowiadała Kiki. Zaraz, co to była za agencja? Konsult-a-cośtam?

– Konsult-a-Maid – rzuca pani Tia. – Wrócę w poniedziałek. – Podchodzi do drzwi, kładzie dłoń na klamce, ale się odwraca. – O której przyjść?

– Przed południem – odpowiada Wielka Madam.

– Dobrze, pasuje mi – mówi pani Tia.

– I proszę sobie znaleźć własną pokojówkę – dodaje jeszcze Wielka Madam. – Nie prowadzę tu działalności dobroczynnej. Miłego popołudnia, pani Dada.

– Udanego weekendu. – Pani Tia kiwa głową, zaciska usta i wychodzi z salonu.

Zanim przyjdzie poniedziałek, korzystam z mózgu i uczę się angielskiego. Czytam *Collinsa*, robię co mogę, żeby zapamiętać więcej trudnych słów. Obracam strony i wybieram

z nich trzy najtrudniejsze słowa. Wbijam je sobie do głowy i nie mogę się doczekać, kiedy użyję ich przy pani Tii. Zapamiętuję takie:

1) asymilować

2) komunikować

3) eksterminacja.

Bardzo się też staram nauczyć czasu teraźniejszego ciągłego, o którym opowiadała mi ostatnio. Kiedy wreszcie przychodzi poniedziałek rano, na niebie wisi wielkie słońce. Żar kąsa mnie pod pachami, jakobym wcisnęła tam sobie sto szpilek. Czekam na panią Tię przy bramie. Gdy widzę, jak biegnie w moją stronę ulicą, podnoszę rękę i szeroko się uśmiecham. Nie zabrała samochodu. Mówi, że jej dom jest zaraz niedaleko i że możemy tam pójść nogami, bo dym z samochodu zawsze powoduje problemy z czymś, co się nazywa ozon.

– Jak ci minął weekend? – pyta, kiedy idziemy po Wellington Road.

Na ulicy jest cicho, nie mijają nas samochody, ponad wysokimi płotami wyglądają czerwone, zielone i brązowe dachy.

– Asymilowałam całą swoją pracę – odpowiadam, na co ona przystaje i patrzy, jakobym powiedziała coś bardzo głupiego.

– Czytałaś słownik, tak?

– Tak, komunikuję, co było w *Collinsie* – mówię, a pani Tia odrzuca głowę i śmieje się tak głośno, że słychać echo, a jakiś

ptak ucieka spłoszony z palmy. Śmieje się i śmieje. Żeby nie upaść, opiera dłonie na kolanach.

– Adunni, ty naprawdę jesteś jedyna w swoim rodzaju. Ale posłuchaj, sam słownik nie pomoże ci lepiej mówić i pisać. – Palcem ściera łzy spod oczu. – Pracuj ze mną, naszym tempem, a wszystkiego się w końcu nauczysz. Termin upływa dopiero za dwa tygodnie, więc nie przejmuj się tak bardzo, dobrze?

Chcę odpowiedzieć zdaniem: „Wolę szybko eksterminować swój zły angielski". Rozmyślam się jednak, bo wcale już nie wiem, czy to słowo pasuje. Zamiast tego rzucam tylko:

– Okej.

– W sobotę nie zrobiłam na twojej madam najlepszego wrażenia – mówi, kiedy docieramy na sam koniec Wellington Road. – Myślę sobie, że dobrze będzie, jeśli, no wiesz, naprawdę wybierzemy się dzisiaj na targ. Coś mi mówi, że Florence nie pozwoli nam się więcej spotykać. Chyba że mąż ją przekona. Wielka szkoda. – Urywa na chwilę. – Ale cóż, musimy się cieszyć tym, co mamy. O – zatrzymuje się pod latarnią, co stoi przed szarą bramą – to właśnie mój dom. Pierwszy od strony Milverton Road. Gotowa?

Kiwam głową na „tak". Czuję, że coś we mnie zaczyna dygotać.

Pani Tia nie ma odźwiernego jak Wielka Madam. Bramę otwiera sama; wchodzimy. Dom rozsiadł się niczym piękna królowa po drugiej stronie trawiastego pola. Patrzę na tę trawę: nie jest brązowa jak w obejściu Wielkiej Madam, tylko zielona, żywa. Ona oddycha. Sam dom jest biały z niebieskimi oknami i czerwonym dachem. Na dachu leżą niebieskie

szklane kwadraty, na oko jakieś trzydzieści, połączone ze sobą białymi sznurami. Migotają w porannym słońcu. Do domu idzie się po szarej żwirowej drodze. Stoją wzdłuż niej donice z kwiatami. Na drzwiach wisi spleciona z trawy okrągła ozdoba z czerwonymi kokardami i złotymi dzwonkami.

– Nasz dom nie jest tak wielki jak dom twojej madam – odzywa się pani Tia. – Ken chciał, żebyśmy zamieszkali w znacznie większym. Marzyło mu się pięć sypialni, pięć łazienek, basen. Pragnął luksusu i przepychu. Ale ja nie umiałam sobie tego nawet wyobrazić. A wiesz, ile kosztuje utrzymanie takiego domu w dobrym stanie i zapewnienie mu ekologicznej energii? Nie do pomyślenia.

– Co to za szkła na dachu? – zaciekawiam się.

– Panele słoneczne. Dzięki nim mamy prąd ze słońca. Nie znoszę generatorów. Nie dość, że koszmarnie hałasują, to jeszcze spaliny negatywnie wpływają na środowisko.

– Jednego dnia znajdę sposób, coby takie coś było we wszystkich domach w Ikati – mówię, kiedy patrzę na dach. – W wielu obejściach nie ma tam światła, ale gdybyśmy zrobiły takie słoneczne, gdybyśmy mogły zbierać światło ze słońca i świecić nim po domach, w wiosce byłoby znacznie bardziej lepiej. Nie potrzebowalibyśmy nikogo, coby dawał nam światło, nie trzeba by szukać pieniądzów na drogi generator. Weźmiemy po prostu światło ze słońca.

– Fantastyczny pomysł, Adunni. – Pani Tia patrzy na mnie z zachwytem. – Muszę wspomnieć o tym na najbliższym spotkaniu w pracy. Na pewno uda się znaleźć jakąś agencję, z którą moglibyśmy niewielkim kosztem instalować w wios-

kach panele słoneczne. Kto wie? Może udałoby się zacząć właśnie od Ikati. Chodź, Adunni, tędy. Tylko uważaj na doniczkę z geranium. A buty zdejmij tutaj, proszę.

Ściągam buty. Moje serce rozgrzewa się i puchnie od dumy. Dlatego że pani Tia chce zamontować w Ikati słoneczne światło. Aż trudno mi pomyśleć, jak piękna będzie wtedy wioska, kiedy wszystkie ulice, domy i sklepy dostaną światło.

Sama też zdejmuje buty, stawia je na takim niskim drewnianym stole przy drzwiach. Wchodzimy do kuchni i myślę sobie, że żadna ludzka istota nigdy w tym miejscu nie jadła ani nawet do niego nie zaglądała.

– Gotuje tu pani?

Patrzę na maszyny: do kawy, do gotowania wody, są nowe i błyszczące, jakoby je ktoś dopiero wyjął z paczki. Wszystko białe, zbyt białe, zbyt czyste, pachnie wybielaczem. Myślę sobie, że pani Tia musi naprawdę bać się brudu i pewnie boi się też mieć dużo rzeczy. Kafelki na podłodze, szafki na ścianach, toster w kącie obok kuchenki i filtr do wody: białość aż razi w oczy.

– No co? – rzuca ona. – Dlaczego tak na mnie patrzysz? U nas najczęściej gotuje Ken, więc kiedy kończy, staram się wszystko doczyścić. Zjesz coś?

Jestem głodna, ale kiwam głową na „nie". Gdzie ona znajdzie dla mnie coś do jedzenia? Chyba nie w tej pustej kuchni?

Pani Tia wyciąga z szuflady ścierkę, też białą, potrząsa nią i przeciera czysty stół.

– Naprawdę bardzo się cieszę na to nasze dzisiejsze wyjście. Mam nadzieję, że uda mi się wreszcie zająć głowę

czymś innym.

– Innym od czego? – pytam.

– Znowu dostałam okres. – Wzrusza ramionami. – Nie mam pojęcia dlaczego. Akurat tym razem miałam naprawdę wielką nadzieję. Cały tydzień mi to popsuło. A żeby było śmieszniej, moja teściowa wymyśliła teraz, żebym poszła z nią do proroka czy kogoś. Mam tam wziąć jakąś kąpiel, cholera, czy coś.

– Kąpiel z cholerą? Przecież to choroba.

– Nie, nie. Przepraszam. Tak się po prostu czasem mówi. Nie martw się, to nie będzie kąpiel z cholerą, tylko normalna. W strumieniu. Ten prorok rzekomo zmyje ze mnie bezdzietność. Wspominała o tym już kilka razy przedtem, ale zawsze myślałam, że zajdę w końcu w ciążę i nie będę musiała brać w tym udziału. A teraz teściowa nalega coraz bardziej.

– W Ikati robimy to bez przerwy – tłumaczę. Przypominam sobie dzień, kiedy umarła Khadija. Bo umarła przez to, że nie wzięła kąpieli. – To pomoże, wszystko przyspieszy i już za rok urodzisz dziecko. Tylko jedno.

– Adunni – pani Tia podnosi wysoko brwi – przecież te zabobony nie działają. Prawda? To bzdury.

– W Ikati bzdury czasami działają. – Wzruszam ramionami. – Może dzięki nim szybko urodzisz.

– Ale wiesz... – Pani Tia mocno ściska ścierkę, ugniata z niej kulę. – Sama myśl, że jakiś obleśny staruch będzie mnie obmacywać pod pozorem leczniczej kąpieli... To zwyczajnie obrzydliwe.

– Niech pani spróbuje – daję zachęty. – Niech spróbuje. Mama doktora będzie szczęśliwa i przestanie wam robić kłopoty w małżeństwie. A w czasie kąpieli pani zamknie oczy i zablokuje całą obrzydliwość. O tak! – Mocno zamykam powieki. – I jak będą panią dotykać, proszę myśleć o dobrych, przyjemnych rzeczach. Na przykład o imieniu dla dziecka albo jego ubrankach. Albo o swojej przyjaciółce Kattie.

– Katie – poprawia ze śmiechem pani Tia, a ja otwieram oczy. – Bardzo bym chciała dać swojemu dziecku na imię Adunni – mówi. – Jeśli urodzę dziewczynkę. Adunni oznacza „słodycz", prawda?

– Tak. – Znowu czuję, jak rośnie mi serce. – Mogłabym ci też pomagać przy dziecku.

– Byłabyś jego ciocią. Zastanowię się nad tą kąpielą.

– Może poszłabym tam z panią?

Patrzę na jej smutną twarz. Słowa wyfrunęły mi z ust, zanim zdążyłam pomyśleć, co stało się nad rzeką z Khadiją.

– Wiesz co? – odpowiada tak szybko, że nie mam szansy się rozmyślić. – To naprawdę bardzo by mi pomogło. Możemy poprosić twoją madam o jeszcze jedno wspólne wyjście i wtedy wzięłabym tę kąpiel.

– Myśli pani? – pytam.

– Myślę. Czasami. – Puszcza do mnie oko. – Tę kąpiel pewnie i tak uda się zorganizować dopiero po Nowym Roku, ale powiemy Florence, że to nasze ostatnie wspólne wyjście. Miejmy nadzieję, że wtedy będzie już wiadomo, co z twoim stypendium. Umówię z teściową jakąś datę i załatwię, żebyś mogła mi towarzyszyć.

– A doktor? On wie o tej kąpieli?

– Wie. – Pani Tia składa ścierkę, wrzuca ją do maszyny do prania. – Powtarza, że nikomu to nie zaszkodzi, a że uszczęśliwię w ten sposób jego matkę, powinnam się zastanowić nad takim rozwiązaniem, bo może dzięki temu nie oszaleję. Przysłał mi nawet do pracy bukiet róż, wiesz, w ramach przeprosin za stres, w jaki ta kobieta mnie wpędza. Ale nic to, chodź – mówi. – Mam dla ciebie niespodziankę. I proszę, przestań wreszcie zwracać się do mnie „pani”.

ROZDZIAŁ 41

Fakt: Na terenie Nigerii odkryto jedne z najstarszych rzeźb na świecie. Wśród najbardziej znanych jest tak zwana Brązowa Głowa z Ife, która została wywieziona do londyńskiego British Museum w 1938, rok po znalezieniu.

Wchodzimy na korytarz. Na białej ścianie wiszą zdjęcia pani Tii i doktora.

Widać, jak się śmieją, całują. Widać prawdziwą miłość, prawdziwe małżeństwo. Robi mi się smutno, bo myślę o Morufu i małżeństwie, jakie miał ze mną, Khadiją i Labake – małżeństwie zimnym, gorzkim i bolesnym. Czy jednego dnia znajdę kiedyś prawdziwą miłość? Z pięknym i dobrym mężczyzną, takim właśnie jak doktor?

– Tutaj, proszę. – Pani Tia otwiera drzwi na końcu korytarza. – Oto nasz salon.

Tutaj nie ma tiwi. Nie ma niczego na elektryczność. Całe powietrze pachnie mydłem do prania i trawą cytrynową. Kanapa jest biała i okrągła, nigdy takiej nie widziałam, z masą poduszek, też białych i okrągłych. W kącie pod ścianą stoi drzewko – takie wysokie jak małe dziecko – z mnóstwem srebrnych pędzelków na gałęziach, ozdobione gwiazdkami, szklanymi aniołkami i złotymi kulkami. Choinka, przypominam sobie, że Wielka Madam w zeszłym tygodniu prosiła Abu, żeby kupił takie drzewko na targu. Tylko choinka pani Tii nie jest zielona, a biała. W czterech przezroczystych

szklanych wazonach stoją kwiaty. Każdy bukiet ma kartkę. Kiedy patrzę na jedną z nich, widzę, że to prezent od doktora dla żony. Wygląda na to, że lubi dawać jej miłosne kwiaty. Pewnie co tydzień.

Na ścianie wiszą dwa rysunki. Jeden pokazuje kobietę w sukience z ankary, drugi glinianą głowę. Nie ma oczu, ta gliniana głowa. Tylko dziury zamiast oczu, nosa i ust. Widać też ślady na jej twarzy; cienkie, długie kreski od czoła po brodę. Jakoby ktoś w gniewnie podrapał ją długimi paznokciami.

– Kupiłam te obrazy w Nikè Art Gallery, to takie niesamowite miejsce w Lekki. – Pani Tia pokazuje palcem glinianą głowę. – Ten z bliznami to mój ulubiony. Przedstawia Brązową Głowę z Ife. Prawdziwe arcydzieło. Lubisz sztukę?

– Czytałam o niej w *Nigeryjskiej księdze faktów*, o tym, że pozwalaliśmy Brytyjczykom kraść naszą sztukę – odpowiadam. – Gdzie ta niespodzianka?

– Usiądź. Rozgość się. Zaraz wracam. – I zostawia mnie samą. Siadam na kanapie. Pani Tia po chwili przynosi torbę z niebieskiego dżinsu. – Proszę. – Oczy jej błyszczą. Wyciąga z torby trzy książki. – Uznaj to za wczesny prezent bożonarodzeniowy. To świetne podręczniki, dzięki nim dobrze poznasz gramatykę – mówi. – Ten nazywa się *Better English*. Przejrzałam go i jest naprawdę znakomity. Dla ciebie idealny. Pozostałe są równie dobre, ale zacznij właśnie od *Better English*.

Biorę książki, szczypią mnie wilgotne oczy.

– Dziękuję – mamrotam. – Jesteś za dobra, to za dużo.

– Zaczekaj, mam jeszcze coś. – Pani Tia wsuwa rękę do kieszeni i wyjmuje telefon. Cienki, czarny, długi jak dłoń małego dziecka. – Prostszego znaleźć się nie da. A przy tym łatwo go ukryjesz przed madam. Wykupiłam ci trochę minut...

Nie pozwalam jej dokończyć. Zrywam się i wszystkie trzy książki spadają mi z kolan na podłogę, a ja rzucam się pani Tii na szyję.

– Dziękuję! – Ściskam ją mocno; słyszę jej śmiech. – Dziękuję!

– To nic takiego, Adunni – mówi, kiedy w końcu ją puszczam. – Naprawdę przejęłam się tą sytuacją z mężem Florence. Wiesz, tą kiedy przyszedł do twojego pokoju. Udało ci się może załatwić zamek?

– Wielka Madam przysłała stolarza i zamontował. – Kiwam głową na „tak".

– A teraz masz jeszcze komórkę. – Pani Tia naciska telefon, który kilka razy pika i łaskocze mnie w rękę. Śmiejemy się obie. – Nauczę cię wysyłać esemesy. Swój numer wpisałam pod „Tia". To jedyny numer, jaki masz zapisany. W razie jakichkolwiek kłopotów przyślij mi wiadomość. Wystarczy, że wstukasz jedno słowo: POMOCY, a wtedy spróbuję jak najszybciej pojawić się u ciebie w domu. Nagrałam ci też wymowę niektórych słów. Posłuchaj.

Sięgam po telefon, obracam go w ręku. Moje oczy nie chcą uwierzyć, że ja, Adunni, mała dziewczyna z wioski Ikati, posiadam prawdziwą komórkę. Nawet papa nie ma telefonu. Serce mi puchnie od wdzięczności.

– Tylko pamiętaj, madam nie może go znaleźć za żadne skarby, okej?

– Nawet gdybyś mi nie powiedziała, nie brak mi zdrowego rozsądku tak całkiem. A jest na tym Facebook? – Znów patrzę na urządzenie, jakoby spadło mi do ręki prosto z nieba.

– Nie – odpowiada. – Nie mogę ci pozwolić korzystać z internetu, dopóki nie będziesz dokładnie wiedziała, co robisz. A jeśli… – Pani Tia gryzie wargę i zastanawia się przez chwilę. – Jeśli mąż twojej madam kiedykolwiek spróbuje cię dotknąć, broń się, rozumiesz? Masz walczyć z całych sił. I krzyczeć. Walczyć i krzyczeć. Zapamiętaj sobie te dwa słowa, okej? Obiecasz mi, że tak właśnie zrobisz?

Kiwam głową na „tak".

– Od tamtego razu już się do mnie nie zbliżał.

Wiem, że to małe kłamstwo, ale nie chcę, coby pani Tia przyszła do Wielkiej Madam i powodowała kłótnie. Strach pomyśleć, co by się ze mną stało, gdyby spowodowała kłótnię.

– A jeśli to się kiedykolwiek powtórzy, Boże uchowaj, ale jeżeli ten bydlak jeszcze kiedyś spróbuje coś ci zrobić, naślę na niego policję i mam gdzieś konsekwencje. – Pani Tia wypuszcza powietrze nosem i ustami, bardzo szybko mruga.

Czuję, jak coś drga mi w piersi. Dlaczego ta kobieta jest dla mnie taka dobra? Co we mnie widzi? Przecież nawet ja sama czasami nic w sobie nie widzę. Walczę z upartymi, głupimi łzami, co szczypią mnie w oczy. Próbuję ze wszystkich sił je zatrzymać, ale płyną i tak.

– Oj, nie chciałam, żebyś się popłakała. – Pani Tia przeciąga palcem pod moim lewym okiem.

– Bo ja nie wiem… Co ty we mnie widzisz?

Kiwa głową na „nie”, podnosi moje ręce i rozkłada je tak, żeby zobaczyć między nimi moją twarz. Jak w ramce, jakoby zamierzała zobaczyć tylko ją samą, wyjść z siebie i wskoczyć mi prosto do duszy, głęboko do serca.

– Powiedz, czego pragniesz najbardziej w życiu? – pyta.

– Coby mama nie umarła. – Łamie mi się głos. – Coby wróciła i wszystko poprawiła.

– Wiem. – Uśmiecha się łagodnie, smutno. – Wiem, ale może marzysz jeszcze o czymś innym?

– Chcę iść do szkoły – odpowiadam. – A teraz: dostać stypendium.

– Dlaczego to dla ciebie takie ważne, Adunni?

– Mama mówiła, że wykształcenie da mi głos. A ja chcę mieć głos. I nie tylko taki zwykły głos, chcę mieć głośny, mocny głos. Chcę wejść do pokoju i coby ludzie słyszeli mnie, jak nawet jeszcze nie otworzę ust. Chcę żyć i pomagać wielu ludziom, coby potem, kiedy będę stara i umrę, żyć dalej w tych ludziach, co im pomogłam. Pomyśl. Jak pójdę do szkoły i zostanę nauczycielką, będę mogła brać pensję, a może nawet zbuduję własną szkołę w Ikati i będę uczyć dziewczyny. Bo te z mojej wioski nie mają dużej szansy się uczyć. Chcę to zmienić, bo one urosną i urodzą dużo bardziej więcej wspaniałych ludzi, co zrobią z Nigerii jeszcze bardziej lepsze miejsce niż nawet teraz.

Pani Tia słucha i kiwa głową.

– Możesz to zrobić – mówi. – Bóg dał ci wszystko, czego potrzebujesz, żeby stać się wielka, i nosisz to tutaj, w sobie. – Wypuszcza moje ręce, lekko stuka mnie palcem w pierś. – Nosisz to w głowie i w sercu. I sama w to wierzysz, jestem

tego pewna. Musisz po prostu wytrwać w swojej wierze i nigdy się nie poddać. Chcę, żebyś codziennie po przebudzeniu mówiła sobie, że jutro będzie lepsze niż dzisiaj. Że jesteś wartościowym człowiekiem. Że jesteś ważna. Musisz w to wierzyć, bez względu na to, czy dostaniesz stypendium, czy nie. Okej?

Zaglądam głęboko do jej brązowych oczu i widzę tam coś złotego. Coś, co robi, że moje serce mięknie, się roztapia. Wiem, że powiedziała to wszystko z dobroci duszy, ale nie jest tak łatwo, jak ktoś rodzi się do życia bez pieniądzów, a tylko z cierpieniem. Do życia, co go nie wybrał sam. Czasami chciałabym, coby było tak, że uwierzę, że życie jest dobre, a ono takie się stanie, po prostu. Ale może jak uwierzę w to w umyśle, to już zawsze jakiś początek. Dlatego kiwam głową na „tak", bardzo powoli, w górę i w dół.

– Jutro będzie lepsze niż dzisiaj – mówię. – Jestem wartościowym człowiekiem.

– Pięknie, Adunni. Naprawdę wspaniale. – Pani Tia śmieje się i trochę też płacze. – Teraz chodźmy. – Bierze mnie za rękę. – Samochód czeka przed domem. Jedziemy na targ.

Samochód jest czarny, toyota. Pani Tia nazywa go Uber. Stoi przed bramą.

Kierowca, Michael, zarzuca głową, a kiedy widzi panią Tię, podciąga kołnierzyk koszuli wysoko pod brodę. Potem pochyla głowę na bok i myślę sobie, że może rano, przed wyjściem z domu, zjadł coś trującego, bo wygląda, jakoby martwiła go jakaś choroba. Zanim włącza samochód, patrzy w lusterko i oblizuje usta.

– Siema pani – mówi. – Niezła z pani sztuka.

Patrzę na nią. Sztuka? Przecież nawet nie pomalowała twarzy.

Ale ona tylko przewraca oczami i prosi:

– Możemy puścić Wizkida? Albo Cool FM? – Potem dodaje, że „nie ma dziś nastroju na pogawędki".

– Się robi – rzuca Michael. – Ale po co od razu tak kręcić tymi pięknymi brązowymi oczami?

Zaczyna grać muzyka; ruszamy. Jazda zabiera nam całą godzinę, samochód toczy się pod górę i w dół, między całymi kolumnami innych, trąbiących raz po raz wozów. Wreszcie Michael skręca w ulicę, gdzie jest pełno ludzi. Miliony milionów. Samochód staje przed czerwonym sklepem z jedzeniem Frankie's. Na szybie z przodu widać zdjęcie trzech różowych ciastek i dziecka, co je lody.

– No dobra, moje panie. Dalej nie zajedziemy – komunikuje Michael.

Wychodzimy z samochodu. Kierowca kiwa na pożegnanie głową i odjeżdża.

– Po co on tak wcześniej machał głową i wykręcał szyję? Może chory? – pytam panią Tię, kiedy łapie mnie za rękę i zaczynamy się przeciskać między ludźmi na targu.

– Na pewno jest zdrów jak ryba. – Pani Tia się rozgląda. – Od czego by tu zacząć?

Sama też patrzę tu i tam, trochę pląsa mi w oczach.

Targ Balogun zajmuje całą długą ulicę, pełną ludzi i hałasów. Myślę sobie, że Bóg spakował do walizki całe jedno miasto, przyjechał na tą ulicę i tu wszystko wysypał. Słychać chyba każdy dźwięk świata, naraz. Trąbią samochody, meczą

kozy. Słowa „Allah hu Akbar” i „Chwalcie Pana” płyną z głośników na meczecie i kościele, co stoją jeden obok drugiego.

Dzwonki sprzedawców jedzenia, lśniące, okrągłe akary i puff-puffy w szklanych pudełkach na głowach handlarzy. Głosy mężczyzn, kobiet i dzieci. Ludzie sprzedają wszystko, co tylko można: spodnie, staniki, buty, lody, czystą wodę w torebkach, bułki z suszonymi krewetkami, peruki i mnóstwo innych rzeczy. Z naszego miejsca wyglądają jak płynący po wodzie dywan głów, jak malutkie mrówki, całe miliony łażących po ulicy mrówek.

Próbuję patrzeć sobie na nogi, ale widzę tylko ciemność, między mną, panią Tią a człowiekiem obok, co wciska się na mnie i ryczy do telefonu o „kontenerze z Chin”, o tym, że ten kontener musi się znaleźć.

– Trzymaj się mocno – mówi chyba pani Tia, ale jej słowa połyka głośnik, co gra mi tuż nad głową.

Hałaśliwie ogłasza w języku joruba, że ma na sprzedaż mocne ziołowe lekarstwo na problemy z męskością. Na środku ulicy stoją auta, żółto-czarne taksi z Lagos. Ani drgną, po prostu stoją i trąbią. Jakiś mężczyzna bębni do okna jednej taksi i krzyczy: „Ruszże tego grata, draniu!”.

Wszyscy idziemy prosto przed siebie, powoli, ściskamy się z tłumem. Czuję różne zapachy: zatęchły smród miesięcznej krwi kobiet, cuchnący pot, silną kwiatową woń perfum, kadzidełek, smażonego chleba, brudnych nóg i dymu z sigów. Niektóre kobiety siedzą pod kolorowymi parasolami różowymi, czerwonymi, żółtymi, białymi. Siedzą z boku i wołają na przechodzących, coby kupowali „świeże ryby,

kokosowe ciasteczka i stuprocentowo naturalne ludzkie włosy". Inne idą z nami, te dźwigają na głowach wyładowane tace.

– Gdzie my idziemy? – wołam do pani Tii.

Jakiś człowiek nagle wyszarpuje moją dłoń z jej ręki i krzyczy mi prosto do ucha:

– Piękna dziewczyno, chodź ze mną, chodź, kupisz sobie złote legginsy, oryginały.

Wyrywam mu się, wtedy inny mężczyzna, w ciemnych okularach przeciwsłonecznych i dziurawej koszulce, przysuwa mi pod oczy mały biały wiatrak.

– Kup świeży wiatr. Prawdziwy wiatr, co rozwieje wszystkie kłopoty. Sto naira za pięć minut.

Kiwam głową na „nie" i znów mocno łapię panią Tię. Serce łomota mi głośno i szybko, na wszystkich, na wszystko.

Kiedy przechodzimy obok straganu z butami – skórzanymi, gumowymi i innymi różnymi, co aż sypią się na ziemię – jakaś kobieta z małą miską na głowie pełną butelek przykłada mi do policzka kostkę lodu i woła:

– Zimna woda. Bardzo zimna, bardzo czysta. A może wolisz colę? – Wyciąga z miski butelkę i przyciska mi do piersi. – Mamy też Mirindę i 7up. To co bierzesz?

Po lewej i prawej stoją budynki, ale wszystkie zasłonięte są rzeczami wywieszonymi z okien – cała masa spodni, koszul, garniturów. Szare druty telefoniczne krzyżują się nad nami, ciągną się od domu do domu, plączą się z tablicami, co reklamują kościół, meczet i ziołowe lekarstwa.

Pani Tia idzie naprzód, ściska moją dłoń.

– Skręcimy w lewo za stoiskiem z rybami – woła. – To istne szaleństwo!

Mam wrażenie, że to nie my się ruszamy. Jest tak, jakoby tłum był ruchomą maszyną, a ta niesie nas z innymi. Wreszcie jednak skręcamy i ścisk jest trochę mniejszy niż na tej pierwszej ulicy. Tutaj ludzie sprzedają korale, ankarowe tkaniny. Zanim mogę zapytać panią Tię, czy to miejsce jest dobre dla nas, jakiś mężczyzna w czarnej koszulce z napisem PRANDA uśmiecha się do niej, pociąga za wiszące mu na szyi wielkie czerwone korale i mówi:

– Madam, mamy wszystko, co potrzeba. Które bierzemy?

– Na litość boską! – syczy pani Tia i przeciąga dłonią po czole. – Rozglądam się za jakimiś materiałami.

– Koszulki też mamy, markowe. – Nieznajomy pochyla się do miski i wyciąga biały T-shirt. – Bardzo oryginalne. Prosto z fabryki. – Rozkłada koszulkę i pokazuje napis GUCCSHI.

Pani Tia kiwa głową na „nie” i odchodzi.

– Szukam autentycznej ankary – tłumaczy. – Nic innego mnie nie interesuje.

– Ale w środku mamy torebki Chanel. – Mężczyzna łapie mnie gorącą, spoconą ręką i ciągnie.

– Może pójdziemy po prostu do sklepu Wielkiej Madam? – mówię do niej i uwalniam się od sprzedawcy. – W całym życiu nie widziałam czegoś takiego. Czy to w ogóle Lagos?

Targ w Ikati jest cztery razy mniejszy i wszyscy są tam cicho, każdy zna każdego i rozmawia z innymi spokojnie.

– Tak, Lagos. – W śmiechu pani Tii słyszę zmęczenie. – A u Florence jest cholernie drogo. Tędy.

Przeskakujemy rynsztok – cuchnie i jest pełen czarnej wody; między mokrymi sigami, gazetami i chusteczkami pływają żabkorybki. Idziemy na drugą stronę ulicy, gdzie ciągną się sklepy z tkaninami.

– Nareszcie – rzuca pani Tia, kiedy stajemy przed stoiskiem wielkości toalety.

Kolorowe ankary zajmują całą ścianę, od sufitu do ziemi. Handlarka, okrągła jak beczka, śpiewa coś w joruba i składa materiał, ale jak nas widzi, odkłada go i pokazuje na ścianę.

– Witaj, mamusiu – odzywa się do pani Tii. – Mamy Woodin, ABC Was, New Satin, co tylko zechcesz. Wszystko oryginalne. Można prać i prać, a się nie spierze. O, to najnowsze. – Wyciąga złożony materiał z żółto-zielonym wzorem. Wciska go pani Tii do ręki.

– Oszałamiające – chwali pani Tia swoim wyraźnym, poprawnym angielskim. – Wyjątkowo miękka tkanina. Naprawdę wyśmienita. Mogę trzy różne? Po sześć jardów. Chcę z tego uszyć pościel do pokoju gościnnego.

– Londyńska mamusiu – mówi kobieta – dla ciebie sześć jardów będzie po sześć tysięcy naira. Trzy chcesz, tak? Mam trzy. Siadaj, siadaj, a ja zapakuję ci wszyściutko do siatki, jak w Londynie.

Kiedy widzę, jak oczy pani Tii zapalają się na widok materiału, zaczynam nagle tęsknić za Enitan, swoją przyjaciółką. Jej też zawsze błyskało światło w oczach, jak widziała na targu nowy kolor kredki do powiek albo szminki. Tylko że Enitan najczęściej nie miała na nic pieniądzów, więc tylko oglądałyśmy makijaże przez chwilę, a potem śmiałyśmy się i szłyśmy dalej. Pani Tia ma dużo pieniądzów i może

kupować nawet takie rzeczy, co ich nie potrzebuje. Czasami, tak jak dzisiaj, myślę o Enitan i pani Tii. Że są bardzo od siebie różne i że jestem przyjaciółką pani Tii, ale nie taką, jaką byłam z Enitan.

– Adunni! – Pani Tia puszcza do mnie oko.

Kiwam głową na „tak" i czuję, jak wracają wspomnienia. Przypominam sobie, jak mama uczyła mnie kłócić się o cenę z kobietami na targu w Ikati.

– Nie ma mowy – zwracam się do handlarki w joruba. – Sześć tysięcy naira za sześć jardów? Boże uchowaj. Za drogo. Weźmiemy po trzy tysiące.

– Cztery i pół tysiąca. Moje ostatnie słowo – odpowiada kobieta i wyrywa pani Tii materiał, jakoby się pogniewała. – Przecież to wszystko oryginalne. Najnowsze wzory.

– Mamo, jestem twoją córką. – Uśmiecham się do niej. – Sprzedaj nam za trzy tysiące, a wrócę tu z nią za tydzień. Będziemy u ciebie dużo kupować. Dziś długo już chodzimy w tym gorącym słońcu. Policz nam trzy tysiące. Proszę.

– Dawaj pieniądze – wzdycha kobieta.

– Sprzeda nam za trzy tysiące. – Patrzę na panią Tię. – Zapłać jej.

– Widzisz, Adunni? – śmieje się pani Tia. – Właśnie po to cię ze sobą zabrałam.

Po dwóch godzinach mam już spuchnięte całe nogi.

Moja głowa jest jak rozgrzana, nadmuchana piłka. W gardle sucho, język sztywny. A pani Tia kupuje jak opętana. Bierze to i tamto, każe mi obniżać cenę, aż od gadania zbrakło mi śliny.

Jest taka przejęta i cieszy się, że oszczędzam jej pieniądze. Za każdym razem jak odchodzimy od straganu, klaszcze i woła:

– Jesteś genialna! Koniecznie musimy to powtórzyć!

Targ opuszczamy, dopiero kiedy zachodzi słońce, a niebo robi się pomarańczowe. Idziemy powoli. Pani Tia powłóczy nogami, dźwiga siatki z nylonu – nie pozwoliła, abym cokolwiek za nią niosła; powiedziała, że ma dwie zdrowe ręce. W końcu stajemy przed Frankie's Fast Food, tam gdzie Michael wysadził nas wczesnym przedpołudniem.

– Chcesz coś zjeść? – pyta.

– Tak, *ma*. – Oblizuję wargi. – Zdycham z głodu.

– Mówi się „umieram z głodu", Adunni. „Umieram", nie „zdycham".

Jakim cudem jeszcze poprawia mój angielski, kiedy słońce tak mocno grzeje i przeszłyśmy taki kawał?

Wchodzimy do chłodnego, klimatyzowanego sklepu. Wybieram trzecie siedzenie od drzwi, siadam na czerwonej ławce z miękką skórą, co wygląda jak kanapa bogacza. Przed sobą mam wysoki drewniany stół, a na ścianie po lewej wiszą zdjęcia wielkich placków z mięsem, bułek z kiełbaskami i plasterków jaj na twardo.

– Zaraz coś nam zamówię. – Pani Tia odstawia siatki i odchodzi.

Po chwili wraca z tacą pełną placków, bułek z kiełbaskami, małych żółtych ciastek i soku pomarańczowego.

– Bawiłam się jak nigdy. – Wsuwa się obok mnie. – Trzeba to powtórzyć. Przynajmniej jeszcze raz. Może po tej kąpieli.

Poproszę Kena, żeby porozmawiał z Florence. Proszę, częstuj się.

Patrzę na jedzenie, ciężko przełykam ślinę. Takich rzeczy nie wkładałam do ust nigdy w życiu. Żałuję, że nie ma tu ze mną Kayusa i Enitan, że oni nie mogą tego jeść, śmiać się przy tym i gadać. Te myśli odbierają mi humor.

– To za dużo. – Zmuszam się do uśmiechu. – Taka góra jedzenia.

– No przecież umierasz z głodu. Śmiało, bo wystygnie.

Próbuję mięsnego placka. Zamykam oczy i przebijam zębami chleb, spod niego wypływa mi do buzi gęsta, ciepła zupa z mięsa i ziemniaków. Oblewa mi język.

Otwieram oczy i widzę, że pani Tia patrzy na mnie z uśmiechem.

– Byłaś dzisiaj naprawdę fantastyczna – mówi. – Tak dzielnie targowałaś się z tymi wszystkimi handlarkami.

Wzruszam ramieniem, sięgam po bułkę z kiełbaską, wgryzam się.

– Z moją mamą znowu jest gorzej. – Pani Tia sięga po nóż i widelec, kroi swój placek na małe kosteczki. Nabija jedną na widelec, przeżuwa. – W przyszłym tygodniu jadę do Port Harcourt. Zostanę tam na całe święta i Nowy Rok. Twoje zgłoszenie jest już wypełnione, dałam ci rekomendację i wydrukowałam wszystkie potrzebne dokumenty. Teraz wystarczy, że napiszesz wypracowanie. Adunni, musisz to zrobić już niedługo. Możesz poświęcić temu dwa najbliższe dni, a potem przynieść mi do domu?

– Spróbuję – odpowiadam.

Szczerze, to czekałam na dobry czas, coby wziąć długopis i zacząć pisać. Odsuwałam ten dzień naprzód ze strachu, co w tym wypracowaniu dać, jak zrobić, żeby było najbardziej lepsze.

– Postaraj się pisać wyraźnie, jakimś porządnym długopisem. Gdy będziesz gotowa, zostaw mi wypracowanie pod bramą. Osobiście zawiozę je do biura Ocean Oil i dopilnuję, żeby trafiło tam, gdzie trzeba. Jeszcze przed wyjazdem. Poradzisz sobie w dwa dni? – pyta. Kiedy nie odpowiadam, bierze mnie za rękę i mocno ściska. – Boisz się?

– Trochę. – Ścieram z ust okruszki. – Boję się, co mam napisać.

– Pisz prosto z duszy – daje radę pani Tia. – Opisz swoją prawdę. Taką z głębi...

Milknie i nagle wypuszcza moją dłoń. Patrzy na drzwi, co się kołyszą. Na twarzy ma szok. Patrzę tam gdzie ona i widzę, co zobaczyła: Chuda Kobieta, ta ze stowarzyszenia sąsiadek Wielkiej Madam. Ubrana w czarny angielski kostium ze spódnicą. Kołnierz marynarki sterczy, jakoby chciał pofrunąć pod samo niebo.

– Kurde – szepcze pani Tia. – Titi Benson. Idzie tutaj. Schowaj się, Adunni. Prędko.

– Ale gdzie? – Rozglądam się z paniką.

– Wejdź pod stół – cedzi przez zęby. – Już!

Włażę pod stół i chowam się za siatkami z nylonu. Serce wali mi mocno.

Nogi Chudej, cienkie jak sznurki, podchodzą do naszego stołu. Nie wiem, jakim cudem jej te nogi nie pękły, idzie tak

szybko i to na wysokich obcasach.

– Tia Dada – słyszę. Chuda staje tuż obok. Zapach drogich perfum połyka woń mięsa i kiełbasek. – Co robisz w Balogun? – pyta. – Czekaj, niech zgadnę. Pracujesz nad raportem o zanieczyszczeniu środowiska w okolicy targu?

– Titi. – Głos pani Tii brzmi tak, jakoby żuła cegłę, nie ciasto. – Miło cię widzieć. Co u ciebie?

– Wszystko w porządku. Sporo zamówiłaś. Czekasz na kogoś?

– Aha – rzuca pani Tia, po czym parska dziwnym śmiechem. – Nie. To wszystko dla mnie. Ostatnio ciągle chodzę głodna. Jak wilk.

– Ach, głodna, tak? – rzuca śpiewnie Titi. – A może masz jakieś dobre wiadomości, co? Czyżbyś wreszcie zaciążyła? Który to mie...?

– Świetna torebka – nie daje jej skończyć pani Tia. – Szykowna.

– Prawda? – Chuda gładzi niebieską kwadratową torebkę, co wisi na grubym złotym łańcuszku na jej ramieniu. Na zapięciu są dwie złote, złączone ze sobą litery C. Torebka wygląda na drogą, tak samo jak czarne buty pani Titi. – Mam ją już trzeci rok, wiesz? – W jej głosie brzmi uśmiech. Jest dumna jak z dziecka. – Serio, fantastyczna. To cielęca skóra. Ale twoja też urocza. Włoska?

Zapinana na złotą szpilkę torebka pani Tii ma kształt połowy trójkąta i jest zrobiona z czarno-różowej skóry.

– Nigeryjska – odpowiada pani Tia. – Zazwyczaj kupuję krajowe marki.

– Cóż, ale Chanel to jednak Chanel. No dobrze, spieszę się na Broad Street. Lecę na spotkanie zarządu The First Bank. Ale tak mnie naszło i nie mogłam się oprzeć, więc wstąpiłam tu na placek. Tu mają znacznie lepsze jedzenie niż te okropne sałatki, które zamawia prezes. Są ohydne. Nic, muszę pędzić. Pozdrów ode mnie Kennetha. I uważaj na siebie i na małego. Pa, pa!

Titi odchodzi. Jej buty klekoczą o podłogę.

Czekam jeszcze sześć, siedem minut. Wreszcie pani Tia wsuwa rękę pod stół i macha, cobym wyszła.

– Dlaczego musiałam się chować? – Prostuję plecy. – Wielka Madam wie, że pojechałyśmy na targ.

– Tak, Florence wie, że wybrałyśmy się na targ. – Pani Tia jest chyba zmęczona. – Ale nie ma pojęcia, że cię karmię. I nawet nie przypuszcza, jak blisko ze sobą jesteśmy i że ci pomagam. Gdyby Titi zobaczyła nas tutaj we dwie, zaczęłaby wypytywać. A lepiej dla ciebie, jak nikt nie wie, że dobrze się znamy. Na razie. Rozumiesz?

– Rozumiem. – Sięgam po swój placek i przeklinam w głowie Chudą, bo mięso zrobiło się przez nią twarde i zimne.

Kiedy wchodzę wieczorem do domu i widzę, że Wielka Madam nie wróciła ze sklepu, szybko kończę wszystkie obowiązki i idę do swojego pokoju. Całe ciało mam zmęczone, a oczy namawiają do snu, ale biorę kartkę, długopis i próbuję napisać wypracowanie.

Zaczynam tak po prostu: jak mam na imię, gdzie urodziła mnie mama, że papa i bracia mieszkają w Ikati. Opowiadam

historię życia dziewczyny z małymi pieniądzami, ale z wielkim szczęściem. Wymyślam wszelkie dobre rzeczy, jakie tylko potrafię. Tyle że kiedy kończę i czytam, ściska mnie w brzuchu. Napisałam tak dużo kłamstw, że kartka aż od nich puchnie.

„Pisz prosto z duszy", mówiła pani Tia. „Napisz swoją prawdę".

Drę kartkę na kawałki i rzucam je na podłogę. A potem zanurzam się głęboko w rzece swojej duszy, znajduję zardzewiały kluczyk, co czeka na dnie, i otwieram zamek. Klękam przy łóżku, zamykam oczy, zamieniam się w pełne naczynie i wylewam z niego wspomnienia na papier.

Piszę o Morufu i o tym, co mi robił, kiedy pił ognisty likier. Piszę o Khadii, o tym jak umarła i o swojej ucieczce. O papie. O mamie i Kayusie, i Pierworodnym. Opowiadam szkole, że to stypendium jest dla mnie życiem. Że potrzebuję go, by żyć, by stać się wartościowym człowiekiem. Mówię im też, że pragnę móc coś zmienić, muszę pomóc innym dziewczynom, takim jak ja. A na końcu mówię, że mam w sobie głęboką miłość do Nigerii, mimo że moje życie w tym kraju jest pełne cierpienia. Dodaję jeszcze trzy najbardziej ciekawe fakty z książki. A jak kończę, czuję się tak słaba, jakobym przepłynęła właśnie cały ocean z tylko jedną połową ciała: jedną ręką, jedną nogą i jedną dziurką w nosie.

Próbuję wymyślić dla wypracowania dobry tytuł, taki chwytliwy, ale żadne słowa nie chcą już przyjść mi do głowy. Mózg nie ma siły dłużej myśleć, więc zostaję przy pierwszym tytule, jaki się w nim pojawił:

„Prawdziwa historia o mnie, napisana przez Adunni, dziewczynę z mocnym głosem”.

Z samego rana, zanim strach każe mi napisać nowe wypracowanie, kiedy wszyscy jeszcze śpią, biegnę do domu pani Tii i wsuwam pod jej bramę kartki złożone w prostokąt.

ROZDZIAŁ 42

Fakt: Muhammadu Buhari kierował Nigerią od 1983 do 1985 roku. W 1984 roku ogłosił tak zwaną Wojnę Przeciwko Brakowi Dyscypliny, program zapamiętany z powodu licznych dokonywanych w jego imieniu naruszeń praw człowieka oraz ograniczenia wolności prasy.

Boże Narodzenie przychodzi i odchodzi jak mocny, cichy wiatr.

Wielka Madam i Wielki Tata znikają z domu codziennie aż do Nowego Roku. Odwiedzają wszystkich znajomych i wracają bardzo późno, zmęczeni, pijani. Pachną ryżem *jollof*, smażonym mięsem i piciem. Kofi pojechał na święta do Ghany, do swojej żony i dzieci, a ja zostałam, coby sprzątać i prać ubrania. Kiedy tylko mogę, czytam książki z biblioteki. Ze smutkiem wspominam Boże Narodzenie w Ikati. Jak wszyscy zbierali się na wioskowym placu, puszczali sztuczne ognie, pili wspólnie *zobo* i zajadali się do późnej nocy czekoladkami.

Dzisiaj jest pierwszy zwykły dzień 2015 roku. Wielka Madam powiedziała, że muszę z nią jechać do sklepu, bo dziewczyna, co tam normalnie pracuje, wyruszyła do swojej wioski i ktoś musi pomóc. Siedzimy w samochodzie. Ja z przodu. Abu prowadzi w korku i kiwa głową na „tak”, gdy słucha grającego cicho radia, co mówi wiadomości w mowie hausa.

Wielka Madam rozmawia na tylnym siedzeniu przez telefon ze swoją przyjaciółką Caroline.

– Będzie strasznie – mówi. – Jeśli Buhari zwycięży w wyborach, Nigeryjczycy błyskawicznie tego pożałują. Nawet sobie nie wyobrażasz. Ten człowiek ma złe zamiary. Pamiętasz, co było w latach osiemdziesiątych? Przez co przeszliśmy? Pamiętasz, jak ludzie przez tę jego wojnę tracili cały dobytek? Ci jego przeklęci żołnierze wychłostali mnie kiedyś, w osiemdziesiątym czwartym, jak czekałam w Obalende na autobus. Prawdziwe demony. Kto wie, co będzie tym razem? Troje moich klientów już teraz przyrzekło, że zabierze się z kraju. Pojadą na dobrowolne wygnanie. Po co czekać, aż człowieka spotka jakaś tragedia? To koszmar. Już po nas. Trzeba koniecznie zwołać spotkanie Stowarzyszenia Sprzedawców Tkanin. Namówimy kobiety z okolicy, niech przekonują kogo można, żeby na niego nie głosować.

Patrzę na nią przez ramię. Słucham, co mówi o Buharim, bo lubię się uczyć nowych rzeczy. Wielka Madam kiwa głową w górę i w dół.

– Tak, ja cię rozumiem, Caroline – rzuca. – Rozumiem. Ale naprawdę nie widzę możliwości, żeby dla nas wynikło z tego coś dobrego. Ten człowiek może wprowadzić prawa, które zaszkodzą moim interesom. Dziewięćdziesiąt procent moich dochodów pochodzi ze sprzedaży materiałów na śluby, pogrzeby, zaręczyny… Ha. Jak ludzie ograniczą wydatki na tkaniny, nadejdzie katastrofa. Prawdziwa katastrofa. – Zauważa, że się gapię. – Poczekaj chwilkę, momencik. – Urywa. Nie mam szansy się szybko odwrócić. Wielka Madam bije mnie w bok głowy, dostaję złotym pierścionkiem z kamieniem, co nosi na palcu. Ból czuję aż w środku mózgu.

– Może patrz przed siebie, a nie podsłuchuj? Idiotka. – Wyciąga coś z torebki, coś, co brzęczy jak pęk kluczy. Rzuca, ale mnie nie trafia, klucze spadają na podłogę w nogach Abu, między samochodowe pedały. Abu patrzy na mnie bokiem, po czym znów na jezdnię i prowadzi dalej, jakoby nic się nie stało. Wielka Madam znowu przyciska telefon do ucha. – Przepraszam, Caroline. Adunni podsłuchiwała moją rozmowę. Wyobrażasz sobie? Kretynka przeklęta! Nie, jedzie ze mną do sklepu. Glory wybrała się na święta do domu i dała znać, że nie wróci. Adunni pomoże mi dzisiaj, dopóki nie znajdę jakiegoś zastępstwa. Tak czy inaczej, znalazłam ofertę rejsu wycieczkowego. Padniesz z wrażenia. Mój cudowny Wódz mnie przysponsoruje, jak zwykle. Nie, nie Royal Caribbean... Dobra, potem pogadamy. Jak daleko jesteś? Okej, czyli już blisko. Na Awolowo Road nie ma korka, więc niedługo się widzimy. Pa.

Masuję sobie głowę. Gorące łzy pieką mnie w oczy. Wiem, co znaczy „przeklęta". Wiem, że jak ktoś jest przeklęty, to zostaje sam jak palec. Że nie jest już dłużej nikomu potrzebny. Jak śmieć.

Nie jestem śmieciem; jestem Adunni. Człowiekiem ważnym dlatego, że moje jutro będzie lepsze niż dzisiaj. Rozmawiam sama ze sobą, mówię sobie to wszystko tak jak codziennie, odkąd nauczyła mnie tego pani Tia. W końcu Abu skręca i samochód wjeżdża przez bramę sklepu Wielkiej Madam.

Schody do środka zrobione są z białego marmuru, w środku każdego stopnia widzę białą żarówkę, świecą nam na stopy.

Na piętrze jest pokój wielki jak salon w domu. Się rozglądam. Patrzę i mrugam. Bardzo tu jasno, wszystko

wspaniałe. Powietrze zimne od klimatyzacji pachnie perfumami i pieniądzami.

Tutaj nie ma hałasu aut i handlarek. Nie ma smrodu ludzi. Wszędzie drzwi – szklane od podłogi po sam sufit. Cały pokój otacza szklana ściana. A za szkłem ciągną się małe półki pod jasnymi białymi żarówkami. Na każdej z półek leżą zwinięte materiały, najpiękniejsze, jakie w życiu widziałam. Z kwiatami, z całym mnóstwem kwiatów, jakoby Wielka Madam wykopała je w ogrodzie i rozrzuciła na tkaninach. Inne mają wszyte kamienie: błyszczące, kolorowe, różowe, fioletowe, czerwone, niebieskie, białe, czarne, a nawet z kolorami bez nazwy. Jeden materiał wygląda jak sieć, inny jest chyba na zasłony, mocny i ciężki. I jest jeszcze taki jak gąbka, gruby i gęsty. Na suficie naliczyłam szesnaście świateł. Są okrągłe jak oczy, każde w oprawie ze srebrnego metalu.

Na oknie z przodu stoją te same lalki, co to kiedyś pokazał mi mister Kola. Dwie, obie gołe. Wokół ich nóg rozlewa się morze białej koronki, obok czekają dwa kosze pełne żółtych suszonych kwiatów.

Na środku sklepu stoi fioletowe krzesło, ma złote nogi. Oparcie odchyla się lekko do tyłu. Obok krzesła jest szklany stolik z czasopismami, co leżą rozłożone jak wachlarz. Patrzę na tytuł tego na samej górze: „Genevieve Magazine”. Na okładce zdjęcie trzech nollywoodzkich aktorek, kobiet bogatych i szczęśliwych.

– Odłóż moją torebkę na kasę. – Wielka Madam pokazuje na szklaną półkę po lewej, gdzie obok długopisu i notesu widać mały komputer.

Za półką stoi krzesło: wysokie, z okrągłym siedzeniem. Na ścianie wisi tiwi, płaskie jak to w jej domu.

Kładę torebkę i czekam, co dalej powinnam zrobić.

– Magazynek jest tam, za drzwiami. – Wielka Madam siada na fioletowej kanapie i zrzuca z nóg fioletowe buty. – Powinien być otwarty. Na podłodze znajdziesz worek z materiałami. Przynieś mi go tutaj.

– Tak, *ma*.

Odwracam się do drzwi. Naciskam złotą klamkę i mrugam, bo w magazynku ciemno. Za ciemno, żeby zobaczyć jakiś szczegół, ale widzę rzędy drabin pełnych koronkowych materiałów. Tak dużo, że nie idzie policzyć, za daleko, coby widzieć, gdzie się kończą. Zabieram worek z nylonu i zamykam drzwi.

Jak wracam do sklepu, widzę Caroline. Ma na sobie niebieskie dżinsy, chyba za ciasne. I złoty T-shirt, co kończy się jej na brzuchu. Na nogach wysokie obcasy – różowe, z cienkimi szpicami. Dzisiaj jej oczy nie są zielone, ale złotobrązowe jak miód. Jakim cudem tak ciągle zmienia kolor oczu? Może wkłada do nich specjalne szkła?

Głowę owinęła czerwoną chustą, a kiedy pozdrawia mnie szybkim uśmiechem, w jej uszach tańczą dwa wielkie, okrągłe kolczyki. Skaczą w górę i w dół.

– To moja gipiura? – pyta i wyrywa mi torbę z ręki. Zagląda do środka. – Florence, to naprawdę najlepsze, co masz w kolekcji? Chcę z tego zrobić sukienkę, w której pokażę się komuś bardzo wyjątkowemu.

– A kim jest ten wyjątkowy ktoś? – Wielka Madam śmieje się jak koń. – Co? Ech, kobieto, zobaczysz, kiedy mąż cię

wreszcie przyłapie, na pewno nie będę go błagać, żeby cię przyjął z powrotem.

– Nie moja wina, że ciągle siedzi za granicą. – Caroline wyciąga materiał i go rozkłada. Koronka wylewa się na podłogę wielką czerwoną falą, kamienie błyszczą w jasnych światłach. – Dzisiaj w Arabii Saudyjskiej, jutro w Kuwejcie. Wiecznie gna za dolarem. A kobieta potrzebuje faceta, który jej łóżko ogrzeje.

– Wiem coś o tym – przyznaje Wielka Madam. – U kogo chcesz sobie tę sukienkę uszyć?

– House of Funke – odpowiada Caroline. – Och, Florence, ta gipiura jest naprawdę fantastyczna. Ta barwa! I spójrz na wzór na krawędziach. Mój Boże. Ile mi policzysz?

– Sto pięćdziesiąt tysięcy. – Wielka Madam bierze ze stolika czasopismo i zaczyna się nim wachlować. – Tyle liczę tobie i wszystkim innym. Weźmiesz całe pięć jardów?

– Myślałam, żeby zamówić midi. – Caroline odzywa się prosto do materiału. – Trzy jardy... powinno wystarczyć. Nie mogę się doczekać, jak zobaczę całość. Funke robią cudowne dekolty. Chyba dodam też więcej kamyków. To się ma błyszczeć!

– Ten nowy facet naprawdę musi być wyjątkowy – rzuca Wielka Madam i ziewa. – Nie przestajesz się uśmiechać.

– Florence... Sto pięćdziesiąt to trochę za dużo. Opuść z pięćdziesiąt. Zaraz poślę Adunni do samochodu i od razu przyniesie ci pieniądze.

– Ile opuścić? – Wielka Madam trzaska czasopismem w stolik, siada prosto. – Caro, przecież to szwajcarska koronka. Co? Twój nowy facet nie jest tyle wart? Swoją drogą,

mam taki nowy materiał z brokatem. Luksusowa rzecz. Zakochasz się. Mogłabyś z tego uszyć kombinezon, na przykład na kolejną randkę. W kolorze szampańskiego złota. I do tego jeszcze aksamitny turban, który idealnie ci przypasuje. Dopiero co rozmawiałam z żoną gubernatora. Z miejsca zamówiła trzy jardy, szykuje się na specjalny lunch w ambasadzie amerykańskiej. Pokazać?

Patrzę na Wielką Madam i myślę sobie: kiedy mogła dopiero co rozmawiać z żoną gubernatora? Ona jednak ma taką minę jak zwykle.

– Florence! – Caroline ze śmiechem kiwa głową na „nie". – Ja przez ciebie z torbami pójdę, przysięgam. A ile będzie za dwa, trzy jardy obu tych tkanin? Ten turban trzymasz tutaj, w sklepie? Adunni – zwraca się do mnie. – Poleć no na dół. Mój samochód stoi na parkingu. Z przodu siedzi pokojówka. Nazywa się Chisom, niech ci da moją torebkę. Przynieś mi prędko.

Kiedy idę do wyjścia, słyszę Wielką Madam:

– Zanim zapomnę... Przyszedł do mnie jeszcze taki turkusowy tiul...

Cztery drzwi czarnego dżipa Caroline są szeroko otwarte.

Na przednim siedzeniu widzę dziewczynę. Rozmawia przez telefon wciśnięty między jej ucho a ramię. Śmieje się, a po chwili nabiera łyżką trochę ryżu *jollof* z pudełka na kolanach. Zjada.

Kierowca, mężczyzna w czarnej czapce, co osłania mu twarz, śpi za kierownicą na rozłożonym siedzeniu. Nogi ma

w górze, między kierownicą a otwartymi drzwiami. Kiedy podchodzę, nawet się nie rusza.

– Dzień dobry. – Patrzę na dziewczynę i przygniatam ręką brzuch, coby uciszyć głodne burczenie. – To ty jesteś pokojówką ciotuni Caroline?

Wcale nie wygląda jak pokojówka. Gęste, ładnie splecione włosy opadają jej na plecy. Sukienka, jasnożółta i różowa z obrazkiem ptaszków na drzewie, też różni się od mojej. Stóp nie widać, ale palce, co nimi trzyma łyżkę, mają paznokcie tak samo różowe jak sukienka.

– Poczekaj, oddzwonię – rzuca do telefonu.

– A może jesteś jej córką? – pytam.

Może Caroline ma córkę. Ta dziewczyna wygląda jak córka, ubrana jest jak córka. I mówi też jak córka.

– Dzień dobry. – Wpatruje się we mnie.

– Szukam Chisom – tłumaczę. – Pokojówki ciotuni Caroline. Kazała przynieść jej torebkę.

– To ja jestem Chisom. – Mierzy mnie oczami z góry do dołu. – A ty jesteś pokojówką Wielkiej Madam?

– Tak. Powiedziała, cobym przyniosła jej torebkę.

– Jasne. – Dziewczyna sięga na tylne siedzenie, podnosi czarną skórzaną torebkę, całą w wielkich literach L, V, i mi podaje. – Jak masz na imię?

– Adunni.

Przełykam gorącą ślinę. Chisom bierze plastikową pokrywkę i zakrywa miskę, zasłania ryż i smażone mięso.

– *Bia*, Adunni, strasznie jesteś chuda. – Patrzy na mnie, potem na miskę i się śmieje. – Chcesz dojeść mój ryż?

Odrywam oczy od miski. Nie mogę wziąć tego ryżu, Wielka Madam mnie pobije. Ale jeśli znajdę jakiś kąt i zjem naprawdę szybko…?

– Rebecca też zawsze chodziła głodna – rzuca Chisom. Domyka pokrywkę i podaje mi naczynie. – Weź sobie, madam kupi mi drugą porcję.

– Znasz Rebeccę? – Robię wielkie oczy, zaraz zapominam o całym głodzie i ryżu. – Skąd? Wiesz, co się z nią stało? Przyjechała z wioski Agan?

– Rzeczywiście opowiadała o Agan. – Chisom wzrusza ramionami. – Nie byłyśmy ze sobą blisko, więc nie bardzo się orientuję, czy stamtąd pochodziła, ale kiedy się spotykałyśmy, zawsze częstowałam ją jedzeniem. A potem, pewnego dnia, po prostu przestała się pojawiać.

– Kiedy przestała przyjeżdżać do sklepu? – dopytuję.

Chisom myśli przez chwilę.

– Chyba jakoś wtedy, kiedy zaczęła się robić gruba. Przedtem była chuda. Taka jak ty.

– Zrobiła się gruba? – Serce zaczyna mi walić. Myślę o koralach schowanych pod poduszką w moim pokoju. Może je zdjęła, bo zrobiła się gruba, ale przecież te korale mają taki sznurek, coby mogły się rozciągać, więc nie musiała ich zdejmować. Wzdycham. – Chisom, czy ona mówiła…?

– Adunni! – krzyczy z góry Wielka Madam. – Niesiesz tę torebkę z Arabii Saudyjskiej czy co? Wizy potrzebujesz, żeby tu ją dać? Jeśli mnie zmusisz, żebym tam po ciebie przyszła, to…

– Idę, *ma*! – wołam, coby już nie kończyła.

Biegnę do schodów. Prawie się przewracam. Jeszcze zerkam przez ramię na Chisom. Śmieje się, kiwa głową na „nie".

– Sklep jest bardzo ładny, *ma* – mówię do Wielkiej Madam. Wracamy już do domu. Abu prowadzi samochód po krótkim moście. – Taki duży i piękny. – Brzuch mam bardzo głodny, a jak za długo milczę, to zaczyna mi śmierdzieć z ust. Gadam więc, mimo że Wielka Madam siedzi z tyłu i tylko posapuje. Nie odpowiada. – Zupełnie jak w niebie. Tyle pięknych świateł. I zapach też śliczny, jak perfumy. A materiały? Takie drogie i ładne – paplam. Abu rzuca na mnie okiem, jakoby chciał zapytać, czy oszalałam. Ale nie milknę. – I ci wszyscy ludzie, co przychodzą do sklepu i dzwonią telefonem. Niezwykle ważni Nigeryjczycy. Twoje dzieci muszą być dumne z takiej matki – dodaję jeszcze.

– Tak myślisz? – pyta Wielka Madam.

Abu wjeżdża na ulicę, co prowadzi do domu.

W pierwszej chwili nie jestem pewna, czy to mnie zapytała, odpowiadam więc szeptem.

– Tak myślę. – Kiwam głową na „tak". Wielka Madam zaczyna się śmiać. Prawdziwym śmiechem. Odwracam się i patrzę na nią. Się uśmiecha. Do mnie. Ze mną. – Jesteś bardzo dobra w sprzedawaniu, *ma*. – Zapominam o całym głodzie, o Chisom i wszystkim, co mnie martwi. – Sprzedałaś tkaniny wszystkim klientom, co dziś przyszli. Zarobiłaś dobre pieniądze. Jak się tak patrzy, to człowiekowi się wydaje, że łatwo robić interesy. Naprawdę, *ma*, jak będę chciała kiedyś sprzedawać ubrania, *ma*, to chcę sprzedawać jak ty.

– Jak ja? – Wielka Madam przyciska palce ze złotymi pierścionkami do piersi i znowu się śmieje. Jej oczy, co były

czerwone i zmęczone, rozświetlają teraz cały samochód. – Adunni, zaczynałam ten biznes od niczego. – Poprawia się na siedzeniu i pochyla naprzód. – Piętnaście lat temu handlowałam tanimi materiałami z małej budki, jeździłam z miejsca na miejsce, szukałam klientów. Nie urodziłam się w luksusach. Ciężko na sukces pracowałam. Walczyłam. Nie było łatwo, zwłaszcza że mój mąż, Wódz, nie miał zajęcia. Jeśli chcesz być taka jak ja, Adunni, musisz bardzo ciężko pracować. Musisz być ponad wszystko, co zgotuje ci życie. I nigdy, przenigdy, nie rezygnuj z marzeń. Rozumiesz?

Kiwam na „tak". Wciąż na nią patrzę. Czuję, że czymś się ze mną podzieliła. Czymś ciepłym jak uścisk starej przyjaciółki.

A wtedy Abu naciska klakson i Wielka Madam się rozgląda.

– Co? – Mruga. – Już jesteśmy w domu? Adunni, co się tak na mnie gapisz? Wyskakuj, zanim łeb ci urwę! Idiotka.

Wychodzę z samochodu i myślę o tym wszystkim, co było między nami: o ciepłym spojrzeniu, szybkim uśmiechu, o nadziei, że może kiedyś będzie dla mnie dobra. Prędko wbiegam do domu.

ROZDZIAŁ 43

Fakt: Nigeryjska społeczność chrześcijan jest najliczniejsza w całej Afryce. Istnieją tam parafie liczące ponad 200000 członków, a niektóre msze odprawiane są w halach mogących pomieścić tysiące wiernych.

W wyborach zwyciężył Buhari.

Kofi tańczył, jakoby zrodziła go ta sama matka, co Buhariego. Jakoby mieli jednego ojca.

– Doczekaliśmy się zmiany! – powiedział, kiedy w tygodniu temu tiwi ogłosiło ogłoszenie. Zerwał z głowy białą czapkę, podrzucił ją w powietrze i złapał ze śmiechem. – Nadeszła zmiana! Nigeria rozkwitnie! Właśnie na to czekałem!

Papa zawsze śledził wszystkie wiadomości o wyborach. Ze szczyptą smutku w sercu zastanawiam się teraz, czy on też tańczył, kiedy usłyszał wynik. I czy myśli jeszcze o mnie.

Za to Wielka Madam była strasznie zła. Przeklinała Buhariego i przeklinała tak bardzo, aż się boję, że ten człowiek lada dzień padnie trupem. Madam mówi, że Buhari jest czarownikiem. Że nie zna angielskiego. Kiedy to powiedziała, przyszło mi do głowy, że skoro on nie zna angielskiego, a został prezydentem, to może jednego dnia i Adunni zostanie prezydentem?

Dzisiaj mamy pierwszą niedzielę kwietnia, dlatego wybieramy się do kościoła Wielkiej Madam na specjalną mszę

dziękczynną Kobiet Biznesu. Powiedziała, że muszę z nią iść, coby pomóc dźwigać torbę z materiałami, które chce dać w prezencie kobietom z grupy. Odkąd przyjechałam do Lagos, nie byłam jeszcze w kościele, więc jak siadam w samochodzie, z przodu obok Abu, czuję się pełna radości i oczekiwania.

Wielka Madam i Wielki Tata jadą z tyłu. Madam ma na sobie *bou-bou* ze złotego materiału. Tak ciężkiego, że kiedy wchodziła do samochodu, musiałam podtrzymać końce.

Na ramionach i rękawach są białe, błyszczące kamienie. Wokół szyi biegnie gruby pas srebrnej koronki. Złote *gele* kołysze się jej na środku głowy jak mały statek. Kolczyki – sznureczki z pięcioma czerwonymi koralami każdy, naciągają jej uszy do ramion.

A ja nadal noszę buty po Rebecce. Krawędź jednego zaczęła się rwać, to wczoraj zszyłam go z powrotem igłą i nitką. Lubię te buty, dzięki nim czuję, że znam Rebeccę, że noszę ją na nogach ze sobą wszędzie, dokąd idę, że dzielę z nią życie i tajemnice. Wiem, że już bardzo niedługo będę wiedziała, co się stało. Dlaczego zniknęła i dlaczego nikt w tym domu nie chce o niej rozmawiać.

Pani Tia ciągle jest w Port Harcourt. Dziś rano przysłała mi wiadomość. Mówi, że jej mama od Nowego Roku jest przyjęta do szpitala i że wszystko się „nareszcie uspokoiło, więc powinnam wracać pierwszym możliwym lotem do Lagos". Napisała też, że jej mąż „niech Bóg ma go w opiece, przylatuje do Port Harcourt co piątek, żeby być przy mnie".

Czytam tą wiadomość trzy razy, a potem odpowiadam: OKEJ. DO ZOBACZENIA.

– Masz pieniądze na tacę? – Wielka Madam patrzy na Wielkiego Tatę.

Samochód jedzie przez most, co wisi na mnóstwie sznurków, trzymają go po lewej i prawej jak cienkie białe palce. Myślę sobie, że to chyba most Lekki-Ikoyi, ten co na nim biega każdego ranka pani Tia.

– Dlaczego zadajesz mi głupie pytania, Florence? – rzuca Wielki Tata. – A dałaś mi jakieś pieniądze na tacę?

Wielka Madam mruczy pod nosem, otwiera ozdobioną piórami torebkę i wyciąga pieniądze, cały plik spięty brązową gumką.

– Masz tu pięćdziesiąt tysięcy nair. – Wydziela z pliku sporą część. – Dziesięć dasz na tacę. A czterdzieści to twój datek na konferencję Dobrych Mężczyzn w przyszłym tygodniu. Tylko tym razem, Wodzu, zadbaj, żeby te pieniądze trafiły gdzie trzeba, bo jak ostatnio dałam ci dwieście tysięcy na Dom Mężczyzn po Pięćdziesiątce, okazało się, że sekretarka w kościele nie dostała ani nairy.

Wielki Tata wyrywa jej plik z ręki i wciska go sobie głęboko do kieszeni zielonej agbady.

– Szkoda, że nie poczekałaś, aż wejdziemy do kościoła. Wtedy mogłabyś wziąć mikrofon i całej parafii ogłosić, że dałaś swojemu mężowi, głowie rodziny, najważniejszej osobie w domu, dwieście tysięcy nair, a on je wydał na boku. Durna baba.

Wielka Madam kiwa głową na „tak”, ale broda jej się trzęsie. Wygląda, jakoby walczyła z płaczem, i robi mi się jej trochę żal. Kiedy patrzy na okno i pociąga nosem, Abu daje

radio głośniej. Hałas niedzielnych wiadomości wypełnia samochód.

Suniemy dalej i nie mówi już nikt poza radiem. Wreszcie Abu zjeżdża z mostu i skręca na rondzie w lewo. Kiedy zatrzymuje auto, Wielka Madam wysiada, ale Wielki Tata zostaje w środku. Mówi, że dołączy do nas potem; chce zapalić siga, coby umysł mu się otworzył na słowa z nieba.

Budynek kościoła jest okrągły jak kapelusz, a na dachu sterczy złoty krzyż, chyba bardzo ciężki. Okna, naliczyłam pięćdziesiąt, zrobione są z kolorowego szkła, a na nim narysowano gołębie i aniołki. Wokół stoi pełno dużych samochodów podobnych do dżipa Wielkiej Madam. Wszyscy, co przyjeżdżają, ubrani są jak na urodziny albo i wesele. Wysokie obcasy, *gele* we wszystkich kolorach tęczy, drogie koronki, a na twarzach kobiet mnóstwo makijaży.

Nasz kościół w Ikati miał tylko dach, ławki i bębny do grania muzyki, a ludzie przychodzili ubrani jak w żałobę. Śpiewali też bardziej żałobnie. Tutaj głośną melodię słyszę nawet z zewnątrz, nabieram ochoty do tańca.

Wchodzimy po schodach i jesteśmy w pomieszczeniu, co wygląda jak salon bez kanap. Jest tu chłodno, różni ludzie śmieją się, rozmawiają, uśmiechają jeden do drugiego, mówią sobie: „Miłej niedzieli”. W głębi są kolejne drzwi – szklane, podwójne. A przed nimi leży czerwony dywan.

Przed drzwiami stoi kobieta ubrana w czarną spódnicę, tak ciasną, że pewnie aż dusi. Ma też czerwoną bluzkę, co wygląda jak uszyta na dwuletnie dziecko. Bluzka podnosi jej piersi niemal pod szyję. Spod grubych makijaży wszędzie

wyłażą pryszcze, jakoby chorowała na odrę i nie do końca się wyleczyła.

– Dzień dobry, witamy w Sali Celebracji. – Uśmiecha się szeroko do Wielkiej Madam, a pryszcze zbiegają się jej w kącikach warg. – Domyślam się, że to pokojówka? – Patrzy na mnie tak, jakobym założyła ubranie tył na przód.

– Dzień dobry. – Klękam na powitanie.

– Adunni, wstawaj i przynieś moją torebkę – rzuca Wielka Madam. – Tak, to moja pomoc domowa – zwraca się do kobiety przy drzwiach. – Czy słusznie myślę, że nie może wejść? Będzie mi potrzebna po mszy. Chcę, żeby przyniosła tkaniny z samochodu.

– Tutaj wejść nie może. – Kobieta kiwa głową na „nie". – Może wziąć udział w mszy dla pomocy domowych, z tyłu. Sama pokażę jej drogę, a po wszystkim przyprowadzę do pani. Proszę wchodzić. Z Bogiem.

Stoję i patrzę, jak Wielka Madam znika za szklanymi drzwiami. Uderza mnie mocno zimne powietrze, pełne śpiewu.

– Dlaczego nie mogę iść z madam do kościoła? – pytam, kiedy drzwi połknęły już moją panią. – Jak ją znajdę, kiedy skończy? W Lagos zupełnie nie wiem, co gdzie jest. Nie chcę się zgubić.

– Nie bój się. – Kobieta rozciąga wargi w szybkim uśmiechu. – Nic ci nie grozi. Chodź za mną. Tędy.

Idziemy daleko, daleko na tył kościoła. Nieznajoma drepta w swoich czerwonych wysokich obcasach, jakoby szła nie po podłodze, a po cienkiej linie. Ścieżka z lewej i prawej ma krzewy, wygląda jak przedziałek na płaskiej głowie. W końcu

docieramy do jakiegoś domu. Pierwszy raz widzę w Lagos szary dom, co przypomina mi Ikati. Nie jest pomalowany, brak w nim drzwi i okien. Obok stoi inny mały dom, też bez drzwi. Smród sików czuję, zanim zauważam okrągłą białą toaletę i popękane brązowe kafelki na podłodze. Wygląda to tak, jakoby zbudowali ten dom byle jak i postawili go tu z tyłu, kiedy zużyli już całe pieniądze na budowę kościoła.

– Tutaj odprawiane są msze dla służby. – Kobieta zasłania nos ręką. Pomalowany czerwono paznokieć wbija się jej w policzek. – Jest problem ze spłuczką, ale już zaplanowaliśmy naprawę. W przyszłą niedzielę toaleta powinna być sprawna. No cóż, usiądź tu sobie z pozostałymi. Kapłan niedługo przyjdzie. A po mszy cię tu znajdziemy, okej?

Wchodzę do środka i widzę z pięć dziewczyn. Siedzą na podłodze ze spuszczonymi głowami. Wyglądają na tyle lat wieku, co mam ja: czternaście, piętnaście. Wszystkie w brudnych sukienkach z ankary albo prostszego materiału. Ich buty są jak mokry papier toaletowy, podarte, całe w dziurach. Włosy potargane albo przycięte równo ze skórą. Śmierdzą potem, ciałami, co potrzebują porządnego mycia. I wszystkie wydają się smutne, zagubione, wystraszone. Jak ja.

– Dzień dobry. – Próbuję się uśmiechnąć, chcę sprawdzić, czy uda się z którąś porozmawiać, może zaprzyjaźnić. Ale żadna nie odpowiada. – Dzień dobry – mówię znowu. – Na imię mi Adunni.

Jedna podnosi oczy i chwyta mnie wzrokiem. Nie ma w spojrzeniu dobroci. Nic nie ma. Tylko strach. Zimny strach. Milczy, ale jej oczy mówią: „Jesteś mną. A ja jestem tobą. Mamy różne madam, ale one też są takie same”.

Rozglądam się i zauważam w kącie po prawej Chisom, naciska coś na telefonie. Zapominam o innych dziewczynach i prędko do niej podchodzę. Ma w uszach białe druty, kołysze głową do cichej muzyki i je gumę do żucia. Wygląda na szczęśliwą. Włożyła niebieską sukienkę, czarne buty i czyste białe skarpetki. A kiedy pochylam się nisko przed nią, zastanawiam się, czy też jest pomocą domową jak ja i reszta dziewczyn, czy może Caroline jakoś inaczej traktuje pokojówki.

– Chisom...

Robi z gumy balona i rozwala go językiem. Zaraz potem poklepuje podłogę obok siebie, cobym usiadła, i wyciąga z uszu białe druty.

– Chuda! – mówi. – Jak się masz?

– Na imię mi Adunni, ale wszystko okej, dziękuję – odpowiadam. – To twój kościół?

– Nie – mówi. – Moja madam chodzi gdzie indziej. Przyszłyśmy tylko ze względu na program Kobiet Biznesu. Dlaczego właściwie tu siedzimy? Na podłodze? Pytałam tę pryszczatą odźwierną, ale powiedziała mi tylko: „Taki panuje protokół". Moja madam doradziła, że powinnam posłuchać, ale po mszy złoży skargę. Wiesz może, co to „protokół"?

– Nie wiem. – Siadam i jak pozostałe podciągam kolana pod brodę. – Twoja madam jest dla ciebie bardzo dobra. Dlaczego?

– Bo to dobra kobieta. I dlatego, że się rozumiemy. Ja dbam, żeby jej było dobrze, a ona dba o mnie.

– Ale jak? – Ja też bym spróbowała. Zadbam, coby było dobrze Wielkiej Madam. A ona stanie się dobra dla mnie.

– Wiem o swojej madam różne rzeczy. Takie, o których nie wie nikt inny. Znam wszystkie jej tajemnice. Pilnuję ich. Jesteśmy czymś więcej niż madam i pokojówka. Jesteśmy jak siostry. Ale ty i tamte dziewczyny? Nie możecie zrobić nic, żeby wasze madam były dla was miłe. Nic. Większość tych kobiet jest po prostu zła. – Chisom wciska do uszu swoje druty, zaczyna pstrykać palcami i machać głową.

Czekam chwilę, potem trącam ją łokciem.

– Chisom?

– Co? – Wyciąga drut i rzuca mi gniewne spojrzenie.

– Wtedy przy sklepie – szeptam – powiedziałaś, że Rebecca najpierw była chuda, później robiła się bardziej grubsza. Wiesz, co się z nią stało, jak już utyła? I dlaczego utyła? I czy uciekła?

– Nie wiem. Mało ze sobą rozmawiałyśmy, po prostu pewnego dnia zauważyłam, że zrobiła się duża. A następnym razem była jeszcze większa i wtedy zrozumiałam.

– Ale ja nic nie rozumiem, Chisom.

W tej samej chwili wchodzi jakiś mężczyzna. Ma garnitur jak pracownik, pod pachą niesie wielką czarną Biblię.

– Witam wszystkie. – Z uśmiechem patrzy na siedzące dziewczyny. – Jestem pastor Chris. Dzisiaj zajmiemy się…

– Co zrozumiałaś? – dopytuję Chisom. Serce wali mi tak głośno, że zagłusza słowa pastora. – Powiedz: co zrozumiałaś?

– Rebecca powiedziała, że wychodzi za mąż – szepta Chisom. – Była bardzo szczęśliwa, chociaż czegoś się też bała.

A potem powiedzieli, że pewnego popołudnia zwyczajnie nie wróciła z targu. Ale...

– Prosiłem o powstanie. – Pastor klaszcze. – Wy dwie w rogu, przestańcie gadać. Wstawajcie!

– Czekaj... – Nawet na niego nie patrzę. – Za kogo Rebecca miała wyjść?

– Nie wiem. Wydaje mi się... – Chisom zasłania usta. – Cii, pastor tu idzie.

Potem nie udało mi się już zamienić z Chisom ani słowa.

Caroline, jej madam, przyszła w połowie mszy i zabrała ją do tego pięknego, dużego kościoła z przodu. Kiedy pastor skończył, stanęłam przy bramie i próbowałam dziewczynę znaleźć. Oglądałam wszystkich ludzi w pięknych strojach: jedli placki z mięsem, śmiali się i rozmawiali o mszy. Ale Chisom nie zobaczyłam. Ani Caroline. Pomyślałam nawet, że wejdę do kościoła i tam poszukam, ale wtedy Wielka Madam złapała mnie za włosy i pociągnęła do samochodu.

Siedzimy teraz w dżipie i jedziemy do domu.

Wielki Tata chrapie głośno z tyłu, a Wielka Madam rozmawia z kimś przez telefon o „dostawie organzy na wesele dla dwustu gości".

Kiedy dojeżdżamy na miejsce, Wielka Madam i Wielki Tata wysiadają, ale ja tkwię jak kamień. Nie chcę iść do domu. Chcę zostać tutaj, w samochodzie, chcę schować się w nim na zawsze.

To, co Chisom powiedziała o Rebecce, nie ma żadnego sensu. Skoro Rebecca planowała wyjść za mąż, to dlaczego Kofi o tym nie wiedział? Dlaczego nikt nic nie wiedział?

Wzdycham. Jestem zmęczona. Głodna. Wszystko miesza mi się w głowie. I jestem zła na siebie, bo myślałam, że Rebecce stało się coś złego, a ona była szczęśliwa, miała brać ślub. I może dlatego uciekła, bo nie chciała, coby Wielka Madam popsuła jej zamysły.

Tak samo jak ja nie chcę, żeby madam popsuła mój plan ze stypendium.

Ale jeśli miał być ślub, to dlaczego zdjęła korale?

Znowu wzdycham.

Moje włosy, poszarpane przez Wielką Madam przed kościołem, bolą aż w mózgu. Moje ciało wygląda jak mapa, co pokazuje miejsca, gdzie byłam bita. Mam znak na plecach po ranie, co ją dwa razy otworzyła obcasem. Dziura już się niemal zagoiła, ale potem zaczęła śmierdzieć. Mam też ślad za uchem i jeszcze jeden na lewej skroni.

Jak się stąd uwolnić? Koniec kwietnia wydaje się daleko, choć zostało już tylko kilka tygodni. Ale i tak nie wiem przecież, czy to stypendium dostanę. A jeśli dostanę, to czy Wielka Madam mnie wypuści? Czuję w sercu tak głęboką tęsknotę do Ikati, do dawnego życia, że zaczynam płakać.

– Adunni. – Podnoszę oczy. Zapomniałam, że Abu też siedzi w samochodzie. – *Haba*. Dlaczego płaczesz?

– Dla wszystkiego, Abu. – Ocieram twarz. – Przez całe życie, przez Rebeccę, przez wszystko. Jestem już po prostu zmęczona. – Sięgam do klamki, coby wysiąść.

– Czekaj. Dlaczego płaczesz akurat przez Rebeccę? Przecież jej tu nie ma.

– Tak – mówię, a zaraz potem opowiadam mu o koralach i o tym, co usłyszałam od Chisom.

Kiedy mówię, Abu cały czas kiwa głową na „tak”, a jak kończę, ciężko wzdycha.

– Niech Allah ma ją w swojej opiece – rzuca.

– Amen – dodaję. – Bałam się po prostu, że wpadła w kłopoty i że to, co stało się z nią, stanie się też ze mną. Ona jest mi jakoś tak bliska. Urodziła się w wiosce Agan. To niedaleko mojego Ikati. Ale teraz myślę, że nic złego jej się nie przydarzyło. Uciekła, żeby wyjść za mąż, a ja niepotrzebnie się martwiłam.

– Adunni. – Abu zerka przez ramię na stojący daleko dom. – Chcę ci coś pokazać. Coś, co znalazłem w samochodzie… po zaginięciu Rebeki.

– Co? Co znalazłeś?

– Nie teraz. – Znów się ogląda do tyłu. – Mam to w pokoju. Przyjdę z tym do ciebie. Może nocą, kiedy Wielki Tata zaśnie albo nie będzie go w domu. – Twarz ma tak poważną, wielkie oczy tak pełne strachu, że zaczyna mi dudnić serce.

– Okej. Zapukaj trzy razy. Będę wiedzieć, że to ty. Nie lubię otwierać drzwi nocą.

– Aha. – Kiwa głową na „tak”. – Zapukam trzy razy i zaczekam przed twoim pokojem.

– Do zobaczenia – mówię i czuję, jak na piersi drży mi telefon.

Wychodzę z samochodu, idę kawałek i chowam się przed Abu za donicą z kwiatami. Wyciągam telefon.

Kolejna wiadomość od pani Tii: „Zaraz wsiadam do samolotu. Jutro po południu wybierzemy się razem na moją kąpiel. Twoja madam zgodziła się puścić cię ze mną »na targ«. Nie musisz odpowiadać. xx”.

Uśmiecham się lekko i zastanawiam, co takiego znaczy „xx”. Chowam telefon do stanika i biegnę do domu zająć się obowiązkami.

ROZDZIAŁ 44

Fakt: Członkowie ludu Joruba uważają, że bliźnięta obdarzone są szczególnego rodzaju nadprzyrodzonym błogosławieństwem, a rodziny, w których przychodzą na świat, czekają pomyślność i bogactwo.

– Hej – wita się ze mną pani Tia. Spotykamy się przed domem. Jest poniedziałek po południu. Siedzi pod palmą kokosową, a jak mnie widzi, wstaje i otrzepuje pośladki z piasku. – Rany, jak ty wyglądasz? Strasznie schudłaś. Czy naprawdę ostatnio widziałyśmy się aż cztery miesiące temu?

– Tak – mówię. – Przed świętami.

Pani Tia zamyka mnie w szybkim uścisku.

– Wpadałam kilka razy do Lagos. Ze względu na pracę. Zajrzałabym do ciebie, ale nie miałam jak. Dostałaś moje wiadomości?

– Tak – odpowiadam. – Jak twoja mama? Już dobrze? Czy próbujecie się do siebie zbliżyć?

Otwieram bramę i wychodzimy na ulicę, ruszamy w stronę jej domu. Przed nami ciągnie się gładka czarna droga, wygląda w gorącym słońcu, jakoby ktoś oblał ją olejem, migota jak falująca woda.

– Wdało się zakażenie i prawie ją straciliśmy. – Pani Tia bierze głęboki oddech. – Ale jakoś z tego wyszła. A między nami jest znacznie lepiej... Dzięki, że zapytałaś. A ty jak

spędziłaś święta i Nowy Rok? Przyjemnie? Co u Wielkiej Madam? Przestała cię bić? Naprawdę mocno schudłaś.

Ona zawsze pyta, czy madam przestała bić, ale ja zawsze odpowiadam tak samo.

– Akurat wczoraj, po kościele, polała mi głowę wodą – mówię. – Ktoś skorzystał z toalety na dole i nie spuścił wody. W środku zostało gówno. Powiedziała, że moje. Zbiła mnie, nakrzyczała, że jestem dzieckiem samego diabła i kłamczuchą. Kazała mi wsadzić rękę do toalety, wygrzebać to gówno po kawałku i zanieść je do naszej łazienki.

– To po prostu.... – Pani Tia robi taką minę, jakoby chciała zwymiotować. Kiwa głową na „nie" i już nie mówi nic więcej, aż stajemy przed jej bramą, gdzie czeka na nas auto. Pani Tia zaczyna iść wolniej. – To samochód teściowej – szepta. – Zapowiedziałam jej, że się ze mną wybierzesz. Ken pomógł ją przekonać. Wciąż nie mogę uwierzyć, że się na to zgodziłam, ale kto wie? Może ta kąpiel rzeczywiście zadziała, może sprawi, że zniknie ten jej... stres, że wszyscy się uspokoją. – Milknie na chwilę, potem mówi jeszcze ciszej, jakoby tylko do siebie: – Pigułki przestałam brać pod koniec zeszłego roku. Od tamtej pory robimy wszystko co trzeba, staramy się, ale jak dotąd nic. Cholernie to frustrujące.

Pigułki to inaczej tabletki. A tabletki to lekarstwa. Jak to lekarstwo, które Khadija zrobiła dla mnie w domu Morufu, cobym nie zaszła w ciążę. Jeśli pani Tia nie bierze już lekarstwa na zatrzymanie ciąży i próbują od kilku miesięcy, to dlaczego dziecko nie przychodzi?

Kładę jej rękę na ramieniu i mówię, że wszystko będzie dobrze, tak samo jak zawsze ona mówi mnie.

Rzuca mi wilgotny uśmiech i ciągnie mnie za dłoń.

– Chodź. Miejmy to z głowy.

Teściowa pani Tii jest chuda, a jej nos przypomina dzbanek na herbatę.

Wygląda zupełnie jak doktor Ken, tylko nie ma wąsów; nosi za to krótką czarną perukę. Ma na sobie drogą sukienkę z czerwonej koronki, ozdobioną błyszczącymi kamieniami. Kiedy ją pozdrawiam, tylko pociąga tym swoim nosem, co wygląda jak dzbanek.

Pani Tia wsiada do samochodu obok teściowej, a ja zajmuję miejsce z przodu.

– Moscow – zwraca się mama doktora do kierowcy. – Jedziemy do Ikei, do Ośrodka Cudów. Tego przy rondzie, gdzie jest ShopRite. Pamiętasz?

Moscow, mężczyzna z głową, co wygląda, jakoby nosił w niej cement, stanowczo zbyt ciężką dla cienkiej szyi, odpowiada, że tak, że pamięta, i ruszamy. Włącza radio. Czuję zimne powietrze z klimatyzacji i słucham kobiety z głośnika – mówi ona, jakoby była z Ameryki. Opowiada o nowym prezydencie Buharim i o tym, jak w Nigerii zrobi się dzięki niemu lepiej.

Pani Tia i mama doktora nie komunikują ani słowa. W samochodzie jedynym dźwiękiem jest gadanina amerykańskiej kobiety z radia. Papla strasznie szybko, jedziemy przez godzinę, a jedynym słowem, jakie zapamiętuję, jest Obama.

Wbijamy się w najgorszy korek, jaki widziałam. Za oknem inne auta na drodze trąbią jak szalone, kierowcy klną. Po

jakichś trzech godzinach kierowca skręca w bramę, zatrzymuje samochód i gasi silnik.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmuje mama doktora. – Masz chustę. Zasłoń głowę – nakazuje pani Tii. – Bo to święta ziemia. Tej z przodu możesz dać gazetę. Trzymaj. Ona też musi nakryć głowę. Za nic nie pojmuję, po co zabrałaś na tak doniosłą i osobistą uroczystość obcą osobę, pokojówkę sąsiadki. Doprawdy nie pojmuję.

– Adunni musi ze mną wejść – odpowiada pani Tia. – Tak się umówiłyśmy. Bez niej wracam natychmiast do domu. I dam jej tę chustę, mnie wystarczy gazeta.

– Jak chcesz się tam pokazać? Jak żebraczka? Tio, proszę, zachowuj się. – To brzmi tak, jakoby teściowa była bardzo zmęczona panią Tią i jej problemami.

– Przyjechała tu na moje zaproszenie – odpowiada żona doktora. – To nieuczciwe, żeby musiała teraz zasłaniać włosy gazetą. Jest tu dla mnie, nie dla siebie.

– Nie pozwolę, żebyś weszła do środka z gazetą na głowie – rzuca mama doktora.

– I nie wejdę. – Pani Tia zaplata ręce na piersi i wydyma górną wargę jak zagniewana dziewczynka. – Nie ruszę się nawet na cal, dopóki Adunni nie dostanie chusty.

Mama doktora mamrocze pod nosem w języku joruba. Wiem, że pani Tia tego nie rozumie, ale jej teściowa zapytała właśnie, czy ona ma problem z mózgiem i gdzie doktor znalazł sobie taką obłąkaną żonę z Zagranicy, z Port Harcourt.

Nie chcę, żeby się przeze mnie kłóciły, więc odwracam się i mówię:

– Ja mogę wziąć gazetę. Jeśli trzeba, założę ją nawet jak sukienkę. Gdzie ta gazeta? – Patrzę na panią Tię, błagam oczami, żeby mi ją podała.

Podnosi gazetę z siedzenia i mi podaje. Owijam ją sobie na głowie. Papier pęka w wielu miejscach, ale kiedy go kilka razy składam, zaczyna w końcu być taką niby czapką.

– Widzicie? Bardzo dobrze wygląda. – Uśmiecham się szeroko, pokazuję wszystkie zęby.

Mama doktora syczy i wysiada.

– Zobaczymy się w środku. – Zatrzaskuje drzwiczki i odchodzi.

Patrzymy sobie z panią Tią w oczy i nagle wybuchamy śmiechem.

Prorok z Ośrodka Cudów jest niskim mężczyzną o krzywych nogach, co przypominają dwie litery C. Chodzi tak, jakoby przy każdym kroku podskakiwał.

Powieki opadają mu mocno, więc nawet choć nie śpi, ma się ochotę go trącić, żeby już wstawał. Ubrany jest w długą czerwoną szatę, przewiązaną na brzuchu białym paskiem. Na głowę wcisnął białą czapkę z ukośnym fioletowym krzyżem. W ręku trzyma złoty dzwoneczek. Kiedy z panią Tią wchodzimy do kościoła, podrywa się, głośno, głośno dzwoni dzwonkiem i woła:

– Witam w strefie. Siadajcie.

W środku stoi ze trzydzieści drewnianych ławek, zupełnie jak w mojej szkole w Ikati. Mama doktora sadowi się na skraju jednej z nich, a my wsuwamy się obok. Dalej z przodu, za drewnianym ołtarzem z wysokim brązowym krzyżem widać

obraz jakiegoś człowieka. Myślę sobie, że to Jezus, ale ten Jezus jest głodny, a na twarzy ma gniew. Wygląda też trochę jak Katie z Londynu – ma takie same długie brązowe włosy.

Dlaczego Jezus wygląda jak człowiek z Zagranicy? Może też się tam urodził?

W nosie wierci mnie ostry zapach. Rozglądam się i widzę na podłodze trzy kadzidełka przeciwko moskitom. Szare nitki dymu snują się z nich pod sam sufit. Wokół ołtarza stoją czerwone świece. Naliczyłam piętnaście.

– *Alafia* – rzuca prorok.

– Życzy ci pokoju – tłumaczę szeptem pani Tii na ucho. – *Alafia* znaczy w joruba „pokój".

– *Alafia* – odpowiada mu pani Tia.

Ja życzę mu dobrego dnia.

– *Alafia*. – Patrzy na mnie i potrząsa dzwonkiem.

Mama doktora opowiada, z czym przychodzimy. Mówi płynnie w joruba, że pani Tia jest żoną jej syna i przez cały rok od ślubu nie urodziła dziecka. Mówi, że zmęczyły ją już modły i namawianie synowej na dziecko i myśli, że może w pani Tii zamieszkał zły duch, który zjada jej dzieci. Mówi, że pani Tia przywiozła tego ducha z Zagranicy i teraz trzeba go przepędzić precz z powrotem. A przez cały czas kobieta zerka z ukosa na mnie, bo wie, jak dobrze ją rozumiem.

A ja patrzę na nogi proroka. Nie ma na sobie butów. Paznokcie jego stóp wyglądają jak przypalone.

– Czyli przyprowadziłaś ją, żeby zażyła kąpieli mocy – odpowiada prorok po angielsku. – Jesteśmy na ziemi uzdrowienia, amen. Na ziemi cudów. Tutaj cuda dzieją się

dwadzieścia cztery godziny na dobę. – Kaszle. – Czy zabrała ze sobą ubranie na zmianę? Bo obecny strój musi porzucić. Przyszła odziana w smutek i bezpłodność, wróci w sukni bliźniąt. Amen.

– Tylko jedno dziecko – szeptam.

– Bliźniaki. – Mama doktora patrzy prosto na mnie. – Amen. Dwóch chłopaków.

– W bagażniku mam dżinsy i koszulkę – mówi pani Tia.

– Bardzo dobrze. – Mężczyzna kiwa głową na „tak". – Młoda kobieto, uklęknij tu, żebym mógł się za ciebie pomodlić.

Pani Tia zsuwa się z ławki na kolana. Klękamy też my, mama doktora i ja. Prorok wstaje i zaczyna chodzić wokół pani Tii. Okrąża ją i dzwoni dzwoneczkiem, szata rozkłada się wokół niego jak skrzydła orła. Drugie okrążenie, znów odzywa się dzwoneczek. Dzwoni bez przerwy przez całe dwie minuty. Wreszcie cichnie.

Wtedy prorok zaczyna podskakiwać, a przy tym klaszcze w dłonie.

– *Eli*... – pokrzykuje. – *Jah*... Dziecko...

Mama doktora kiwa głową na „tak, tak, tak" i woła:

– Chłopcy, mali chłopcy.

Pani Tia otwiera oko i robi taką minę, jakoby chciała się roześmiać. Ale zaraz znowu je zamyka.

Czekamy tak na kolanach i w końcu prorok przestaje skakać. Mówi, że już pora na kąpiel, co sprowadzi dzieci na świat.

ROZDZIAŁ 45

Fakt: W Nigerii można spotkać najbogatszych pastorów świata. Niektórzy duchowni w tym kraju dysponują majątkiem sięgającym 150 milionów dolarów.

Prorok idzie przed nami tym swoim śmiesznie podskakującym krokiem, prowadzi nas po dróżce wysypanej czerwonym piaskiem.

Po bokach stoją w glinianych donicach zielone, nastroszone kolcami rośliny, ich gałęzie są w kształcie połamanych palców. Na końcu ścieżki spotykamy kobietę. Ubrana jest tak samo jak prorok. Uśmiecha się do nas uśmiechem, co wygląda, jakoby był do góry nogami. Przypomina mi muchę: ciemną skórę na jej ramionach mocno porastają włoski. Szerokie oczy sięgają prawie boków głowy, a cienka fioletowa szata wygląda na niej jak skrzydełka. Nosi taką samą jak prorok czapkę, tylko ta jest jakaś napuchnięta. Wystaje spod niej czerwona peruka, co przypomina zwierzaka rozjechanego przez samochód.

– *Alafia*. – Klęka przed prorokiem.

– I pokój z tobą, matko jerozolimska. – On kładzie jej rękę na głowie, po czym odwraca się do nas. – To matka jerozolimska Tinu. Kieruje kobietami, które sprowadzają dzieci. Jest bardzo potężna. Możecie ją nazywać matką Tinu, nie obrazi się. Zabierze naszą siostrę nad rzekę. Mężczyznom nie wolno przy tym być, więc zostanę tutaj.

– Teraz? – Pani Tia wydaje taki dźwięk, jakoby coś ją ukłuło. – A nie możemy tego zrobić trochę później? Potrzebuję czasu. Chciałabym się jeszcze zastanowić. Zebrać myśli.

– Okrążyłeś ją siedem razy z dzwoneczkiem? – pyta proroka matka Tinu. – Bo jeśli tak, to musi wziąć kąpiel od razu. Nie ma powrotu. To nie potrwa długo – dodaje z uśmiechem.

– Czy Adunni może iść ze mną? – upewnia się pani Tia.

– Głupota – rzuca mama doktora. – Czysta głupota.

– Tak, Adunni, możesz pójść z nami – odpowiada matka Tinu. – Ale przez cały obrządek musisz mieć zamknięte oczy. Tu nie kino i nie pokazujemy filmów.

– Tak, *ma* – zgadzam się.

– Idźcie – ponagla prorok. – A po kąpieli znajdźcie mnie w kościele. Dostaniecie dla niej specjalne mleczko do ciała.

– To dostanę też mleczko? – prycha pani Tia. – A może jeszcze apartament w Ritzu-Carltonie i limuzynę, która odwiezie mnie do domu? Rozmawiałyśmy tylko o kąpieli.

– Potem sobie podyskutujesz. – Mama doktora zgrzyta zębami. – Teraz po prostu bądź posłuszna.

– Chodźcie za mną – nakazuje matka Tinu.

Ruszamy, skręcamy w lewo, na inną ścieżkę. Stąpam po mokrym czerwonym piachu. Zimne kamyki wpychają mi się do butów.

Po chwili widzimy brązową skałę, w której się otwiera okrągłe, ciasne wejście. W powietrzu niosą się głosy. Gdzieś

daleko śpiewają kobiety, zanoszą smutną, żałobną pieśń bez słów.

Pani Tia mocno łapie mnie za rękę, wbija mi paznokcie w skórę, prawie do krwi.

– Co, do diabła? – szepta mi na ucho.

– Nie, nie, tu nie ma diabła – odpowiadam cicho. – To święta ziemia. – Lubię panią Tię, ale czasami naprawdę dziwi się zupełnie bez sensu.

– Nasze kobiety noszą w sobie ducha. Właśnie się dla ciebie przygotowują – opowiada matka Tinu. – Za tą jaskinią płynie święta rzeka, nad którą weźmiesz kąpiel. Zabrałaś ubranie na zmianę?

– Tłumaczyłam już temu człowiekowi, że ciuchy zostały w samochodzie – cedzi pani Tia.

– Ale zapłaciłyście, prawda? – Matka Tinu spogląda na mamę doktora. – Bo tu panują ściśle określone zasady. Nie ma pieniędzy, nie ma kąpieli.

– Co? – dziwi się pani Tia. – To musimy jeszcze za to płacić?

– Wszystko już załatwione – odpowiada sucho mama doktora.

– Skoro tak, chodźmy – wzywa matka Tinu. – Adunni, po kąpieli pobiegniesz do samochodu i przyniesiesz rzeczy. Tędy – zwraca się do pani Tii. – Wchodząc, pochyl głowę. Pełno tam wystających kamieni, uważaj, żebyś się nie uderzyła. Przyszłaś tu po pomoc, nie po ból głowy – śmieje się do siebie.

Wchodzimy do jaskini zgięte jak starzy ludzie. Jest ciasno, więc idziemy jedna za drugą: matka Tinu z przodu, ja za nią, za mną pani Tia, na końcu jej teściowa. Jest ciemno, sufit wisi nisko i wszędzie sterczą kamienie. Uderzam w coś czołem, więc kulę się jeszcze bardziej, aż idę prawie na czworakach. Wreszcie wychodzimy po drugiej stronie. Przed nami płynie rzeka. Tuż przy niej rosną drzewa. Gałęzie chylą się nisko, jakoby modliły się do błotnistego brzegu. Ciemnozielona woda oblizuje szare kamienie i złotobrązowe liście, co kołyszą się między nimi. Widok cofa mnie do dawnej, dawnej chwili, kiedy patrzyłam na niebo, a szare chmury połknęły pomarańczowe słońce i zaczęło padać. Wracam do chwili, kiedy Khadija wojowała z Bogiem o swoją duszę. Tutaj też jest ciemno, ale tym razem nie zbiera się na deszcz, to tylko liście zasłaniają mi niebo.

Na brzegu rzeki klęczą cztery kobiety. Mają na sobie białe szaty, głowy obwiązały białymi chustami, a na szyjach wiszą im sznury muszelek. Kołyszą się na kolanach, jakoby poruszał nimi wiatr, a falujące gałęzie szeptały im do uszu smutną cichą piosenkę.

– Uuu – zawodzą raz za razem. – Uuu.

– Nie podoba mi się to. – Pani Tia jeszcze mocniej chwyta moją dłoń. – Bardzo mi się nie podoba.

– Mnie też – mówię.

– Możemy to jakoś odwlec? – Szczypie mi skórę.

– Cisza! – krzyczy matka Tinu tak głośno, że pani Tia aż podskakuje. – Przy tych świętych kobietach nie wolno mamrotać. Ani kroku dalej. Przyniosę święte płótno i święte miotły.

– Miotły? – niemal piszczy pani Tia, kiedy matka Tinu odchodzi. – Po co?

W Ikati nikt nie mył się miotłą. Wiem, że ludzie myją się gąbką i czarnym mydłem. Ale nie miotłą i nie w kościele. Dziwnie się czuję.

– Nie wiem – odpowiadam. – Może najpierw trzeba pozamiatać?

– Adunni, słyszałaś przecież! – warczy mama doktora. – Zamknij dziób!

Wraca do nas matka Tinu. Niesie ze sobą złożony biały materiał i kilka długich mioteł. Kiedy podchodzi, przeliczam je – cztery. Cienkie kije i przewiązane czerwonym sznurkiem pęki patyczków. Takimi miotłami zamiataliśmy w Ikati podłogi. Po co im tutaj?

– Proszę. – Matka Tinu podaje materiał pani Tii. – Rozbierz się i zostaw ubranie na ziemi. Okryj się tym płótnem, a mniejszą chustę załóż na głowę.

Pani Tia powoli zdejmuje dżinsy, koszulkę. Zostaje w różowym staniku i koronkowych majtkach. Gładki brzuch ma płaski jak ziemia. Po lewej stronie pępka widać jakiś znak, ciemniejszy niż reszta skóry – taka mała, odwrócona do góry nogami mapa Afryki. Przyciska sobie białą płachtę do piersi, nic nie mówi. Ani słowa. Jej wargi drżą i drżą, jakoby chciała wybuchnąć gniewnymi słowami, ale coś ją powstrzymywało.

– No dalej, Tia – rzuca mama doktora. – Nie ma czasu. Obwiąż się tym i ściągaj bieliznę. Trzeba zdjąć wszystko. Mam rację, matko Tinu?

– Tak, wszystko, w czym przyszła. Prędzej, proszę.

– Dajcie jej czas – mówię ostro.

– Zamknij ten brudny pysk – cedzi mama doktora.

Pani Tia okręca się płótnem, ciało i głowę. Zaraz potem zrzuca majtki i stanik, lądują obok siebie na piasku.

– Dobrze. Teraz proszę, żebyście się we dwie cofnęły – zwraca się do nas matka Tinu.

Robimy dwa kroki w tył. Stajemy daleko od siebie, jak wrogowie na polu bitwy.

Matka Tinu prowadzi panią Tię nad samą wodę.

Kobiety przestają zawodzić, podnoszą się i odbierają od matki Tinu miotły. Robią to równocześnie, jakoby ćwiczyły każdy ruch tygodniami.

Jedna z nich ściąga z pani Tii płótno i nagą zaczyna chłostać miotłą. W pierwszej chwili pani Tia stoi w szoku. Otwiera usta, jej wargi układają się w małe O. Kiedy dociera do niej, że to chłosta, że zamiast wody i mydła dostaje baty, zaczyna walczyć. Kopie i krzyczy, że „co do diabła i kury nędzy". Ale pozostałe trzy kobiety łapią jej ręce i nogi, zatykają usta. Na ich twarzach nie ma uczucia. Nie krzywią się, nie uśmiechają. Nic. Siłą zaciągają panią Tię na mokre błoto nad rzeką. Jedna wykręca jej ręce na plecy i związuje grubym brązowym sznurem. Dopiero teraz go zauważyłam. Inna wiąże nogi. Zaplata mocny, ciasny węzeł.

Potem cofają się kawałek i znów zaczynają chłostać.

Chcę tam skoczyć, walczyć z nimi na śmierć i życie, oderwać je od pani Tii, ale coś przykleiło mi nogi do ziemi, coś zlepiło ramiona z bokami, nie mogę się ruszyć.

Więc patrzę, a one ją okładają, raz za razem. Pani Tia turla się po piasku i wrzeszczy. Gładka skóra pokrywa się śladami, całe ciało robi się czerwone jak ziemia.

ROZDZIAŁ 46

Kiedy kobiety kończą chłostę, pani Tia już nie krzyczy, nie wrzeszczy.

Leży na ziemi i krwawi, plecy ma poznaczone. Całe. Matka Tinu odbiera od kobiet miotły. Ciska je do rzeki, podnosi głowę i woła:

– Zło bezdzietności zostało przegnane. Chwała niech będzie Żyjącemu!

– *Eli, Jah*! – odpowiadają wszystkie cztery kobiety i klaszczą.

Podnoszą panią Tię na nogi, nabierają wody z rzeki i polewają jej ciało bardzo, bardzo łagodnie, jakoby chciały powiedzieć: „Przepraszamy, przepraszamy, że cię wychłostałyśmy".

Kiedy pani Tia się odwraca i widzę jej twarz, nogi robią mi się jak z gumy. Jakoby coś zabrało mi nagle wszystkie kości. Upadam i duszę w sobie krzyk. Na twarzy ma tyle śladów, że wygląda jak jeden z rysunków z jej salonu, ten z glinianą głową, co nie ma oczu i ust. Tylko że to jest pani Tia. A ona ma oczy, usta i uszy i bardzo, bardzo ją boli. A patrzy jak dzikie zwierzę, jak myśliwy, co chce zabijać.

Wrze we mnie płacz, chcę go uwolnić, ale wtedy czuję na ramieniu ciepłą dłoń: mama doktora.

– Nie wiedziałam – szepta. W oczach ma łzy, głos jej się łamie, drży tak samo jak drżą palce na moim ramieniu. – Nie miałam pojęcia, że jej to zrobią. Że to takie brutalne.

Powiedzieli, że ją po prostu wykąpią. Że to zwykła, nieszkodliwa kąpiel. Gdybym wiedziała, w życiu bym... Powinnam je powstrzymać. Mój syn... – Wzdycha i odrywa ode mnie rękę. – Idź do samochodu, przynieś jej ubranie.

Odchodzę. Żołądek podchodzi mi do gardła. Fasola, co ją zjadłam wieczorem, chce uciec przez buzię. Zatrzymuję się na chwilę przy niskim krzaku i uginam kolana. Kaszlę, uciskam brzuch, ale nic nie wychodzi. Ocieram usta sukienką i zmuszam się, coby pójść dalej.

Przez otwarte okno kościoła widzę kobietę. Klęczy z czerwoną świecą w ręku, kiwa głową na „tak".

– Amen! – woła.

A prorok podskakuje, kręci się w miejscu.

– *Eli*...! – krzyczy. – *Eli*...!

Na twarzy Jezusa na obrazie nie ma już gniewu.

Widać zmęczenie. I smutek.

ROZDZIAŁ 47

Do domu jedziemy jak trupy.

Wszyscy milczą. Nikt się nie rusza. Samochód wydaje się za mały, ciasny jak trumna. Zimne powietrze z klimatyzacji jest takie suche, że moje wargi robią się podobne do rybich łusek. Ale oddychamy. Ciężko i szybko. Powoli i głęboko. A te nasze oddechy mówią wiele różnych rzeczy. Po prostu nie rozmawiamy słowami. Ani jednym słowem.

Słowa mam za to w głowie. Chcę powiedzieć tak dużo. Chcę powiedzieć pani Tii, że przepraszam. Chcę zapytać, dlaczego nie przyjechał z nią doktor. Dlaczego on nie dał się wychłostać jak jego żona? Przecież zawsze dwoje ludzi robi dziecko, to dlaczego tylko kobieta cierpi, kiedy ono nie przychodzi? Czy dlatego, że ma piersi i brzuch do ciąży? Czy dlaczego? Chcę wykrzyczeć na całe gardło: dlaczego kobiety w Nigerii cierpią zawsze bardziej od mężczyzn?

Ale moje usta nie powtarzają pytań, co rodzi je głowa, więc wszystkie zostają w środku. Wiszą, wirują, aż ból dudni mi pod czaszką.

Mama doktora próbuje zacząć rozmowę.

– Przysięgam, nie miałam pojęcia, co się stanie. Na pewno nie spodziewałam się czegoś takiego – zwraca się do synowej. – Chciałam je powstrzymać, ale co mogłam zrobić przeciwko tylu kobietom? Myślałam też o twoim cudzie, o dziecku... Czy możemy to jakoś...? Czy to może zostać między nami? Kenowi opowiemy coś innego, coś wymyślimy, ale on nie może się

dowiedzieć, że pozwoliłam na tak straszną rzecz. Tio, pomyśl, co się wydarzy za dziewięć miesięcy.

A ona patrzy w okno. Nie odpowiada teściowej. Nie mówi nic do nikogo. Siedzi po prostu i oddycha. Szybko, głęboko. Palce zaciska na kolanach tak mocno, że prawie pęka jej skóra.

Jedziemy przez jakieś piętnaście minut, potem zwalniamy w korku. Sprzedawca lodów pokazuje nam towar, cały lodowy blok – i przyciska nos do szyby.

– Kupcie lody! – Przez okno jego głos brzmi tak, jakoby trzymał w ustach kawałek szmaty.

Wtem jednak zauważa twarz pani Tii, widzi sine ślady i sztywnieje. Patrzy długą, długą chwilę, ze strachem i troską, aż wreszcie kierowca naciska klakson i sprzedawca odskakuje.

Kiedy wchodzę do domu, w środku jest cicho.

Samochodu Wielkiej Madam nie ma. Dokąd pojechała? Już późno, chyba ósma, a o tej godzinie zawsze siedzi w salonie. Je pomarańcze, ogląda tiwi Sky albo CNN News Channel i przeklina całą Nigerię. Idę szybkim krokiem, deptam suchą trawę i staję przy kuchennym oknie. W środku widzę uniesione pośladki Kofiego, bo do połowy wsunął się do piekarnika. Pukam w szkło; podnosi głowę, kiwa na mnie.

Wchodzę, mówię „dobry wieczór". Cała kuchnia pachnie słodkimi ciastami. Od tego zapachu robi mi się niedobrze, mam ochotę wczołgać się gdzieś i zwymiotować, wyrzucić z siebie pusty żołądek.

– Gdzie byłaś? – Kofi wyciera ręce o fartuch.

– Z panią Tią – mówię. – Pytała o mnie Wielka Madam?

– Nie ma jej – odpowiada. – Kemi, jej siostra, miała wypadek. Madam ze sklepu pojechała prosto do szpitala. Nie wiem, kiedy wróci. Wielki Tata ogląda w salonie wiadomości. Bezużyteczny mężczyzna. Jego szwagierka trafiła do szpitala, a on prosi, żebym upiekł mu ciasteczka do wieczornej kawy. – Kofi zaciera ręce. – Och, ale koniecznie muszę ci pokazać najnowsze zdjęcia swojego domu z Kumasi. Dach już niemal gotowy. A kafelki na podłogę musiałem sprowadzić aż z... *Chale*, co to za mina? Co się stało? Nie przyjęli cię do tej szkoły? Odezwali się?

– Nie. Nie odezwali – rzucam. – Jest dla mnie jakaś praca?

Czuję się bardzo zmęczona, ale chcę prać, sprzątać i szorować, żeby wymyć z głowy całe to popołudnie. I zalać wybielaczem. Coby mój umysł zrobił się biały, pusty.

– Na górze leży trochę ubrań do prasowania, ale coś źle mi wyglądasz. Idź, połóż się. Jak kto zapyta, coś wymyślę.

– Dziękuję. – Odwracam się.

– Adunni – woła za mną.

Przystaję, patrzę na niego.

– Głodna? – pyta. – Dam ci kilka ciastek, co? Lubisz takie, prawda?

– Nie, dziękuję – mamrotam. – Dobranoc.

Ogląda mnie długo, długo. Wzdycha.

– Zobaczysz, pewnego dnia wszystko nabierze sensu – mówi. – Pewnego dnia będzie lepiej.

– Wiem – mówię cichutkim, zmęczonym głosem. – Jutro będzie lepsze niż dziś.

– Abu cię szukał – przypomina sobie Kofi. – Przysłać go do twojego pokoju?

– Nie dzisiaj. – Chcę usłyszeć, co Abu powie o Rebecce, ale nie tego wieczora. Teraz pragnę tylko wleźć na łóżko, zamknąć oczy i już nie myśleć o nikim i niczym.

– Jasne – rzuca Kofi. – Idź, wyśpij się.

ROZDZIAŁ 48

Sen nie chce przyjść.

Szukam snu, błagam, coby mnie odwiedził, ale nie przychodzi. Pod powiekami mam mokry piasek, jakobym wcisnęła sobie tam kamienie, i kiedy chcę zamknąć oczy, te kamienie drapią, przez co nie zamykam powiek do końca. Boli mnie też w piersi; boli mnie wszystko, co dzisiaj widziałam. Boli, bo tęsknię za mamą. Tak bardzo chcę ją zobaczyć, tylko na minutę. Chcę jej opowiedzieć o pani Tii, o tym, co się dziś stało, o okropieństwach, co te kobiety wyprawiają w kościele, o rzeczach, co smucą Boga, mnie i panią Tię.

W moje myśli wcina się jakiś dźwięk, gdzieś na drzewie pohukuje sowa. Siadam, wstaję i wyglądam przez szparę w oknie. Okrągły księżyc rzuca na ziemię jasne światło. Trawniki wyglądają tak, jakoby rosły na nich maleńkie niebieskozielone żarówki. Patrzę na metalowy płot wokół domu Wielkiej Madam, wysoki i bez końca. Zastanawiam się, czy kiedyś stąd odejdę, czy kiedyś naprawdę będzie mi lepiej.

Wracam do łóżka, ale nie śpię. Myślę o swoim życiu, o pani Tii, Wielkiej Madam i jej chorej siostrze, o Wielkim Tacie, że nie obchodzi go nawet własna żona, o bogaczach i o tym, że pieniądze wcale nie pomagają im uciec przed problemami. Wreszcie noc się kończy i niebo jaśnieje światłem poranka.

O świcie myję się, zakładam uniform, idę do kuchni.

– Dzień dobry, Adunni – rzuca Kofi i rozbija jajko o ściankę szklanej miski. – Lepiej się dziś czujesz?

– Czy Wielka Madam już wróciła? – pytam.

Kiwa głową na „nie", ziewa.

– Ciągle siedzi w szpitalu, u siostry. A ja właśnie robię śniadanie temu żarłokowi. – Zaczyna trzepać jajka widelcem. – Przez te jego ciastka położyłem się dopiero o północy, a o czwartej rano przysłał mi esemesa, żebym usmażył mu jajecznicę. Po co ci Wielka Madam? Wiesz chyba, co robić? Łap miotłę i...

– Wychodzę. – Ruszam do drzwi. – Jak Wielka Madam wróci i o mnie zapyta, powiedz, że... powiedz, co chcesz.

– Adunni. – Pani Tia wita mnie przy swojej bramie. – Jest bardzo wcześnie. Wejdź.

Nie wygląda dobrze. Włosy schowała, wcisnęła pod czarną chustę. Ma czerwone, spuchnięte oczy i twarz, co wygląda, jakoby nie wychłostali jej miotłami, tylko upiekli w żywym ogniu. Ślady zrobiły się czarne i brązowe, ale to przez te jej oczy zaczynam drżeć; są czerwone i złe.

– Płakałaś? – Chcę dotknąć jej twarzy.

Cofa się, łapie za pasek szlafroka i zawiązuje go sobie na brzuchu.

– Dzięki za wczoraj – cedzi. – Przepraszam, że cię tam zabrałam. To musiało być dla ciebie straszne... – Przykłada sobie palce do oczu, stoi tak chwilę.

– Przepraszam, że cię nie uratowałam. Chciałam, ale ręce i nogi mnie nie słuchały.

– I tak nic nie mogłabyś zrobić. – Uśmiecha się smutno i lekko szczypie mój lewy policzek. – Nie twoja wina, okej?

– Okej – odpowiadam. – Mama doktora mówiła, że nie wiedziała, że te kobiety cię wychłoszczą. To chyba nie jest bardzo zła kobieta.

Pani Tia kiwa głową, powoli, powoli.

– Nieważne – rzuca. Odwraca się i rusza w stronę domu. Idę za nią aż do tylnych drzwi kuchni. Ona nie wchodzi, więc staję w miejscu. Tak rano trawa wygląda jak dywan z pokruszonego lodu. – Nie włożyłaś butów – zauważa. – Zimno jest.

– Twoja twarz... Boli?

– Nic mi nie będzie – mamrocze.

– Musisz codziennie wcierać w te ślady olej palmowy. Wtedy szybko zejdą, a skóra znowu będzie jak u dziecka.

Pani Tia obejmuje mnie, przytula. Tak szybko i mocno, że wpadam w szok.

– Dziękuję – mówi. – Odważna z ciebie dziewczyna.

– Co powiedział doktor? – pytam szeptem. – Co powiedział, kiedy zobaczył twoją twarz?

Podnosi ręce i kładzie je na policzkach. Pociera w górę i w dół, jakoby po to, coby zetrzeć plamę pamięci.

– Pokłócił się z matką. Wybuchła wielka awantura. Oskarżył ją, że mnie skrzywdziła. Tłumaczyła mu, że chciała tylko pomóc. Na co on: że nie może pomóc, i poprosił, żeby wyszła. A potem powiedział mi, że ta kąpiel nic nie da i że... – Nabiera powietrza, jej pierś unosi się wysoko. I wtedy zaczyna mówić naprawdę szybko, a jej słowa potykają się o siebie, przez co trochę przestaję rozumieć. – On nie może mieć dzieci – słyszę. – Jego matka nie wiedziała. Trzymał to

przed wszystkimi w tajemnicy. Ken jest bezpłodny, nie może... Właśnie dlatego odeszła jego pierwsza żona Molara... Chyba też dlatego zaczął pomagać innym rodzinom. Rozumie, przez co przechodzą. Powiedział, że kiedyś rozmawialiśmy o wspólnych planach bez dzieci, więc uznał, że nie musi mi tłumaczyć... Kurde. Kurde! – Pani Tia kopie zamknięte drzwi, które wpadają do środka i walą o ścianę. – Kurde! – rzuca znowu i zaczyna płakać.

– Nie powiedział ci, zanim za niego wyszłaś? – pytam, kiedy płacze już słabiej i znowu przyciska palce do oczu.

– Nawet słowem nie wspomniał. – Jej głos brzmi tak, jakoby miała w gardle mikser z kupą piasku. – Gdybym wiedziała, mogliśmy poszukać jakichś innych możliwości. Już dawno. Najpierw milczał, bo stwierdził, że nie muszę o tym wiedzieć, a potem, kiedy pojawił się temat dziecka, przestraszył się, że go zostawię. Szczerze mówiąc, nie wiem, co o tym myśleć. A jakby mój dzień nie był wystarczająco do dupy, to o północy zadzwonili ze szpitala. Mojej mamie odnowiła się infekcja. Wyjeżdżam na kilka dni. Jutro z samego rana. – Wzdycha. – Może to i dobrze. Będę mogła wszystko przetrawić.

– Jutro będzie lepsze niż dziś. – Uśmiecham się lekko. – Czy tak?

Wybucha suchym śmiechem, jakoby kaszlała.

– Żałuję, że nie mogę nasłać na te kobiety policji – mówi. – To barbarzyństwo musi się skończyć. Rzygać się chce.

– Bardzo rzygać – rzucam.

Pani Tia śmieje się jeszcze raz, wciska rękę do kieszeni i wyjmuje chusteczkę. Wyciera nos mocno, jakoby zamierzała

go sobie oderwać, a potem gniecie chusteczkę i wrzuca ją do białego kosza na śmieci.

– Zaraz po powrocie spróbuję podjechać do biura Ocean Oil. Sprawdzę, czy już są wyniki. Może wywiesili listę.

Słowa, co wylatują z ust pani Tii, zawisają mi nad głową jak chmura, a potem opadają, nakrywają moją duszę i unoszą ją gdzieś daleko, do krainy marzeń.

– A jak się dostanę? – pytam cicho. – Jak ja...? Co powiem Wielkiej Madam?

– Wtedy sama z nią porozmawiam. – Pani Tia patrzy gdzieś za mnie. – Poinformuję ją, że dostałaś stypendium i że musisz odejść.

– A jak...? – Boję się to powiedzieć, mimo to próbuję. – A jak się nie dostanę?

– Adunni?

– Tak, pani Tio?

– Wczoraj poczułam cię naprawdę. – Bierze mnie za rękę.

– Mnie poczułaś? – dziwię się. – Jak pachnę?

– Przeczytałam twoje wypracowanie, Adunni. Tak dużo przeszłaś, tak cholernie dużo, a przecież zawsze jesteś uśmiechnięta. Do diabła, zawsze masz uśmiech na twarzy. Kiedy chłostały mnie te baby w kościele, poczułam ułamek... – Wypuszcza moją dłoń, uspokaja się głębokim oddechem i znów ją chwyta. – Poczułam ułamek tego, co ty musiałaś znosić całymi miesiącami. Poczułam cię naprawdę, Adunni, i muszę przyznać, że jesteś najodważniejszą dziewczyną na świecie. A wszystko, co mnie spotkało, to przy tym naprawdę nic. Po prostu nic. – Milknie. Moje gardło staje się kamieniem.

Kamieniem pełnym wody. Wody i czegoś jeszcze, ale nie potrafię nazwać czego. – Nie mówmy teraz o moim małżeństwie i tych pieprzonych problemach. Wrócę za jakiś tydzień, a wtedy sprawdzę, czy się dostałaś. Jeśli tak, załatwię formalności. A potem wybierzemy się na zakupy i kupimy wszystko, czego potrzebujesz, żeby wygodnie żyć. A kiedy już zaczniesz się uczyć, będę cię odwiedzać przy każdej okazji. Będę cię wspierać, jak tylko potrafię. Wiem, że czeka mnie przeprawa z twoją madam, ale zamierzam walczyć. W razie potrzeby doprowadzę do tego, że ją aresztują. To dla ciebie szansa. Ciężko na nią pracowałaś. Nic nie może ci jej odebrać. A co do twojego pytania, to jeśli – mocno ściska moje palce – jeśli, Boże uchowaj, nie dostaniesz tego stypendium, wymyślę coś innego. Nie możesz dłużej pracować u Florence. Wykluczone. Potrzebuję czasu, żeby coś wykombinować, najpierw jednak cierpliwie poczekajmy i zobaczymy, co się wydarzy, okej?

Kiwam głową na „tak". Myślę, coby powiedzieć „dziękuję", ale z oczu płyną mi łzy. Chcę je złapać rękami, tylko że ona trzyma mnie bardzo mocno. Łzy ciekną mi po policzkach, po szyi, spływają pod sukienkę.

ROZDZIAŁ 49

Fakt: Pomimo istnienia utworzonej w 2003 roku Krajowej Agencji do Walki z Handlem Ludźmi, powołanej do zwalczania tego procederu i innych powiązanych z nim przestępstw, opublikowany w 2006 roku raport UNICEF-u podaje, że na terenie Nigerii pracuje około 15 milionów dzieci poniżej czternastego roku życia. Poszkodowanymi są głównie dziewczęta.

Kiedy wracam do domu Wielkiej Madam, Kofi drzemie w ogrodzie.

Leży na ławce, białą czapkę kucharza zsunął na oczy, coby zasłaniała poranne słońce. Ręce ma ułożone na piersi, zupełnie jak trup w kostnicy.

– Kofi? – Klaszczę. – Śpisz?

– Nie, pływam sobie – odpowiada. – Kąpię się w oceanie. – Odkłada czapkę na ławkę i siada. – Abu ciągle o ciebie pyta. Strasznie się niecierpliwi. Mówi, że koniecznie musi z tobą porozmawiać. O co tu chodzi? I gdzie w ogóle byłaś?

– Powiedz Abu, coby przyszedł potem do mojego pokoju – odpowiadam. – Byłam u pani Tii. Martwiłam się o nią. Ale już jest dobrze. Chyba.

– Dlaczego się o nią martwiłaś? – Wlepia we mnie oczy. Wzruszam ramionami, kiwam głową na „nie". Chcę mu powiedzieć, ale nie mogę, bo to poważna sprawa pani Tii. – A gdyby wróciła Wielka Madam? – rzuca. – Patrz, jak tu

wszędzie brudno! *Chale*, jeśli przez tę kobietę Wielka Madam wyrzuci cię, zanim znajdziesz sobie inne miejsce, to przysięgam, nie dam ci na drogę nic poza chusteczkami na otarcie łez.

– Co z jej siostrą? – pytam. – Bardzo źle?

– Leży na chirurgii. Wielka Madam zadzwoniła parę minut temu. Mam ugotować potrawkę rybną i przekazać jej przez tego idiotę, jej męża. Myślę, że madam nie wróci jeszcze przez kilka dni. Z czego się tak cieszysz?

Śmieję się, choć wcale nic mnie nie łaskocze. Mrowi mnie w stopach, chce mi się tańczyć, więc podskakuję i zaczynam śpiewać piosenkę, co gra mi w głowie, odkąd wyszłam od pani Tii:

Eni lojo ayo mi To dzień mej radości

Lojo ayo mi Dzień mej radości.

Kofi patrzy na mnie z uśmiechem, a ja kręcę się i kręcę, skaczę, wymachuję miotłą.

– Co znowu? Może mister Kola nareszcie przywiózł ci pensję? – pyta, kiedy wreszcie staję. – Albo, czekaj, niech zgadnę. Odezwali się ci od stypendium? Wyniki miały być w tym tygodniu albo następnym, prawda? Dlatego tak się cieszysz?

– Nie, o stypendium nic jeszcze nie wiem. – Mocniej ściskam miotłę i zaczynam zamiatać zeschłe liście. – A głupiego mister Koli nie widziałam, od kiedy zostawił mnie w tym domu. Mister Kola jest handlarzem niewolników. On i Wielka Madam handlują niewolnikami, takimi jak my. Tylko że ja nie chodzę w łańcuchach. Jestem niewolnicą bez łańcucha.

– Widzę, że ta nauka do stypendium wiele ci dała. – Kofi naciąga czapkę na głowę. – Oświeć mnie. Powiedz, co wiesz o handlu niewolnikami.

– Ustawa o zniesieniu niewolnictwa została podpisana w tysiąc osiemset trzydziestym trzecim roku – komunikuję i szuram miotłą wokół niego. – Dawni królowie Nigerii nadal sprzedawali ludzi w niewolę w łańcuchach, do pracy. Dzisiaj nikt nie zakłada niewolnikom łańcuchów i nie wysyła za granicę, ale ten handel trwa. Ludzie nadal łamią ustawę. Chcę zrobić coś, coby to zatrzymać. Coby jedni ludzie byli lepsi dla innych, coby przestali zniewalać umysły, nie tylko ciała.

– *Chale*, przysięgam, jeśli ci się uda, to gratuluję. – Kofi uśmiecha się kącikiem ust. – Kto wie, może pewnego dnia ktoś o tobie opowie. I zostaniesz częścią historii.

Przestaję zamiatać, prostuję się i patrzę mu głęboko w oczy.

– Historii? Tak, ale nie tej ich historii. Nie historii mężczyzn i królów. Tylko swojej. Własnej. Historii Adunni.

ROZDZIAŁ 50

Jest północ.

Deszcz wali o dach jak karabinowe kule. Powietrze pachnie pyłem z ziemi, nadzieją na moją niepodległość. Leżę w łóżku i rozmawiam z mamą. Opowiadam jej o pani Tii. Mówię, że doktor ukrywał przed żoną wiele rzeczy, że niedługo przyjdą wyniki mojego stypendium. Nagle ktoś puka do drzwi.

Ko, ko, ko.

Trzy razy. Abu.

Podnoszę się, podbiegam do drzwi, odsuwam szafkę, co ustawiłam przed nimi, i otwieram zamek.

– Abu. Przepraszam, że nie mogłam wczoraj, kiedy mnie szukałeś.

– *Sannu.* – Pozdrawia mnie szybkim skinieniem.

Ale nie wchodzi do środka, a ja go nie zapraszam. Stoi na ciemnym korytarzu, zerka w jedną stronę, w drugą. Wciska rękę do kieszeni i wyjmuje zwinięty papier. Cień strachu przesłania mu twarz, dżalabiję ma mokrą od deszczu, cała klei się do piersi.

– Żeby ci to dać, Adunni, zostawiłem Wielką Madam w szpitalu. Trzymaj, ale nie możesz nikomu zdradzić, że to ode mnie. Nie dostałaś tego ode mnie, pamiętaj. *Walahi*, jak ktokolwiek zapyta, a mnie wskażesz, że ci dałem, zaprzeczę. Oskarżę cię, że kłamiesz.

– Co to takiego?

– Znalazłem w samochodzie. Jakiś tydzień po zaginięciu Rebeki. W mercedesie benz 350, tym co jeździ Wielki Tata – mówi. – Mam to już za długo i ten ciężar strasznie mnie gniecie, nie mogę nawet spokojnie zmawiać modlitwy. *Dan Allah*, Adunni, błagam cię, zabierz to ode mnie! Weź! – Wciska mi papier do ręki tak mocno, jakoby bał się złej klątwy i nie chciał go trzymać sam. Zamyka na nim moje palce. – Adunni, posłuchaj, bo więcej o tym rozmawiać nie będę. Widzisz. W dzień po zaginięciu Rebeki zabrałem się do mycia mercedesa. Wielki Tata mi kazał. Z zewnątrz umyłem jak zwykle, ale w środku... – Nabiera powietrza. – Przednie siedzenie było całe mokre. Jakoby ktoś polał je wodą. Pobiegłem więc do Wielkiego Taty zapytać, kto tak zmoczył fotel. Powiedział, że nie wie. Zapytałem Wielką Madam, a ona: że może to Glory, taka dziewczyna z jej sklepu, że pewnie coś rozlała. Dopiero po tygodniu, kiedy Rebeki już nie było, znalazłem to i przeczytałem, wtedy zrozumiałem, dlaczego siedzenie było mokre. Trzymam ten list od tamtej pory i od wtedy dźwigam jego ciężar.

– Dlaczego mi opowiadasz o jakimś mokrym siedzeniu? – pytam niepewna.

– Ten list – Abu kręci głową, jakoby bolało go wspominanie, jakoby nie usłyszał mojego pytania – był wciśnięty w klamrę przy pasie. Zauważyłem go tylko dlatego, że próbowałem zapiąć pas i wyszorować, a klamra nie działała. Otwórz, przeczytaj, a stanie się dla ciebie jasne wszystko, co mówię. Teraz wracam do Wielkiej Madam, do szpitala. *Sai gobe*. Dobranoc.

Zanim mogę powiedzieć jedno słowo, Abu kłania się, odwraca i znika w ciemności.

Rozkładam papier drżącymi rękami. Krótki list bez zakończenia. Literki są małe, ładnie napisane czarnym długopisem. Każda ma taką samą wysokość i szerokość na rozmiar, stoją równo od siebie, ale dalej, pod koniec, słowa robią się krzywe, jakoby ta osoba bardzo się spieszyła. O, a co to za plama?

Podnoszę papier do światła. Krawędź wygląda jak poszarpana w walce, jak zęby szczerbatego wariata, jak ostrze noża, co Kofi kroi nim chleb. Na samym brzegu jest odcisk palca zamoczonego we krwi. Oglądam go dobrze, wokół widać czerwonobrązową plamę zaschniętej krwi. Moje serce wspina się po drabinie strachu i myślę, że osoba, co to pisała, musiała krwawić.

Cały pokój zaczyna się kręcić, próbuję uspokoić skaczące serce. Siadam i czytam:

Mam na imię Rebecca. Jestem pokojówką Wodza i Florence Adeoti, których nazywamy Wielką Madam i Wielkim Tatą. Jestem w ciąży dla Wielkiego Taty. Wielki Tata na początku mnie zmuszał, żebym z nim spała, a potem obiecał, że jak będę z nim spać cały czas, to się ze mną ożeni. Czasami, jak Wielka Madam jest w domu, Wielki Tata wrzuca jej do soku na noc lekarstwo na sen, żeby spała, kiedy on przyjdzie do mnie do pokoju.

Jak odkryłam, że jestem w ciąży, Wielki Tata był bardzo szczęśliwy. Powiedział, że weźmiemy ślub i że z Wielką Madam będziemy jego dwiema żonami i razem zamieszkamy w tym domu. Odkąd to powiedział, czuję się bardzo szczęśliwa.

Dziś rano powiedział, że pojedziemy do szpitala, do doktora, ale chcę napisać ten list, bo jak zjadłam jedzenie, które kupił mi Wielki Tata, zaczął mnie boleć brzuch i boję się, że Wielka Madam będzie zła za...

Za co, Rebecco? Dlaczego nie dokończyłaś listu? Co się stało, że przestałaś pisać i schowałaś papier w klamrze przy siedzeniu?

Składam tą kartkę i składam, aż w końcu nie mogę składać dalej. Zmieniła się w mały prostokąt, twardy jak kula z karabinu. Całe ciało mi drży. To Wielki Tata jest chłopakiem, co mówili o nim Kofi i Chisom. Ale dlaczego Rebecca zdjęła korale? Dlaczego na liście jest krew? Czy on tą dziewczynę zabił? A może gdzieś ją ukrył?

Ściskam list w palcach; czuję w sercu coś gorzkiego i twardego jak kamień. Wchodzę do łóżka. Leżę bez snu prawie godzinę. Myślę o Rebecce. Tak bardzo się boję o to, co ją spotkało, że kiedy ktoś naciska klamkę, nie słyszę tego od razu.

Hałas się powtarza, siadam prosto. Najpierw myślę, że to deszcz, że poruszył jakąś gałęzią na zewnątrz, ale kiedy szafka skrzypi i zaczyna się odsuwać, zamieniam się w słuch.

– Abu?

Wstaję z łóżka. Po jego wyjściu nie zamknęłam drzwi na klucz, tylko zablokowałam szafką. Czy to Abu wrócił ze szpitala od Wielkiej Madam? Może chce mi opowiedzieć więcej o Rebecce?

– Abu? – Nie odpowiada, a drzwi mojego pokoju ciągle się otwierają, cały czas pchają szafkę do środka; słychać, jak

drapie podłogę. – Kto? – szepczę. Stoję przy łóżku, boję się ruszyć. – Kto tam jest? Kto tam?

Wielki Tata. Wiem, że to on. Czuję jego picie aż stąd, czuję w pokoju jego zło.

Chcę podejść do drzwi, pchnąć je i zamknąć, ale przecież mam mniej siły niż on. Pochylam się więc, włażę pod łóżko i zamykam oczy.

Kiedy wchodzi, leżę nieruchomo jak kawał drewna, jak trup. Zbliża się, słyszę szuranie jego nóg na podłodze, szelest ubrania. Moja ręka znajduje coś jak kulkę materiału. Chwytam się jej mocno, ściskam w palcach, jakoby ta kulka mogła mnie uratować przed Wielkim Tatą.

– Adunni? – bełkocze leniwym od picia szeptem.

Staje blisko materaca, stopy ma prawie przy moich ustach. Jego paluch jest strasznie brzydki, wygląda jak krzywa strzała; długi, czarny paznokieć zagina się w stronę podłogi. Myślę, coby odgryźć mu ten paluch, ukąsić do krwi.

– Wiem, że tu jesteś – syczy cicho.

Łóżko jęczy i skrzypi, materac gniecie mi twarz, sprężyny ze środka naciskają mi na głowę, na ramiona, na pierś, jakoby chciały wywiercić dziury w kościach i ciele. Ciężar na łóżku miażdży, przyciska moją pierś niżej i niżej, aż zaczynam płakać. Cichutko, tak tylko w sobie, ale on to i tak słyszy.

– Aha! – Patrzy na mnie. Na jego twarzy wszędzie są oczy: złe, nikczemne. – Aha! – wykrztusza znowu.

Łapie mnie za nogi i wyciąga po kurzu spod łóżka. Rzuca się na mnie. Cały strasznie śmierdzi, chyba trzyletnim potem.

Walcz.

Kto to mówi? Pani Tia czy mama?

Walcz, Adunni. Krzycz.

Krzyczę rozdzierająco. Krzyczę, aż w końcu nie słyszę sama siebie, aż mój krzyk zlewa się z szumem deszczu i wraca jak grzmot. Wielki Tata próbuje zamknąć mi usta ręką, ale kopię go kolanem w brzuch. Wydaje dziwny syk i jęk. Dostaję w twarz; przez chwilę jestem oszołomiona.

– Zachowuj się – dyszy. – Zachowuj!

Dwie ręce przyciskają mnie do podłogi, chwytają w pułapkę jego ciała, ale kąsam mu policzki, czuję słony smak krwi, smak picia z jego skóry. Wypluwam mu to prosto w twarz.

Rozpina spodnie. Sapie i jeszcze mocniej mnie przygniata. Jego oddech cuchnie zepsutymi zębami i czymś słodkim: waniliowym zapachem, co go Kofi dodaje do ciastek.

Walcz.

Ręka mi zdrętwiała. Nogi mam przyszpilone. Jak mam walczyć? Ciągle rzucam głową z lewa na prawo, z prawa na lewo. Mówię: nie, nie, nie, ale jego dłoń mokra i gorąca zatyka mi usta, łapie każde „nie” i wciska je do nosa.

Mamo! – wołam w sobie. Mamo, ratuj!

Nagle z nieba błyska jasne światło, to samo, co dawniej, w dniu z Morufu, tylko tym razem słychać jeszcze grzmot, potężny huk, i wiem, że jest tutaj mama. „Walcz, Adunni. Walcz”.

Zbieram całą siłę, zaciskam zęby na jego rękę, wbijam je w ciało. Kiedy wrzeszczy, wykręcam się spod niego, chwytam spod łóżka Biblię mamy i walę go po głowie. Jego telefon, co

zaświecił i hałasował w kieszeni, wypada na podłogę, kręci się w kółko jak wiatrak. Dzwoni i dzwoni.

Wielki Tata wyje jak zwierzę.

– Ty dziwko! – Rzuca się na mnie.

W tej samej chwili drzwi wpadają do pokoju, ziemia się trzęsie i w wejściu staje Wielka Madam. Wielki Tata zapina spodnie, odpycha madam i wybiega na korytarz.

Moja pani oszołomiona podchodzi jak duch, podnosi z podłogi brzęczący telefon i naciska. Potem patrzy na niego i patrzy. Nie wiem, co w tym telefonie widzi, ale to coś bardzo złego i okrutnie strasznego. Chyba nawet bardziej strasznego niż to, co działo się ze mną, bo Wielka Madam pada na kolana na środku pokoju, łapie się za głowę i zaczyna zawodzić:

– Wódz, ha! Caroline! Kochanie? Nie!

Wygląda tak żałośnie, że na chwilę zapominam o sobie, o Rebecce i Wielkim Tacie.

Chcę tylko pomóc Wielkiej Madam. Błagam, coby przestała płakać, ale ona dalej wlepia oczy w telefon, naciska go i szeroko otwiera usta. Tak szeroko, jak nigdy nie widziałam, szerzej niż rzeka Benue, co jest jedną z największych rzek w całej Nigerii.

ROZDZIAŁ 51

Wszystko potem przelatuje szybko jak w jednym mrugnięciu.

Pamiętam, że Wielka Madam siedziała na podłodze mojego pokoju. Płakała i płakała, a potem, kiedy wreszcie jej dotknęłam, patrzyła tak, jakoby zobaczyła mnie pierwszy raz w życiu. Odepchnęła moją rękę i wybiegła daleko, prosto do głównego domu.

Teraz jestem w pokoju sama, ale nadal czuję jego zapach.

Jego pot. Zepsute zęby. Smród picia. I smród strachu. Włosy na rękach stoją mi dęba, jakoby z szacunkiem do strachu mówiły: Witaj, *sah*; witaj, *ma*.

Deszcz słabnie, nie ma już grzmotów. Wszędzie cicho, ale gdzieś w oddali jęczy rodząca kobieta, kobieta w głębokiej, głębokiej studni. Tępy odgłos wypełnia cały pokój czymś lepkim i gęstym, czego nie widzę oczami, ale czuję to w sercu. Wstaję i biegnę do głównego domu.

Pierwsze co widzę w salonie, to peruka Wielkiej Madam. Wisi na lustrze na ścianie, wygląda jak futro zdechłego szczura. Poduszki walają się po całej podłodze: obok tiwi, przy wiatraku, pod nogami kanapy. Złote wysokie obcasy Wielkiej Madam leżą tu i tam, ozdobiona piórami torebka jest otwarta, wypełzają z niej szminki, cienie do powiek, ołówki, pieniądze, wszystko.

Wielka Madam siedzi na kanapie. Kiedy wchodzę, nie otwiera oczu, w ogóle nie reaguje, jakoby mnie nie słyszała. Oczy ma zamknięte i jak widzę płynące po spuchniętych policzkach łzy, gorzki kamień w moim sercu zaczyna topnieć. Na ustach ma krew, drżące ręce przyciska do szczęki. Ciągle zawodzi, ale nie tak głośno jak przedtem. Teraz tylko jakoby syczała przez nos.

– Gdzie Wielki Tata? – Moje ciało ocieka deszczem i gniewem. List, co go trzymam w ręku, rozmiękł, przypomina nasiąknięty wodą listek. – Gdzie on jest? – powtarzam.

Otwiera oczy powoli, jakoby miała za ciężkie powieki; ale nie patrzy na mnie. Wygląda jak pijana, upojona smutkiem i bólem.

– Mam tu list, *ma* – mówię. – Od Rebeki.

– Rebeki nie ma – odpowiada powoli. – Nie ma…

– Wiem, *ma*. Ale coś tu napisała. W tym liście. – Podnoszę kartkę. Ślady długopisu na papierze zmieniły kolor od wody, niektóre słowa są już takie blade. – Przeczytać, *ma*? – pytam.

Kiwa głową na „nie”; kiedy wyciąga rękę, podaję jej list. Patrzy na papier, na słowa, ale chyba nie czyta. Spuchnięte oczy są prawie ślepe od bólu. Przyciska kartkę do piersi, jakoby chciała zawinąć w nią okruchy pękającego serca, spakować je i zamknąć.

– Wódz mnie zabił – odzywa się po długiej, długiej chwili. Nie mówi do mnie, tylko do siebie i powietrza. – Inne dziewczyny mogłam zrozumieć, tolerowałam je, pomagałam mu nawet potem wszystko jakoś załatwić. Ale tym razem posunął się za daleko. Wodzu Adeoti, posunąłeś się za daleko!

Odwracam się, idę do kuchni. Kofiego nie ma. Napełniam miskę ciepłą wodą i biorę ścierkę. Wracam do salonu, zanurzam ścierkę w ciepłej wodzie, wyciskam ją i zaczynam powoli zbierać krew z ust Wielkiej Madam, wycieram jej łzy, drżące dłonie. Na początku się szarpie, ale kiedy ją przytrzymuję, robi się wiotka i zamyka oczy. Godzi się z prawdą, że czasami nawet najsilniejsi ludzie są słabi.

Śpiewam piosenkę, co śpiewała mi mama, jak dorastałam w wiosce; tą samą, co śpiewałam, kiedy przyjechałam do Lagos. Patrzę i widzę, że oczy Wielkiej Madam dalej są zamknięte, ale teraz cicho chrapie. Podnoszę więc list z podłogi i odchodzę do swojego pokoju.

ROZDZIAŁ 52

Fakt: Około 30% zarejestrowanych w Nigerii firm należy do kobiet. Rozwój tych przedsiębiorstw, kluczowy dla podtrzymania i wzrostu gospodarki, jest w znacznej mierze utrudniony wskutek ograniczenia dostępu do finansowania oraz dyskryminacji płciowej.

– *Chale*, co się tu wczoraj stało? – Kofi stoi w drzwiach mojego pokoju i mruga, jakoby ktoś walnął go w głowę wielką deską. – Co się dzieje?

W nocy nie mogłam zasnąć.

Czułam się, jakoby moja głowa trafiła do pralki, wirowała i wirowała, i z tej wirówki uwolnił mnie dopiero teraz Kofi.

– Rano w salonie było jak po trzęsieniu ziemi – mówi. – Wielkiego Taty nie ma, a Wielka Madam wygląda tak, jakby wpadła pod ciężarówkę. O co chodzi?

– Gdzie byłeś? – pytam.

Jedną ręką trzymam drzwi, drugą ściskam koszulę nocną. Kofi nie był dla mnie zły, ale po wczoraj nie mogę już rozmawiać z żadnym mężczyzną bez strachu, że się na mnie rzuci.

– Wielki Tata dał mi wychodne – odpowiada. – Wieczorem poprosił, żebym wziął sobie wolne i zniknął na noc. A ponieważ Wielka Madam siedziała u siostry w szpitalu, skorzystałem z okazji i pojechałem do starych przyjaciół

z Wysokiej Komisji Ghany. Szczerze, coś mi śmierdziało, kiedy mnie puścił, ale byłem strasznie zmęczony gotowaniem na to przyję... Co się stało?

– Nic – cedzę przez zęby.

– *Chale*, rozmawiaj ze mną. Czy Wielki Tata tu przyszedł? – Kofi smutnieje, przyciska rękę do piersi. – Powinienem się domyślić. Tak się uparł, żebym wyszedł na całą noc. Adunni, mów do mnie. Nie stój tak. Co on ci zrobił?

– Nic – odpowiadam. – Czego chcesz?

– Zgwałcił cię? – rzuca Kofi podniesionym głosem. – Czy ten imbecyl cię zgwałcił?

Słowo „gwałt" brzmi jak ostra stal, jak cięcie nożem. Słyszę je pierwszy raz w życiu, ale nie potrzebuję *Collinsa*, coby sprawdzić znaczenie.

– Nie zgwałcił mnie – odpowiadam cicho. Wspomnienie wciąż daje mi ciarki, serce nadal wali głośno w piersi. – Zanim co, Wielka Madam otworzyła drzwi.

– *Kwasea.* – Kofi spluwa na podłogę. – Niech go Bóg pokarze.

– Czy Rebecca chodziła do szkoły? – zmieniam temat. – Dobrze znała angielski? Miała bystry mózg?

– Rebecca? Po angielsku mówiła dobrze, ale jak na swój wiek była bardzo naiwna – wspomina Kofi. – Kształciła ją poprzednia pani, taka przed Wielką Madam. Posłała ją do prywatnej szkoły podstawowej i liceum. Zabierała dziewczynę nawet na wakacje ze swoją rodziną. Ale potem ta kobieta umarła i Rebecca przyszła pracować tutaj. Dlaczego pytasz?

– Dla niczego – odpowiadam.

Gdyby Rebecca była mądra, wiedziałaby, że Wielki Tata nie może wziąć z nią ślubu i zatrzymać w jednym domu z Wielką Madam. Wiedziałaby, że on kłamie. Zaczynam rozumieć, że mówienie dobrym angielskim nie decyduje, czy ktoś jest inteligentny i bystry. Angielski to tylko język, tak jak joruba, igbo czy hausa. Nic w nim wyjątkowego, nie sprawia, że ludzie mówią zawsze z sensem.

– Masz coś, co ona napisała? – Chcę, coby Wielki Tata nie mógł nigdy powiedzieć, że list napisał ktoś inny. Chcę, coby cierpiał za to, co zrobił Rebecce, bo Bamidele nie cierpiał za Khadiję.

– Nie. – Kofi kręci głową. – Ale Abu może coś mieć. Dawała mu listy zakupów. Zapytałbym sam, ale jego też od wczoraj tu nie ma. Pewnie dziś wróci.

Chcę zamknąć drzwi, ale Kofi blokuje je ręką.

– Wielka Madam kazała, żebyś przyszła. Masz iść prosto do jej pokoju. Czego chce? Wiesz może? Nigdy nikogo tam nie zaprasza, a już na pewno nie zaprosiłaby ciebie. Czy ja o czymś nie wiem?

– Dziękuję. – Zamykam drzwi.

– Wejdź – mówi Wielka Madam, kiedy staję przed sypialnią.

Cała jej twarz jest jedną paskudną raną. Czekam, przez chwilę po prostu stoję, mimo że drzwi są szeroko otwarte. Ma na sobie długą czerwoną szatę, która wygląda jak jedwabne skrzydła, co owijają jej ciało. Rękę trzyma na klamce.

– Wejdź – powtarza, po czym cofa się do pokoju. – Zamknij za sobą i siadaj tu, na krześle.

Wchodzę. Na środku sypialni stoi okrągłe czerwone łóżko. Na nim jest miękka kołdra z piórami i chyba z piętnaście poduszek. Nie wiem, gdzie w tym łóżku miejsce do spania. Na ścianie wiszą zdjęcia dzieci, jak były jeszcze małe. Śmieją się na placu zabaw. Na innym widać Wielką Madam. Jest młoda. I taka szczupła. Z gładką skórą. Mam ochotę dotknąć fotografii, powiedzieć tej dziewczynie, że mi przykro, że w przyszłości jej twarz spuchnie przez Wielkiego Tatę.

Dziwny zapach wypełnia mi nos: mieszanka smrodu środka do mycia toalet i brudnych stóp. Po lewej stronie znajduje się toaletka. Pełno tam wielkich butelek z jakimiś mazidłami; obok stoi torebka z nylonu, a w niej mnóstwo rzeczy do makijaży: pudry, tusze do oczu, ołówki, szminki. Patrzę na nazwy na butelkach: InstaWhite Plus Skin Milk, Skin Fade (Nowa, ulepszona formuła), Bright Bleaching Mix.

Dlaczego Wielka Madam chce wybielić sobie skórę? I to takimi śmierdzącymi kremami? Na zdjęciu ze ściany wygląda dobrze, we własnej skórze. Czy to dlatego jej twarz ciągle zmienia kolor? Dlatego jej nogi są brązowe na kostkach i w kolanach, ale reszta jest jasna, brzydko żółta, a czasami zielona?

Siadam na długim fioletowym krześle przed łóżkiem. Wygładzam sukienkę na kolanach.

– Kofi mówił, że *ma* chce mnie widzieć. Jestem.

– Muszę o coś zapytać, Adunni. – Ogląda sobie paznokcie, jakoby sprawdzała, czy spuchły. – Wczoraj… Czy Wódz…? Czy on cię…?

– Nie zgwałcił mnie. – Kiwam głową na „nie”.

Drga, patrzy ostro. Prosto w moje oczy.

– Wiesz, co znaczy słowo „gwałt”?

– Tak, *ma* – odpowiadam.

– Wczoraj zadzwoniła do mnie Tia Dada, żona doktora Kena. Powiedziała, że chce do mnie przyjść i porozmawiać o twojej przyszłości. Jakiej znowu głupiej przyszłości? Za kogo ona się uważa? Zapłaciła ci choć jedną pensję? A może myśli, że jesteś jakimś jej projektem środowiskowym? – Nabiera powietrza. – Kiedy ją o to zapytałam, rozłączyła się i przysięgam ci, przysięgam, wściekłam się jak diabli. Zawrzało mi w głowie. Zostawiłam siostrę w szpitalu, kazałam kierowcy wieźć się do domu. Chciałam cię znaleźć i pobić tak, żeby ci się mózg zresetował, a potem wyrzucić cię na ulicę. Bo Adunni, odkąd się tu pojawiłaś, mam przez ciebie same kłopoty. Tia Dada nie jest moją koleżanką. Nie ma nawet czterdziestki, a rozłącza się, kiedy do niej mówię? Chciałam najpierw rozprawić się z tobą, a potem odpowiednio rozmówić się z nią. A co zastałam u ciebie w pokoju? Swojego męża. – Przestaje mówić, choć wargi ciągle drżą. – Wódz chodzi do kościoła. Należy do grupy Cnotliwych Mężczyzn. Jak ktoś może chodzić do kościoła tak długo, całymi latami i nie spotkać Boga? – pyta Wielka Madam, jakoby się zagubiła i niczego nie rozumiała.

– Bo kościół to nie Bóg – odpowiadam z opuszczoną głową, cicho.

Chcę jej powiedzieć, że Bóg nie jest cementowym budynkiem z piasku i kamieni. Że Boga nie można zamknąć w żadnym domu. Chcę, coby wiedziała, że sprawdzić, czy ktoś znalazł Boga i ma go w sercu, można tylko wtedy, kiedy popatrzy się, jak ten człowiek traktuje innych, czy traktuje ich tak, jak nakazuje Jezus: z miłością, cierpliwością, dobrocią

i przebaczeniem. Ale moje serce pędzi jak szalone, wali strasznie mocno, przez co chce mi się sikać. Wyrywam z uniformu czerwoną nitkę. Skręcam ją w palcach i zwijam, aż zostaje mała kuleczka. Jak czerwona kropka na końcu zdania.

Wielka Madam mocno opiera dłonie na kolanach, pochyla się.

– Adunni, myślałam o tym telefonie od Tii. Wiesz może, o czym pani Dada chce ze mną rozmawiać?

– Nie, *ma* – szeptam. – Nie wiem.

– Mhm… Czy jeśli zechce cię stąd zabrać, pójdziesz z nią? – Wpatruje się we mnie. Kiwam głową na „tak". – Przez to, co zrobił Wódz?

Nie wiem, co odpowiedzieć. Moja głowa chce powiedzieć wiele, ale boję się rozgniewać Wielką Madam, więc mówię tylko małą część tego, co myślę.

– Przez to, że nie zawsze jesteś dobra dla mnie i Kofiego. Bijesz mnie i sprawiasz, że płaczę za mamą. I przez Wielkiego Tatę.

Gryzę się w wargę, ale w duchu moje usta pracują dalej: bo gdyby Rebecca była twoją córką Kaylą, nie odpoczęłabyś, nawet na jeden dzień i jedną noc, dopóki byś jej nie znalazła. Bo handlujesz mną jak niewolnicą i pozwalasz, żeby Wielki Tata handlował jak niewolnicą tobą.

Wielka Madam siada prosto, zamyka oczy. A kiedy się odzywa, mówi cicho, jakobym zniknęła, jakoby przemawiała tylko do siebie.

– Jak Wódz mógł mi to zrobić? Nam obu? Jak mam dalej żyć bez Wodza u boku? Co powiem ludziom, kiedy zapytają, co się

stało?

– Nie zawsze był u twojego boku. Może tylko wtedy, kiedy walił cię po twarzy.

– Co to ma znaczyć? – Wielka Madam otwiera oczy, pyta ostrym głosem. Powiedziałam to ustami czy tylko w umyśle? Zaczynam kiwać głową na „nie", chcę wymyślić jakieś kłamstwo, ale ona wybucha: – Adunni! Co to miało znaczyć? Mów dokładnie, co chciałaś powiedzieć, bo zaraz stłukę cię na miazgę!

Zakręcam na palcu zwinięty brzeg sukienki. Kręcę i kręcę, aż krew przestaje płynąć.

– Wielki Tata, *ma*... To zły człowiek. Nikczemny. – Podnoszę głowę i jest tak, jakoby ktoś odkręcił we mnie kran. Otwieram usta i wylewają się z nich słowa: gorzkie, prawdziwe, ostre. – Bije cię prawie cały czas. Wypełnia cię takim gniewem i smutkiem, że kiedy potem widzisz mnie i Kofiego, przelewasz ten gniew na nas. Na mnie najbardziej. Twój mąż... przez niego jesteś taka smutna i... – I szalona. – Przepraszam, *ma* – rzucam, bo jej oczy prawie wychodzą z głowy. – Kazałaś powiedzieć dokładnie, więc mówię dokładnie. Koniec. – Wypuszczam oddech.

Czuję się jak balon, co traci powietrze i nie może już latać. Dlatego wstaję na nogi, powoli, powoli. Rozglądam się jak głupia po całym pokoju, bo nie chcę patrzeć jej w twarz.

– Pomasować ci stopy, *ma*? – pytam. – Albo podrapać po głowie? Wczoraj śpiewałam piosenkę i zasnęłaś. Mogę ci zaśpiewać? Taką piosenkę, co moja mama...

– Idź stąd. – Machnięciem pokazuje drzwi. Oczy ma mokre, złe. – Nie chcę cię widzieć!

ROZDZIAŁ 53

W nocy słyszę od bramy głośny łoskot i szalone trąbienie, jakoby kierowca w samochodzie bił ręką po klaksonie. Bił i bił. Kiedy hałas nie cichnie przez trzy minuty, wstaję z łóżka i wyglądam za drzwi.

– Ten dureń trąbi już tak prawie pół godziny – słyszę Kofiego. Stoi w korytarzu, trze sobie oczy i ziewa.

– Który dureń?

Wychodzę z pokoju i zamykam za sobą drzwi. Razem wyglądamy w ciemność, w grubą ścianę czarnej nocy. Trąbienie i głosy świerszczy na zmianę wypełniają powietrze, robi się z tego szalona melodia: pii-kre-kre-pii-kre-kre.

– Wielki Tata – odpowiada Kofi. – Trąbi jak opętany. Wielka Madam zabroniła Abu i mnie otwierać mu bramę. Bardzo dziwne.

– Dlaczego to bardzo dziwne?

– Bo jeszcze nigdy tak nie zrobiła. Zawsze go wpuszczała. Zawsze. Nawet kiedy była pewna, że on wraca od dziewczyny.

– Widziałeś jego dziewczynę?

– Ma kilka – prycha Kofi. – Jedną widziałem. Jeździ po nią do sklepu ShopRite. Chudzina taka. Wygląda jak dwunastolatka. Powiałby mocniejszy wiatr, to złamałby ją na pół. Ale to już problem tego idioty. – Kofi obraca się, patrzy na mnie. – No i co ci powiedziała Wielka Madam, kiedy do niej poszłaś?

– Nic – odpowiadam. Samochód ciągle trąbi. – Dlaczego Wielka Madam nie pozwala otworzyć bramy?

– Mówiłem, że jeszcze nigdy tego nie zrobiła. – Wzrusza ramionami. – Przeciwnie, zawsze kazała, żebym nosił mu jedzenie, nawet jak pojawiał się bardzo późno. Trzeba było ją widzieć, kiedy z nami rozmawiała. Miała takie szalone oczy. Stalowe. Zdeterminowane. Takiej jeszcze jej nigdy nie widziałem.

– A pytałeś Abu? O tą listę zakupów?

– Ach, tak. – Wkłada rękę do kieszeni spodni i wyciąga kartkę. – Masz. To ostatnia lista, jaką Rebecca napisała, zanim... no wiesz.

Sięgam po kartkę, rozkładam ją. „Mydło Fairy, biały ryż, folia do żywności, chusteczki higieniczne, wybielacz". Pismo takie samo jak w liście.

Moje serce wzdycha.

– Kofi, widziałeś ją kiedyś z Wielkim Tatą?

– Mhm. – Marszczy brwi, skórę na jego czole przecinają trzy grube linie. – Kilka razy przyłapałem go, jak wychodził z jej pokoju. Wydawało się, że są ze sobą blisko, niecodziennie blisko. Zwłaszcza kiedy Wielkiej Madam nie było. Pytałem o to Rebeccę. Tłumaczyłem, żeby na niego uważała, ale ona tylko się śmiała i mówiła, że jestem zazdrosny. A dlaczego ja miałbym być zazdrosny o durnia? Wiem, że interesował się wszystkimi pokojówkami, które u nas pracowały. Dlatego ciebie ostrzegłem od razu pierwszego dnia. Ostrzegam każdą dziewczynę, która pojawia się w tym domu.

Czuję zimny dreszcz. Przychodzi tak nagle, że stają mi włoski na rękach.

– Czy Wielka Madam pojechała do wioski Rebeki? Do jej domu? Szukała jej?

Kofi zaprzecza głową.

– Słyszałem, że tydzień czy dwa po jej zniknięciu jeździł tam mister Kola. Sama Wielka Madam, o ile mi wiadomo, nie była nigdzie.

Znowu to trąbienie. Z głównego domu słychać głos mojej pani, huczący jak pięć gromów.

– Wracaj do piekła, z którego wylazłeś, Wodzu! Nikt ci nie otworzy!

Kto wie, co jej zrobił? Zaskakują mnie własne oczy, spływają łzami. Prędko je wycieram.

– Idę do siebie.

– Ja też. – Kofi ziewa. – Wygląda na to, że dureń przenocuje dziś z moskitami w samochodzie. To i tak za mała kara za to, co wszyscy przez niego przeszli.

Wielka Madam zamyka się na całe dwa dni. Nie chodzi do sklepu, do kościoła, nigdzie nie chodzi. Siedzi w pokoju i śpi. Rano Kofi zanosi jej yamy z jajkiem albo gotowane jajka i chleb, albo tosty z herbatą. Wielka Madam skubie tylko trochę, a całą resztę odsyła, więc ja dostaję do zjedzenia. Nocami woła mnie do siebie, cobym pomasowała jej nogi. Kiedy masuję, nic nie mówi. Siedzi i próbuje utrzymać łzy w oczach. Chcę raz jeszcze pokazać jej list, ale czuję, że ma zbyt ciężkie serce i ten ciężar nie pozwoli jej usłyszeć niczego, co powiem.

Wielkiego Taty nie ma. Nie widujemy go w domu i nie zadajemy pytań, ale szeptamy między sobą – ja z Kofim albo

Kofi z Abu, albo ja sama ze sobą. Rozmawiamy o tym, co się dzieje z Wielkim Tatą i czy jeszcze tu wróci. To wszystko puste gadanie, bo i tak nikt nic nie wie, nikt niczego nie widział.

Trzeciego wieczora po zniknięciu Wodza Wielka Madam wzywa mnie do swojego pokoju.

Tym razem siedzi w fioletowym krześle i trzyma przy uchu telefon. Machnięciem każe mi czekać, więc staję w kącie i splatam ręce za plecami. Wygląda dużo lepiej, czerwona opuchlizna pod oczami jest teraz fioletowa jak to krzesło, co madam na nim siedzi.

– Jutro ma tu przyjechać rodzina Wodza – mówi do telefonu. – Nie, nie. Ty nie musisz. Zostań i skup się na swoim zdrowiu. Wiem, że chcą błagać, abym go przyjęła z powrotem. Jedna z jego głupich, leniwych sióstr przysyłała mi wczoraj esemesy. Wódz domagał się od nich pieniędzy. Nie miał nawet za co zatankować mercedesa. Zawsze to ja płaciłam za benzynę. – Parska smutnym śmiechem. – Ach, Kemi, głupia byłam, jaka ja byłam głupia.

Tak, *ma*, mówią moje oczy. Bardzo, bardzo głupia.

– Gdzie się podziewała ta jego rodzina, kiedy z wielkim trudem szukałam klientów? Kiedy wychowywałam dzieci? Kiedy trzeba było płacić rachunki? Jesteś moją siostrą. – Wyciera palcem lewe oko. – Wiesz, co ja miałam z tym człowiekiem. Jak cierpiałam, żeby utrzymać rodzinę dzięki swojemu biznesowi. Kemi, nie mówiłam ci o tym, ale przez całe lata przynosiłam do domu pieniądze i oddawałam Wodzowi. Brał je do kieszeni, a mnie i tak bił, potem jeździł do tych dziewczyn. Kupowałam mu ubrania, dbałam o niego.

Ukrywałam jego wstyd. Przymykałam oko na wygłupy, ale żeby zrobił to z tą... z Caroline Bankole ze stowarzyszenia?! Tuż pod moim nosem. Nie, proszę, nie każ mi się uspokajać. Nie, niczego sobie nie wymyślam. Choć żałuję, bo chybabym wolała.

Mówiłam ci, że znalazłam telefon, z którego do niej wydzwaniał? Idiota zapisał jej numer pod „Kochanie". Kochanie? Takie słowo od Wodza? Mnie tak nigdy nie nazwał... Kemi, dlaczego zadajesz takie bezsensowne pytania? Jak to: czy jestem pewna? Oczywiście, że jestem pewna! Zapytałam ją wprost! Powiedziała, że to wina diabła. Diabła? Co to ma w ogóle znaczyć? A ja tę kobietę uważałam za przyjaciółkę. Za przyjaciółkę! – Przyciska rękę do ust, coby uciszyć płacz.

Serce mi drży. Myślę o Caroline Bankole, pachnącej gorzką pomarańczą kocicy z zielonymi oczami. O kobiecie, która jest taka dobra dla Chisom, bo Chisom pomaga jej ukrywać tajemnice. Myślę o nocy, kiedy Wielki Tata rozmawiał przez telefon za kwaterą chłopców.

Właśnie to musiała Wielka Madam przeczytać, kiedy znalazła w moim pokoju jego telefon. Dlatego nie wpuszcza go do domu, dlatego wygląda, jakoby miała zaraz umrzeć z bólu i wstydu. A ja, ja myślałam, że jest smutna i zła, bo Wielki Tata chciał mnie zgwałcić.

Wielka Madam słucha, kiwa głową na „tak" i wzdycha. Nie słyszę słów tej drugiej kobiety.

– Nie wiem, co mi teraz da modlitwa, Kemi – mówi w końcu. – Idź, odpocznij. Przyda ci się. – Rzuca telefon na łóżko, a kiedy patrzy na mnie, jej oczy wiercą mi dziurę

w sercu, w którą ona wlewa swój smutek. Cała tonę w tym smutku. – Rozmasuj mi nogi. – Wyciąga je przed siebie. – Kostki mam całe spuchnięte.

Pochylam się, biorę jej stopy i kładę sobie na kolanach. Pocieram jej kostki wszystkimi palcami. Trę całe stopy, powoli, jakobym chciała wycisnąć z nich cierpienie, co nosiła je tak długo. Jakobym chciała uwolnić ją z więzienia, w którym się sama zamknęła. Uwolnić ją od bólu.

I tak to trwa przez chwilę. Wielka Madam pozbywa się bólu, ja wyciskam go z jej nóg, z ciała.

– Każę go aresztować – oznajmia nagle, bo chyba wymyśliła to w tej sekundzie. – Tak, właśnie tak. Aresztują go za zniknięcie Rebeki. I przypilnuję, żeby zgnił w więzieniu, jeśli jej nie znajdzie. – Opiera głowę wygodniej, zamyka oczy. – Adunni?

– *Ma*?

– Tamtej nocy… Kiedy Wielki Tata próbował… Czy dobrze pamiętam, że wspominałaś o jakimś liście Rebeki?

– Tak, *ma.* – Rośnie we mnie nadzieja.

Długo już czekałam, żeby o to zapytała, żeby jakoś Rebecce pomogła.

– Chcę ten list zobaczyć. Przeczytać. Przynieś mi jutro z samego rana. Teraz już się położę. Oczy mnie szczypią. Zaśpiewaj mi coś.

– Tak, *ma*.

Więc śpiewam, jakoby w tym fioletowym krześle siedziała moja mama. Chciałabym głosem zrobić tak, coby Wielka Madam poczuła się dużo lepiej. Śpiewam też po to, coby

Rebecca nie była już zaginiona, a mąż pani Tii nie miał kłopotów ze zrobieniem jej ciąży. Śpiewam, jakobym chciała przestać być smutna smutkiem mojej pani.

Kiedy milknę i patrzę do góry, oczy Wielkiej Madam są zamknięte. Z otwartych ust cicho wypływa powietrze, ale co sekunda lub dwie drga jej szczęka, jak gdyby próbowała zatrzymać zębami ostatnie okruchy spokoju duszy.

Ale spokój uparcie się wymyka i rozpada wokół nas.

ROZDZIAŁ 54

Fakt: Według badania przeprowadzonego w 2003 roku, obejmującego 65 państw, w Nigerii mieszkają najszczęśliwsi i najbardziej optymistyczni ludzie na świecie.

Nie śpię już od piątej. Leżę w łóżku i słucham pawia sąsiadów, co wrzeszczy jak zagubione w buszu dziecko, słucham wiatru zamiatającego liśćmi palm żaluzje mojego okna, słucham stłumionego pobrzękiwania talerzy i garnków, które Kofi przestawia w kuchni.

Ciało mam sztywne, jakoby w stawach zabrakło oleju i nie były w stanie się zginać. Trzeba im pracy. Wstaję, wyciągam spod poduszki list Rebeki, składam kartkę w równiutki prostokąt i wsuwam ją sobie do stanika. Zakładam uniform i buty. Coraz bardziej przetarte skórzane paski wsuwam w klamerki ostrożnie, powoli. Żeby się nie pozrywały.

Powietrze na zewnątrz jest zimne, trawę pokrywa cienka chmurka wilgoci. Czyste niebo wygląda jak bezkres szarawego błękitu. Idę szybko. W kuchni widzę Kofiego. Kroi wielkim nożem bochenek chleba.

– Dzień dobry – witam się przez okno i sięgam po miotłę, co stoi przy kranie.

Zaczynam zamiatać. Powoli, jakobym grzebieniem czesała długie włosy przyjaciółki.

– Adunni – woła Kofi ze środka. – Czekam na ciebie i czekam. Chodź, chodź!

Odkładam miotłę na ziemię, wycieram ręce i wchodzę do kuchni. Staję przy Kofim, obok kuchenki gazowej.

– Co się stało?

– Wczoraj zadzwonił do mnie znajomy z ambasady – mówi on. – Podobno ogłosili już wyniki. Kiedy uporam się z porannymi obowiązkami, pojadę tam i zobaczę, czy się dostałaś.

– Dziękuję, Kofi. Pani Tia też ma sprawdzić. Czy Wielka Madam pojechała do sklepu?

– Dzisiaj nie jedzie – szepta Kofi. – Dziś mamy gości. Dwie siostry Wielkiego Taty. Ten idiota też tu jest. Przybyli kilka minut temu. Czekają w holu. Wielka Madam nakazała nie wpuszczać ich do salonu.

Czy Wielki Tata może dzisiaj spróbować zrobić mi coś złego? Kiedy wszyscy tu są?

– Adunni. – Do kuchni wchodzi Wielka Madam. Ma na sobie czarną *bou-bou*, wygląda jak w żałobie. W jej oczach kryje się smutek dopiero co owdowiałej kobiety, otaczają je wciąż widoczne fioletowe sińce. – Co ty tu robisz? Idź i znajdź coś do jedzenia.

– Ja? – Przykładam rękę do piersi. – Szukać jedzenia?

– Masz ten... ten list? – pyta.

– Tak, *ma* – odpowiadam. – Dać go teraz, *ma*?

– Zawołam, kiedy będzie potrzebny – mówi Wielka Madam. – Kofi, niech Adunni zostanie tutaj. Nakarm ją czymś. Spodziewam się wizyty policji. Wódz i jego rodzina muszą zostać w holu. Jeśli sobie zażyczą, daj im poczęstunek,

ale proszę, nie wpuszczaj ich do żadnych innych pomieszczeń poza toaletą na dole.

Wielka Madam wychodzi, a Kofi kiwa głową na „nie".

– Policja? A po co? Mnie powiedziałaś, że Wielki Tata cię nie zgwałcił. Dlaczego nakłamałaś? I o jakim liście wspominała nasza pani?

– Nie zgwałcił mnie – powtarzam.

A potem opowiadam o liście Rebeki.

Wychodzę za dom i zamiatam. Jakiś czas potem wreszcie woła mnie Kofi.

– Już zanieść jej list?

Wracam do kuchni. Kofi stoi z uchem przyciśniętym do szklanych drzwi holu. Na nosie ma mąkę, wielką kropkę białego proszku na gładkiej skórze.

– Ani słowa. – Przykłada sobie palec do warg. – Chodź tu i słuchaj.

Podchodzę. Moje serce robi więcej hałasu niż robią nogi. Staję obok Kofiego i patrzę na drzwi. Widzę za nimi cienie: cień Wielkiej Madam – olbrzymia czarna góra na tle zachodzącego słońca; cień Wielkiego Taty – fila siedzi mu na głowie jak mały śpiący struś; cienie dwóch kobiet – jedna wysoka, druga niska. Ich *gele* rzucają cienie, co przypominają wielkie dłonie.

– A gdzie policjant? – pytam cicho Kofiego.

– Tam. – Pokazuje mi palcem cień mężczyzny stojącego daleko po lewej.

Głos Wielkiej Madam jest najgłośniejszy ze wszystkich, musi być bardzo rozgniewana.

– Funkcjonariuszu Kamson, jak już tłumaczyłam przez telefon, żądam, byście tego tu człowieka, mojego męża, przesłuchali. Mam powód podejrzewać, że jest zamieszany w sprawę zaginięcia naszej poprzedniej pokojówki. Przypuszczam nawet, że ją skrzywdził. Proszę go zabrać na posterunek i zamknąć!

– Madam Florence, czy ma pani jakiekolwiek dowody na poparcie tych oskarżeń? – odzywa się funkcjonariusz Kamson.

List! – krzyczę w głowie. Nos przyciskam do szkła tak mocno, aż się boję, że zaraz je stłukę. Powiedz policjantowi o liście Rebeki!

– Florence, daj spokój – rzuca Wielki Tata. – Przecież to śmieszne. Co według ciebie zrobiłem Rebecce? I to akurat jej? Zaginęła, no i co z tego? Mogła przecież uciec! – Zwraca się do policjanta: – Funkcjonariuszu Kamson, proszę posłuchać. Przyrzekam na boga swych przodków, że nic nie wiem o przyczynach zniknięcia tej dziewczyny. Mam swoje słabostki, ale żeby mieszać się w życie pokojówki? Po co? Dlaczego?

– Stul pysk! – Wielka Madam krzyczy tak ostro, że wszyscy podskakują, ja i Kofi też. On nawet uderza czołem o drzwi, ale zanim ktokolwiek zdążył na nas spojrzeć, znów rozlega się głos Wielkiej Madam. – Może opowiesz funkcjonariuszowi Kamsonowi o swoim romansie z moją bliską przyjaciółką Caroline Bankole?

Cisza zapada gwałtownie jak burza, jak cichy grzmot.

Przez długą, długą chwilę słychać tylko szybki oddech mojej pani. Wreszcie jedna z sióstr opada na kanapę i łapie się za głowę.

– Boże uchowaj. Czuję tu robotę diabła!

– Ta, akurat, diabła – mamrota Kofi. – Prędzej mojego lewego jądra.

– Madam Florence. – Policjant przestępuje z nogi na nogę. – Rozumiem, że jest pani zła na męża, ma pani pełne prawo. Ale zaprosiła tu pani przedstawiciela Nigeryjskiej Policji Państwowej z innego powodu. Dlaczego uważa pani, że mąż ma związek ze zniknięciem Rebeki? Powszechnie wiadomo, że pomoce domowe często zmieniają pracodawców. O ile mi wiadomo, nikt jej zaginięcia nie zgłosił. A jeżeli – funkcjonariusz Kamson odchrząkuje – podejrzewa pani, że mąż wdał się z Rebeccą w romans przed jej zniknięciem, najlepiej, jeśli na przesłuchanie pojedziecie ze mną oboje.

– Ja? – Ręce Wielkiej Madam podfruwają do piersi. – Czy szef nie uprzedził cię, kim jestem? Każę ci zabrać mojego męża, a ty podejrzewasz mnie? I chcesz mnie przesłuchiwać? Chyba oszalałeś!

– Florence, proszę – wtrąca Wielki Tata i wszyscy przenoszą na niego wzrok. Pada przed Wielką Madam na kolana. – Błagam, przeproś funkcjonariusza Kamsona i poproś go, żeby sobie pojechał. Wtedy porozmawiamy o sprawie Caroline spokojnie. Jak mąż z żoną. To był błąd. Wielki, straszny błąd. Wszystko ci wyjaśnię.

Wielka Madam kiwa głową na „nie” i ociera twarz rąbkiem *bou-bou*.

– Proszę – odzywa się siostra Wielkiego Taty – odłóżmy zaginięcie Rebeki na bok, żeby nasz brat mógł wrócić do domu. Popatrz na niego, klęczy przed tobą! Już dość się nacierpiał. Nie ma nawet dachu nad głową. Florence, przyjmij go z powrotem. A jutro zbierzemy się całą rodziną i wspólnie przedyskutujemy tę drugą sprawę.

Wielka Madam bierze głęboki wdech, powoli wypuszcza powietrze. Wygląda, jakoby przegrywała walkę o własne życie. Chcę skakać i tłuc w drzwi, wrzeszczeć, żeby pokazała im list od Rebeki. Żeby opowiedziała o mnie. Kofi wyczuwa nastrój mojej rozgniewanej duszy i bierze mnie za rękę. Tym gestem mówi: „Spokojnie, Adunni, spokojnie".

– Może pan jechać – odzywa się Wielka Madam cichym, niskim głosem. – Myślę, że... Jeśli zajdzie potrzeba, skontaktujemy się znowu. Przepraszam za kłopot – dodaje, po czym patrzy na Wielkiego Tatę. – Wodzu, nie chcę cię więcej widzieć w swoim domu. Abu spakuje twoje rzeczy. Odbierzesz je przy bramie. I nie zapomnij oddać mu kluczyków do mojego samochodu.

Drugą chwilę gęstej od szoku ciszy przerywa chrząknięcie policjanta.

– W takim razie chyba... już pójdę. – Podrywa rękę do głowy, salutuje. – Proszę pamiętać, że zawsze pozostajemy do usług. Mam nadzieję, że małżeński spór zostanie szybko rozwiązany. Proszę dzwonić, jeśli pojawi się sprawa wymagająca naszego zaangażowania.

Nie mogę pozwolić, coby funkcjonariusz wyszedł bez listu, coby nikt nie poznał losu Rebeki, czy tylko zaginęła, czy może już nie żyje. Nie. Nie. Nie.

– Nie. – Mówię to w głowie, ale chyba się pomyliłam i nacisnęłam jakiegoś pilota, który wzmocnił moje słowa, bo słychać mnie nie tylko w środku.

Mój głos jest wszędzie, wypełnia całą kuchnię. Cienie w salonie patrzą na drzwi, tam gdzie stoimy z Kofim, tam gdzie walę pięściami o szybę, gdzie Kofi zaciska mi usta ręką i ciągnie mnie w tył.

Siedzę w ogrodzie na kamieniu, w blasku wczesnoporannego słońca. Łzy raz po raz wypełniają mi oczy, dławią, zmuszają do kaszlu. Nie umiałam walczyć o Khadiję, a teraz nawet nie walczę o Rebeccę. Przytłacza mnie, że mam w liście tak wielką siłę, ale też nie mam jej wcale, bo Wielka Madam nie dała listu policji. Nie wiem, jak długo tak siedzę i gorzko płaczę. W końcu z domu wychodzi Kofi.

– *Chale*, ty ciągle beczysz? – rzuca. – Założę się o swój nowy dom w Kumasi, że Wielki Tata wróci. Będzie musiał się sporo nabłagać, ale ona go w końcu przyjmie. Potrzebuje Wodza bardziej niż on jej. Czy to nie smutne, że w naszej części świata jeśli kobieta nie jest mężatką, jej osiągnięcia zupełnie się nie liczą? No ale taki los, wstawaj. Jesteś potrzebna.

– Gdzie? – Patrzę na niego zapuchniętymi oczami, obolałymi od płaczu.

– Wielka Madam cię wzywa. Czeka w swoim salonie.

– A po co jej moja osoba? – pytam, lecz on tylko wzrusza ramionami.

– Ma paskudny nastrój. Powodzenia.

Kiedy wycieram twarz i wchodzę do kuchni, szybko zerkam na telefon. Wiadomości od pani Tii. Przyszły prawie godzinę

temu.

„Adunni! Dostałaś się!

Dostałaś stypendium!

Nie będę czekać ani dnia dłużej!

Jestem gotowa do walki z Florence.

Idę po ciebie!

Pakuj się.

xx”

Stoję na środku kuchni, plecami do Kofiego, który wkłada talerze i łyżeczki do zmywarki. Słyszę, jak wesoło pogwizduje, zupełnie nie pamięta o Adunni i jej kłopotach.

Czytam wiadomość jeszcze raz: czytam głosem uwięzionym w piersi, szeptem w pojemniku, czytam ją otwartymi szeroko oczami, a potem oczami zamkniętymi w głębokiej ciemności. Słowa płoną we mnie jasno jak ognista wstęga, jak płomień nadziei.

ROZDZIAŁ 55

Wchodzę do holu. Wielka Madam siedzi na kanapie przy akwarium i patrzy w podłogę.

Pani Tia podskakuje na mój widok. Nabieram głęboko powietrza. Czuję, że pachnie liliami i olejem kokosowym. Teraz wygląda już znacznie lepiej. Włosy zebrane i podniesione czerwoną opaską tworzą na jej głowie wielką gęstwinę. A skóra na twarzy znów jest gładka, ślady chłosty zniknęły.

– Twoja twarz... – mamrotam. – Dobrze wyglądasz.

– Magia oleju palmowego. – Puszcza do mnie oko. – Wszystko w porządku? Płakałaś?

– Teraz już w porządku – odpowiadam.

– Adunni, posłuchaj – zaczyna pani Tia. – Rozmawiałyśmy z madam na temat twojej przyszłości. Wie o stypendium i powiedziała, że możesz ze mną iść już dzisiaj. Ale zanim cię zwolni, chce jeszcze z tobą pomówić.

– Chodź! – Wielka Madam wstaje z kanapy, macha na mnie ręką.

– Florence... – rzuca pani Tia cichym, ostrzegawczym głosem.

– Potrzebuję tylko zamienić z nią dwa słowa – odpowiada Wielka Madam. – Na osobności.

– W takim razie zostawię was same. – Pani Tia pozdrawia mnie skinieniem, wychodzi z holu i cicho zamyka za sobą

drzwi.

– List? – Wielka Madam wyciąga do mnie rękę. Kiwam głową na „nie". – Natychmiast oddawaj mi ten list albo bardzo utrudnię ci odejście. Nie obchodzą mnie groźby Tii Dady. Mogę ci narobić problemów i mocno ucierpisz, jeśli tak zdecyduję.

Z ciężkim sercem wsuwam rękę do stanika, wyjmuję list i oddaję.

Wyrywa mi kartkę z dłoni, zaczyna czytać. Jej oczy szybko suną po papierze, ale twarz nie pokazuje żadnego uczucia. Nawet kiedy zauważa zaschniętą krew. A potem powoli drze kartkę na strzępy.

Patrzę w szoku, jak kawałek po kawałku papierowy deszcz spada z jej rąk na podłogę. W moim umyśle pojawia się pytanie... dwa pytania. Uderzają mnie tak mocno, że prawie tracę oddech.

A jeśli to Wielka Madam doprowadziła do zniknięcia Rebeki? Jeśli to przez nią dziewczyna krwawiła? Czy dlatego się bała, że Wielka Madam zrobi jej coś złego? Dlaczego madam Florence nie kazała policji aresztować Wielkiego Taty? Przypominam sobie noc, kiedy opowiedziałam jej o liście, a ona wcale nie wyglądała na zbyt wstrząśniętą. Była smutna, zmęczona, ale nie zszokowana. Nawet go wtedy nie przeczytała! Do szaleństwa doprowadzała ją tylko ta historia z Caroline Bankole.

Patrzę na jej twarz, szukam odpowiedzi, ale widzę tylko zasłonę smutku, żalu i bólu.

– *Ma*, na liście była krew – odzywam się po chwili. – Na liście, co go właśnie podarłaś.

– Wiem – odpowiada cicho. – Widziałam.

– Dlaczego pozwoliłaś policjantowi odejść? Dlaczego podarłaś list, skoro wiesz, że Wielki Tata mógł ją zabić, ranić albo doprowadzić do... – mówię coraz głośniej, ale Wielka Madam podnosi rękę. Na jej twarz wypełza strach.

– Nie tym tonem, Adunni. Ciszej.

– Co się stało z Rebeccą? – pytam. – Jeśli mi teraz nie powiesz, zacznę krzyczeć. I powiem wszystkim, że ją zabiłaś.

– Ja? – Śmieje się gorzko, poruszona. – Miałabym zabić człowieka? Tak nisko mnie cenisz? – Wzdycha. – Adunni, nie jestem ci nic winna, nie muszę ci niczego tłumaczyć, ale powiem ci jedno. Rebecca żyje. Nikt jej nie skrzywdził. Wiem, że Wódz zrobił jej dziecko. Wiedziałam od początku. W dniu, kiedy opuściła ten dom... Sama ją odwiozłam.

– A krew? Krew na liście? Skąd się wzięła?

– Gdzieś ty ten list znalazła?

– U siebie pod łóżkiem – kłamię, bo nie chcę, coby Abu miał przeze mnie kłopoty. Dlatego nie wolno mi też mówić o mokrym siedzeniu, które mogło być całe we krwi, zanim ktoś je umył. – Dlaczego krwawiła?

– To zostanie między nami. – Wielka Madam patrzy prosto na mnie. Widzę w jej oczach sto par ust, szeroko otwartych, wykrzykujących przestrogę. – W dniu, kiedy Rebecca odeszła, siedziałam w domu. Źle się czułam. Mąż myślał, że pojechałam do sklepu. Nie rozmawialiśmy wtedy ze sobą. I tak rzadko rozmawiamy. Kofiego też nie było, więc chciałam, żeby Rebecca zrobiła mi śniadanie. Wołałam, ale nie odpowiedziała. Poszłam więc do jej pokoju. I tam ją znalazłam. Bardzo cierpiała. Jęczała, trzymała się za brzuch,

skręcała w rękach korale. Było z nią źle, naprawdę źle. Powiedziała, że coś wypiła, coś, co podał jej mój mąż. W momencie, kiedy zaczęło ją boleć, pisała właśnie list, który znalazłaś pod łóżkiem. Zauważyłam go, gdy biegłam po pomoc.

– Widziałam te korale – mówię. – Wisiały na oknie. Musiała je ściągnąć, bo uciskały bolący brzuch.

– Pewnie zostawiła, kiedy szykowałyśmy się do odjazdu. – Wielka Madam wzrusza ramionami. – Nikogo nie było w domu, więc ostatecznie sama musiałam zaciągnąć ją do samochodu. Abu posłałam z pilną dostawą tkaniny. Gdzie był Wódz, nie pamiętam. Podejrzewam, że podsunął jej jakiś środek poronny i wybrał się na spacer, żeby zaczekać, aż Rebecca wykrwawi z siebie dziecko. Jego dziecko. – Milknie na chwilę, lekko chwieje się na nogach, ale zaraz staje prosto. – Zawiozłam ją do szpitala. Krwawić zaczęła po drodze. Okazało się, że była w czwartym miesiącu ciąży. Sama nie wiem, jak mogłam przegapić ten brzuch. Zaczęła ronić. Powiedziała, że to dziecko mojego męża. I że ten bydlak obiecał jej ślub.

Lekarz zatrzymał krwawienie od razu. Wypisałam dziewczynę, zabrałam jej telefon, wykasowałam wszystkie wiadomości od Wodza i zawiozłam ją na najbliższy dworzec. Dałam jej trochę pieniędzy, kazałam wyjechać z Lagos i nigdy tu nie wracać. Do swojej wioski nie dotarła, doniósłby mi o tym mister Kola, ale w moje życie też się już więcej nie mieszała. A ja, głupia, poprosiłam pana Kolę, żeby na następną pokojówkę znalazł mi znacznie młodszą dziewczynę. Nie miałam pojęcia, że wyszłam za mąż za zwierzę. Za bestię. Wiek nie ma dla niego znaczenia. Dla niego

absolutnie nic nie ma znaczenia. – Wzdycha. – Idź, Adunni, idź po swoje rzeczy.

Patrzę na rozsypane na podłodze papierki. Nie ruszam się.

– *Ma*, skąd mogę wiedzieć, że nie kłamiesz? – pytam, choć myślę, że powiedziała prawdę.

Przypuszczam też, że Rebecca wzięła ze sobą list do samochodu i tam schowała z nadzieją, że później zabierze albo ktoś go zobaczy.

– Nie mamy już o czym rozmawiać – odpowiada Wielka Madam. – Idź po rzeczy i odejdź. – Woła: – Pani Dada, może pani wracać.

Pani Tia wchodzi do salonu, zauważa papierki na podłodze.

– A to co? – pyta.

– Nasza rozmowa dobiegła końca – rzuca Wielka Madam. – Adunni może opuścić mój dom.

Pędzę całą drogę do pokoju, a kiedy dobiegam na miejsce, zrzucam buty i stawiam je pod łóżkiem. Ściągam uniform, składam go i zostawiam na posłaniu. Wskakuję w sukienkę i sandały z Ikati.

Rozglądam się powoli, patrzę na łóżko, na szafkę w kącie, na buty Rebeki, na złożony uniform.

Zaczynam pakować swoje rzeczy do siatki z nylonu: Biblię mamy, dziewięćset naira, co zabrałam je z Ikati, ołówki i zeszyt, książki do gramatyki. Sięgam po korale Rebeki, patrzę na nie długo, długo i wreszcie też je wrzucam drżącą ręką. Urodziła się w Agan. Może pewnego dnia ją spotkam. Wtedy oddam korale.

Kiedy umysł ciągnie mnie z powrotem do Ikati, czuję silny smutek. Wracam do czasu, jak miałam pięć lub sześć lat wieku i bawiłam się w wioskowym strumieniu z Enitan. Chlapałyśmy się wodą po twarzach i śmiałyśmy, nie mając pojęcia, co nam przyniesie życie.

Znowu mam w głowie zamęt, myśli toczą się jak opony strącone z wysokiej góry. Przypominam sobie mamę i jej śmiech, co brzmiał jak dziesięć cichych kichnięć. Przypominam sobie Khadiję, swoją przyjaciółkę. Wieczory, kiedy leżałyśmy u niej w pokoju na matach i w głęboką noc opowiadałyśmy sobie różne historie. Myślę o Rebecce i modlę się, coby tam, gdzie jest teraz, znalazła wreszcie spokój.

A kiedy przypominam sobie Kayusa – myśli o nim trzymałam w zamknięciu bardzo długo, bo nie chciałam oszaleć z bólu i tęsknoty – nagle uginają się pode mną kolana.

Padam na podłogę i płaczę: za mamą, co całe dnie w zdrowiu i chorobie zarabiała pieniądze na szkołę; czasami smażyła sto puff-puffów i sprzedawała je potem pod gorącym słońcem Ikati, a wiele razy wracała nocą do domu ze łzami w oczach, bo nie sprzedała nawet jednego. Płaczę za papą, który myślał, że córka to śmieć i strata, istota bez głosu, bez marzeń, bez mózgu.

Płaczę, myśląc o Wielkiej Madam i jej wielkim domu, tej wielkiej klatce dla jej smutnej duszy. Płaczę za Iyą, co była dla mnie dobra, bo moja mama była dobra dla niej. Za Khadiją, która żyła i umarła przez miłość do mężczyzny, co zostawił ją na pewną śmierć. I płaczę za sobą, za wszystkim co dobre, co dawało mi szczęście. Płaczę z bólu przeszłości, z nadzieją na przyszłość.

Zawodzę cicho, mój szloch jest naraz chłostą i lekiem dla serca... Aż wreszcie słyszę swoje imię. Ktoś woła z daleka i ten głos nagle zatrzymuje łzy, jakoby coś zatamowało u źródła wartki strumień.

Ocieram twarz, podnoszę się z podłogi i wyjmuję z szafki wieszak na ubrania. Klękam na łóżku. Zaczynam ten wieszak giąć, skręcam go i prostuję, aż w końcu zmienia się w cienki równy kawałek drutu. Metalowy długopis bez tuszu. Powoli drapię nim po ścianie. Skrobię, ryję i pocieram, zdmuchuję odpadające płatki białej farby, kreślę litery głęboko, aż szyja i palce zaczynają boleć od tego pisania bez tuszu.

Kiedy wszystko już gotowe, schodzę z łóżka i podnoszę siatkę z nylonu ze swoimi rzeczami. Od drzwi patrzę na ścianę, na wyryty na niej napis. C wyglądają jak połówki kwadratów, a A jest prawie trójkątne, ale słowa można odczytać:

ADUNNI I REBECCA

Wychodzę na korytarz, zamykam drzwi, za którymi zostaje pamięć o smutku, goryczy i szczęściu. Wiem, że nawet jeśli wszyscy zapomną o Rebecce, albo i o mnie, ściana w naszym pokoju przypomni im, że kiedyś tu byłyśmy. Że jesteśmy ludźmi. Wartościowymi. Ważnymi.

ROZDZIAŁ 56

– Dostałam się! – wołam, wchodząc do kuchni. – Idę do szkoły!

Kofi wypuszcza z rąk kulę ciasta, podchodzi szybko i ściska mnie serdecznie.

– Ach, Adunni! Przed chwilą słyszałem, jak żona doktora rozmawiała z Wielką Madam! Przyznali ci stypendium! Gratuluję. – Pociąga nosem, wyciera oko rąbkiem fartucha. – Znam tę szkołę, na pewno cię kiedyś odwiedzę. Ale jeśli ty odwiedzisz kiedyś panią Tię, proszę, zadzwoń do mnie. Wpisałem ci numer do telefonu.

– To ty wiesz, że mam telefon? – Robię wielkie oczy.

– *Chale*, wiedziałem od pierwszego dnia. Znam nawet kod. Zapisałem swój numer pod „Chale". Zadzwonisz kiedyś, przyjaciółko?

Śmieję się i płaczę ze szczęścia.

– Dziękuję, Kofi, przyjacielu. Za to, że namawiałeś mnie na to stypendium. Za wszystko.

– Nie zrobiłem nic wielkiego. – Macha ręką. – Dałem ci tylko informacje i zachęcałem. Dla córki zrobiłbym to samo. Ale to ty ciężko na wszystko pracowałaś. Ty i ta kobieta, żona doktora. – Obniża głos. – Powiedz, co Wielka Madam zrobiła z listem?

– Podarła go... na kawałki – odpowiadam cicho.

– Gdybym tylko podejrzewał, że Rebeccę może spotkać coś strasznego, zrobiłbym dla niej więcej. – Kofi ma smutek w oczach.

– Nic więcej dla niej nie zrobimy. Wielka Madam powiedziała mi, co się stało.

Kiedy wszystko mu opowiadam, jego smutek powoli znika. Patrzy zdziwiony, potem się uspokaja.

– Miejmy nadzieję, że gdziekolwiek jest, dobrze się jej wiedzie. – Klepie mnie po policzkach. – Idź, ciesz się nowym życiem. Kiedy skończę budować dom, będziesz mnie mogła odwiedzić.

– A co z moją pensją? Mam poprosić Wielką Madam?

– Zapomnij o tych pieniądzach, *chale* – prycha Kofi. – Tyle razy ci tłumaczyłem, że wszystko trzeba robić mądrze. Teraz dostałaś rzadką szansę na wolność. Skorzystaj z niej. Uciekaj!

Zostawiam Kofiego w kuchni i biegnę do głównego domu, ale nie kieruję się od razu do Wielkiej Madam i pani Tii. Najpierw mijam jadalnię i wchodzę do biblioteki.

– Dziękuję. – Kłaniam się książkom na półkach. – Dziękuję – mówię *Nigeryjskiej księdze faktów*. Gładzę błyszczącą okładkę z mapą i zielono-biało-zieloną flagą Nigerii; żegnam się z jej stronami i literami, co opisują tak wiele, wiele faktów. – Dziękuję – mówię do *Collinsa* i innych książek, które stały się moimi przyjaciółmi. Dziękuję im, że pomogły mi znaleźć wolność w więzieniu, w domu Wielkiej Madam.

Przez chwilę patrzę w ciszy na półkę, jakoby była grobem mamy. Moje podziękowania stają się piaskiem, a ja posypuję nim trumnę, tylko tym razem smutek miesza się z wdzięczną radością.

Stoję tak, aż w końcu już wiem, w końcu czuję w sobie ciepło i rozumiem, że czas iść. Nie zamykam za sobą drzwi biblioteki. Zostawiam je otwarte, pozwalam duchowi książek ruszyć za mną.

– Długo cię nie było! – rzuca pani Tia, kiedy wchodzę do holu. Tańczy w miejscu, w oczach ma żywy ogień. – Spakowana i gotowa?

Wielka Madam siedzi na krześle przy akwarium. Głowę ma zwieszoną, obraca w dłoni telefon.

– Jestem gotowa – odpowiadam.

– Pani Dada. – Wielka Madam podnosi oczy. Nigdy nie widziałam u niej takiego smutku, gniewu i takiej niepewności. – Adunni jest bardzo mądrą dziewczyną. Dobrze mi... dobrze mi służyła. Powodzenia z nią. I Adunni... – Wstaje, podchodzi do mnie. W oczach ma dogasający płomień. – Skup się na swoich sprawach i myśl o przyszłości – mówi cicho, prawie szeptem. – O własnym życiu. Rozumiesz, co mówię?

Rozumiem. W trzech ostatnich słowach słyszę przestrogę: nie wolno ci nikomu powiedzieć, co było w tym liście. Ani o tym, co ci opowiedziałam.

– Rozumiem – rzucam. – Do widzenia, *ma*.

Kiwa głową na „tak", ale nie odpowiada. Potem odwraca się i wychodzi. Cicho zamykają się za nią drzwi. Wpatrujemy się w nie przez chwilę, ja i pani Tia, jakobyśmy czekały, czy aby znów się nie otworzą. Ale Wielka Madam nie wraca. Słychać, jak wchodzi po schodach, kroki powoli milkną, aż wreszcie trzaskają drzwi na górze. Głośno, głośno, aż cały dom się trzęsie.

– Mój Boże! – szepta pani Tia. – Czy możemy wreszcie się stąd wynieść?

Ruszamy przed siebie.

– Po co chciała z tobą rozmawiać na osobności? – pyta pani Tia, kiedy idziemy między kwiatami w donicach. – Długo rozmawiałyście. Chodziło o tę podartą kartkę na podłodze? To był jakiś list?

Myślę, coby skłamać i zamknąć sprawę, zapomnieć o niej i nigdy już o tym nie myśleć, ale nie mogę. Nie pozwolę Wielkiej Madam zamknąć mnie w klatce strachu, w więzieniu umysłu. Nie teraz, kiedy uwolniłam się już zza krat jej domu.

– Tak – odpowiadam. – List o Rebecce, od Rebeki. – Oglądam się na dom Wielkiej Madam, na ten wielki, potężny i smutny dom. – Potem ci wszystko opowiem, wieczorem.

Dobrze jest to powiedzieć, że ze sobą porozmawiamy, twarzą w twarz, usta w usta, nie w pisanej wiadomości, która nie pokazuje smutku, gniewu ani żadnego innego uczucia.

Dobrze oddać Wielkiej Madam tą klatkę strachu. Zostawić z kluczem i porzucić ją w tym obejściu, w jej domu, tu, gdzie jej miejsce.

– Jak sprawy z doktorem? – Idę trochę bardziej szybko, podnoszę głowę bardziej wysoko. – Lepiej?

– Tyle się wydarzyło – wzdycha pani Tia – ale sądzę, że ze wszystkim sobie poradzimy.

– Tak myślisz? – Zatrzymuję się, osłaniam ręką oczy przed porannym słońcem, patrzę na jej twarz.

– Tak myślę – przytakuje. – Postanowiliśmy rozważyć coś, co nazywa się adopcją. Znasz to słowo?

Kiwam głową na „nie” i już mam powiedzieć, że sprawdzę w *Collinsie*, ale przypominam sobie, że zostawiłam tą książkę w domu. Że zostawiłam za sobą całe to życie i kroczę ku nowemu.

– Opowiem ci o tym. – Pani Tia bierze mnie za rękę i mocno ściska. – Bo jutro będzie lepsze niż dziś, prawda?

Nie odpowiadam od razu.

Moja głowa nie potrafi sobie wyobrazić dnia lepszego niż dziś, lepszego od tego nieba, co jest nieskończone i szaroniebieskie, od świeżego powietrza, co pachnie nową nadzieją i siłą. Wiem jednak, że przyjdzie inny dzień, taki kiedy zobaczę papę, Kayusa i Pierworodnego. Kiedy będę mogła odwiedzić Ikati bez strachu. A może to oni odwiedzą mnie?

Przyjdzie dzień, kiedy mój głos zabrzmi tak głośno, że usłyszy go cała Nigeria i cały świat, kiedy będę mogła pokazać innym dziewczynom, jak zdobyć własny mocny głos. Bo wiem, że kiedy skończę edukację, znajdę sposób i pomogę im pójść do szkoły.

Przyjdzie dzień, kiedy zostanę nauczycielką, poślę papie pieniądze, coby kupił samochód albo zbudował sobie nowy dom. Może nawet sama zbuduję szkołę w Ikati, ku pamięci mojej mamy i Khadii. A kto wie, co jeszcze przyniesie jutro? Kiwam więc głową na „tak”, bo taka jest prawda: przyszłość zawsze jest w ruchu, cały czas układa lepsze rzeczy i nawet jeśli wydaje się inaczej, mamy przecież nadzieję.

Od domu pani Tii dzieli nas pięć minut spaceru. W ciszy wczesnego poranka mijamy wielką czarną bramę, co wycierałam ją cztery razy dziennie taką grubą żółtą ścierką

z kuchni. Ruszamy po Wellington Road, wzdłuż domów pełnych rozwrzeszczanych pawi, ptaków bogaczy. Wreszcie docieramy na miejsce. Do białego domu z lustrami na dachu, co migotają, jakoby mrugały do mnie, mówiąc: Dzień dobry, Adunni, witaj. Ciesz się nową wolnością.

PODZIĘKOWANIA

Chcę podziękować:

Bogu za każdy oddech, za każde słowo, za ten szczodry dar i wszystkie, które jeszcze otrzymam.

Felicity Blunt za ciężką pracę, jaką w tę książkę włożyłaś. Jesteś genialna, wspaniała i po prostu najlepsza. Emmie Herdman i Lindsey Rose, cudownym redaktorkom z obu brzegów Atlantyku, które wykazały się niezwykłą życzliwością i wrażliwością, dziękuję za celne uwagi i cierpliwość podczas pracy nad kolejnymi wersjami rękopisu. Dziękuję fantastycznemu zespołowi Curtis Brown UK, ICM Partners, Sceptre and Dutton, w tym Jenn Joel, niezłomnej orędowniczce wydania tej książki w Stanach Zjednoczonych, Rosie Pierce, Melissie Pimentel, Claire Nozieres, Louise Court, Helen Flood, Amandzie Walker, Jamiemu Knappowi, Leili Siddiqui i wszystkim cudownym ludziom, którzy pracowali i wciąż niezmordowanie pracują na rzecz mojej powieści.

Caroline Ambrose dziękuję za ustanowienie nagrody Bath Novel Award, za pomoc w kształtowaniu losów wielu osób i ciężką pracę, dzięki której pisarze tacy jak ja mają szansę zaistnieć. Zdobyta w 2018 roku nagroda Bath Novel Award zmieniła całe moje życie. Julii Bell dziękuję za wszystkie rozmowy w gabinecie i na zajęciach oraz za bezinteresowne prowadzenie Najlepszych Warsztatów na Świecie. Birkbeck MA #SuperGroup dziękuję za bezcenną krytykę i słowa pokrzepienia, a także za niezliczone czwartkowe wieczory.

Profesorowi Russellowi Celynowi Jonesowi dziękuję za lekturę pierwszych trzech tysięcy słów i otwarcie mi oczu na możliwość spełnienia z dawna żywionych marzeń.

Dziękuję swojej fantastycznej rodzinie. Profesor Teju Somorin za wszechstronne wsparcie mojego rozwoju. Dziękuję inżynierowi Isaacowi Daré, który nazywał mnie „Księżną", ponieważ w jego oczach zawsze byłam kimś szczególnym i ponieważ – mimo notorycznego braku czasu – czytał i komentował wszystko, co kiedykolwiek napisałam. Dziękuję Segs, osobie niecodziennej i cudownej. Dziękuję „Yemi" za nieustanną wiarę we mnie. Dziękuję córkom, które są całym moim sercem i stanowiły dla tej książki inspirację. Pani Modupe Daré i Pani Busoli Awofuwa, Sis Toyin, Ciotuni Joke, Olusco i dziewczynom – za ciepłe posiłki, za wtrącone w odpowiednich momentach uwagi, za miłość i otuchę, i wszystko, co robicie. Wurze z Glitzallure Fabrics za to, że odbierała ode mnie telefony i tłumaczyła zawiłości świata tkanin. Kocham was bardziej, niż jestem w stanie wyrazić.

Adunni, dziękuję, że zechciałaś pokazać mi swój świat. Pojawiłaś się w najbardziej frustrującym momencie mojej pisarskiej wędrówki. Kiedy pewnego poranka usłyszałam twoje słowa wyszeptane ułomną, pełną rozpaczy angielszczyzną, zmieniło się wszystko dla mnie, dla ciebie i, mam nadzieję, dla innych dziewcząt takich jak ty.

Dziękuję też wam, drodzy czytelnicy. Dziękuję za tę podróż i za wszystkie, które odbędziemy w przyszłości.

Dziękuję.

Wszystkie przedstawione w niniejszej książce fakty dotyczące Nigerii można znaleźć w internecie.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
ul. Sienna 73
00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775
e-mail: info@muza.com.pl
Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl
Wersja elektroniczna: MAGRAF sp.j., Bydgoszcz